

Thomas Danielle

Głosy na wietrze

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn i hrabstwo Sussex, 1960

I

Sussex Weald to tereny starych, odwiecznych angielskich borów, teraz opustoszałe i wyjąłowione. Przez ponad siedemdziesiąt milionów lat Ziemię wstrząsały najróżniejsze kataklizmy. Morza epoki kredowej zalewały lądy i cofały się. Sztormy i burze rozmyły kredową wyżynę wciśniętą pomiędzy pagórki Downs, pozostawiając jedynie piaszczyste plaże i wrzosowiska na gliniastej glebie. Lasy rosnące w głębi lądu skrywają pod korzeniami drzew szczątki dinozaurów, a w czarnych konarach przechowują pamięć o wielkich polowaniach i obrzędach pogańskich. Minęła już pora pełni księżyca. Srebrzyście połyskiwały igły sosen rzucających czarne cienie.

Przy wtórce świergotu rozbudzonych ptaków bezszelestnie przemykały między drzewami dwie sylwetki.

Dwoje ludzi szło szybko i pewnie, trzymając się cienia. W blasku księżyca widoczne były tylko ich płaszcze i blade twarze.

- To dobra noc na magiczne obrzędy, Emmo - szepnął Giles Killick, przyciskając mocniej zawiniątko, które niósł w ramionach. - Kapłanki z radością powitają to dziecko.

Emma spojrzała na męża. Białe światło księżyca padało na jego brodę i zaczesane do tyłu gęste włosy. W twarzy o rysach znamionujących siłę charakteru błyszczały blisko osadzone czarne oczy.

- Szkoda, że ubywa już księżyca - odpowiedziała. - Obrzędy kultu Wicca najlepiej się udają, gdy bogini Diana ukazuje całe swoje piękno. Jej blask uaktywnia nasze moce.

- Mielibyśmy pełnię księżyca, gdyby moja siostra dotrzymała pierwotnego terminu wyjazdu do Londynu - mruknął Giles.

- Niestalość charakteru leży w naturze Virginii. Urodziła się pod znakiem Wodnika, którym rządzi planeta Uran. Zawsze będzie taka. - Emma podbiegła kilka kroków, by nadażyć za idącym zamasyżycie mężem. - Mamy jednak Laure - dodała. - Tak się bałam, że Virginia ponownie zmieni zdanie i zabierze ją ze sobą.

- Londyn! - parsknął gniewnie Giles. - Zabrać kilkumiesięczną niemowlę do tego hałaśliwego, zatrutego miasta! Ashley okazał jednak więcej rozsądku niż jego żona. Zrozumiał, że lepiej będzie dla Laury, jeśli pozostanie z nami w Lyewood. Gdybym tylko zdołał przekonać moją siostrę, żeby nie wracała na Seszele! Powinna pozostać w Lyewood, gdzie urodziliśmy się oboje. Poza tym, jako spadkobierczyni farmy powinna okazać jej nieco więcej zainteresowania.

Emma potrząsnęła kwiatami werbeny, które niosła w ręku, i jakby nie zauważając jego rozdrażnienia, powiedziała:

- Virginia i Ashley mogą sobie wracać do tego tropikalnego raju, ale dzisiejszej nocy Laura należy do nas. - Uniosła głowę i patrząc szeroko otwartymi oczami na srebrny krąg księżyca, szepnęła: - Tylko do nas.

Ton jej głosu i błysk w oczach zaniepokoiły Gilesa. Sądził, że czterdziestopięcioletnia Emma pogodziła się już z tym, że nie może mieć dzieci. Jednakże, gdy Virginia przyjechała do Lyewood, by urodzić tu dziecko, Emma skrycie, ale nieubłaganie, zaczęła o nie walczyć.

Nagle Giles znieruchomiał, wpijając kurczowo palce w kocyk. Z ciemności wyłonił się płowy daniel i przemknął przez ścieżkę. Białe plamy na jego grzbiecie rozbłysły w świetle księżyca jak świeżo wybite monety.

- I to stworzenie Diany chce dzisiejszej nocy oddać cześć bogini księżyca - uśmiechnęła się Emma.

Giles spojrział na żonę. Kaptur zsunął się jej z głowy, odsłaniając kruczoczarne włosy, proste u nasady, a niżej mocno skręcone, okalające twarz o delikatnych rysach. Piękna z niej czarownica! Giles uniósł twarz Emmy oblaną mleczną poświatą i ostrożnie dotknął palcem wyciętych w kształt serca ust. Przesunął ręką po jej szyi, wyczuwając pod palcami bicie tętna.

2

Emma, stojąc nieruchomo, patrzyła na niego zielonymi oczami, ciemnymi jak sosny w nocnym lesie. Wsunął rękę pod jej płaszcz i wyczuł ciepło nagiego ciała. Rozległo się ciche kwilenie. Giles drgnął i łagodnie kołysząc niemowlę w ramionach, powiedział:

- Chodźmy, czekają już na nas.

Ruszyli dalej w drogę przez Weald, a liście suchych paproci szeleściły pod ich stopami.

Wreszcie poczuli unoszący się w powietrzu zapach dymu ogniska i palonego kadzidła, a za potężnym dębem i gęstymi zaroślami dojrzeli jęczyczki płomieni. Giles przyśpieszył kroku, pochylając się, by utorować sobie drogę przez splątane gałęzie ostrokrzewu. Emma szła za nim, strzepując co jakiś czas czepiające się płaszcza jeżyny.

Było to miejsce znane od czasów pogańskich. Jak daleko sięgała pamięć ludzka, właśnie w tym tajemniczym miejscu ci, którzy uprawiali pradawną Sztukę Mądrości, radośnie czcili zmysłowego, rogatego bożka Pana i Dianę, Królową Czarownic.

Giles odetchnął głęboko świeżym nocnym powietrzem, czując się tak podekscytowany zbliżającą się ceremonią, że aż jeżyły mu się włosy na głowie. Samotny głóg rozpościarał splątane gałęzie nad płytą piaskowca. Skała ta, położona między wiekowym dębem a bukiem, tworzyła naturalny ołtarz. Ognisko oświetlało srebrzysty krążek, leżący na samym środku osłoniętego tkaniną kamienia. Symboliczne figury, wyryte na srebrzystym pentagramie, migotały i poruszały się jak żywe.

- Och - westchnęła Emma, odrywając wzrok od magicznych znaków i spoglądając w niebo - to będzie wspaniały sabat. Czuję to, Giles.

Wzrokiem szukała gwiazd migoczących na rozjaśnionym księżycem niebie. Wierzyła, jak całe pokolenia kapłanek przed nią, że gwiazdy powstały z pięciu elementów niewidzialnej substancji. Wiedziała, że demony również tym się posłużyły, by odtworzyć swe kształty w pentagramie, który dzięki temu zyskał wielką moc. Spojrzała znowu na połyskujący na ołtarzu krążek, a potem błyszczącymi oczyma śledziła przygotowania do ceremonii.

Kapłanki uplotły wieńce z liści ostrokrzewu i dębu, poprze-tykane łądygami fiołkowej i białej werbeny, którymi przyozdobiły

centralną część kamiennego ołtarza. Ustawiony na środku kosz napełniony był po brzegi owocami, zonkilami, wczesnymi dzwonkami i jasnożółtymi kwiatami ruty. - Dobrze - powiedziała Emma, dokładając tam swój bukiet werbeny. - Ruta i werbena spodobały się bogini. To są jej kwiaty.

Giles i Emma zrzucili z ramion płaszcze, a nocny chłód przeniknął ich nagie ciała. Kapłani i kapłanki podeszli do nich, by radośnie powitać Najwyższego Kapłana i Najwyższą Kapłankę i zobaczyć dziecko, dla którego przygotowano dzisiejszą ceremonię. Blask księżyca i płomień ogniska oświetlały ich ciała - niezależnie od wieku, jednakowo piękne.

- Bądźcie błogosławieni - pozdrowiła ich jedna z młodszych kapłanek, biorąc od Gilesa ciasno zawinięte niemowlę.

- Bądź błogosławiona - odpowiedział z uśmiechem, rozpoznawszy ją.

Sploniona opuściła głowę. Nie była w stanie patrzeć w te czarne oczy. Podczas poprzedniej pełni księżyca została wprowadzona w trzeci stopień Sztuki Mądrości. Giles był wtedy w rytualnym stroju ze skór zwierzęcych. Spoza przyozdobionej rogami maski Pana smoliste oczy badały dokładnie jej nagie ciało, gdy leżała pod nim. Gotowa była oddać się bogu Panu, gorąco pragnąc uczestniczyć w religijnym obrzędzie, którego początki sięgały czasów neolitu, pragnęła poznać cudowny rytuał, który był częścią misteriów eleuzyjskich. Z nieruchomym wzrokiem zaczął wykonywać powolne ruchy, zapowiadające stosunek, mający ją uświęcić. Nie opierała się, gdy wdzierał się w nią twardy fallus, i wyla się całym ciałem pod symbolicznymi pchnięciami Wszechwładnego Boga. Nie spuszczał z niej czarnych tajemniczych oczu. Oszołomiona wonią kadzidła i hipnotyzującym zawrotem głowy, rozchyliła szeroko nogi i wykrzyczała swą radość z przyjęcia Pana, Boga Niszczyciela, Boga Stwórcy Wszechrzeczy. Musi upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim zdoła spojrzeć w oczy swojemu Wielkiemu Kapłanowi.

- Chodź, moje śliczności - powiedziała śpiwnie do zawiniątka. - Chodź do mnie, zanim oni przygotowują się na twoje przyjęcie. I z pochyloną głową zaniósła dziecko do kapłanek stojących wokół Emmy.

Emma odwinęła kocyk, by mogły zobaczyć niemowlę. A potem, nałożywszy na głowę srebrny diadem ozdobiony półksiężycem,

12

skierowała się do kamiennego ołtarza od północnej strony świętego kręgu.

Zabłysnął leżący na ołtarzu miecz. Emma ostrożnie powiodła palcem po jego ostrzu. Machinalnie ułożyła w równym rzędzie noże kapłanek - z czarnymi rękojeściami i wyrytymi na nich mistycznymi znakami. Zrobiony z powrozów bicz i różdżka czarodziejska leżały obok kielichów z wodą i solą. Na twarzy Emmy ukazał się zimny uśmiech, gdy koniuszkiem języka dotknęła swych zębów.

Zapaliła zapalką wysoką świecę, ustawioną od strony północnej za pentagramem. Płomień świecy oświetlił jej szeroko otwarte, tajemnicze oczy. Następnie zapaliła dwie czerwone świece na ołtarzu. Rozległy się żalosne, przenikliwe dźwięki siedmiopiszczal-kowej kobzy Pana. Emma odwróciła się od ołtarza.

Giles zapalił świece umieszczone w starych lampach sztormowych, oznaczających wieże strażnicze na wschodzie, zachodzie i południu. Członkinie zgromadzenia usadowiły się przy wielkim koszu, w samym środku osłoniętego krzewami i drzewami kręgu, zwrócone twarzami do Emmy. Ona zaś spojrzała na Gilesa. Miał już na głowie złotą opaskę. Z widocznym nad czołem symbolem słońca był dla niej ucieleśnieniem wielkiego, rogatego boga, Pana. Przyszły jej na myśl stare, na wpół zapomniane strofy:

Głęboko w jaskiniach śpią starzy bogowie, Ale drzewa wciąż pamiętają o swoim władcy... Liście tańczą jak niegdyś przy wtórze muzyki boskiego satyra I szeptem przekazują jego imię wiatrom. Wiekowy dąb wspomina rogatego boga I nie uznaje innego nad sobą króla.

Ten bóg natury, bożek o kopytach jelenia, uosabiał męską siłę witalną, cudowną i groźną zarazem. Był jej współmałżonkiem, a w nią się wcieliła potężna matka światła i ciemności, Diana, bogini o trojkiej mocy, władająca niebem, ziemią i niedostępnym podziemiem. .

Oboje równocześnie zwrócili się ku ołtarzowi i klękli przed nim.

W spokojnym powietrzu rozchodził się dym palonego kadzidła. Magia pradawnej religii bez reszty zawładnęła Emmą. Drżącą ręką zanurzyła swój rytualny nóż w kielichu z wodą, stojącym na pentagramie.

- Wodo, wypędzam z ciebie diabła - powiedziała wzruszonym głosem. -
Oczyszczasz się z nieczystości i brudów...

Wstrzymując oddech, odłożyła na bok nóż i drżącymi rękoma uniosła do góry kielich z wodą. Widziała, jak Giles zanurza swój nóż o czarnej rękojeści w kielichu z solą, który ustawiono na srebrnym krążku.

- Niech będzie błogosławiona ta sól...

Uspokoili się, słysząc jego niski głos, którym zaintonował słowa wstępnego rytuału. Pewnym ruchem podała kielich, do którego Giles wsypał sól. Biorąc do ręki miecz, dobitnym, mocnym głosem zaśpiewała:

- Zaklinam cię, kręgu Mocy. - Poruszając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, obeszła wolno wszystkich zgromadzonych, wyznaczając w ten sposób magiczny krąg. - Tyś granicą między światem ludzi i królestwem Mocy, ty zachowasz tę siłę, którą teraz przywołamy.

Zaciskając mocniej palce na rękojeści ciężkiego miecza widziała, jak ostry snop złocistego światła odbija się w stalowym ostrzu i wyznacza granice kręgu.

Z uśmiechem złożyła miecz na ołtarzu i obserwowała w napięciu trzy kapłanki, które spryskiwały świętą wodą wszystkich zebranych, a następnie okadziły święte miejsce i obeszły je ze świecą z ołtarza.

Gdy Laura zapłakała cicho, wybrana spośród 'dziewic nowic-juszka włożyła palec w usta małej, by jej płacz nie zakłócił ceremonii. Emma nie zareagowała na płacz niemowlęcia, a Giles stał wyprostowany i nieporuszony u jej boku.

Emma, zwróciwszy twarz ku wschodowi, podniosła powoli leżący przed nią pentagram, wzywając Władców Powietrza, by byli świadkami obrzędu i strzegli kręgu. W jej głosie wyczuwało się ogromny szacunek wobec potężnych władców czterech wież strażniczych, mających pieczę nad różnymi elementami świata. Zwracając się na zachód, wezwała Władców Wody, Śmierci i Początku Wszechrzeczy.

Laura, nie czując smaku mleka, znowu zapłakała. Nowicjuszka, przytuliła ją do siebie i kołysała, nie spuszczać zarazem oczu z Wielkiego Kapłana, który „sprowadzał Księżyc” na Wielką Kapłankę.

14

Emma odwróciła się twarzą ku siedzącym. Skrzyżowała na piersi ręce, zaciskając w nich mocno różdżkę i bicz. W bladym świetle gwiazd stała bez ruchu w postawie Ozyrysa, egipskiego boga świata podziemnego, i patrzyła nie widzącymi oczyma ponad głowami kapłanów i kapłanek.

Giles klęknął na piasku przed nią i pochylił głowę, by ucałować jej stopy.

- Niech będą błogosławione stopy, które przywiodły cię tutaj. - Podniósł powoli głowę i przyglądał włosy pod koroną w kształcie słońca. - Niech błogosławione

będą twoje kolana - ciągnął śpiewnie - które uklekły przed świętym ołtarzem. - Powiódł delikatnie ustami ponad jej kolanem.

Emma zadrżała, gdy brodą musnął od wewnątrz jej uda. A gdy dosięgnął gładkiej skóry nad pokrytym czarnymi włosami łonem, otworzyła ramiona w błogosławiącym geście.

Dreszcz przeniknął dziewicę nowicjuszkę, gdy usłyszała jego potężnie brzmiący głos:

- Błogosławione niech będzie łono, bez którego nie przyszlibyś-my na ten świat.

Podniecona nowicjuszka kołysała Laure, gdy Giles całował ciężkie piersi Emmy i jej pełne wargi. Jak zahipnotyzowana patrzyła na kapłana, gdy wzywał Boginię Matkę, dotykając piersi i łona Emmy.

Spojrząwszy głęboko w oczy Emmy, Giles zniżył głos:

- Zaklinam cię, byś wstąpiła w ciało tej oto służebnicy twojej i kapłanki.

Ukląkł ponownie i ucałował jej stopy.

Nowicjuszka wstrzymała oddech na widok srebrzystoniebieskiej poświaty na nagim ciele Wielkiej Kapłanki. Miała wrażenie, że Emma rośnie i wypełnia sobą cały krąg, a potężny rytm delty, zazwyczaj słyszalny tylko w głębokim śnie, jakby jednoczył ją ze wszechświatem.

- Od posepnej i boskiej Matki mój bicz i moje pocałunki.

Jej silny głos zabrzmiał przenikliwie w uszach kapłanów i kapłanek.

Zahipnotyzowani patrzyli na swoją ziemską boginię. Ich zaklęcia nie sprowadziły bogini księżycy, ale dały nadprzyrodzoną siłę Wielkiej Kapłance, która mogła teraz wypełnić swą magiczną rolę: działać zgodnie z nakazem bogini.

Różdżką zakreśliła w powietrzu pentagramy Ziemi, a patrzący na to Giles poczuł, jak jeżą mu się włosy na głowie, gdy wymawiała ostatnie zaklęcie, przywołujące boginię.

- Gwiazdo pięciu elementów, gwiazdo młodości i rozkoszy jednoczę się z tobą w tym znaku.

Emma uosabiała teraz tajemną istotę życia, była nagą boginią Płodności, pierwszym obiektem męskiej czci. Poznała moc ciemności i światła i zapanowała nad nimi. W głębi duszy każdy z kapłanów powracał myślami do czasów matriarchatu, gdy kobiety posiadały mądrość, słyszały głosy na wietrze i czyniły cuda. Kobiety dawały i podtrzymywały życie były potężne, tajemnicze, rządziły mężczyznami.

Emma położyła różdżkę i bicz na kamiennym ołtarzu i odwróciła się, by wygłosić Naukę Wielkiej Matki.

- Jeśli kiedykolwiek będziecie czegoś potrzebować - zaczęła w głębokiej ciszy, przerywanej tylko trzaskiem polan palących się na ognisku, a jej głos, na de zawodzących dźwięków kobzy Pana urzekął słuchaczy - zbierzcie się razem w tajemnym miejscu i oddajcie hołd mojemu duchowi, bo jestem królową wszelkiej magii. Jeśli zapragniecie nauczyć się czarów, poznacie rzeczy nie znane wam dotąd.

- Pomarańczowy blask ogniska oblewał pełne i ciężkie piersi Emmy i zeszywniało od nocnego chłodu sutki. - Podczas rytualnych obrzędów będziecie nadzy tańczyć, śpiewać, radować się przy wtórze muzyki i oddawać się miłości, a wszystko to uczynicie na moją chwałę.

Nowicjuszka patrzyła na Emmę z lękiem i uwielbieniem w szeroko otwartych oczach. Szepnęła cicho do siebie:

- Jeśli nie znajdziesz w sobie tego, czego szukasz, to tym bardziej nie znajdziesz tego na zewnątrz.

A gdy wyrzekła tę odwieczną formułę, poczuła ogarniające ją ciepło na wspomnienie rytuału, którego dokonała wspólnie z Gilesem, i zrozumiała prawdę ukrytą w Nauce przekazanej przez Emmę.

Giles słyszał już wiele razy Emmę wypowiadającą te słowa, ale ich siła i piękno wciąż przejmowały go dreszczem. Z trudem hamował ogarniające go pożądanie.

- Jestem z wami od samego początku i pozostanę aż do końca, kiedy zaspokoicie swoje pragnienia.

16

Gdy skończyła mówić, wszyscy zwrócili się ku ołtarzowi i zaciśniętymi w pięści dłońmi wykonali gest pozdrowienia rogatego boga.

- Potężny Panie, powróć znów na ziemię. Przybądź na moje wezwanie i ukaż się ludziom - Giles silnym głosem przywołał Pasterza Kóz.

Opuściwszy ręce, uroczyście poświęcił wino, co stanowiło kulminacyjny moment przywoływania boga i bogini. Giles ukląkł u stóp Emmy z ciężkim kielichem w rękę

i pochylił głowę, gdy bogini zanurzyła w winie swój nóż rytualny. Uznawał moc bogini, dwoistość jej boskiej istoty: męską i żeńską.

Odstawił kielich na ołtarz nie spróbował wina. Dziś w nocy nie będą tańczyć. Tej nocy nie będą się radować w wyuzdanym podnieceniu wywołanym tańcami. Ten hipnotyczny stan i magiczny taniec powodujący utratę świadomości mógłby przerazić dziecko.

II

Po kilku dniach pięknej pogody, kiedy promienie słońca ogrzały Londyn i zakwitły pierwsze żonkile, pojawiły się chmury przygnane przejmującym zachodnim wiatrem. Trawniki w Regent's Park usiane teraz były płatkami wiosennych kwiatów. Przez Queen Mary's Gardens szła spacerkiem para, oboje wysocy i przystojni, wcale nie przejmujący się tym, że wiatr szarpie ich ubraniami.

- Spójrz, Ashley - Virginia Challoner wyswobodziła rękę spod ramienia męża i wskazała na dwie kaczki, które schroniły się w krzakach. Na grzbietach ptaki miały płatki kwitnącej opodal wiśni. - Wyglądają jak para młoda obsypana confetti.

- A teraz złoścą się na nas - zażartował Ashley, gdy kaczki z kwakaniem zaczęły otrzępywać pióra. - Chyba wyczuły, że się z nich śmiejemy.

Virginia wsunęła rękę do kieszeni męża, zaciskając palce na jego dłoni. Przytuliła się do Ashleya, a on odpowiedział na to czułym uściskiem.

Zamknięte pączki rosnących w parku róż skrywały jeszcze przed zwiedzającymi swe cudowne barwy. Virginia i Ashley minęli bezbarwne klomby i poszli obasadzoną drzewami aleją Broad Walk.

2 - Okny na wietrze

Kiedy Ashley usłyszał przyspieszony oddech Virginii, zwolnił kroku, udając, że przygląda się wysokim drzewom. Począł, aż odpoczęła, i zapytał:

- Jesteś szczęśliwa, prawda?

Virginia natychmiast zapomniała o wszystkich obawach związanych z czekającą ją wizytą u neurologa.

- To był niezwykle tydzień - odpowiedziała. - Cieszyłam się każdą jego chwilą. -

Przerwała, by zdmuchnąć kosmyk włosów, który łaskotał ją w usta. - Kiedy jesteśmy na Sesselach albo w Lyewood, zapominam, jak bardzo kocham Londyn.

- A ja zapominam, że moja żona uwielbia szwendanie się po mieście. W ciągu tych siedmiu dni zdążyłem zobaczyć każdy zakątek West Endu, zwiedziłem wszystkie galerie sztuki w centrum, nadszarpnąłem poważnie swoje finanse i naraziłem na szwank wątrobę, jedząc to, co Brytyjczycy.

Virginia roześmiała się, a Ashley rozpromienił się, widząc ją szczęśliwą.

Przypomniała mu się dawna, zdrowa Virginia sprzed narodzin Laury.

- Jeśli spuchła ci wątroba, zawdzięczasz to swym kolegom z Cambridge, z którymi żłopałeś czerwone wino w dusznych klubach.

- Coś takiego: żłopaliśmy wino!

Virginia była tego samego wzrostu co mąż. W jej twarzy o porcelanowej cerze przyciągały uwagę szare oczy z siateczką drobniutkich zmarszczek w kącikach i delikatne usta.

Ashley odgarnął jej za uszy gęste popielate włosy. Nie miały już dawnego połysku wypolerowanego metalu, zmatowiały i przeredziły się na skutek choroby.

Zmuszając się do uśmiechu, przytulił ją do siebie, spostrzegając znowu, jak przezroczysta jest skóra na jej policzkach. Pocałował żonę w czoło i powiedział:

- Kocham cię, Virginio Challoner.

- I ja kocham ciebie, zawsze będę... - odszepnęła z nagłą powagą w pociemniałych oczach.

Przerwała w pół zdania, powstrzymując łzy, które napłynęły jej do oczu. A potem, w typowy dla niej sposób zmieniając nagle nastrój, co przez trzynaście lat małżeństwa wciąż go zaskakiwało, a czasem nawet niepokoiło, zakreśliła się w kółko, nucąc melodię z musicalu, na którym byli na początku tygodnia.

18

Patrzył, jak wokół Virginii wiruje purpurowy niczym płatek maku, kaszmirowy szal. Spod czerwonych skórzanych pantofelków wypryskiwał drobny żwirek, a falująca biała spódnica odsłaniała nogi długie i zgrabne jak u młodej dziewczyny. „Żeby tylko neurolog miał dla nas dobre wieści” - pomyślał.

- Chodź tu, moja cudowna dziewczyno.

Szybko podszedł do niej i objął ją w talii, obawiając się, żeby w tańcu nie straciła równowagi i nie upadła. Virginia przytuliła się do niego całym ciałem.

Trzymając się pod rękę, poszli w kierunku ogrodu zoologicznego. Nie opodał grupa japońskich turystów robiła sobie zdjęcia.

- Czy wiesz, że właśnie tu zakochałam się w tobie? - zapytała wciąż jeszcze trochę zdyszana Virginia, gdy zbliżali się do klatek z małpami. - Właśnie tu, koło małp.

- To była nasza pierwsza randka.

- Czy takie spotkanie można nazwać randką? Przecież to był dzień zwycięstwa.

- Ósmy maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku-przypomniał Ashley. - Całą noc śpiewaliśmy i tańczyliśmy na ulicach wraz z tysiącami innych ludzi.

- A pamiętasz, jak o wschodzie słońca siedzieliśmy na jednym z brązowych lwów na Trafalgar Square i piliśmy ciepłego szampana prosto z butelki, aż nagle zachciało nam się popatrzeć na małpy w Regent's Park?

- To był najlepszy sposób na uczczenie końca wojny - odpowiedział Ashley, muskając palcami jej włosy.

- I tu się wszystko zaczęło, prawda?

- Tak, tutaj zaczęło się nasze wspólne życie - przytaknął, przyglądając się młodej małpie, która zbliżała się do nich z wysoko zadartym ogonem. Przycisnęła pysk do siatki ogrodzenia, a jej białe wąsy podrygiwały, gdy uważnie badała ich puste ręce.

- Nie, mam na myśli moją chorobę - powiedziała spokojnie. - Tutaj po raz pierwszy poczułam ten ból oczu. Sądziłam wówczas, że wypiałam za dużo szampana. -

Spojrzała na małpę, która wyciągała łapę, zebrząc jak włóczęga w metrze. - Przez trzy dm nie widziałam na jedno oko. To właśnie wtedy musiała się zacząć ta moja dziwna choroba.

Ashley objął mocno swą piękną, pełną życia żonę.

- Minęło od tamtej pory piętnaście lat - ciągnęła dalej. - Czy to możliwe, żeby symptomy tej choroby były tak długo ukryte?

- Za następne piętnaście lat znowu przyjedziemy odwiedzić te sympatyczne zwierzaki, a ty będziesz całkowicie zdrowa - zapewnił ją.

Jedna z małych małpek skoczyła na ziemię i schwyciła orzech, który upuściła jej matka. Natychmiast została skarcona. Piszcząc z bólu, wdrapała się zwinnie na drzewo i przycupnęła na suchej gałęzi.

- Ja już tu nie wrócę - powiedziała cicho Virginia. Ashleyem wstrząsnął dreszcz.

Przez te wszystkie lata przekonał

się, że można zawierzyć intuicji Virginii. Żyła przyszłością i sprawdzało się to, co przepowiadała.

- A więc randka ustalona. Mam nadzieję, że nie zawiedziesz mnie, moja droga - przerwał jej.

Virginia odsunęła się trochę od niego i stała z przechyloną na bok głową, jakby czegoś nasłuchując. Wyglądała teraz jak mały ptaszek kardynał, którego można spotkać na Seszelach. Z uwagą przyglądała się Ashleyowi. Chociaż szczupły, był silnie zbudowany. Jego ciemne włosy, nieco wypłowiałe od tropikalnego słońca, miały piękny połysk, a opalona skóra przypominała barwę bursztyn.

Gdy zarzuciła mu ręce na szyję, zadzwoniły i zaśniły w szarym, chłodnym świetle jej bransoletki. Spojrzała mężowi w oczy o cętkowanych tęczęwkach, błyszczących jak wspaniałe szafiry. Wiedziała, że potrafił nimi zajrzeć w głąb duszy. Powstrzymując łzy, przytuliła się do niego i pocałowała go.

Ashleya zaskoczyło to trochę. Virginia rzadko okazywała publicznie swoje uczucia. Przygarnął ją mocno do siebie, nie zwracając uwagi na niańki i rozdokazywane małe dzieci, szczęśliwy, że trzyma w objęciach żonę, tak zazwyczaj opanowaną i chłodną.

- Dziękuję ci - powiedziała Virginia. - Chodźmy popatrzeć na szympanasy.

Gdy zobaczyła młodego szympana, który zaczepiał szympan-sicę karmiącą małe małpiątko, natychmiast zniknął jej smutny nastrój. Szympan-sica nałożyła na głowę rozdarte kartonowe pudło, które on usiłował jej ściągnąć. Małpa gwałtownie wymachiwała łapami, broniąc się przed atakami młodego samca.

- Zaraz złoł mu skórę - powiedziała Virginia.

- To chyba jedno z jej dzieci - odrzekł Ashley.

20

- Jakie to szczęście, że Laura urodziła się bez żadnych komplikacji - zaśmiała się Virginia, patrząc, jak małpia mama daje nauczkę figlarzowi.

- O, teraz dopiero się zacznie - powiedział Ashley, gdy pojawił się drugi małpiszon, który też chciał się pobawić pudełkiem.

Rozbawiona Virginia patrzyła, jak szympanasy gonią się i okładają pięściami.

- No, dość tego - Ashley spojrział na zegarek. - Musimy iść, jeśli chcesz jeszcze rzucić na coś okiem przed wizytą u lekarza.

Wziąwszy się pod rękę, poszli szybkim krokiem przez południową część parku i Harley Street.

III

W przytłaczającej ciszy gabinetu słyhać było tylko głos lekarza rozmawiającego przez telefon. Neurolog odsunął fotel od pięknego francuskiego biurka z mosiężnymi okuciami. Zdenerwowana Virginia wpatrywała się w lśniący czubek jego głowy. Wyczuwała w tym pokoju ślady obecności poprzednich pacjentów, atmosferę bólu, buntu i rezygnacji. Odwróciła wzrok od łysiny lekarza, skupiając całą uwagę na onyksowej wazie pełnej kulek z kości słoniowej i kryształu. Miała wielką ochotę wziąć jedną z tych gładkich, chłodnych kul i przycisnąć do swych rozpalonych policzków. Wiele wysiłku kosztowało ją, by zachować obojętną minę i nie zdradzić się ze swymi obawami.

Ashley poprawił się na krześle, zadowolony, że Virginia sprawia wrażenie spokojnej i opanowanej.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział lekarz odkładając słuchawkę i odwracając się z fotelem twarzą do nich. - Chodziło o pilne wyniki badań.

Ashley i Virginia uśmiechnęli się wyczekująco. Gdy doktor przesunął plik papierów i pochylił się nad biurkiem, okulary zsunęły mu się na czubek zadartego nosa, a podbródek zniknął w fałdach szyi. Wyciągnął arkusik zielonego papieru i spojrzał na Virginie.

- Pani Challoner - zaczął - podczas poprzedniej wizyty u mnie na Queen Square powiedziałem, że coś złego dzieje się z pani systemem nerwowym.

- Tak - potwierdziła spokojnie Virginia. - I skierował mnie pan na badania rdzenia kręgowego.

- Otóż to. Zleciłem wykonanie punkcji lędźwiowej i prześwietlenie całego kręgosłupa, by przekonać się, czy nie ma w nim jakichś zmian patologicznych.

- Zmian patologicznych? - zapytał Ashley.

- Chodziło o guzy lub uszkodzenia kręgów, panie Challoner - wyjaśnił neurolog.

Wyjawszy z wazy jedną z kul, przetoczył ją po blacie biurka. - Badania nic nie wykazały. Mielografia była prawidłowa. - Podniósł palec, widząc uśmiech Virginii.

- A więc diagnozę należało postawić na podstawie obserwacji klinicznych.

Umilkł na moment. Bawiąc się trzymaną w dłoni kulą, zwrócił się wprost do Virginii:

- Przykro mi, że musiała pani tak często bywać na Queen Square, ale przy takiej diagnozie należy być wyjątkowo ostrożnym. Mogą wprowadzić w błąd

najprzeróżniejsze rzeczy: rdzeń kręgowy, guzy mózgu, zespół Guillain-Barre...

- O co więc chodzi? - przerwała mu Virginia. - Co mi jest? Na co jestem chora?

Neurolog postukał palcem w gładką powierzchnię kulki.

- Nie jest mi łatwo odpowiedzieć na pani pytanie. Ma pani *sclerosis multiplex*, stwardnienie rozsiane. Jest to choroba długotrwała, ale bezbolesna, atakująca system czuciowy i ruchowy.

- Ja... ja... nie rozumiem - szepnęła Virginia, szarpiąc nerwowo frędzle czerwonego szalika.

- Jest to choroba centralnego układu nerwowego - zaczął wyjaśniać lekarz. - Ulega zniszczeniu osłonka włókien, które umożliwiają przewodzenie bodźców poprzez nerwy.

Virginia czuła, jak każde jego słowo skraca jej życie. Siedziała nieruchomo, blada i zdenerwowana.

- Powoduje to osłabienie niektórych włókien nerwowych - kontynuował neurolog. -

Przestają przekazywać bodźce niezbędne dla ruchu mięśni. Mogą także zostać uszkodzone zmysły bólu, powonienia, słuchu i wzroku.

- W jakim stopniu będzie się to pogarszać? - zapytał spokojnie Ashley.

- To choroba całkowicie unieruchamiająca człowieka. Chciałbym przekazać państwu bardziej pocieszające informacje, ale in

14

walidztwo pańskiej żony może przybrać różne formy, od zakłócenia wzroku i mowy, do niemożności utrzymania moczu i stolca lub nawet do paraliżu, który na zawsze uwięzi ją w łóżku.

- Nie - krzyknęła Virginia, załamując ręce. - Nie!

Ashley podszedł do żony, przysiadł na oparciu jej fotela i mocno uściśnął jej dłonie.

- Proszę pani - mówił dalej neurolog, pochylony nad biurkiem. - Stwardnienie rozsiane jest chorobą, która ma okresy zaostrzeń i remisji. Jej pierwsze objawy

miała pani w wieku dwudziestu ośmiu lat - chwilowe zaniewiedzenie w jednym oku. Nawet nie poszła pani do lekarza, bo po dwóch dniach wszystko wróciło do normy. Po trzynastu latach pojawiły się nudności, zawroty głowy i sztywnienie skóry.

Zaczął się to na krótko przed ciążą, prawda? -uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- Przez trzynaście lat cieszyła się pani doskonałym zdrowiem.

- Czy te objawy, które mam teraz: zachwiania równowagi, częste chodzenie do toalety, miną? - zapytała Virginia.

- Mogą minąć, ale proszę pamiętać, że podobnie jak pani prawe oko, które nie jest już tak dobre jak niegdyś...

Virginia skinęła głową. To prawda, tym okiem nie rozróżniała dobrze barw.

- Tak też będzie z innymi objawami. Nigdy nie wróci pani do pełnej formy.

- Czy to choroba nieuleczalna, panie doktorze? - zapytał Ashley. - Nie ma żadnej nadziei?

- To straszna choroba i jak dotąd, zbyt mało o niej wiemy. Pojawia się nagle, potem pozornie ustępuje, żeby po jakimś czasie zaatakować z jeszcze większą siłą.

Zazwyczaj znaczne pogorszenie występuje po urodzeniu dziecka.

- Laura! - wyszeptała Virginia. - Moje dziecko! - Wstała z fotela i skierowała się do drzwi.

Ashley zerwał się na nogi.

- Nic, nic... Wrócę za chwilę - uśmiechnęła się słabo do niego. - To właśnie jeden z moich symptomów. - Wyszła szybko i zamknęła za sobą drzwi.

- Bardzo panu współczuję - powiedział neurolog. - Musi być pan przygotowany na to, że u pańskiej żony w miarę rozwoju tej pozbawiającej sił choroby pojawią się stany depresji, rozdrażnienia,

poczucia niższości. W późniejszej fazie może nawet dojść do otepienia umysłowego, zaników pamięci, roztargnienia, bezpodstawnej euforii. - Mówiąc to, doktor przez cały czas nie przestawał się bawić kulką z kości słoniowej. - Pani Challoner sprawia wrażenie kobiety samodzielnej i inteligentnej, dlatego też przypuszczam, że będzie rozsądnie reagować na zmiany zachodzące w jej organizmie.

- Czy jej postawa może mieć wpływ na rozwój choroby?

- Jestem przekonany, że zrozumienie sytuacji i świadomość odpowiedzialności za własne zdrowie może znacznie ograniczyć nawroty choroby. Tylko u czterdziestu procent chorych na stwardnienie rozsiane dochodzi do najgorszego.

- Tylko u czterdziestu procent, panie doktorze? Przecież to strasznie dużo - Ashley nie ukrywał zdenerwowania.

Skrzypnęły drzwi i weszła Virginia. Ashley wstał, by pomóc jej usiąść w fotelu.

- Panie doktorze - Virginia zwróciła się do neurologa - czy moje dziecko może odziedziczyć tę chorobę?

Ashley zamarł. Nie pomyślał o tym, że i jego jedyne dziecko może zachorować na coś takiego.

- Proszę pani, choroba ta do dziś nie jest w pełni rozpoznana, ale wiemy, że nie jest ani dziedziczna, ani zakaźna. Pani dziecku nic nie grozi. - Przynął do siebie oprawiony w skórę notes i odkręcił skuwkę złotego wiecznego pióra. - No cóż, mamy trudny problem do rozgryzienia. Zaczniemy od leczenia sterydami. Przez dziesięć dni będzie pani brała kortyzon, a potem jego dawkę gwałtownie obniżymy.

- Pióro skrzypiało, gdy nie przestając mówić, zapełniał kartkę nieczytelnym pismem. - Nie zapobiegnie to całkowicie rozwojowi choroby, ale przedłuży okres lepszego samopoczucia. - Neurolog uśmiechnął się do Virginii. - Trzy rzeczy przemawiają na pani korzyść. Po pierwsze, nie pali pani papierosów. Chory na stwardnienie rozsiane powinien unikać tytoniu. Po drugie, jest pani szczupła.

Wszystkim moim pacjentom zalecam obniżenie wagi. Po trzecie, jest pani dobrze zbudowana i wysportowana. Jakie sporty pani uprawia?

- Dużo pływam i nurkuję na Szeszelach.

- Wspaniale! - rozpromienił się lekarz. - Pływanie w ciepłych wodach wzmacnia mięśnie i nadaje im sprężystość. Ale - dodał

16

ostrzegawczo - nie należy przesadzać. Musi pani unikać przegrzania organizmu. Nie wolno pani opalać się ani kąpać w gorącej wodzie.

Virginia skinęła głową.

- Niezła byłaby też joga.

- Joga? - powtórzyła zaskoczona Virginia.

- Doskonale wpływa na mięśnie.

Virginia patrzyła, jak doktor obraca w palcach kulkę.

- Uprawiałam jogę w czasie wojny. Znacznie wcześniej, niż stała się modna. Nasza kapitan z Pomocniczej Służby Wojskowej uważała, że joga wpływa uspokajająco na psychikę. Twierdziła, że w ten sposób nie będziemy się bać nalotów. - Umilkła, a po chwili dodała: - Chyba miała rację. Może joga znowu mi pomoże?

- Emma ma znajomego, który prowadzi zajęcia z jogi w West Hoathly - przypomniał sobie Asbiey. - Mogłabyś się przyłączyć do nich.

- Bardzo dobrze - ucieszył się neurolog. - Chciałbym za tydzień zahaczyć panią na Queen Square. Te wizyty muszą się odbywać regularnie przez sześć do ośmiu miesięcy.

- Za tydzień - powtórzyła przerażona Virginia. - Muszę pojechać do Lyewood. Laura...

Neurolog spojrzał na Ashleya.

- Niestety, regularne wizyty są niezbędne. Ashley uścisnął mocno dłoń Virginii.

- Nie martw się. Giles i Emma będą zachwyceni, że Laura zostanie u nich jeszcze przez tydzień. Jest tam bezpieczna.

- A twoja praca? - westchnęła Virginia. - Przyznano ci właśnie dodatkowe fundusze. Nie możesz zostać tu do jesieni. Straciłbyś pół roku badań. To niemożliwe.

Neurolog obserwował twarz Virginii tak uważnie, jak sędzia liniowy śledzi grę na kortach Wimbledonu. Chciał lepiej poznać tę piękną, niezależną kobietę, by móc jej pomóc i doradzić.

Ashley szybko i precyzyjnie, jak komputer, dokonał w myślach przeglądu swoich planów i zamierzeń na najbliższe sześć miesięcy. Zależało mu bardzo na tym, żeby jak najszybciej rozpocząć badania ekologiczne Aldabry, jednej z większych wysp koralowych, położonej około ośmiuset mil na zachód od wyspy Mahe. Ale może to poczekać. Tymczasem należy znaleźć jakiegoś studenta w Cam

bridge, który w lipcu i sierpniu zajęły się badaniem roślinności i żółwi morskich. Mógłby za swą bazę obrać Cosmoledo, jedną z wysp archipelagu Aldabra, najciekawszą, jeśli chodzi o miejscową florę. Drogą wodną docierałby stamtąd do Aldabry i przeprowadzałby dla niego obserwacje dotyczące rozmnażania się żółwi. Mimo że Ashley wiedział, jak trudno będzie załatwić to wszystko w ciągu paru tygodni, rzekł do Virginii pewnym głosem:

- Te atole czekają na zbadanie siedemdziesiąt pięć milionów lat. Dodatkowe sześć miesięcy nie mają więc żadnego znaczenia. Twoje zdrowie i dobre samopoczucie są dla mnie o wiele ważniejsze, niż porośnięte koralami wysepki.

Neurologa niewiele obchodziły wyspy rozsiane w równikowej strefie Oceanu Indyjskiego, ale chcąc rozładować napięcie, wykrzyknął z udanym podziwem:

- Siedemdziesiąt pięć milionów lat! Virginia na moment spojrzała na niego.

- Granitowe wyspy archipelagu są znacznie starsze. Ich istnienie szacuje się na sześćset pięćdziesiąt milionów lat - powiedział Ashley, zadowolony ze zmiany tematu. - Według dawnej teorii wędrówki lądów, gdy rozpadł się megakontynent Gondwana, od Afryki oddzieliły się Madagaskar i Półwysep Indyjski, a Seszele stanowią jego resztki rozrzucone w pobliżu równika. - Ashley skarcił się w duchu za nazwanie resztkami stu dziesięciu wysp, stanowiących w sumie cztery piąte powierzchni Francji.

- Bardzo interesujące - mruknął doktor, obserwując bacznie Virginie.

Wyglądała teraz na spokojniejszą i zadowolony neurolog uśmiechnął się do niej.

Ashley powrócił myślami do żony.

- Pozostaniemy na lato w Sussex. Przynajmniej będę miał dość czasu, by przestudiować literaturę dotyczącą moich badań. Pojadę na kilka tygodni do Cambridge, gdzie na wydziale geografii również zajmują się rafami koralowymi Oceanu Indyjskiego. Podyskutujemy tam na temat Aldabry. Nie mogę stracić takiej okazji. - Ashley uściśnął lekko dłoń Virginii. - Może też uda mi się uzyskać pieniądze od Królewskiego Towarzystwa Nauk Przyrodniczych.

Virginia przesunęła palcem po wargach, co było znakiem, że nie czuje się najlepiej lub zastanawia się nad czymś.

18

- A pod koniec lata będziemy już coś więcej wiedzieć o twojej chorobie. Skończysz kurację, będziesz silna i zdrowa - dokończył z przejęciem.

Virginia poruszyła się i wyprostowała w pięknym fotelu w stylu Ludwika XIV.

- Ustalmy daty spotkań, panie doktorze, a my będziemy się modlić o jak najdłuższą przerwę w mojej chorobie. - Zwróciła się do Ashleya: - Nie chcę jednak, żeby Giles i Emma dowiedzieli się, dlaczego przedłużamy pobyt w Anglii. Później sama im o tym powiem.

Neurolog i Ashley wymienili spojrzenia ponad jej głową.

- Biorąc pod uwagę pani pozytywne nastawienie do leczenia, jestem pewien, że wszystko dobrze się ułoży.

Neurolog zamknął cicho drzwi za nimi i podszedł do okna. Przerzucał kulkę z kości słoniowej z jednej ręki do drugiej patrząc, jak przy krawężniku zatrzymuje się wielka czarna taksówka, gdy Ashley pomachał na nią parasolem.

Stał bez ruchu patrząc, jak owinięta szkarłatnym szalem Virginia wsiadała do auta. W smutnym geście oparła jasną głowę na ramieniu męża, a on muskał czule ustami jej włosy. Doktor miał jeszcze przed oczami ten obraz, kiedy do jego gabinetu wszedł następny pacjent.

IV

Giles i Emma odwrócili się od ołtarza i stanęli twarzami do kapłanów i kapłanek. Młoda kapłanka nowicjuszka zadrzała. Teraz nastąpi moment dopuszczenia do kultu tego niemowlęcia. Zostanie ono oddane pod opiekę bogini.

- Zeszliśmy się w tym kręgu, by prosić potężnego boga i dobrą boginię o błogosławieństwo dla Laury, córki Virginii i Ashleya Challoner, aby stała się dziewczyną piękną i silną, aby wzrastała w radości i mądrości... - powiedział Giles. - A gdy już dorośnie, by nie wahała się, jaką obrać drogę życia, i kroczyła nią radośnie.

Dziewczyna wstrzymała oddech, gdy Giles zgodnie ze zwyczajem dodał:

- Występujemy tu dziś jako chrzestni i rodzice Laury, w imieniu jej własnych rodziców.

Czyżby to dziecko miało być przyjęte do zgromadzenia bez wiedzy i zgody rodziców? Nowicjuszka natychmiast odrzuciła od siebie tę myśl. Najwyższy Kapłan i Najwyższa Kapłanka nigdy nie uczyniliby czegoś takiego. Rodzice dziecka z całą pewnością wyrazili na to zgodę.

Giles spojrział na Emmę, której oczy zabłyśły triumfalnie. Przesłała mu ledwie dostrzegalny uśmiech, przynaglając do kontynuowania obrzędu.

Cisza przedłużała się. Kapłani i kapłanki poruszyli się niespokojnie. Emma ścisnęła rękę Gilesa, a on potakująco skinął głową.

- Przynieście ją tutaj, by mogła dostać błogosławieństwo. Nowicjuszka podeszła do Emmy z kwilącym niemowlęciem na ręku.

- Jakie tajemne imię będzie mieć twoja córka? - zapytał Giles.

- Tanith - odpowiedziała Emma.

Wziął dziecko od dziewczyny i umoczył palec w oliwie, którą trzymała Emma.

- Namaszczam cię, Lauro, tą oliwą i nadaję ci imię Tanith - powiedział Giles, kreśląc znak pentagramu na jej czole.

Głośny płacz Laury zagłuszył muzykę. Teraz Giles namaścił ją winem w imieniu Pana i wodą w imieniu bogini płodności Diany.

Krople wody i wina spłynęły po nosku Laury, która okazała wielkie niezadowolenie. Z czerwoną i pomarszczoną od płaczu twarzą, wymachiwała w powietrzu zaciśniętymi piąstkami. Giles podał ją Najwyższej Kapłance. Emma przytuliła maleństwo do ciepłej piersi i obtarła z buzi wodę i oliwę.

Eho, Eho, Azarak, Eko, Eko, Zomelak, Eho, Eko, Pan...

Zaśpiewała starą magiczną pieśń, głaszcząc delikatnie twarzą Laurę. Potem Giles i Emma udali się z Laurą do wschodniej wieży strażniczej, by przedstawić dziecko.

28

- O wy, władający wieżą strażniczą od wschodu, przynieśliśmy wam Laurę, której nadano tajemne imię Tanith, gdyż właśnie została namaszczona w Kręgu Mądrości. Słowa Gilesa zagłuszał głośny płacz dziecka. Emma podała Laurze pustą pierś, wsuwając różową sutkę w jej usta. Niemowlę zamknęło oczy i zaczęło ssać. Emma uśmiechnęła się, słysząc posapywanie małej. Poczowała ciepło rozlewające się aż do jej bezpłodnego łona. Teraz Laura naprawdę była jej dzieckiem.

- Moja maleńka czarownico - szepnęła - należysz do mnie na zawsze.

Pokazali Laurę pozostałym wieżom strażniczym, a ona cmokała cichutko, gdy oddawano ją pod opiekę Pana i Diany.

Gdy wrócili przed ołtarz, Emma wyciągnęła sutkę z ust niemowlęcia i podała Laure nowicjuszcze. Laura otworzyła buzię, by energicznie zaprotestować, ale nagle zaśmiała się na widok lśniącego srebrnego księżycy w diademie Emmy. Utkwiła w nim ciemnoniebieskie oczy i próbowała go dosięgnąć rączkami.

Emma odetchnęła z ulgą. Dziecko Virginii zostało ochrzczone w kulcie Wicca i była pewna, że któregoś dnia Laura zostanie kapłanką.

Giles i Emma unieśli ręce do góry, prosząc boga i boginię, by obdarzyli Laurę siłą, pięknem, mądrością i miłością. Następnie oboje rodzice chrzestni stanęli do siebie twarzą w twarz, a nowicjuszka zajęła takie miejsce, z którego Laura mogła widzieć diadem Emmy.

- Emmo Killick, czy przyrzekasz być przyjaciółką Laury przez całe jej dzieciństwo, pomagać jej i doradzać, gdy tego będzie potrzebowała, roztaczać nad nią opiekę i kochać ją, jakby była dzieckiem z twojej własnej krwi? - zapytał Giles.

- Przyrzekam.

Następnie i Giles złożył podobną obietnicę i zaintonował pieśń kończącą rytuał:

Bór i bogini pobłogosławili ją, Władcy wież strażniczych ją uznali, A my, jej przyjaciele, pozdrowiliśmy ją. Teraz, Gwiazdny Kręgu, świeć w pokoju na Laurę, Której tajemne imię Tanith. Niech tak się stanie.

Zebrani zgodnie powtórzyli:

- Niech tak się stanie.
- Usiądźmy w kręgu - powiedział Giles.

Kiedy wszyscy usiedli na ziemi, obniesiono wkoło kielich z poświęconym winem i ciasteczkami w kształcie księżyca. Emma zabrała podarki przyniesione dla Laury i dała znak, że można zacząć jeść i pić. Wkrótce krąg napełnił się wesołymi głosami i śmiechem.

- A gdzie są rodzice tej małej? - zapytał jeden z kapłanów, łyknąwszy czerwonego wina. - To oni powinni przedstawić swoje dziecko bogini. Dlaczego ich tu nie ma? Młoda kapłanka wzięła kielich z winem, upiła z niego łyk i zerknęła na Gilesa.
- W Londynie - odpowiedział Giles.
- Z powodu choroby - dodała Emma.

Widząc niedowierzanie na twarzy kapłana, Giles wyjaśnił pośpiesznie:

- Matka dziecka miała ciężki poród. Zachorowała na kilka miesięcy przed urodzeniem Tanith i jeszcze nie wróciła do zdrowia.
- Ma już czterdzieści lat, a to jej pierwsze dziecko - uzupełniła Emma.
- Zamierzają wkrótce powrócić na Seszele, gdzie stale mieszkają, i dlatego musieliśmy dokonać chrztu już teraz - powiedział Giles.
- Rodzice udali się do Londynu na konsultacje u specjalisty. Nie wiadomo, kiedy wrócą.

Emma spojrzała na Laure, która spokojnie leżała na jej kolanach, bawiąc się klamerkami skórzanego paska.

- Pewnego dnia zostaniesz Królową Kapłanek i będziesz miała taki sam pasek jak mój - szepnęła. - Ty też stworzysz nowe zgromadzenie kapłanów i kapłanek.

Laura ziewnęła i przymknęła oczki. Główka jej opadła na bok, kręcone blond loczki łaskotały brzuch Emmy. Emma ostrożnie oderwała małe paluszki od paska i po kolei ucałowała każdy z błyszczących paznokietków, zanim schowała rączki małej pod kocyk. Giles obserwował Emmę i dziecko z boleśnie ściśniętym sercem. Jaka szkoda, że nie ma własnego dziecka!

- Gilesie - odezwała się młoda kapłanka, zadowolona z wyjaśnień, które usłyszała. - Opowiedz nam coś więcej o twojej książce

22

Kult Mądrości. O czym teraz piszesz? - zapytała, uśmiechając się do niego.

- O tak - poparł ją uczestniczący w rozmowie kapłan, zapominając o wszystkich wątpliwościach dotyczących Laury. - Opowiedz nam.

Ucichły rozmowy i wszyscy usiedli ze skrzyżowanymi nogami przed Gilesem.

- Piszę teraz o Aradii. Jest ona nie tylko córką Diany, ale też jakby inną wersją tej bogini. - Przerwał, by uporządkować myśli. - Boginię Księżyca Dianę czczono od najdawniejszych czasów. Była uosobieniem ciemności. Światłem był Lucyfer, jej brat i syn.

Młodziutka kapłanka, skrzyżowawszy ręce na piersi, kołysała się z wolna, słuchając Gilesa.

- Pierwszego cudu dokonała Diana na Lucyferze. Namówiła kota sypiącego na łóżku brata, by zamienili się rolami. Gdy brat zasnął, przybrała swą dawną postać i dokonała z nim aktu miłosnego. Zaszła w ciążę i urodziła bratu córkę - Aradię.

- I w ten sposób ciemność pokonała jasność - powiedziała Emma w zamyśleniu.

- Dzieje się tak po dzień dzisiejszy - stwierdził Giles, z podziwem przyglądając się swej pięknej żonie.

- A więc dlatego koty tak lubią czarownice i kapłanki i zawsze mają w sobie coś tajemniczego - stwierdziła jedna ze starszych kapłanek.

- Mów dalej - poprosiła młoda kapłanka. - Jak postąpił Lucyfer, gdy zobaczył, co się stało?

- Rozgniewał się bardzo, ale Diana uspokoiła go śpiewem. Jej głos miał na niego magiczny wpływ.

- Tak - podjęła Emma - Diana wprawia w ruch koło życia, to od niej zależą losy ludzi. Lucyfer jest tylko wykonawcą jej poleceń.

- A Aradia? - przerwał jeden z kapłanów. - Co robi Aradia?

- Diana, niezmiernie bolejąc nad nieszczęsnym losem ludzi na Ziemi, przekazała córce wszystkie tajemnice mocy czarodziejskich - odpowiedział Giles. - Potem posłała Aradię na Ziemię, by założyła tam tajemne stowarzyszenie kapłanów.

- I w ten sposób powstało również nasze stowarzyszenie -z przejęciem wtrąciła starsza kapłanka.

- Tak - uśmiechnął się Giles. - Ludzie zawsze zafascynowani byli tajemnymi misteriami. Nasz kult magicznej siły natury jest o wiele starszy od chrześcijaństwa i innych religii. My czcimy samo życie. Nasze na wpół magiczne, na wpół religijne praktyki pojawiły się na Ziemi wraz z pierwszym człowiekiem.

- Gdy Aradia dokonała swego dzieła - podjęła opowiadanie Emma - opuściła ten świat i wróciła do Diany. Zanim jednak odeszła, nakazała ludziom, by zbierali się co miesiąc podczas pełni księżyca i oddawali cześć mądrości Diany. Powiedziała, że mamy śpiewać, tańczyć i kochać się w ciemnościach, bo sama Diana jest ciemnością - Emma mówiąc to opuściła wzrok, chcąc ukryć przed innymi swe pożądanie.

- Aradia poleciła nam, byśmy podczas obrzędów byli nadzy, co miało świadczyć o prawdziwym wyzwoleniu - kontynuował Giles. - Diana była zadowolona z tego, co Aradia dokonała na Ziemi, iż pozwoliła jej przekazywać magiczną siłę kapłankom. Dwie są wielkie moce magiczne: błogosławieństwa i klątwy. - Giles odchrząknął, patrząc z uwagą na słuchaczy. - Musimy wystrzegać się klątw. Siły przywołane w sposób magiczny są; bardzo niebezpieczne i mogą spowodować nawet śmiertelne zagrożenie. Pamiętajcie, magiczna moc może być zarówno jasna, jak i ciemna, jak dwa oblicza bogini Księżyca, którą czcimy.

„O tak, to są siły niebezpieczne” - pomyślała Emma, ze spuszczonej wciąż oczyma pochylona nad Laurą. - Ale ja potrzebuję takiej siły. Ciemność Hekate przeraża was, ale mnie podnieca. Nie boję się jej użyć, aby uczynić Tanith całkowicie moją. - Objęła mocniej małą, która cichutko zamruczała przez sen. - Moja mała czarownico - pogładziła smukłymi palcami uszko dziewczynki - zostałaś pobłogosławiona przez Dianę, a my nauczymy cię wszystkich ciemnych i pięknych tajemnic bogini Księżyca.

Nagły ostry dźwięk poderwał wszystkich.

- To zięba - szepnął jeden z mężczyzn. - Coś ją obudziło i przestraszyło.

W otaczającej ich ciszy nasłuchiwali odgłosu kroków, próbując oczyma przeniknąć ciemność.

- Może ktoś nas śledzi? - zagryzając usta zapytała młoda kapłanka.

32

- Podobno i teraz żyją małe leśne duszki, które wyczuwają, gdy ktoś obcy jest w pobliżu - szeptem powiedziała inna.

Giles dał im znak, żeby zamilkły. Dłuższy czas siedzieli cicho i nieruchomo, jak głazy w świętym miejscu druidów.

- Już późno - odezwał się w końcu Giles. - Bogini przemierzyła prawie całe niebo. Przygotujmy się do końcowego rytuału.

Emma ułożyła śpiące dziecko na zwiniętym płaszczu koło ogniska. Uczestnicy ceremonii wzięli swoje noże rytualne i stanęli twarzami na wschód za Kapłanem i Wielką Kapłanką.

- O wy, Władcy Przesławy, dziękujemy wam, że byliście obecni przy naszej ceremonii - zaintonowała Emma, czyniąc w powietrzu znaki pentagramem przeznaczonym na ten końcowy moment - a zanim odejdziecie do waszego pięknego, cudownego królestwa, pozdrawiamy was i żegnamy.

- Pozdrawiamy i żegnamy - powtórzyli wszyscy.

Ustami dotknęła stalowego ostrza noża, a potem przycisnęła je do piersi, gdy młoda kapłanka gasiła świecę na ołtarzu. Członkowie stowarzyszenia wiernie naśladowali jej gesty. Gdy zwrócili się na północ, kapłanka nowicjuszka zgasiła resztę świec. Pozostało tylko nikłe światło ogniska w środku kręgu. Po kilku minutach święte miejsce było puste. Ognisko dogasało. W ciszy nocnej znikwały bezszelestnie zakapturzone postacie, podobne do czarnych nietoperzy.

- Idźcie w pokoju - szepnął Giles - wy, którzy łąkniecie wiedzy i zdolni jesteście zachować milczenie. Idźcie w pokoju.

Czerwone wino wsiąkało w suchy grunt wokół ostrych, sterczących korzeni drzewa, mokre plamy znikły szybko w gęstym cieniu. Emma rozkruszyła ciastko i posypała nim mokrą od wina ziemię. Poprzez sklepienie splecionych kolczastych gałęzi obserwowała Gilesa gaszącego ognisko.

Gdy zasypywał rozżarzone węgle, kichnął głośno od wzbijającego się w górę dymu. Emma spojrzała z niepokojem na Laure, która jednak nie obudziła się.

Giles podszedł do ołtarza, otrzepując płaszcz z kurzu. - Emmo - powiedział cicho. - Emmo, gdzie jesteś?

Uśmiechając się w duchu, musnęła pieszczotliwie pień starego drzewa i zwilżyła językiem wargi, czekając na męża w głębokim cieniu.

25 - Głosy na wietrze

33

- Aradia nakazała nam tańczyć, śpiewać, grać i kochać się w ciemnościach - odpowiedziała.

Giles, pochyliwszy się pod kolczastymi gałęziami, zrzucił z siebie płaszcz i rozłożył go na ziemi. Klęcząc na miękkiej wełnianej tkaninie, wyciągnął ramiona do Emmy.

- To potężne, stare drzewo i musimy je uczcić kochając się właśnie u jego stóp - powiedziała ochryple, stając przed nim i głaszcząc jego gęste włosy.

- A więc kochajmy się pod nim. W tę dzisiejszą wyjątkową noc należy również jemu oddać cześć.

Pochylił się i zdecydowanym ruchem rozsunął jej nogi. Wyczuwała w nim wielką siłę i niecierpliwość. Wiedziała, że tej nocy będzie brutalny, i drżała z podniecenia. Wstrzymała oddech, gdy uszczypnął mocno jej pośladki, i wyprostowana poddała naprzód swe łono, spragniona dotyku jego języka.

Z twarzą wtuloną w jej łono, nie rozluźniając twardego uchwytu, przyciągnął ją mocno do siebie, a gdy zaczęła pojękiwać z cicha, a potem krzyczeć, wzmocnił jeszcze uścisk. Nie czuł tego, że wijąca się z rozkoszy Emma tłucze go pięściami po ramionach i wbija mu w plecy paznokcie.

Wreszcie puścił ją i położył się na płaszczu.

- Chodź! - rozkazał i pociągnął ją, osłabłą, na siebie.

Na niebie ostrym blaskiem skrzyły się gwiazdy. Giles muskał palcami włosy Emmy. Ułożył jej głowę na swoim ramieniu i całował obrzmiałe usta.

- Byłaś cudowna, moja czarownico. Diana jest z ciebie zadowolona.

Emma wyciągnęła rękę do splątanych gałęzi i powiodła palcami po sterczących kolcach. Sprawiał jej przyjemność ból wywołany ukłuciami. Czuła, jak wsączają się w nią siły witalne drzewa.

Giles pochylił się nad nią i spojrzał uważnie w jej oczy. Objęła go za szyję, a on ucałował wewnątrz jej dłoni.

- Musimy już wracać. Zaraz będzie świt i Laura się obudzi. Wstał i pomógł wstać Emmie. Przytulił gwałtownie jej nagie ciało, a potem podniósł śpiące dziecko.

Emma patrzyła, jak starannie otula małą kocykiem.

- Tak, masz rację. Diana z pewnością jest zadowolona - szepnęła - ale ja muszę się zwrócić do Hekate i jej sług, by pomogli

34

mi zachować to dziecko. - Owinąwszy się szczelnie płaszczem, ruszyła za Gilesem.

- Zrobię wszystko, co będzie konieczne. Tanith jest moja.

Giles zatrzymał się.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

Emma zastanawiała się przez chwilę, co powiedzieć.

- Mówiłam, że nasza maleńka będzie bezpieczna przy nas. Żadne leśne duchy nie odważą się tknąć Tanith ani zażądać od niej „daniny dla piekła”.

- Emmo - zaśmiał się Giles - nie ma żadnych leśnych duchów.
- To dziecko na zawsze należy do nas. Przecież dziś zostało ochrzczone według naszego rytuału - szybko dodała Emma, widząc minę Gilesa.
- Wprowadziliśmy ją na drogę kapłaństwa, Emmo, ale pamiętaj, to ona sama musi zdecydować, czy przyjmuje pradawną religię. Podejmie tę decyzję, gdy dorośnie i zrozumie, o co tu chodzi. - Emma przytaknęła głową, ale Giles nie ruszał się z miejsca. - Laura jest dzieckiem Virginii. Nie należy do ciebie. Możesz ją kochać i czuwać nad nią, ale nie możesz jej mieć. Nie zapominaj o tym, a wtedy łatwiej zniesiesz rozstanie, gdy Ashley i Virginia zabiorą ją stąd. - Uścisnął żonę, czując, jak bardzo jest nieszczęśliwa.

Emma pochyliła głowę, ukrywając twarz w kapturze. Przyjmując, że zrozumiała jego słowa, ruszył szybkim krokiem przez las Weald, chcąc przed wschodem słońca dotrzeć do Lyewood.

V

Błady księżyc zniknął za ławicami czarnych chmur, a żwirowy dziedziniec tonął w mroku i ciszy. Tylko odgłos trącanych kamyków zdradzał lekkie kroki zbliżające się do drzwi frontowych w Lyewood.

Ciężkie dębowe drzwi otworzyły się cicho i Emma weszła do wyłożonego kamiennymi płytami holu. Zatrzymała się, wdychając zapach drewnianych szczap palących się na kominku. Wrażenie ciepła potęgowała dębowa boazeria na ścianach holu i salonu. Ledwie słyszalnie poskrzypywały drewniane belki stropu. Dźwięki

te działały na Emmę kojąco. Ten dom z szarego kamienia był od stuleci siedzibą rodziny Killick. Lubiła słuchać bicia jego serca.

Lyewood usytuowane było wysoko na jednym ze wzgórz hrabstwa Sussex, w pobliżu leśnej osady West Hoathly. Posiadłość obejmowała tysiąc akrów pagórkowatego, pokrytego lasem terenu. Znana też była z młynów wodnych nad stawami pełnymi teraz pstrągów.

Wielki, piękny dom został wybudowany przez Killicka, który w XVI wieku dorobił się majątku w Sussex przy wytapianiu żelaza. Killickowie byli średniozamożną rodziną farmerską z Wealdu. Otrzymali szlachectwo dzięki handlowi rudą żelazną, uzyskiwaną z bogatych złóż Wealdu. Giles nie mógł wybaczyć swoim przodkom, że wykarczowali ogromne połacie lasów, by zbudować tam kopalnie żelaza.

Emma na palcach wspięła się po krętych dębowych schodach. Giles spał smacznie i z sypialni słychać było jego chrapanie. Wąski promień księżyca wśliznął się przez szczelinę w zasłonie jednego z okien. Emma wyciągnęła rękę, by w jego nikłym świetle spojrzeć na zegarek. Laura nie powinna obudzić się przed świtem. Na cztery lub pięć godzin pogrążony w ciszy dom należał wyłącznie do niej.

Zanurzyła twarz w ogromnym pęku ziół i czarnego bzu, który ze sobą przyniosła. Podniecona wdychała odurzający zapach białych kwiatów.

- Potężna będzie wasza moc, bo zerwałam was w ciemnościach przy malejącym księżycu - szepnęła do kwiatów łaskoczących jej policzki. - Dym z waszych palących się gałązek przywoła i pozdrowi mrok, którego potrzebuję.

Przebiegła szybko przez letnią bawialnię, bibliotekę i gabinet Gilesa.

Łukowate, opatrzone żelaznymi sztabami drzwi w końcu amfilady prowadziły do jej pokoju. W XVIII wieku służył on za schronienie przemytnikom. Znajdował się tu niewielki kominek z misternie rzeźbionym gzymsem. Kiedy przekreśliło się jedną z widocznych tam żołądzi, odsłaniało się wejście do pomieszczenia bez okien. Latem było tam chłodno, a zimą wystarczająco ciepło od tylnej ścianki kominka.

Te dwa pomieszczenia należały tylko do Emmy. Zdjęła z gzymsu drewnianą żołądź i trzymała ją w biurku, by nikt nie mógł otworzyć wejścia do sekretnego pokoju.

36

Emma rzuciła naręczę ziół i kwiatów na krzesło i udała się do kuchni. W wielkiej kuchni, mimo kamiennej posadzki, było bardzo ciepło. Na ladzie stały pokryte białymi serwetami wielkie bochny chleba, który zagniotła i upiekła tego popołudnia. Czuć było zapach drożdży. Odnalazła w ciemnościach drogę do wyszorowanego stołu kuchennego; nie chciała, by światło zaalarmowało służącą, która mogłaby pomyśleć, że myszkują tu złodzieje. Wymacała pod stołem wiklinowy koszyk, w którym kilka zwiniętych w kłębuszek kociąt przywarło do ciepłego brzucha matki. Pręgowata kotka fuknęła ostrzegawczo i Emma popieściła ją za spiczastymi uszkami.

- Nic się nie bój, staruszko - powiedziała uspokajająco - szukam szczeniaczka, którego karmisz razem ze swymi kociętami. Nie rób o to tyle hałasu. Przecież ogrodnik i tak wszystkie je utopi.

Kotka, uspokoiła się i mruzczała rozkosznie, gdy Emma drapała ją pod brodą. Emma zapaliła zapałkę i zaczęła oglądać skulone kociaki.

- No, jesteś - szepnęła i w tej samej chwili zapałka zamigotała i zgasła. - Na samej górze. - Wyciągnęła czarne szczenię i schowała w zanadrzu bluzki. - A ty, staruszko - powiedziała do kotki - lepiej przestań włóczyć się po lasach Gravetye. Ten czarny kocur jest stanowczo za młody dla ciebie. Powinnaś wreszcie zdać sobie z tego sprawę.

Kotka, nie zwracając na nią uwagi, lizła uspokajająco swoje potomstwo.

W drodze powrotnej Emma wzięła przyniesiony przed chwilą bukiet i wśliznęła się do swego pokoju. Przekręciła klucz w zamku i odetchnęła z ulgą. Opuściła aksamitne zasłony na okna w głębokich wykuszach i zapaliła dwie świece na kominku. Gdy wydobywała z poplątanego bukietu gałązkę czarnego bzu, reszta kwiatów osunęła się na kamienną podłogę. Łamała gałązki na małe kawałki i dmuchała na węgle w palenisku. Wkrótce gryzący dym napełnił oba pomieszczenia. Emma, oddychając głęboko, odpięła bluzkę i wydobyła z ciepłego zanadru szczeniaka. Psiak sapnął cichutko i kichnął.

- Cicho, cicho - skarciła go.

Zaniosła maleństwo do sekretnego pokoju i położyła na dywanie. Ponieważ szczeniak drżał i popiskiwał, ściągnęła z siebie bluzkę i nakryła go nią.

Uszczęśliwiony psiak zwinął się w kłębuszek, osłaniając oczka ogonkiem z białą plamką na końcu. Emma patrzyła na niego przez chwilę i zadowolona, że się uspokoił, wróciła do swego pokoju.

Zanim Emma rozpięła suwak i zdjęła długą, faldzistą spódnicę, poszperała w kieszeni i wyjęła ropuchę.

- Nie bój się, maleńka - zamruczała.

Zdjęła koronkową czarną bieliznę i pieszcząc ręką włosy na łonie, przeszła naga do sekretnego pokoju. Palcami drugiej dłoni muskała znieruchomiałą ropuchę.

- Dasz mi mleczko, moja śliczna - powiedziała - i będziesz mogła wrócić do nory wśród liści naparstnicy.

Ropucha utkwiała w niej jasne i twarde jak kamyki oczy, a na jej skórze pojawiła się mleczna trująca ciecz. Emma zebrała kilka kropeł śmiertelnej trucizny do kamiennego naczynia i ustawiła je na ołtarzu znajdującym się w środku magicznego koła namalowanego na dywanie. Ropuchę włożyła do pudełka wyłożonego wilgotnym mchem.

- Odpoczywaj, maleńka. Potem zaniosę cię do ogrodu. Przekroczyła magiczny krąg, ostrożnie obchodząc szczeniaka.

Pochyliła się z ciężko zwisającymi, pełnymi piersiami, ustawiając na pentagramie czarne świece. Gdy zapalała świece w czterech głównych punktach, musnęła palcami sutki.

- Wiatr południowy jest gorący i suchy - zaśpiewała - południe jest więc ogniem.

Zachód przynosi deszcz, jest więc wodą. Wschód jest zimny i suchy, a więc jest siłą przestworzy. - Zawsze, gdy sama odprawiała te obrzędy, przy zapaleniu każdej świecy wyjaśniała istotę czterech elementów. - Wiatr północny mrozi, jest więc uosobieniem ciemności.

Płomyki świec lśniły jak cztery krople rosy. Emma zakreśliła nożem krąg i wzięła z ołtarza misę na olejki. Gdy podniosła pokrywę, uderzył ją w nos cierpki zapach selera. Ostrożnie wlała do środka mleko ropuchy.

Smarując tą miksturą miejsca, gdzie wyczuwalny był puls, przypomniała sobie ostrzeżenia Gilesa: „Przygotowując zioła, powinnaś zachować ostrożność, bo wiedza o tajemnych właściwościach roślin może być tak niebezpieczna jak nadużywanie tajemnych mocy, Emmo. Nie igraj z tojadem, srebrnikiem i belladoną. Mają właściwości halucynogenne i mogą być zabójcze”.

30

- Dużo wiesz o roślinach, Gilesie - powiedziała, jakby z nim rozmawiając. - Ale ja muszę użyć własnych mocy. Dzięki narkotynom za chwilę dojdę to takiego stanu świadomości, jaki jest mi potrzebny.

Odstawiła naczynie na ołtarz i okadziła trójkąt, który narysowała poza magicznym kręgiem. Właśnie w tym trójkątnym polu powinny pojawić się przywołane przez nią ciemne siły. Magiczny krąg przeznaczony był tylko dla bogów.

W trakcie dalszych przygotowań wciąż usprawiedliwiała się przed śpiącym mężem: „Jesteś dobrym czarownikiem, Gilesie, i cudownym Wielkim Kapłanem. Posiadłeś wiedzę i sztukę dokonywania wszelkich zmian zgodnie z twoją wolą. Ale boisz się spojrzeć w ciemne oblicze naszej bogini.

Tylko kobieta może identyfikować się z Matką Ziemią. To, co teraz robię, to nie stara pogańska tradycja czaroksięstwa, którą oboje wielbimy, Gilesie. Czarna magia potrzebna mi jest, by zapanować nad tajemnymi siłami natury.

Wypróbowałam już dobrą magię: symbol połączyłam z obiektem. Szpilki, które wbiłam w ulepioną z gliny kukłę - Virginie, sprawiły jej ból w ramionach i nogach. Ale ona nadal trzyma Laurę w objęciach i spaceruje z nią. Nadal jest matką mojego dziecka. Potrzebuję pomocy ciemnej i potężnej Hekate. Duch, którego dziś przywołam, skłoni się przed mocą mojego umysłu i będzie mi posłuszny. Virginia zachoruje i nie będzie w stanie opiekować się Laurą. To dziecko musi być moje". I znów usłyszała głęboki głos Gilesa: „Pamiętaj, że celem każdej magii jest czysta miłość. Nie wolno nikogo krzywdzić".

Lebioda, którą zmieszała z ziołami, skwierczała w miedzianej kadzielnicy.

„Virginia nie potrzebuje tak bardzo Laury jak ja - tłumaczyła się dalej Gilesowi. - Nigdy nie zrozumiesz mojej potrzeby posiadania dziecka. To, co robię teraz, robię sama. Nigdy nie dowiesz się, że zdradziłam twoje zasady".

Czekając na demona, który przywołany przez nią powinien ukazać się w dymie, przestała myśleć o Gilesie.

Potrząsnęła szkiełkiem, zwanym „Stary Szymon”, pradawnym symbolem nieśmiertelności, i skrzyżowała przed czaszką piszczele. Następnie wzięła nóż o czarnej rękojeści. Powoli zaczęła iść wokół

kregu w kierunku przeciwnym ruchowi wskazówek zegara. Czują, jak cała pokrywa się gęsią skórą. Był to efekt działania czarnej magii, ale ona zamierzała kontrolować niebezpieczne siły.

W pokoju panowała kompletna cisza, gdy Emma otworzyła księgę do zaklinalnia demonów. Zawierała ona wszelkie związane z tym tajemnice, pracowicie spisane sekretnymi znakami alfabetu tybetańskiego. Przerysowując niegdyś te obce litery, skupiła na nich całą myśl. Niezrozumiałe słowa tajemnej mocy, dobitne i ostre jak noże kapłanek, przeszły ciszę. I choć w pokoju było ciepło, Emmą wstrząsnął dreszcz. Nie знаła wypowiedzanych słów, ale wiedziała, że są one kluczem do świata ciemności.

Lamac cahi achabahe Karrelyos.

Śpiew rozgrzewał ją i pozwalał poznać tajemnicę. Dodawał magicznej mocy.

Pochyliła się i wyjęła szczeniaka spod okrywającej go bluzki.

Tobie składam w ofierze to stworzenie.

Zaniosła do ołtarza śpiącego psiaka, który wsuwał nosek pod jej ramię.

O wielki Adonai, Elohim'...

Wyrecytowała inwokację i położyła szczeniaka na zimnym marmurowym blacie.

Poczuła rytm znaku *theta*, zazwyczaj występujący tylko we śnie i w marzeniach sennych. Miała już klucz do świata obrazów. Szklistymi oczami zaglądała w głąb rzeczy nie znanych żadnej istocie ludzkiej.

Szczenie parsknęło cichutko i bezradnie zamachało w powietrzu łapkami, próbując zwinąć się w kłębek. Nałożyła pieskowi na małą główkę wieniec z werbeny. Światło świec odbijało się w źrenicach Emmy i rzucało migotliwe cienie na jej nagie ciało.

Poruszała się jak w transie. Palcami pieściła stalowe ostrze rytualnego noża. Głos jej zabrzmiał silnie, gdy wypowiedziała:

Przelewam krew tej oto ofiary.

32

Rozległ się przeraźliwy pisk szczenięcia i trysnęła krew. *Wysłuchaj mnie, Wielki Adonai!*

Dotknęła czoła nożem o mdłym zapachu świeżej krwi.

„Krew to życie” - powiedziała sobie w duchu.

Narkotyczne działanie mikstury i kadzidła rozchodziło się po całym ciele i potęgowało niezwykły stan świadomości. Powoli recytowała straszliwe słowa:

Retragrammaton Olyaram...

Minęły godziny, zanim udało jej się zapanować nad ciemnymi mocami, które zaklinała.

Przed samym świtem, blada i wyczerpana, weszła schodami na górę.

„Tylko nie obudź się i nie płacz” - pomyślała przechodząc obok pokoju Laury.

Zanim mała się obudzi, musi już być obok Gilesa w wielkim łożu z baldachimem. Giles zwykł rozpoczynać swój dzień na farmie wraz z paniem kogutów, a teraz budził go poranny płacz Laury.

Odgarnęła kapę i zamarła, gdy mruknął odwróciwszy się do niej twarzą:

- Emmo, nie słyszałem płaczu Laury. Która to godzina?

- Przepraszam, że cię obudziłam - odpowiedziała ignorując jego pytanie.

Zamrugął oczyma ze zdziwienia widząc, że jest w bluzce i spódnicy.

- Dlaczego jesteś już ubrana? - zapytał, unosząc się na łożu.

Przez głowę przemknęły jej najprzeróżniejsze wyjaśnienia. Patrzyła bez słowa na Gilesa. Zdawała sobie sprawę, że ryzykuje utratę jego miłości i szacunku.

- Laura - wykrztusiła.

- Przecież jeszcze śpi - zauważył Giles i nagle uśmiechnął się. - Już wiem, zbierałaś te swoje zioła przed wschodem słońca.

Emma odetchnęła z ulgą.

- Nie gniewasz się? - zapytała.
- Moja mała czarownico, oczywiście że nie. Jakbyśmy sobie poradzili na farmie bez tych ziołowych leków?

- Wybacz, że cię obudziłam.

- Chodź tutaj i przeproś mnie w łóżku - zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie. Leżała na nim pozbywszy się lęku, ale i z pewnym poczuciem winy, gdy nagły dzwonek telefonu uwolnił ją od konieczności poddania się jego niecierpliwym dłoniom i ustom.

- Halo! - powiedział Giles podniósłszy słuchawkę. - A, to ty Ashleyu. Nie, nie obudziłeś mnie. - Rozmawiając ze szwagrem ułożył głowę Emmy na swym ramieniu i zanurzył palce w jej gęstych kręconych włosach. - Rozumiem, jeszcze tydzień.

Emma wstrzymała oddech, starając się usłyszeć, co mówi Ashley.

- Oczywiście, że zajmiemy się Laurą. Emma będzie zachwycona. Ucałuj od nas Virginie i uspokój ją, że Laura znajduje się w dobrych rękach. Jest najbardziej kochanym dzieckiem w Sussex. - Zamilkł na chwilę. - W porządku, Ashleyu. Zadzwoń do was jutro. Do widzenia i bawcie się dobrze w Londynie.

- Masz Laurę na następny tydzień, a może i na dłużej - powiedział, przewracając Emmę na plecy. - Lekarze chcą zrobić jeszcze jedną serię badań. Widocznie nie mogą się zdecydować, co jest mojej biednej siostrze.

Emma zamknęła oczy. Jej czary podziałały!

- Jakie to smutne - szepnęła. - Współczuję ci, Giles.

- Nie ma potrzeby. Virginia wygląda na kruchą istotę, ale jest silna. Będzie walczyć z tą chorobą i zwycięży, nie zapominaj, że podczas wojny została odznaczona za odwagę.

- Na pewno jej się uda.

- A teraz - Giles zerknął na zegar stojący na nocnym stoliku - zanim obudzi się mała, musimy skończyć to, co zaczęliśmy.

Emma jęknęła, gdy przycisnął ją ciężkim ciałem. Nie opierała się, chcąc sprawić mu przyjemność.

W sąsiednim pokoju Laura spała spokojnie, leżąc na brzuszku z zamkniętymi oczami i ssąc zaciśniętą piąstkę. Ale już wkrótce miała głośnym płaczem upomnieć się o mleko, ogłaszając tym samym początek dnia.

34

VI

Paw kręcił się i puszył, rozkładając wachlarzowato ogon skrzący się turkusowymi i szmaragdowymi piórami.

Oczka na końcach jego piór lśniły jaskrawo, gdy dumnym krokiem przechodził obok słupa z tablicą wskazującą kierunek do Horsted Keynes. Zatrzymał się na

środku drogi, by zademonstrować swą urodę i wyrzeć właściwe wrażenie na szarych pawicach wydziobujących robaki pod przydrożnym żywopłotem. Ciemnogrnatowy land rover zahamował gwałtownie. Ashley otworzył drzwi samochodu.

- Przyznasz, że pawie na drodze to rzecz raczej niezwykła. Ale nieraz widywałem je tam, w pobliżu tego starego domu. Poczekaj chwilę, zaraz wrócę - zawołał do Virginii.

Paw nieufnie lypnął na niego okiem, demonstrując ogon mieniący się wszystkimi barwami tęczy, a potem gwałtownie go złożył i prześliznął się przez dziurę w żywopłocie, by dołączyć do obojętnych na wszystko samiczek.

- Masz, to dla ciebie - powiedział Ashley wsiadając do wozu i zapalając silnik.

- Jakie piękne - zachwycona Virginia obracała w ręce dwa jedwabiste pióra. - Ale przynoszą nieszczęście.

- Nieszczęście? Emma ma ich cały dzban w pokoju, a z pewnością jest szczęśliwą kobietą. -Zatknął pióra za górne lustro. -Poślubiła twego brata i stała się panią jednego z najpiękniejszych starych domostw i ogromnej farmy. Pawie pióra jej przyniosły szczęście.

Nacisnął klakson, gdy drogą przebiegał bażant o cynamono-wo-szkarłatno-zielonym upierzeniu.

- Słońce wywabило chyba wszystkie ptaki - powiedziała Virginia, spoglądając wciąż na kołyszące się pawie pióra.

- Wiesz co - powiedział Ashley, podążając za jej wzrokiem -oddamy je Emmie do jej kolekcji.

- Świetny pomysł - ucieszyła się. - Do tak nawiedzanej kobiety doskonale będą pasować.

Ashley spojrział zaskoczony na żonę. Nie pasowały do niej takie złośliwe komentarze.

- Daj spokój, jest nieszkodliwa. To nic strasznego, że wróży z fusów herbacianych i z kryształowej kuli.

Najwyraźniej nie przekonał Virginii. Bez słowa spoglądała przez okno na mijane pola uprawne.

- Emma doskonale zna się na ziołach - ciągnął dalej Ashley - a ziołolecznictwo stanowi poważny dział nowoczesnej medycyny.

- Jako córka farmera, zawsze wierzyłam w lecznicze właściwości ziół - zgodziła się z nim Virginia. - Ale w Emmie jest coś dziwnego...

- To dlatego, że wyszła za mąż za twojego starszego brata. Uważasz, że żadna kobieta nie jest go godna.

- Nie żartuj - uśmiechnęła się Virginia. - Wiem, że Giles i ona naprawdę kochają Laurę. - Zawahała się na moment. - Może nawet trochę za bardzo.

- Co masz na myśli? - zapytał gwałtownie Ashley, zaniepokojony o swą jedyną córkę. Czekał na nią dwanaście lat i była jego oczkiem w głowie. - Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli zostawić Laurę komuś innemu niż Emmie i Gilesowi.

- Zgadzam się z tobą - powiedziała Virginia - ale Emma ma obsesję na punkcie Laury. Nigdy nie mogę być sama z własnym dzieckiem.

Ashley dotknął jej ręki.

- Czy nie jesteś zbyt zaborcza? Biedna Emma nigdy nie urodzi własnego dziecka, a Laurę widywać będzie mogła tylko wówczas, gdy tu przyjedziemy. Pewnie dlatego tak wokół niej krąży. — Spojrzał na zaciętą minę Virginii. — Bądź dla niej miła. Pozwólmy jej cieszyć się naszym dzieckiem.

Virginia z westchnieniem położyła rękę na jego kolanie.

- Masz rację, Ashleyu. To takie szczęście, że mamy Laurę. Giles i Emma zawsze marzyli o dziecku, które byłoby dziedzicem Lyewood. Spróbuję nie być zazdrosna o nasze dziecko.

- Jesteś wspaniała - ucieszył się, zjeżdżając na bok, by na wąskiej krętej drodze uniknąć zderzenia z ciężarówką. - To już West Hoathly. Niedługo będziemy w domu. Nareszcie zobaczę, jak urosła moja córka.

- Nie urosła zbyt wiele - zaśmiała się Virginia. - Musi upłynąć trochę czasu, zanim z niemowlaka stanie się małą dziewczynką. - Nagle chwyciła go za ramię. - Zatrzymaj się w miasteczku. Zjemy lunch w Cat Inn. Nie byliśmy tam od wieków. Nie mam ochoty spotykać się z Emmą i Gilesem. Boję się ich litości.

36

- A co z Laurą? Przecież bardzo do niej tęskniłaś. Virginia rzuciła okiem na zegar na desce rozdzielczej.

- Zaraz Emma ułoży ją do snu po obiedzie. - I dodała z uśmiechem: - Czy nie pouczałaś mnie, że powinnam dzielić się z nią moim dzieckiem? Daję Emmie jeszcze dwie godziny czasu.

- Dobrze, niech będzie Cat Inn - ustąpił Ashley. - Lubisz tę przemycniczą spelunkę, co?

- W dzieciństwie bawiliśmy się z Gilesem w przemytników i policjantów. Szukaliśmy nawet ukrytych skarbów w starych kopalniach żelaza i w lasach Wealdu; chcieliśmy odnaleźć podziemny korytarz, gdyż byliśmy przekonani, że ciągle jeszcze istnieją różne tajemne przejścia. Bawiliśmy się wspañiale. Może i Laura będzie się kiedyś w to bawić?

- Jeśli nie tutaj, to będzie mogła poszukać skarbu piratów na Seszelach - powiedział Ashley, gdy zaparkowali już samochód i szli w kierunku zajazdu. - Nauczymy ją także pływać, żeglować i budować zamki z piasku. Te wyspy to prawdziwy raj dla dzieci.

Usłyszeli podniesione głosy dobiegające z zajazdu. Ledwie zdołali odskoczyć, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i wytoczył się na chwiejnych nogach potężnie zbudowany, najwyraźniej czymś rozzłoszczony młodzieniec. Dziewczyna u jego boku spuściła oczy na widok Ashleya i Virginii.

- Do diabła z nim - warknął młodzieniec. - Zrobimy sobie własne przyjęcie. Miał krótko ostrzyżone blond włosy i prawdziwie kocie oczy: jasne, zimne i żółte. Virginia zadrżała, gdy spojrzał na nią tępo, kierując się w stronę kościoła św. Małgorzaty.

- Ten kościół ma bardzo starą historię - zauważyła Virginia, oglądając się za dziwną parą. - Jego wieża góruje nad miasteczkiem od tysiąca lat.

- I na pewno były tam kryjówki przemytników - zażartował Ashley.

Weszli do Cat Inn. Ashley posadził Virginie przy starym drewnianym stole w pobliżu dwustronnego kominka i podszedł do baru.

- Co tu się działo? - zapytał, gdy właściciel zajazdu nalewał jabłecznik dla Virginii.

- Zawsze są kłopoty, gdy przychodzi Bartholomew Faulconer z East Grinstead.

- Faulconer? Ten lekarz?

- Lekarzem jest jego ojciec. To wspaniały człowiek. Znakomity specjalista od chirurgii plastycznej, pracujący w Szpitalu Królowej Wiktorii. Pomógł wielu lotnikom w czasie wojny. - Przesunął po blacie szklaną napelnioną po brzegi jabłecznikiem. - Niektórzy uważają, że lekarze traktowali poparzonych pilotów jak świnki morskie, eksperymentując z przeszczepami skóry. Nie zgadzam się z nimi. Wykonali wspaniałą robotę.

Właściciel zajazdu odwrócił się, by nalać piwo dla Ashleya.

- Ale z jego synem są problemy. Prawdziwa czarna owca w rodzinie. Wyrzucono go z dwóch szkół. Upił córkę dyrektora i zrobił jej dziecko. Ludzie mówią, że jest taki, bo nie potrafił sprostać zbyt wysokim wymaganiom doktora, ale ja uważam, że po prostu należało mu co jakiś czas dobrze złoć skórę. Ojciec tego gagatka jest stale zajęty, a matka nie może nad nim zapanować. Ta biedna kobieta już nigdy nie wstanie z fotela na kółkach. Miała straszny wypadek samochodowy.

Ashley i Virginia pokiwali głowami współczująco.

- Słyszałem, że doktor wysłał go do Rodezji, gdzie ma się uczyć polowań u jakiegoś białego myśliwego - zaśmiał się właściciel zajazdu. - Dzikie zwierzęta wybiją mu zarozumiałstwo z głowy. Tam nie będzie już taki bezczelny.

- A ta dziewczyna? - zainteresowała się Virginia. - Jest taka młodziutka.

Właściciel zajazdu popatrzył na nią. Killickowie byli starą, szanowaną w okolicy rodziną, a Virginię znał od lat.

- Za każdym razem widuję go z inną - odpowiedział, odkładając na tacę serwetkę, którą wycierał blat baru. - Wszystkie są takie młodziutkie, niemal jeszcze dzieci. Bartholomew lubi dziewczynki niewinne i niedoświadczone.

Virginia wzdrygnęła się. Tyle jest rzeczy, których musi nauczyć swą córkę. Trzeba będzie ją strzec przed takimi ludźmi, jak Bartholomew.

- Jakże to wszystko okropne - powiedziała, gdy Ashley postawił już na stole jabłecznik i piwo i odsunął czarne, staromodne krzesło.

- Tak - zgodził się z nią Ashley - Faulconer z pewnością nie zasłużył na takiego syna. Ten doktor to niezwykle człowiek.

38

- Czy to on ciebie operował? - zapytała Virginia, sącząc bursztynowy napój.

- Tak. To, że jakoś teraz wyglądam, zawdzięczam jego talentowi - odpowiedział Ashley, ocierając usta z białej piany.

Virginia wiedziała, że gęste czarne włosy skrywały szramy na piersi i nogach Ashleya, a on sam ledwie dostrzegalnie kulał.

Zawahała się. Ashley nie lubił opowiadać ani o tym, co działał jako pilot w czasie wojny, ani o miesiącach spędzonych w szpitalu, kiedy jego samolot runął na ziemię w płomieniach i dymie.

- No to co zamawiamy: paszteciki z wieprzowiną czy tutejsze wiejskie danie?

Jedzenie było znakomite i lunch upłynął w wesołej atmosferze. Ashley cieszył się, słuchając śmiechu Virginii. Jak to dobrze, że zostali w Londynie i zasięgnęli porady neurologa. Wygląda na to, że depresja minęła i Virginia mniej obawia się choroby. Kiedy najedzeni i zrelaksowani szli do samochodu, od strony wzgórz zawiął świeży, chłodny wiatr. Virginia zapięła szczelnie różowy, wełniany żakiet i zarzuciła na ramiona kremowy, opalizujący szal. Ponieważ kwiecista spódnica powiewała, odsłaniając wysoko nogi, przytrzymała ją rękoma.

Spojrzała na masywną wieżę i pokryty gontem dach kościoła.

- Jedź do Lyewood, Ashleyu. Ja przejdę się pieszo do domu. Las jest tak piękny o tej porze roku.

- Ale...

- Proszę cię, muszę mieć trochę czasu, zanim powiem Gilesowi i Emmie o mojej chorobie. Przyjdę, nim Laura się obudzi.

- Bądź ostrożna, te gliniaste ścieżki są bardzo śliskie.

- Nic mi nie będzie. Ostatnio nie miewam zawrotów głowy. -Pomachała mu ręką. Patrzył, jak przechodziła wyprostowana obok bramy cmentarnej. Wiedział, że zawsze unikała tego miejsca, bo właśnie tu przed pogrzebami stawiano trumny z ciałami zmarłych.

Jej powiewająca spódnica trącała żonkile, które rosły wzdłuż ścieżki prowadzącej do kościoła.

Ashley skierował się do samochodu. Miał nadzieję, że wizyta w kościele górującym nad okolicą od czasów podbojów Normanów podniesie na duchu Virginie. Była tutaj ochrzczona, a i jej córka,

zanim wyjadą na Seszele, zostanie ochrzczona w tym kościele w tradycyjnym stroju rodziny Killicków.

Virginia usiadła na drewnianym krzeselku i napawała się panującą w kościele ciszą. Na grubych murach wyryte były niezliczone wyznania wiary i świadectwa zawierzenia Bogu, umieszczane tu od stuleci przez wiernych.

Wzmocniona na duchu, napełniona energią, przeszła boczną nawą i uklękała przed mosiężnym wizerunkiem Ann Tree, umieszczonym tutaj dla uczczenia parafianki spalonej jako czarownica w szesnastym wieku.

- Wybacz nam, Ann Tree - szepnęła usprawiedliwiając się za okrucieństwo i głupotę swych saksońskich przodków, którzy torturowali, wieszali i palili na stosie czarownice.

Jako dziewczynka wstrząśnięta była opowiadaniem o polowaniach na czarownice w Weald i przez wiele lat dręczyły ją koszmarne sny o kobiecie spalonej na High Street w East Ginstead. Zawsze, ilekroć tu była, klękała przed jej wizerunkiem. Przed wyjściem z kościoła spojrzała na zamurowane drzwi w ścianie północnej. Czy jej przodkowie zlikwidowali to wejście również ze strachu przed czarownicami i diabłem?

Zamyślona przeszła obok kamieni nagrobnych, rozrzuconych jak karty do gry pod gałęziami ciemnozielonego cisu. Teren gwałtownie zaczynał się tu obniżać. Tam, gdzie kredowe wzgórza stykały się z niebem, doliny, farmy i lasy -tworzyły jakby kilim utkany z zielonych i brązowych łąt. Oczarowana Virginia stała dłuższą chwilę, podziwiając roztaczający się przed nią widok.

Wśród wzgórz na horyzoncie odnalazła Cuckmere Haven, miejsce, gdzie spodziewano się lądowania Niemców w 1940 roku. Wróciła wspomnieniami do czasów wojny, kiedy była jeszcze młoda i zdrowa.

- Nie, proszę, nie rób tego! Nie chcę, naprawdę nie chcę! Virginia drgnęła.

Dziewczęcy głos przerwał jej sny na jawie.

Podeszła kilka kroków i spojrzała w dół. Z głębokiego cienia żywopłotu wyleciał wielkim łukiem zielony płócienny pantofelek, trącąc butelkę po winie, która potoczyła się po trawiastym zboczu.

- Ależ tak, chcesz. Podniecałaś mnie, diabolicco, przez cały ranek. Teraz sprawdzimy, co jesteś warta.

48

- Nie! -Krzyk dziewczyny urwał się nagle, jakby zatkało jej usta. Virginia rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu pomocy, ale nikogo nie było. Zbiegła po zboczu. Usiłując coś dojrzeć w gęstych zaroślach, krzyknęła:

- Co się tam dzieje?

Szamotanina ustała i zapadła cisza. Zza krzaków ukazała się głowa o blond włosach. Żółte oczy patrzyły na nią drwiąco. Zatrzymała się. To młody Faulconer! Nie spuszczać z niej wzroku, podciągnął spodnie i zapiął suwak.

- Wydawało mi się, że ktoś wzywa pomocy - powiedziała niepewnie Virginia. Faulconer stanął wyprostowany z rękami na biodrach. Otaksował ją bezczelnie od góry do dołu. Virginia pomyślała o swej fruującej na wietrze spódnicy. Kiedy ją poprawiała, czuła na sobie jego chłodne, badawcze spojrzenie. Wydał usta i oblizał je językiem.

- Nie twój interes, paniusiu.

Virginia natychmiast odzyskała pewność siebie.

- Chcę zobaczyć tę dziewczynę, która krzyczała. Chodź do mnie, nie bój się go - zawołała. A kiedy nikt się nie poruszył, dodała: - Nie odejdę, póki z tobą nie porozmawiam.

Zza krzaków wyłoniła się dziewczyna. We włosach miała liście i drobne gałązki, a jej bluzka była krzywo zapięta. Nie patrząc na Virginie, otrzepywała spódnice.

- Czy nic ci się nie stało? - zapytała Virginia. - Zaprowadzę cię do domu. Nie powinnaś tu zostać.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową, trącając nogą soczyście zieloną trawę.

Virginia nie ustępowała:

- Słyszałam twoje krzyki. Wydawało mi się, że byłaś przerażona. Pomogę ci.

Dziewczyna ponownie pokręciła głową i stanęła za chłopakiem, który uśmiechał się drwiąco. Pochylił się i szepnął coś dziewczynie na ucho, a ona natychmiast skryła się w gęstym cieniu żywopłotu.

- Jest pan wstrętny! - głos Virginii drżał ze zdenerwowania. Nie zaszczylił jej nawet odpowiedzią i tylko rozmyślnie rozpiął suwak spodni, zanim zniknął w zaroślach.

Virginia zagryzała wargi, powstrzymując z całych sił łzy wściekłości.

41 - Gtoiy na wietrze

49

- Bartholomew Faulconer - szepnęła. - Mam nadzieję, że pobyt w afi^{ka}ńskim buszu będzie dla ciebie koszmarem, o którym nie zapomnisz do końca życia.

Gdy wracała do kościoła, serce waliło jej jak młotem. Usiadła na ławce i spojrzała na inskrypcję wyrytą na murze:

„Przyjacielu, który podziwiasz rozległą panoramę Sussex, wiedz, że ci, którzy tu spoczywają, również kochali to miejsce! Módl się jak i oni o spokojny sen po dokonanych trudzie żywota...”

Virginia przerwała odczytywanie napisu. Słowa te zawsze przynosiły jej spokój, ale dziś napęłniały smutkiem. Nie chciała, by przypomniano jej o śmierci. Poszła powoli przez pola i lasy do Lyewood.

A dziewczyna na zboczu była teraz posłuszna i uległa. Obawiając się, żeby ta kobieta nie zaprowadziła jej do domu, do rodziców, nie opierała się więcej.

Triumfujący Bartholomew Faulconer mógł dopisać ją do długiej listy swych zdobyczy.

VII

Kosmyk kręconych czarnych włosów muskał nos i buzię dziecka. Laura zamachała w powietrzu rączkami, próbując uchwycić drżące loczki. Gaworzyła i śmiała się.

Nagle złapała i szarpnęła włosy tak mocno, że Emma aż syknęła z bólu.

- Robisz się za sprytna, moja maleńka Tanith - skarciła ją łagodnie, rozprostowując paluszki Laury i uwalniając swe włosy. - To boli. - Laura uśmiechnęła się do niej bezzębną buzią. - No, a teraz zmienimy pieluszkę, żebyś była sucha i pachnąca.

Przytrzymała mocno jedną ręką stópki dziecka, uniosła je, posypała talkiem pupkę i owinęła czystą pieluszką.

- Piękna z ciebie mała czarownica - szepnęła, całując Laurę w główkę. Ze łzami wzruszenia w oczach przytuliła ją mocno do siebie, szepcząc: - Jesteś moja i nigdy nie pozwolę, by ktoś cię skrzywdził. Zawsze będę w pobliżu, by cię chronić. Ten mężczyzna o blond włosach nigdy się do ciebie nie zbliży.

50

- Jaki znowu mężczyzna?

Zaskoczona Emma obejrzała się. Nie usłyszała wchodzącej Virginii. Obejmując mocno Laurę, patrzyła na szwagierkę bez słowa. Gdy Virginia wyciągnęła ręce po swoje dziecko, Emma niechętnie oddała jej małą. Nadal jednak delikatnie pieściła pięty Laury. To dotknięcie było jak pepowina, która łączyła je obie. Virginia ciągle jeszcze czekała na odpowiedź Emmy, gdy nagle wesóły głos przerwał niezręczną ciszę:

- Gdzie jest moja śliczna córeczka?

Emma z ulgą spojrzała na Ashleya, który niespodzianie wszedł do pokoju.

- Moje dwie piękne dziewczyny - powiedział, przytulając je. - Jest naprawdę cudowna - zachwycał się całując Laurę w policzek. - A to dla ciebie, Emmo. - Podał jej pawie pióra. - Niech ci przyniosą jeszcze więcej szczęścia.

. - Są piękne, dziękuję ci.

- To my powinniśmy ci podziękować za opiekę nad Laurą. -Ashley uśmiechnął się do Emmy i znów skierował całą uwagę na dziecko. - Przysięgłbym, że urosła z osiem centymetrów. No i waży chyba z tonę. Czym ją tak upasłaś, Emmo? - zażartował. - Pewnie dawaliście jej karmę dla gęsi. - Podrzucił Laurę do góry. Emma, wachlując się pawimi piórami, bez słowa badawczo przyglądała się Virginii. Laura zaśmiewała się śliniąc koszulę Ashleya, rozkochanego w swej małej córeczce.

- Czyż Emma nie wywiązała się wspaniale z opieki nad Laurą? - zwrócił się do Virginii, podrzucając znowu do góry dziecko, zachwycony jej radosnym gaworzeniem.

- Masz rację - odpowiedziała krótko - ale Emma miała mi właśnie opowiedzieć o jakimś blondynie. - Odwróciła się do Emmy, która zamykała pudełko z talkiem. - Prawda, Emmo?

Ashley oddał Laurę żonie i przysunął nogą fotel na biegunach.

- Usiądź tu - powiedział zaniepokojony bladością Virginii. -Pewnie zmęczyłaś się spacerem do domu. -Kiedy Virginia już usiadła, stanął za jej plecami. - Czy ja też mogę posłuchać tej historii? -zapytał wesoło. - A może to tylko przeznaczone jest dla kobiet?

- Och, nie ma o czym mówić - Emma próbowała zignorować pytanie.

- Gdy chodzi o moje dziecko, nie ma rzeczy nieważnych - rzekła Virginia.
- Chodzi o Laurę? - spoważniał Ashley. - Co to takiego, Emmo? Emma poddała się wreszcie.

- Ponieważ nie wierzycie we wróżenie z kryształowej kuli, to i w to nie uwierzycie.
- Znowu ta twoja magiczna kula - odezwała się ostro Virginia. - Te różne twoje sztuczki. No to, co w niej zobaczyłaś?

Ashley ścisnął Virginie za ramię, zmuszając ją do milczenia.

- Zdarzyło się to kilka dni temu - odpowiedziała spokojnie Emma. - Laura zasnęła trzymając mnie za palec. Bałam się poruszyć, by jej nie obudzić.

Emma spojrzała na Ashleya w nadziei, że ją zrozumie. W pokoju zapanowała ciężka cisza.

- Mów dalej, Emmo - zachęcił ją łagodnie Ashley.

- Nagle ogarnęło mnie straszne przeczucie, że Laurze coś zagraża. Gdy tak stałam przy jej łóżeczku, uczucie to potęgowało się z każdą chwilą.

Virginia ucałowała małą i przytuliła ją mocno do siebie.

- Musiałam przekonać się, jaki jest tego powód. Pobiegłam szybko do swego pokoju. Początkowo kula była matowa i nic w niej nie widziałam. A potem ukazały się w niej zamazane, niewyraźne sylwetki.

Virginia prychnęła pogardliwie i pochyliła się nad Laurą, a fala srebrzystoblond włosów zakryła jej twarz.

- Wtedy go zobaczyłam.

Virginia podniosła gwałtownie głowę. Emma zawiesiła głos, rozpamiętując to zdarzenie z szeroko otwartymi, błyszczącymi zielonymi oczyma. Ashley ujął Virginie za rękę.

- Patrzył na mnie ponad ramieniem Laury. Bo to była ona, wiedziałam o tym, choć jej twarz tylko mi mignęła. Była młodą dziewczyną. Włosy opadały jej na plecy, sięgając aż do szortów w biało-niebieskie pasy. Wpatrywała się w niego z uśmiechem. A on obejmował ją ramieniem. Wyglądała tak pięknie, tak niewinnie.

- Emma mówiła teraz prawie szeptem i Virginia wstrzymała oddech, żeby nie uronić ani słowa. - Był starszy od niej. Dobrze zbudowany. Miał jasne, lekko falujące włosy. Te fale mogą oznaczać, że Laura i on byli w pobliżu morza. - Emma oddychała szybko,

52

zaciskając palce. - Ale te jego oczy... Zimne, bezlitosne oczy. Żółte jak księżyc w pełni. Poznały mnie i drwiły ze mnie.

Virginia poprawiła się niespokojnie w fotelu, który zaskrzypiał.

- Wziął ją. Porwał w ramiona. Laura odeszła z nim. Potem powierzchnia kryształowej kuli zamgliła się i tylko te jego kocie oczy przyglądały mi się złośliwie. Wreszcie i one zniknęły. Miałam uczucie, że coś na zawsze straciłam.

Odgłos kroków na schodach rozproszył ciężką atmosferę. Ashley i Virginia z ulgą zwrócili się w stronę Gilesa wchodzącego do pokoju dziecinnego.

-- Witajcie w domu - zadudnił głębokim basem. - Jeden z moich ludzi pracujących na łące w Sweet Briar zauważył land rovera i natychmiast z tą wiadomością przybiegł do mnie. - Odwrócił się do Emmy i poklepał ją po pośladkach. - Zrób nam dzbanek mocnej herbaty. Przydałyby się też jęczmienne placki lub słodkie bułeczki.

Spotkamy się w bibliotece.

- Przyniosę też butelkę dla Laury - powiedziała z uśmiechem Emma i wyszła z pokoju rada z nadarżającej się wymówki.

- Cieszę się, że przyjechałaś, siostrzyczko - powiedział Giles. Gdy nachylił się, by pocałować Virginie, para małych rączek z nieoczekiwaną siłą wczepiła się w jego brodę.

- Hej, mała wiedźmo! - zaprotestował, a Virginia pomogła mu się wyswobodzić. - Chyba będę musiał się ogolić, żebyś nie miała co szarpać. - Cmoknął małą w policzek i przyjrzał się Virginii. - Co się stało? - zapytał, wyczuwając napięcie panujące w pokoju.

Virginia milczała.

- Co się stało, Ashleyu? - powtórzył pytanie.

- To przez Emmę - powiedziała Virginia. - Znowu bawiła się kryształową kulą i zobaczyła w niej jakieś nieszczęścia zagrażające Laurze. - Virginia położyła rękę na ramieniu brata i spojrzała na niego błagalnie szeroko otwartymi szarymi oczyma. - Gilesie, czy nie możesz jej powstrzymać? Te wszystkie czary, zioła i kryształowe kule przerażają mnie.

Giles pogładził brodę. Przez głowę przemknęły mu różne odpowiedzi i wyjaśnienia.

- Być może to twoje badania nad sztuką czarnoksiężką i czarną magią wywarły taki wpływ na Emmę. Kobiety bardziej są na to podatne niż mężczyźni - odezwał się Ashley.

- Nie, Ashleyu - powiedział Giles, siadając ciężko na łóżku. - Kobiety są bardzo silne.

Spróbował wyjaśnić szwagrowi, że do pojawienia się chrześcijaństwa wszystkie społeczeństwa opierały się na systemie matriar-chalnym. Chciał, by Ashley zrozumiał, że gdy rządy sprawowały boginie - Wielkie Kapłanki, kobiety uosabiały całą tajemnicę życia, jego magiczną istotę.

Virginia zamierzała coś wtrącić, ale Giles machnął ręką, by mu nie przerywała.

- Objaśniały sny, znały się na ziołach, były królowymi i wojowniczkami, ustanawiały prawa i sprawowały całą władzę. Posłuszne były swej podświadomości.

- Przerwał na moment. - Aż wreszcie zwyciężyła świadomość i władzę przejęli mężczyźni. - Pochylił się i ujął dłoń Virginii. - Emma nie uległa wpływom mojej książki. Ona sama identyfikuje się z Matką Ziemią i naprawdę przejawia różne niezwykle zdolności. Niech cię nie przeraża to wróżenie z kuli. Emma ubóstwia Laurę i jest wyjątkowo wyczulona na wszystko, co mogłoby jej zaszkodzić.

Mocny uścisk Gilesa uspokoił trochę Virginie.

- Boję się wróżbiarstwa, Gilesie - przyznała. - Zniesienie zakazu praktyk wróżbiarskich w 1501 roku nie było chyba dobrym pomysłem. Na Seszelach również mamy z tym do czynienia, są to jakieś strasznie barbarzyńskie gusta.

- Siostrzyczko, wróżbiarstwo jest stare jak świat. - Nie chciał zanudzać Virginii wyjaśnieniami, że wróżbiarstwo uznano za kult szatana i sprowadzono do podziemia w stuleciu spod znaku Ryby, gdy zapanował zdominowany pierwiastkiem męskim monoteizm. - Są to rytuały pogańskie, ale nie szatańskie. Znasz pewnie takie stwierdzenie: „Bogowie dawnych religii stają się szatanami nowych wierzeń”. Umiejętność wróżenia to Sztuka Mądrości.

- A co sądzisz o czarnej magii i krwawych ofiarach? - zapytał Ashley słuchający Gilesa z wielkim zainteresowaniem. - Ja uważam to za dzieło szatana.

- Masz rację - zgodził się Giles. - To perwersja. Tak jak zdarzają się wśród ludzi mordercy i gwałciciele, tak też bywają i tacy, którzy wypaczają istotę rytuałów i igrają z niebezpiecznymi siłami.

- Naprawdę wierzysz, że istnieją niewidzialne siły, które można wezwać i użyć do swych celów? - zapytał z niedowierzaniem Ashley.

54

Giles miał zamiar powiedzieć Ashleyowi, że w zbliżającym się stuleciu humanizmu, stuleciu spod znaku Wodnika, coraz więcej ludzi będzie się zwracać ku bogu i bogini Życia i Płodności, gdy nagle usłyszeli wołanie Emmy:

- Herbata podana. - Stała u stóp schodów i dzwoniła srebrnym dzwonkiem. - Mleko Laury stygnie. Schodźcie na dół.

- Wróżbiarstwo i czarnoksiestwo to fascynujące tematy, ale teraz powinniśmy pozwolić, by nasze dziecko wreszcie coś zjadło.

Nachylił się nad Virginie, a Laura natychmiast chwyciła go za brodę.

- No, znowu! - Z uśmiechem uwolnił się z jej łapek.
Ashley pomógł Virginii wstać z fotela. Przytuliła się na chwilę do męża.
- Chętnie powróciłbym do tej rozmowy - powiedział Ashley, schodząc na dół obok Gilesa niosącego Laureę.
- Doskonale, ale najpierw opowiem wam, co ta mała czarownica zrobiła w ostatnią sobotę. - I Giles zaczął mówić o najnowszych osiągnięciach dziecka. Zapomniano o czarnoksiężstwie.
- Pyszne - zachwycił się Ashley, smarując placek jęczmienny dżemem truskawkowym i kładąc na wierzch górę kremu. - Wspaniała z ciebie kucharka, Emmo.
Emma uśmiechnęła się z zadowoleniem i położyła mu na talerz jeszcze jeden gorący placek.
- A teraz - powiedział Giles sadowiając się wygodnie w zielonym skórzanym fotelu z wypolerowanymi ze starości poręczami - zdradźcie wreszcie, co orzekli ci mędracy z Londynu. - Zamieszał łyżeczką herbatę. - Pewnie doszli do wniosku, że to zwykłe osłabienie po porodzie, prawda?
- Nie - odpowiedziała Virginia, trzymając w górze Laureę, która łapała rączkami powietrze. - Diagnoza neurologa jest zupełnie inna. - Spojrzała prosto w głęboko osadzone, brązowe oczy brata. - Jestem chora na stwardnienie rozsiane. To nie boli, ale nie ma na to lekarstwa.
Giles upuścił łyżeczkę, która upadła na piękny czerwono-niebieski perski dywan.
Emma zamarła z uniesioną ręką.

- Nie ma lekarstwa!

Nagle poczuła odurzającą woń czarnego bzu i kadzidła, przypomniała sobie ciepłego, miękkiego szczeniaczka. Virginia umrze i Laura będzie należeć tylko do niej. Spojrzała na szwagierkę z kamienną twarzą.

- Musisz zasięgnąć opinii innego specjalisty - stwierdził Giles wysłuchawszy relacji Ashleya o przebiegu tej choroby.

- Jest to już opinia drugiego lekarza - powiedziała Virginia.

- Dlaczego tak długo nie mogli ustalić diagnozy? - zapytał Giles.

- Bo choroba rozwija się bardzo powoli. Pozostaje nam tylko modlić się o to, by przerwy w niej były jak najdłuższe. - Virginia wstała i podeszła do szwagierki. -

Teraz czuję się dobrze. Prawdę mówiąc, dawno już nie czułam się tak dobrze. -

Podniosła Laurę i otarła jej buzię. - Emmo, czy możesz dać jej resztę mleka z butelki?

- Oczywiście - odpowiedziała zaskoczona Emma. - Bardzo ci współczuję, Virginio.

- Wiem. Dziękuję ci.

Ashley uśmiechnął się z aprobatą do Virginii.

- A teraz dobra wiadomość: zostaniemy tu aż do końca roku. Virginia raz w miesiącu musi odwiedzać swego neurologa.

- Wspaniale! - rozpromienił się Giles. - Będę mógł nauczyć naszą małą czarownicę jeździć konno. Mam kucyka, którego wytresuję dla niej.

Virginia roześmiała się głośno:

- Och, Gilesie, Laura dopiero za pół roku zacznie stawiać pierwsze kroki, a ty już chciałbyś z niej zrobić amazonkę. Ashley zamierza zabierać ją na ryby i nauczyć nurkowania. Gdyby Laura wiedziała, jakie macie wobec niej zamiary, pozostałaby na zawsze niemowlęciem.

- No, dobrze - ustąpił Giles. - Zaczniemy więc od szczeniaczka. Mamy tu takiego, który wychowuje się razem z kociętami. Akurat nadaje się dla niej.

Emma pochyliła się nad Laurą. Będzie musiała znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie, dlaczego piesek zniknął. Gilesa niełatwo oszukać.

Virginia z bólem przyglądała się Emmie wkładającej smoczek do buzi Laury. Wciąż jeszcze była oszołomiona podarkiem, który

48

otrzymała od życia po tylu latach. Teraz, gdy dowiedziała się o chorobie, zdała sobie sprawę z tego, że musi nauczyć córkę samodzielności w życiu.

„Tak bym chciała dożyć chwili, gdy moja córka stanie się dorosłą kobietą - modliła się w duchu. - Pozwól mi, Boże, wychowywać ją i chronić”.

ROZDZIAŁ DRUGI

Seszele, 1966

I

Jaskrawe światło tropikalnego słońca skrzyło się w turkusowych falach jak rozbite na tysiące kawałków szkło. Nad powierzchnią wody zawisły nieruchomo śnieżnobiałe mewy, których czarne oczy nieustrudzenie badały głębiny w poszukiwaniu ryb.

Laura wynurzyła się nagle z morza lśniąca jak latająca ryba. Długie, spłowiałe od słońca włosy przylepione miała do ramion. Otarła oczy z wody, pomachała ręką do Virginii siedzącej w cieniu potężnego drzewa *takamaka* i znów zanurkowała, wzburzywszy wodę płetwami. Fale z monotonnym pluskiem rozbijały się o drewniane molo. Ciszę przerywały tylko głośnie nawoływania wesołych mew. Virginia, westchnąwszy ciężko, odgarnęła włosy z karku. Chociaż była tu teraz zima i południowo-wschodnie wiatry przygnały na wyspy chłodniejsze, bardziej suche powietrze, w dalszym ciągu dokuczała jej przenikliwa wilgoć. Otarła mokre ręce o bawełnianą wzorzystą sukienkę.

Po ostatnim upalnym i wilgotnym lecie na Szeszelach doszła do wniosku, że nie może już sama zajmować się Laurą. Musi znaleźć kogoś do pomocy. Miała za sobą sześć szczęśliwych lat przerwy w chorobie. Zawdzięczała to prawdopodobnie beztroskiemu życiu, jakie pędziła na wyspach. Jednakże stwardnienie rozsiane, podstępne jak rekin, znów ją zaatakowało z nienacką. Po powrocie Ashleya z Aldabry, gdzie wraz z grupą naukowców z Londynu debatuje nad przyszłością tych wysp, trzeba będzie znaleźć kogoś do prowadze

58

nia domu. Powstrzymując napływające do oczu łzy, Virginia patrzyła na kryształowo czystą wodę, która pieniała się w miejscu, gdzie zanurkowała Laura.

- Przestań - szepnęła do siebie. - Nie rozklejaj się. Przez pięć cudownych lat miałaś Laurę tylko dla siebie. Nauczyłaś ją pływać i nurkować, a teraz, gdy nie możesz już sama tego robić, unieszczęliwiasz ją swoim płaczem".

- Takie mówienie do siebie to oznaka starości - usłyszała głos Ashleya.

Pochylił się i całując Virginie, przyjrzał się jej bacznie. Z wrodzonym sobie taktem udał, że nie widzi łez. Virginia pośpiesznie włożyła okulary słoneczne. Ashley podziwiał determinację i odwagę żony; mimo rozwijającej się choroby nie była ani zgorzkniała, ani rozgoryczona.

Virginia uśmiechnęła się do niego, gdy usiadł na ziemi obok jej leżaka.

- Nie spodziewałam się, że wrócisz tak szybko do domu.

- Tęskniłem za tobą i Laurą - przyznał się. - Te dwa tygodnie na Aldabrze wydawały mi się długimi miesiącami.

Uszczęśliwiona pocałowała go w nie ogolony policzek. Ashley zmrużył oczy od słońca, spoglądając na garbatą sylwetkę wyspy Silhouette.

- Powrót do Mahe z Aldabry to jak przyjazd do Londynu z West Hoathly - powiedział.

Jego wzrok powędrował tam, gdzie jak atramentowa plama majaczyła na horyzoncie wyspa Praslin, mityczny Rajski Ogród.

- Obrady rozpoczęły się już od pierwszej chwili. Zamieszanie było takie jak na targu rybnym. Wszyscy przekrzykiwali się i nikt nikogo nie słuchał. Typowa wymiana zdań między naukowcami a urzędnikami reprezentującymi rząd. Na szczęście udało mi się stamtąd wyrwać.

Virginia słuchała go z uwagą.

Ashley zerwał źdźbło trawy i żuł je w zamyśleniu. Wysoko oceniał inteligencję Virginii i chętnie z nią rozmawiał o swojej pracy. Po wojnie spędzili trzy cudowne beztroskie lata w Cambridge. Ona studiowała języki nowożytne, a on zrobił dyplom z geografii i kontynuował dalej studia. Po opublikowaniu pracy na temat raf koralowych na Seszelach otrzymał stopień doktora filozofii.

50

Obecnie był uznawany za czołowego znawcę ekologii wysp tropikalnych.

Ashley po raz pierwszy zobaczył te wyspy, rozrzucone na oceanie na przestrzeni tysiąca dwustu kilometrów, kiedy był jeszcze chłopcem, a jego rodzice prowadzili farmę w Kenii. Piękno Seszeli urzekło go i nie miał najmniejszych wątpliwości, gdzie zamieszkać po uzyskaniu doktoratu.

Kiedy Virginia została żoną Ashleya, zaczęła mu aktywnie pomagać w pracy. Dużo czytała i była doskonale zorientowana w tematyce badań.

W ostatnim czasie, nie mogąc szybko poruszać się w terenie, przejęła funkcję sekretarki męża.

Przyglądała gęste, posiwiałe włosy na jego karku i czekała na dalszy ciąg relacji.

Ashley był zadowolony, że do Aldabry przysłano grupę obserwatorów. Był pewien, że po powrocie do Anglii przedstawią mocne argumenty Królewskiemu

Towarzystwu Nauk Przyrodniczych. Poza tym, że docenili ekologiczne znaczenie Aldabry, odkryli, że po utworzeniu w ubiegłym roku brytyjskiej kolonii na

Seszeliach i po zaanektowaniu wysp Desroches i Farquhar brytyjskie Ministerstwo Obrony chciało wykorzystać wszystkie te wyspy do celów strategicznych; miała tu powstać baza wojskowa, a, na Aldabrze lotnisko z betonowym pasem startowym.

To odkrycie nie zaskoczyło Ashleya. Wiedział, że urzędnicy coś ukrywają i na pewne tematy trudno się z nimi rozmawia.

Obserwatorzy wyrazili nadzieję, że Królewskie Towarzystwo Nauk Przyrodniczych weźmie pod opiekę Aldabrę, gdyż tylko tutaj i na Galapagos mieszkają na swobodzie wielkie żółwie, do zachowania których już prawie sto lat temu nawoływał Darwin.

Ashley spodziewał się, że Towarzystwo wystąpi z ostrym i stanowczym protestem do Ministerstwa Obrony, a ono nie ośmieli się zignorować opinii tak dostojnej instytucji.

Ashley nakrył ręką dłoń Virgimii i zaczął jej szczegółowo opowiadać.

- Szkoda, że nie było cię z nami. W którymś momencie myślałem już, że zmęczeni dyskusjami uczeni oddadzą wyspę Ministerstwu Obrony. Doszli już do wniosku, że ta bezludna wyspa całkiem dobrze nadaje się na bazę lotniczą.

60

Na Aldabrę dotarli w porze odpływu. Mieli przed sobą wysuszoną przez słońce lagunę, tak szeroką, że zmieściłaby się w niej wyspa Mahe. Ujrzeni poszarpane wapienne skały, pozornie delikatne jak koronka, ale o kantach ostrych niczym brzytwa. Entuzjazm członków grupy kontrolnej znacznie zmalał, gdy zobaczyli płetwy rekinów przemykające wzdłuż urwistego wybrzeża.

- Oczywiście uraczyliśmy ich barwnymi opowieściami o dawnych żeglarzach,

którzy rozbiwszy się na południowym brzegu wyspy pili mocz żółwi, żeby przeżyć.

- Jak mogliście! Pewnie dostali od tego mdłości - zaśmiała się Virginia. - Mieliście ukazać im piękno wyspy i laguny, a nie częstować takimi okropnościami.

W oczach Ashleya ukazały się figlarne błyski. Szczęśliwy był, że udało mu się zainteresować i rozbawić Virginie.

Opowiedział jej, jak naukowcy przedzierali się z trudem przez krzaki *phemhis acidula*, pokrywające tamtejsze skały. Wybuchnęła śmiechem, gdy zaczął pokazywać, jak w nocy obchodzili na palcach drapieżne kraby i nawet w toalecie wypatrywali dzikich mrówek. Z ciekawością słuchała, jak członkowie ekspedycji badali ogromną lagunę. Oboje z pasją zaangażowali się w walkę o ocalenie tej wspaniałej, pokrytej koralowcami wyspy i ze zgrozą myśleli, że tutejsze niezwykle środowisko naturalne mogłoby zostać zniszczone.

Ucieszyła się, że obserwatorzy zmienili zdanie, gdy zobaczyli po raz pierwszy żółwie i przestudiowali dokładnie rośliny rosnące na powierzchni jednego kilometra kwadratowego.

A kiedy przekonali się na własne oczy, że na jednym kilometrze kwadratowym tej dalekiej, niedostępnej wyspy żyje więcej różnych stworzeń niż na całym kontynencie afrykańskim, nie mieli już żadnych wątpliwości.

Ashley oparł głowę na kolanach Virginii.

- Jestem pewien, Virginio, że będą walczyć o Aldabrę. Królewskie Towarzystwo Nauk Przyrodniczych jest potężną instytucją i świat liczy się z jego opinią.

Virginia otarła kropelki potu z jego czoła. Miała pewne wątpliwości. Gdyby Ministerstwo Wojny przegrało batalię o budowę bazy lotniczej na Aldabrze, bardzo ucierpiałby na tym cały system obronny regionu na wschód od Suez. Te trzy wyspy tworzące półkole są wojskowym niezbędnie potrzebne.

- To oznacza burzliwy koniec tego roku i mnóstwo napięć w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym - powiedziała jakby przepowiadając przyszłość. -

Następny rok będzie bardzo interesujący i w pewnym sensie niezwykły. - Ashley uniósł głowę, zaskoczony tonem, jakim to mówiła. - W naszym domu pojawią się nowi ludzie, a ja będę musiała dzielić się z innymi Laurą.

- Tatusiu! Tatusiu, już wróciłeś!

Ashley wstał i otworzył szeroko ramiona na powitanie córki. Biegła przez moło z maską, rurą do oddychania i niebieskimi płetwami.

- Jak się cieszę, że już jesteś - zawołała, rzucając mu się w objęcia. - Tak bardzo tęskniłam za tobą. - I ucałowała go chłodnymi od wody ustami.

- I ja za tobą tęskniłem, Kwiatuś - odpowiedział przytulając ją mocno.

- Nie zgadniesz, tatusiu, co widziałam. Żółtą jak motyl rybę.

- Z pomarańczowymi cętkami na skrzydełkach? - zażartował Ashley.

- Och nie, coś ty! Pomarańczowe cętki ma cyrulik, a moja ryba miała czarne plamki na ogonie.

- Mądra z ciebie dziewczynka - powiedział z uznaniem, wyzymając jej mokre włosy.

Virginia przyglądała się im. W oczach Laury, rozmarzonych, pełnych zachwytu, i w oczach Ashleya, badawczych, trochę hipnotycznych, odbijał się czysty, jasny błękit morza, które oboje tak kochali.

- Tatusiu - Laura po eskimosku potarła noskiem pokaźnych rozmiarów nos Ashleya

- chodź ze mną popływać. Chyba widziałam rybę lwa, ale nie pozwoliliście mi zbliżyć się do niej, gdy pływam sama. Chodź ze mną. Ta ryba była taka ogromniasta.

- Kwiatuś - skarcił ją Ashley. - Znowu zmyślasz? Wiesz przecież, że tego nie lubimy.

Laura zwiesiła główkę, nerwowo wyłamując palce.

- No, może to nie była ta ryba, ale tak bardzo chcę, żebyś ze mną popływał.

Ashley okrył swą sześćioletnią długonogą córeczkę jasnozielonym ręcznikiem.

62

- Później - obiecał. - Teraz jest pora lunchu i spodziewamy się gościa. Biegnij do domu i weź prysznic. My z mamusią też tam za chwilę przyjdziemy.

Laura nie sprzeciwiała się. Uwielbiała ojca. Czowała z nim silną więź, choć śmiał się i żartował z niej.

- No, to cześć - zawołała i pobiegła lekko na górę po drewnianych schodkach.

- Prawdziwa z niej rybka, gdyby mogła, to spałaby nawet w morzu - zaśmiał się

Ashley patrząc, jak Laura biegnie po werandzie otaczającej wokół dom zbudowany w starym plantatorskim stylu.

- Emma uważa, że Laura jest Rybą i wędrującą duszą.

- Wędrującą duszą? Czy to kolejne nawiedzenie Emmy? - zażartował.

- Według Emmy Ryba, dwunasty znak zodiaku, jest mieszaniną wszystkiego, co było już wcześniej. Laura przeżyła wiele inkar-nacji i dzięki temu ma spokój wewnętrzny i łagodne usposobienie.

- Emma zapewne też uważa, że to z powodu tego znaku Laura lubi tak fantazjować i ubarwiać prawdę - zakpił Ashley.

- Laura jest wrażliwym, uczuciowym dzieckiem, a ty ją ubóstwiasz.

- Kocham obie moje kobiety. - Ashley pomógł jej wstać i podał lekką laskę z orzecha amerykańskiego. - A po lunchu poznamy ewentualnych nowych członków naszej rodziny na Szeszelach.

Virginia zatrzymała się chwilę w cieniu olbrzymiego drzewa tekowego, które uniknęło jakoś toporów cieśli okrętowych. Rozłożyste gałęzie były białe od siedzących na nich mew, a twarde, skórzaste, ciemnozielone liście lśniły w słońcu.

- Opowiedz mi o tych ludziach -poprosiła, chcąc odwlec chwilę wspinaczki po schodach zalanych prażącym południowym słońcem.

- Wiele można by mówić o Nicole Daumier i o Pierze Payecie, chłopcu, którym się opiekuje.

- Chciałabym coś wiedzieć o jej pochodzeniu, czym zajmowała się przedtem - powiedziała Virginia. - No i opowiedz mi o chłopcu, jeśli ma mieszkać z nami i bawić się z Laurą.

- Najpierw opowiem ci o Nicole. Czy mam zacząć od samych początków? - zapytał Ashley, przed wyjściem na pełne słońce nakładając Virginii na głowę słomkowy kapelusz.

- A jak daleko sięgają te początki?

- Mniej więcej tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku. Virginia spojrzała na czekające ją schody.

- Opowiadaj.

Ashley cofnął się aż do tysiąc osiemset piętnastego roku, kiedy to Traktat Wiedeński zakończył wojny napoleońskie. Seszele zostały wtedy ogłoszone kolonią brytyjską, podległą władzom Mauritiusa, który Anglicy odebrali Francuzom dziesięć lat wcześniej. Przypomniawszy jej, że kiedy Anglicy wprowadzili blokadę Mauritiusa, by powstrzymać napady korsarskie na swoje statki handlowe, wielu tamtejszych plantatorów przeniosło się na Seszele i założyło tutaj wielkie plantacje bawełny. Ashley umiał ciekawie opowiadać i Virginia lubiała go słuchać.

- Pamiętasz pewnie, że osiem lat przed traktatem w koloniach brytyjskich został zakazany handel niewolnikami.

- Ale handlarze niewolników zignorowali ten zakaz i dalej uprawiali swój proceder, szczególnie na wyspach Oceanu Indyjskiego - wtrąciła Virginia. - Seszele były idealnym portem zapasowym dla statków płynących z głębi Afryki.

- No to kto opowiada, ty czy ja? - zaśmiał się Ashley, stając przy kamiennej balustradzie, żeby Virginia mogła przez chwilę odpocząć.

- Oczywiście, że ty, ja ci tylko pomagam - odpowiedziała, opierając się ciężko na lasce.

Ashley pokiwał głową z udanym oburzeniem i wziął ją pod rękę.

Wyjaśnił, że w tym czasie było na Szeszelach około siedmiuset wolnych ludzi i ponad sześć tysięcy niewolników. Większość mieszkańców tych wysp pochodziła z Afryki. Przez następne czterdzieści lat okręty angielskie wciąż patrolowały Ocean Indyjski, uwalniając niewolników. Cały żywy ładunek statków niewolniczych żeglujących na północ od równika kierowany był do Ade-nu, a ze statków przyłapanych na południe od równika - na Seszele.

- Aha - przerwała mu Virginia - w ten sposób zbliżamy się do tajemniczego roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego, o którym wspomniałeś na początku.

- Nie odbieraj mi przyjemności opowiadania - skarcił ją żartobliwie Ashley.

55

Z tego, co usłyszała od niego dalej, wynikało, że właśnie w tym roku okręty angielskie uwolniły dwa i pół tysiąca niewolników przewożonych jednomasztowymi żaglowcami arabskimi. Zostali oni oddani na plantacje orzechów kokosowych na Szeszelach, co stanowiło dla nich wolność dość problematyczną.

Wśród afrykańskich niewolników znajdowała się młoda i piękna dziewczyna hinduskiego pochodzenia, która została zatrudniona u plantatora z Mauritiusa. .

- Przecież mówimy o Szeszelach - znowu przerwała mu Virginia.

- Oczywiście, ale wspomniałem już, że większość pierwszych kolonistów przybyła tu z wyspy Mauritius. Tak więc nasz pełen wigoru Francuz wziął do domu ten piękny kwiat Wschodu, a gdy ukończyła szesnaście lat, uczynił z niej swą nałożnicę.

- Typowy samiec - stwierdziła złośliwie Virginia, licząc w duchu pozostałe do przebycia stopnie.

- Dała mu sześciu synów, a w wieku czterdziestu pięciu lat urodziła niezwyklej urody córkę.

- Kobiety po czterdziestce zazwyczaj wydają na świat piękne córki - powiedziała tonem przechwałki. - Spójrz tylko na Laurę.

Ashley roześmiał się.

- Nie chwal się i słuchaj dalej.

Virginia słuchała go teraz z jeszcze większym zainteresowaniem, ponieważ domyśliła się, że tą córką Francuza jest właśnie Nicole Daumier. Ashley barwnie opisał starego przebiegłego plantatora, uwielbiającego swą jedyną córkę.

Opowiedział o jego kombinacjach z czasów drugiej wojny światowej. Kiedy spadła cena kopry, Francuz przerzucił się na produkcję olejku paczulowego, opanowując znaczną część rynku indonezyjskiego. A gdy i to przestało się opłacać, zajął się handlem guanem z odległych wysp. Pozwoliło mu to opłacić szesnastoletniej córce szkołę w Anglii i kurs dla sekretarek w Paryżu. Śliczna młoda dziewczyna, na pół Hinduska, na pół Francuzka, po powrocie z Paryża na Seszele z łatwością znalazła pracę w ambasadzie brytyjskiej.

Gdy wreszcie dotarli do werandy, Virginia z ulgą opadła na jedno ze stojących tam solidnych, pięknie rzeźbionych krzeseł z drzewa hebanowego.

Ashley wachlował ją ostrożnie słomkowym kapeluszem i, oparty o balustradę werandy, kończył swą opowieść:

5 - Qkwy na wietrze

65

- Gdy nasi przyjaciele z ambasady dowiedzieli się, że szukamy sekretarki, a zarazem osoby, która poprowadziłaby dom, zaproponowali mi Nicole Daumier. Spotkałem się z nią przed wyjazdem na Aldabrę i uważam, że doskonale się nadaje.

Oczywiście, jeśli spodoba się tobie - dodał szybko.

- Mówi więc płynnie po francusku i po angielsku...

- Zna też kreolski.

- Powinna być dobrą sekretarką. A jaki ma stosunek do dzieci? Czy była mężatką? Mówiłeś, że wychowuje Pierre'a, ale jeśli ma się zajmować Laurą, muszę być pewna, że w ogóle lubi dzieci.

Otworzyły się drzwi prowadzące do domu i stanęła w nich kucharka Kreolka.

- Lunch już gotów. Nakryłam do stołu pod drzewem różanym. Z tamtej strony domu jest trochę przewiewu. - Wytarła ręce o biały fartuch. - Laura przygotowuje sok z cytryn. - Kiedy zamierzała już odejść, przypomniała sobie: - Przyszła panna Daumier. Czeka w małym salonie.

Schyliła się przechodząc pod podwójnymi bambusowymi zasłonami zatrzymującymi żar słoneczny.

- Poproś pannę Daumier tutaj - powiedział Ashley. Kucharka bez słowa odeszła, trzasnąwszy drzwiami.

- Brak jej ogłady, ale gotuje świetnie - stwierdził Ashley.

- Czy panna Daumier ma własne dzieci? .

Zanim Ashley zdążył odpowiedzieć, usłyszeli ciche kaszlnięcie. Zerwał się gwałtownie i wyciągnął rękę.

- Panno Daumier, miło mi przedstawić panią mojej żonie. Virginia przyjrzała jej się bacznie. Około dwudziestu siedmiu

lat. Tak szczupła, że w talii dałoby się ją objąć dwiema dłońmi. Skóra gładka, jasna jak herbata z mlekiem, co jest dość niezwykle w klimacie tropikalnym. Puszyste, falujące czarne włosy, związane z tyłu pomarańczową szarfą. Dłonie o delikatnych, smukłych palcach. Twarz owalna, z dołeczkami na policzkach.

- Dzień dobry pani - powiedziała z lekkim francuskim akcentem. Virginia napotkała spojrzenie stalowoniebieskich, jak morze zimą, oczu ocienionych czarnymi rzęsami, z siateczką drobnych zmarszczek w kącikach. Piękna. Zbyt piękna.

Nagle uświadomiwszy sobie, że sama również jest obserwowana, wyprostowała się w krześle i obciągnęła na kolanach marszczoną, bawełnianą sukienkę.

66

- Panno Daumier, cieszę się, że mogę panią poznać - powiedziała. - Mąż opowiedział mi trochę o pani rodzinie.

- Tak, rozumiem - uśmiechnęła się dziewczyna. - Usłyszałam, jak pytała pani, czy mam dzieci.

Virginia poczuła, że się rumieni.

- Chętnie pani odpowiem - powiedziała Nicole Daumier siadając na krześle, które podsunął jej Ashley. - Nie jestem mężatką. Mam wielu znajomych, ale nie mam przyjaciela. - Pochyliła się do Virginii. - Jeśli chodzi o dzieci... Nie mam własnych, ale opiekuję się dwunastoletnim, już prawie trzynastoletnim chłopcem, którego traktuję jak syna, a czasem jak młodszego brata.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Ashley, kierując się w stronę Laury, która zagryzając koniuszek języka w skupieniu niosła ciężką drewnianą tacę. Szklanki z sokiem cytrynowym pobrzękiwały w takt jej kroków. - Poczekaj, kwiatuszk, pomogę ci. - Ashley wziął od niej tacę i postawił na niskim wiklinowym stoliku.

- Do twojej szklanki, tatusiu, wsypałam dwie łyżeczki cukru, a mamusi dałam trzy. Cook powiedziała, że mama powinna przytyć.

- Dziękuję ci, Lauro - uśmiechnęła się Virginia. - I przywitaj się z panną Daumier. Laura podeszła, odgarnęła za uszy długie blond włosy i przyjrzała się Nicole ze zwykłym u dzieci brakiem skrępowania.

Kiedy wreszcie promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz, Ashley odetchnął z ulgą - Laura przyjęła Nicole do rodziny.

- Mamusiu, czy panna Daumier może zjeść z nami lunch? Mamy dużo ryb, a znajomy Cook przyniósł mięsz palmowy na sałatkę.

- Ależ oczywiście, kochanie - odpowiedziała Virginia zaskoczona, ale i zadowolona, że Laura tak szybko zaakceptowała Nicole. - Jeśli panna Daumier lubi wędzone morskie ryby i sałatkę palmową, to serdecznie ją zapraszamy.

Laura, wyczuwając wahanie Nicole, dodała szybko:

- To nic złego, że jadamy takie sałatki. Cook mówi, że po wycięciu mięszu palma rośnie dalej.

- W takim razie z przyjemnością zjem z tobą lunch - uśmiechnęła się Nicole.

Zauważyła, z jakim trudem Virginia wstaje z krzesła, ale nie zaoferowała swojej pomocy rozumiejąc, że chce być samodzielna. Wolno zaczęli schodzić po kamiennych schodkach.

Żółte płatki kwiatów drzewa różanego spadając wirowały w promieniach słońca jak pyłki kurzu. Laura odsunęła wiklinowe krzesło dla matki i starannie oczyściła je z opadłych kwiatów i liści.

- A teraz, panno Daumier - powiedziała Virginia, nakładając na talerz Nicole strzępiaste białe kawałki palmy - chciałabym dowiedzieć się czegoś o Pierze Payecie.

Nicole zerknęła na Laure.

- To bardzo smutna historia. Kiedy miałam czternaście lat, utonął wraz z żoną najbliższy przyjaciel mojego ojca. Płynęli z Praslin na Mahe. Pierre'a zostawili u znajomych na Praslin, bo nie chcieli brać na łódź tak małego dziecka.

Virginia westchnęła współczująco, a Laura przestała jeść, by lepiej słyszeć.

- Czy tak nagle zepsuła się pogoda? - zapytał Ashley.

- Stało się to w sierpniu, w rejonie południowo-wschodnich pasatów. Jak państwo wiecie, wiatry tam nigdy nie są zbyt silne, a oni byli dobrymi żeglarzami.

Wystarczająco dobrymi, by poradzić sobie z łodzią przy szybkości dziewięciu węzłów.

- Czy to nie w tym samym roku zatonąła „Mary Jane”? -zapytała Virginia. - Także płynęła z Praslin na Mahe, prawda?

- Tak, tą samą trasą - odparł Ashley.

- Przyjaciele ojca zginęli na rok przed, katastrofą „Mary Jane” - powiedziała Nicole.

- Z płynących na „Mary Jane” jedenastu osób uratowały się dwie. Łodzi naszych przyjaciół ani ich ciał nigdy nie odnaleziono.

Oczy Laury napełniły się łzami. Ashley położył dłoń na jej ręce.

- Głowa do góry, kwiatuszku. Pierre nie został sam. Miał dobrą opiekę. Wychował się w rodzinie państwa Daumier, gdzie wszyscy go bardzo kochali.

- Oczywiście ojciec przygarnął Pierre'a. - Nicole uśmiechnęła się do Laury. - Moja matka postarzała się już i nie miała siły; urodzenie i wychowanie siedmiorga dzieci bardzo ją wyczerpało. Tak więc sama zajęłam się Pierre'em. Byłam dla niego jak matka albo starsza siostra. Bardzo za nim tęskniłam, gdy wyjechałam na studia. Po powrocie na Seszele zaczęłam pracować w ambasadzie, a Pierre zamieszkał ze mną. Obecnie uczy się w tutejszym college'u, gdzie ma wielu przyjaciół. - Nicole odłożyła nóż i widelec i spojrzała na Virginię. - Chciałabym znaleźć się znów w rodzinie,

68

proszę pani. Potrafię połączyć pracę sekretarki z prowadzeniem domu, szczególnie takiego jak ten. La Retraite jest jedną z najpiękniejszych posiadłości na wyspach. Byłabym szczęśliwa, mogąc tu zamieszkać. Dlatego właśnie... - urwała wzruszona i opuściła wzrok.

Virginia rzuciła długie, wymowne spojrzenie Ashleyowi. Potem spojrzała na Laurę, która żując kosmyk włosów utkwiała błękitne oczy w Nicole. Zanim zdążyła powiedzieć choć słowo, Laura zerwała się, odepchnawszy gwałtownie krzesło.

- Mamusiu - powiedziała cicho, stojąc tyłem do Nicole. - Czy panna Daumier i Pierre mogą się tu przeprowadzić? Proszę cię. Chodziłabym razem z nim do szkoły, a on miałby mamusię i tatusia. Teraz ma tylko pannę Daumier.

Virginia westchnęła. Laura zawsze chciała pomagać innym.

- Miałabym się z kim bawić - przekonywała matkę, obejmując ją za szyję.

Virginia przytuliła ją mocno.

- No to poproś pannę Daumier, by przeprowadziła się do nas i została z nami - powiedziała do córeczki, która już za nią podjęła decyzję.

Smutek Laury zniknął tak nagle, jak przemija tropikalna burza przegnana przez słońce. Odwróciła się do Nicole, by przekazać jej szczęśliwą nowinę.

Lunch minął szybko. Virginia i Nicole omawiały sprawę opieki nad Laurą i zarządzania domem. Ashley usiadł z córeczką na uboczu, opowiadając jej o wyprawie na Aldabrę. Laura była dzieckiem bardzo dojrzałym i okazywała dla spraw ekologii zrozumienie daleko wykraczające poza jej wiek. Ashley lubił rozmawiać z nią o swej pracy.

- Już późno - powiedziała Nicole wstając. - Ponieważ mam wolne popołudnie, obiecałam Pierre'owi, że zabiorę go do Beau Vallon. Uwielbia pływanie. - Zerknęła na Laurę siedzącą na kolanach ojca. - A może i Laura chciałaby z nami pojechać, pani Challoner?

Virginia uśmiechnęła się widząc, jak Laura szybko ześliznęła się z kolan Ashleya, gotowa iść z Nicole.

- Virginia, nie pani Challoner. Ponieważ już wkrótce dołączy pani do naszej rodziny, możemy sobie mówić po imieniu.

- Dziękuję - odpowiedziała z godnością Nicole.

- Mamusiu, czy mogę pojechać z Nicole po Pierre'a? - zapytała błagalnie Laura. - Spotkalibyśmy się z tobą i tatusiem w Beau Vallon. Proszę cię, mamusiu, chodźmy razem na plażę.

- No dobrze. Jak zwykle usiądziemy pod drzewem tekowym. Tylko zachowuj się grzecznie.

- Będę grzeczna. Obiecuję - odkrzyknęła Laura. Jaskrawoczerwony mininnoke Nicole odjechał z rykiem motoru i głośnymi strzałami z gaźnika.

Ashley po odprowadzeniu córeczki do samochodu stał czas jakiś w cieniu werandy, ze smutkiem przyglądając się żonie.

Siedziała z opuszczonymi ramionami. Wiedział, że przyjmując Nicole ostatecznie pogodziła się z nieuchronnymi skutkami choroby. Nie mogła już sama czuwać nad codziennymi sprawami, musiała wpuścić do domu obcą osobę, która zajmie się jej dzieckiem. Dla kobiety tak niezależnej jak Virginia była to trudna decyzja. W czasie niedawnej rozmowy starała się zapanować nad sobą, by ani Laura, ani Nicole nie domyśliły się, jak bardzo czuje się nieszczęśliwa i przegrana.

Odsunęła krzesło od stołu i kruszyła chleb dla chodzących po ziemi gołębi. Ufnie zdziobywały okruszki, które spadały na obute w sandałki stopy Virginii, patrząc na nią bystrymi czarnymi oczkami w niebieskich obwódkach. Virginia uśmiechnęła się, gdy nagle na stół wskoczył, wielkości wróbla, jaskrawo upierzony kardynał i zaczął wyjadać okruchy prosto z talerza.

- A to mały łobuz - powiedział Ashley podchodząc do stołu.

- Jaki piękny i pewny siebie - dodała Virginia, szczęśliwa, że okulary słoneczne maskują jej łzy. - Mimo tej pory roku zachował czerwone piórka w nadziei, że znajdzie jakąś samiczkę, która nie zdoła mu się oprzeć.

- Dla mnie ty jesteś najpiękniejszą ptaszyną - szepnął Ashley, wsparty o poręcz jej krzesła.

- Och, Ashleyu - głos jej się załamał. Otarła łzę, która spłynęła spod okularów. - Wiem, kochanie, wiem.

Współczucie i miłość w jego słowach obezwładniły ją zupełnie. Nie mogąc już dłużej udawać, zaszlochała w jego ramionach.

Tulił Virginie i głaskał jej spłowiałe od słońca włosy. Opuściło go zwykłe opanowanie, a łzy płynące z oczu zamazały kontury Silhouette i Wysp Północnych, majaczących na horyzoncie.

70

II

Postrzępione chmury zakrywały słońce, które stopniowo znikowało w oceanie.

Szkarłatno-złote niebo za garbatą sylwetką Silhouette bladło i w zapadającym zmierzchu wyspa była coraz mniej widoczna. Virginia dotknęła dłonią granitowej skały przy końcu plaży w Beau Vallon.

- Żegnaj, Whale Rock, Skąło Wieloryba - powiedziała, wodząc palcem wzdłuż rysy tworzącej jakby uśmiechnięty pysk w skale przypominającej kształtem głowę wieloryba.

Podczas wspólnych spacerów z Laurą tu zazwyczaj kończyły swoją trasę. Ścięły się, która pierwsza dotknie kamienia. Ostatnio jednak Laura zawsze szła wolno obok matki, udając, że nic się nie zmieniło. Virginia wsunęła dłoń we wgłębienie, które miało być okiem wieloryba, i westchnęła. Dziś wszystko już jest inaczej.

Laura wykręciła się ze spaceru do Whale Rock, wołając towarzystwo nowego przyjaciela, Pierre'a. Przekopywali mokry piach w poszukiwaniu jadalnych skorupiaków. Laura uwielbiała robionę z nich zupę. Szczupła, tryskająca zdrowiem Nicole, w kostiumie kąpielowym barwy koralowej, zaproponowała dzieciom pomoc w zbieraniu muszli.

- No, rusz się, leniuchu - ponaglił żonę Ashley. Trzeba zabrać Laurę do domu, bo inaczej przez najbliższe dwa tygodnie będziemy musieli jeść zupę z tego, co uzbiera. Virginia uśmiechnęła się, po raz ostatni poklepała Whale Rock i ruszyła w mozolną drogę powrotną po nierównych granitowych kamieniach. Nagle zatrzymała się tak gwałtownie, że idący z tyłu Ashley wpadł na nią.

- Och, przepraszam cię.

- Nic się nie stało. Nie ma powodu przepraszać - usłyszał męski głos z niemieckim akcentem. Zaskoczony spojrzał ponad ramieniem żony i natychmiast zrozumiał, dlaczego Virginia zatrzymała się tak gwałtownie.

Na wypolerowanych wodą kamieniach leżał na plecach przystojny trzydziestokilkuletni mężczyzna. Jego nagie muskularne ciało o jasnym zaroście lśniło brązem w promieniach zachodzącego słońca. Patrzył na nich z wyraźnym rozbawieniem.

- Piękna pogoda, prawda? - odezwał się, podkładając ręce pod głowę.

- Tak... oczywiście - odpowiedział Ashley.

Virginia milczała. Nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy zasłoniętej włosami.

- Musimy iść - trącił Virginie. - Przyjemnego dnia - dodał widząc, że nieznajomy przygląda się długim nogom i szczupłym, chłopcęcym biodrom Virginii.

Szli obok siebie poprzez rumowisko kamieni rozsianych jak okiem sięgnąć po białej plaży.

- Całkiem przystojny, nie uważasz? - rzekł po jakimś czasie Ashley.

Virginia spojrzała na niego, nerwowo krzywiąc usta.

- Prawdę mówiąc, nie wiem - odpowiedziała. - Nie patrzyłam na jego twarz.

Ashley osłupiał, ale już po chwili wybuchnął śmiechem.

- Jesteś niemożliwa. Uciekajmy stąd jak najszybciej.

Wziął ją pod ramię. Szli plażą, a fale oceanu migotały opalizującymi zielonkawo refleksami światła.

- To jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie - stwierdziła Virginia brodząc w ciepłej wodzie. - Kocham te wyspy. - Spojrzała hen daleko, gdzie widać było łunę światła Beach Hotel, ukrytego za zakrętem nabrzeża usianego pojedynczymi skałami.

- Prawdziwy tropikalny raj - przyznał Ashley. - Plaże z białym jak śnieg piaskiem, palmy uginające się od kokosów, kryształowo czysta woda...

- Błękitne niebo, gorące złote słońce, egzotyczne owoce i wspaniałe kreolskie potrawy - uzupełniła Virginia.

- Kraina, gdzie można leniuchować bez wyrzutów sumienia.

- Ubranie też nie jest tu konieczne - zażartowała Virginia i wybuchnęła śmiechem na widok miny Ashleya.

- Widzę, że ten nagi Adonis zrobił na tobie wrażenie.

- No dobrze, pozostawmy kostium kąpielowy i ręcznik, ale na odległych wyspach można i z tego zrezygnować.

- No to kiedy wybierzemy się na te wyspy? - Ashley objął Virginie.

Przycisnęła mocniej do siebie jego rękę i nagle zapragnęła, by powróciły dawne dni, gdy uznałby to za zachętę i zaniósłby ją w nadbrzeżne krzaki, gdzie kochaliby się wśród jasnozielonych liści i kremowych kwiatów. Przymknąwszy oczy, niemalże czuła chłó

63

dzący plecy piasek i widziała wplątujące się we włosy Ashleya opadłe liście.

Bolesny skurcz ścisnął serce Virginii. Teraz Ashley zbliżał się do niej powodowany wyłącznie troską o jej zdrowie. Oparła głowę na jego ramieniu.

Wkrótce zobaczyli w oddali trzy pochylone sylwetki. Usłyszeli cichy skrzyp piasku pod stopami. Uśmiech zamarł Virginii na twarzy, gdy dostrzegła, że Nicole zdjęła z głowy pomarańczową szarfę i obwiązała nią mokre włosy Laury.

„Panuj nad sobą, Virginio Challoner - upomniała się w duchu. - Nie możesz sobie pozwolić na zazdrość. Nicole i Pierre są tutaj dla dobra Laury. Nie czyn ich odpowiedzialnymi za twoją chorobę. Nie muszą cierpieć razem z tobą. Uśmiechaj się, uśmiechaj! - Tupnęła nogą i ciepła woda prysnęła na Ashleya. - Odwagi! Udawaj, że jesteś szczęśliwa. W przyszłości będziesz musiała ciągle coś udawać". Ashley nabrał wody w dłonie i polał plecy żony. Namoczona bawełniana tkanina oblepiła ciasno jej biodra.

- Mamusiu! - zawołała Laura, widząc, jak roześmiani rodzice oblewają się wodą. - Popatrz, ile Nicole ma w torbie muszli.

Virginia i Ashley wyrazili głośno swój podziw.

- Większość z nich znalazł Pierre. Doskonale mu to idzie. Chudy kilkunastoletni chłopiec zaczerwienił się.

- Bez przesady - powiedział z francuskim akcentem. - Laura też jest bardzo szybka, szczególnie jak na dziewczynkę.

Virginia oczekiwała jakiejś repliki ze strony córki, ale Laura wpatrywała się tylko ze szczerym podziwem w swego nowego przyjaciela.

- Mamusiu, Nicole inaczej przyprawia mięczaki niż nasza Cook. Dodaje do nich imbir. Czy możemy dziś razem zjeść kolację? Nicole pokazałaby Cook, jak należy robić zupę.

- Ja... - przerwała Nicole, zmieszana faktem, że Laura tak krytykuje kucharkę.

- Ależ oczywiście - zgodziła się Virginia. - Będzie nam miło, jeśli przyłączycie się do nas.

- Poza tym - wtrącił Ashley - napracowała się pani zbierając te muszle.

Virginia aż wstrzymała oddech na widok uśmiechu Nicole. Jakże była piękna! Prawdziwe dziecko tych wysp! Klęcząc na

piasku, spoglądała na nich w górę, filigranowa, wprost nieziemiska w wieczornym świetle dnia. Eteryczna, wiotka nimfa wodna. Virginia zerknęła na Ashleya: właśnie pomagał Laurze zawiązać torbę z muszlami, najwyraźniej nie zwracając uwagi na urodę Nicole. Virginia odetchnęła z ulgą.

Ashley był zadowolony. Pierwszy dzień minął znacznie lepiej niż można się było tego spodziewać. Miał pewne wątpliwości, czy Virginia zaakceptuje do pomocy w domu tak młodą i atrakcyjną kobietę. Uroda i sprawność Nicole mogły jeszcze bardziej uświadomić Virginii jej własną fizyczną słabość. Ukradkiem obserwował żonę całe popołudnie i nie zauważył najmniejszych oznak niechęci lub zazdrości. Laura chwyciła worek z muszlami i pobiegła pokazać je Virginii. Przepętniony bólem Ashley przyglądał się żonie pochylonej nad córeczką, buntując się w duchu przeciwko niesprawiedliwemu losowi.

„Dlaczego przytrafiło się to właśnie mojej żonie?”

- Zdaje mi się, Ashleju, że utraciliśmy córkę - zawołała do niego Virginia. - Laura chce zamieszkać z Nicole i Pierre'em.

- Tatusiu, bardzo cię proszę - Laura objęła ojca, wpatrzona w niego błyszczącymi, pociemniałymi w mroku niebieskimi oczyma.

Ashley potargał włosy na jej główce.

- To może pokażesz Nicole i Pierre'owi nasz gościnny domek letni koło mola, w którym zamieszkają pod koniec miesiąca? Mogą tam wziąć prysznic i przebrać się, a potem ty i Pierre pomożecie kucharce w oczyszczeniu małż, a Nicole powie jej, jak użyć imbiru. Przyjdziemy z mamą, kiedy zupa będzie już gotowa.

- Dobrze, tatusiu. - Laura wzięła Pierre'a za rękę i poprowadziła w kierunku mola. Zarumieniony Pierre nawet nie próbował się uwolnić.

- Pierre, opiekuj się paniami - zawołał za nimi Ashley, gdy biegli przez plażę.

- Dobrze, proszę pana - odpowiedział chłopak, dumny z okazanego mu zaufania.

- A teraz - rzekł Ashley, prowadząc Virginie do pirogi przewróconej na piasku do góry dnem - usiądźmy tu, jak przystoi ludziom w naszym wieku, i popatrzmy na gwiazdy, zanim dołączymy do niezmordowanej młodzieży.

74

Virginia uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i usadowiła się wygodnie na nagrzanym słońcem łodzi rybackiej. Ashley powiesił ręczniki na dziobie i, by dać odpocząć chorej nodze oparł się

o czarny kadłub, intensywnie pachnący rybami. Wziął rękę Virginii

i położył ją sobie na kolanach. Przymknął oczy rozmarzony cichym pluskiem

prawie już czarnej wody i piskiem białych mew, które znalazły sobie na odpoczynek nie najwygodniejsze miejsce wśród

liści palmowych.

Virginia siedziała w milczeniu, wpatrzona w twarz ukochanego mężczyzny.

On jest pod wpływem planety Pluton - oznajmiła Emma podczas swej ostatniej bytności na Seszelach. - Pluton rządzi światem podziemnym, śmiercią i reinkarnacją. Niezwykły znak narodzin złożony z trzech symboli: skorpiona, orła i węża. Starożytni astrologowie nazywali takich urodzonymi pod znakiem węża Skorpiona”.

„Jest silny i...” - Virginia próbowała zaprotestować przeciwko porównywaniu Ashleya do węża.

Silny i milczący jak morze, które kocha” - powiedziała Emma.

"i inteligentny" - ciągnęła Virginia, ignorując słowa Emmy.

"Kierują nim intelekt i uczucie - dowodziła Emma. - Pod maską spokoju i rezerwy-ukrywa się niezwykle umysł. Umysł zafascynowany dawnymi tajemnicami”.

Fakt że zainteresowała go książka Gilesa o praktykach czarnoksiężskich, nie oznacza jeszcze, że w to uwierzył”. - Virguui bardzo zależało, by udowodnić, że Ashleya nic nie łączy z czarami i duchami.

Emma przełknęła tę złośliwość. Nie mogła przyznać, że kilkakrotnie omal nie została zdemaskowana przez Ashleya, zadającego dociekliwe pytania.

Ashley jest człowiekiem pełnym sprzeczności i tajemnic .

Te słowa Emmy dźwięczały teraz w uszach Virginii, spoglądającej na męża, którego sylwetka roztapiała się w mroku nocy.

- Myślamy jesteś daleko stąd, ptaszyno - odezwał się Ashley. Virginia drgnęła.

- Myślałam o Emmie.

- Chyba nie przestraszyła cię znowu swoimi okropnymi opowieściami?

- Nie - odpowiedziała Virginia z wahaniem. - Ale jestem przekonana, że odwiedza nas tak często, by się upewnić, że nie ma tu żadnego blondyna. Wariuje na punkcie naszego dziecka.

Ashley zaśmiał się.

- Dobrze, że Pierre ma prawie czarne włosy, bo inaczej znalazłby się na pierwszym miejscu na liście podejrzanych.

Virginia uśmiechnęła się, grzebiąc czubkiem pantofelka w ciepłym piasku.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak błyskawicznie stał się przedmiotem uwielbienia - ciągnął dalej Ashley. - Nasza córka chodzi za nim jak cień.

- Jest od niej o siedem lat starszy - powiedziała półgłosem Virginia. - A jeśli się w niej zakocha?

- Ja go lubię - przyznał się Ashley. - Jest taki śmieszny ze zbyt długimi rękami i nogami.

- I taki niezgrabny w ruchach - dodała Virginia. Ale może być pociągający z tymi wydatnymi kośćmi policzkowymi i nieco krzywymi przednimi zębami.

- Wyczuwa się w nim łagodność, którą lubią kobiety, i ma wiele cierpliwości dla Laury.

- Laura jest bardzo dojrzała jak na swój wiek - Virginia wystąpiła w obronie córki. - Może wydorosłała szybciej, będąc jedynaczką? Chyba dobrze jej zrobi jego towarzystwo. A ja cieszę się, że będę mieć w domu jeszcze jedno dziecko.

Ashley nachylił się i pocałował żonę w kark pachnący olejkiem do opalania i morską wodą.

- Jesteś niezwykłą kobietą - szepnął. - Wyjątkową.

Coś ścisnęło ją w gardle. Jak łatwo Ashley uwierzył, że bezboleśnie zgodziła się na zmianę w ich życiu.

„Tylko tak dalej, dziewczyno” - powiedziała sobie w duchu.

Trzymając się za ręce obserwowali, jak dwa nietoperze wznoszą się do góry i opadają nad ich głowami, by w końcu zniknąć w ciemnej gęstwinie drzew tekowych.

- Mają szczęście, że nie trafiły do garnka z curry.

- Podobno są bardzo smaczne. - Virginia wychyliła się, żeby zobaczyć, gdzie usiadły. - Ja jednak nigdy ich nie próbowałam. Za bardzo przypominają mi szczury.

- Wstrząsnęła się z obrzydzeniem

76

i zmieniając temat poprosiła: - Opowiedz mi o Pierre. Czy wiadomo, kim byli jego rodzice i dziadkowie?

- Historia Pierre'a jest chyba jeszcze ciekawsza niż historia Nicole. - Ashley rzucił okiem na błyszczącą tarczę zegarka. - No, mamy jeszcze czas. Lepiej nie wracać do domu, zanim Cook się nie uspokoi. Nie będzie przecież zachwycona, że ktoś dyktuje jej, jak ma gotować zupę tec-tec.

- Wyobrażam sobie jej minę - zaśmiała się Virginia. - Rzeczywiście, lepiej poczekajmy tutaj.

- No to cofnijmy się jeszcze bardziej w czasie.

- Chociaż historia wysp ma dwieście lat, musisz jednak skończyć przed obiadem - upomniała go Virginia.

Ashley pocałował ją delikatnie na znak, by mu nie przeszkadzała.

Zaczął opowieść od pierwszych osadników na Seszelach. Przybyli tu z Francji i z wysp francuskich - Mauritius i Reunion - a niewielka ich część pochodziła z Indii.

Opowiedział, jak Napoleon Bonaparte sprytnie wykorzystał próbę zamachu na jego życie i zesłał na Mahe najbardziej żądnych krwi rewolucjonistów francuskich. Te "Jakobińskie psy" zaczęły podburzać niewolników afrykańskich, by wywalczyli sobie wolność i przejęli władzę nad wyspami.

- Niektórzy z jakobinów weszli w związki małżeńskie z tutejszymi niewolnicami.

Owocem jednego z takich związków była śliczna niebieskooka dziewczyna, która w wieku szesnastu lat została kochanką jednego z najsławniejszych na wyspach korsarzy.

- O nie - przerwała mu Virginia - tylko mi nie mów, że to byli prapradziadkowie Pierre'a Payeta. Piraci i rewolucjoniści zawsze łatwo znajdą wspólny język.

Ashley znacząco ścisnął jej rękę i mówił dalej.

- Ów korsarz, mimo częstych nieobecności w domu, kiedy to włączył się po Oceanie Indyjskim i plądrował statki, zdążył splodzić jedenaścioro dzieci. Wreszcie znalazł spoczynek na dnie morza, zatopiony przez angielski okręt patrolowy.

Jedyny syn owego korsarza skorzystał ze skarbów ojca, by założyć plantację orzechów kokosowych.

- Mądry człowiek - stwierdziła Virginia, nie mogąc się powstrzymać. - O wiele bezpieczniejsze zajęcie niż uprawianie rozboju na pełnym morzu.

- Masz rację. - Ashley przebierał palcami po piasku, po którym pełził ku nim okropny krab, machający przednimi kończynami jak bokser na ringu. Krab wpatrywał się przez chwilę w Ashleya nieruchomym wzrokiem, spróbował złapać go szczypcami za palce, a potem szybko skręcił w bok do swojej jamki.

Ashley podjął przerwana opowieść od momentu, gdy syn korsarza, już wówczas siedemdziesięcioletni człowiek, włożył całe pieniądze z plantacji orzechów w produkcję olejku paczulowego. Cena olejku nagle wzrosła, a co za tym idzie, wzrosła również jego pozycja w rodzinie.

- Gdy jednak jego syn, ojciec Pierre'a, odziedziczył wytwórnę olejku, ceny tego artykułu spadły na świecie. Wkrótce potem zdarzyła się tragedia: ojciec i matka Pierre'a utonęli w morzu. W rok po ich śmierci nastąpiło gwałtowne załamanie popytu na ten aromatyczny olejek i w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku jego produkcja całkowicie ustała. Wytwórnia została sprzedana, a Pierre'a, jedyne dziecko Payetów, wzięła na wychowanie rodzina Daumier, a szczególnie zajęła się nim Nicole.

- Biedny chłopak - powiedziała Virginia.

- Rzeczywiście, smutna to historia, ale Pierre nie jest biedny w dosłownym znaczeniu tego słowa. Odłożono dla niego pewną sumę w banku, co wystarczy na zapewnienie mu nauki w szkole i na uniwersytecie. Według Nicole, Pierré jest bardzo zdolny i pracowity.

- Tak więc nowy przyjaciel Laury ma w żyłach krew francuskich rewolucjonistów i piratów z Oceanu Indyjskiego - podsumowała Virginia.

- Zasiloną jeszcze przez geny prababki, francuskiej nauczycielki z Bordeaux. Jego matka wychowała się we Francji i również była nauczycielką.

Znowu pojawił się krab, ale gdy tylko Ashley ruszył nogą, natychmiast uciekł. Ashley wstał, otrząsał piasek z nóg i podał rękę Virginii.

Wyprostowała się z trudem i oparła o łódź, udając, że przygląda się jej konstrukcji. Nagle Ashley zostawił ją i pobiegł w stronę wody.

- Ashley! - zawołała Virginia. - Zostaw tego biednego kraba. Jeszcze nadepniesz na niego w ciemnościach.

69

- Kiedy on najwyraźniej mnie prowokuje. Spójrz tylko. Ma ochotę na przynajmniej pięć rund w ringu. - Krab trzymał uniesione przednie kończyny jak jasnoniebieskie rękawice bokserskie. - Myśli, że zapędzi mnie w róg tymi swoimi oczkami.

- Słuchaj, przypomniałam sobie, że Emma zadzwoni dzisiaj wieczorem. Lepiej, żebyśmy byli w domu, bo gdy moja szwagierka wysłucha zachwyków Laury nad Pierre'em, natychmiast znowu tu przyjedzie.

- Giles ucieszy się na wiadomość, że wybieramy się na kilka miesięcy do Anglii. Dzięki temu Emma, która ostatnio coraz więcej czasu spędza z Laurą u nas, zostanie przy nim w Lyewood.

Virginia nie odezwała się ani słowem. Nie chciała psuć tego wieczoru. Ashley ciągle jeszcze nie zauważał dziwnej obsesji Emmy na punkcie Laury.

ROZDZIAŁ TRZECI

Hrabstwo Sussex, 1967 r

I

Srebrzystoszary daimler jechał z cichym szumem motoru krętymi uliczkami Croydon. W świetle latarń ulicznych, wpadającym przez szyby tego eleganckiego samochodu, widać było wijące się jasne włosy i opaloną twarz kierowcy.

Bartholomew Faulconer pewnie prowadził ciężki wóz. Dodawał gazu, wychodząc z zakrętów, i rozpędzał samochód na krótkich prostych odcinkach drogi, napawając się mocą silnika. Noga podrygiwała mu w rytm pulsującej muzyki, szczególnie głośnej przy zamkniętych oknach. Rozglądał się bacznie, czy nie widać gdzieś policjanta, ponieważ między skórzanym fotelem a drzwiami wciśnięta była otwarta butelka z piwem.

Nie chciał, żeby go zatrzymano, kiedy będąc pod wpływem alkoholu jechał wozem ojca. Od pewnego czasu udawało mu się unikać poważniejszych nieporozumień z rodzicami i wolał nie psuć dobrego wrażenia. Wyrósł już z wieku, gdy lubił ich szokować i denerwować. Jako młody chłopak czuł się za słaby, niezdolny sprostać wielkim ambicjom ojca związanym z jego osobą. Nie mogąc zasłużyć na uznanie, robił, co mógł, by zwrócić na siebie uwagę odbiegającym od przyjętych norm trybem życia.

Bart zmniejszył nieco czujność, gdy skręcił na drogę A 22 do East Grinstead.

- Tutaj nie powinno być żadnego gliniarza - powiedział do siebie głośno i łyknął piwa. W tym momencie samochód podskoczył na wyboju i piwo chlusnęło na jasnoszare obicie fotela. - Chole

80

ra! - zaklął. - Stary kutwa myśli, że przyjadę dziś pociągiem. Szlag go trafi, jeśli znajdzie jakieś plamy w swoim drogocennym samochodzie.

Wytarł kałużę rękawem czarnej, skórzanej kurtki, ale tylko powiększył plamę. „Nie mogę denerwować starego dinozaura - pomyślał. - Musi mieć dobry humor, gdy zaskoczę go nowiną, że kończę z polowaniem. Nie chcę, żeby się wściekł i pozbawił mnie pieniędzy”.

Z piskiem opon zatrzymał się przed czerwonymi światłami, rozmyślając ponuro nad spodziewaną reakcją ojca. Szukał słów, od których powinien zacząć rozmowę, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Nie wiedział, jak powiedzieć ojcu, że zamierza wstąpić do Rodezyjskich Strzelców Afrykańskich. Jak mógł mu wytłumaczyć, że sama myśl o polowaniu na dwunożne stworzenia była dla niego tak silnym afrodyzjakiem, że krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach, a serce bić mocniej? „Czy wiesz, ojcze, że podczas drugiej wojny światowej Rodezja dostarczyła Wielkiej Brytanii więcej żołnierzy niż którekolwiek z państw imperium? Nadszedł teraz czas, żebym spłacił swój dług wobec ojczyzny i pomógł jej w walce z terrorystami”.

Uznał, że wzmianka o drugiej wojnie światowej zrobi świetne wrażenie na ojcu - to jego słaby punkt - ale raczej nie uwierzy w altruistyczne motywy syna.

„Zdaniem Rodezyjczyków laburzystowski rząd Harolda Wilsona jest do niczego. Przyznaje niepodległość Niasie i Rodezji Północnej, a ignoruje Rodezję Południową. Chcę mieć w tym udział i pokazać im, że nie wszyscy Brytyjczycy są tak parszywi”.

Uwaga o rządzie laburzystowskim powinna odnieść skutek, ponieważ doktor Faulconer był zagorzałym torysem. Mimo to zdziwi się, że Bart chce tak nagle wstąpić do wojska na samym początku wojny. Może lepiej powiedzieć, że w czasie wojny człowiek obeznany z buszem jest tak cenny dla wojska, że szkoda go dla zamorskich bogatych myśliwych?

Trudno również będzie wyperswadować ojcu, by nie kupował mu koncesji na samodzielne polowania.

„Pewnie wydaje ci się, że nic się nie zmieniło od czasu, gdy dwa lata temu Rodezja ogłosiła jednostronną deklarację niepodległości. A ja obawiam się, że twoje pieniądze narażone byłyby na wielkie ryzyko, gdybyś włożył je w ten myśliwski interes”.

Bart zdawał sobie sprawę, że ojciec w głębi duszy był zadowolony, wysyłając go pięć lat temu do Rodezji. Skandale wywoływane przez syna raniły go i stały się powodem rozdzwięków w rodzinie.

„Woli, gdy jestem daleko stąd - pomyślał Bart. - Dopóki będzie dbał o stan mojego konta w banku w Salisbury, tak długo będę trzymał się z daleka od East Grinstead i Sussex. Chociaż szkoda mi tutejszych dziewcząt”.

Bart uśmiechnął się krzywo na myśl o zamieszanu, jakie wyniknie w związku z jego niespodziewaną wizytą: nagle w domu pojawi się cały tłum dziewcząt, a telefon będzie dzwonił bez przerwy.

„Krażą wokół ciebie jak ćmy - rzędził ojciec. - Koniecznie chcą, żebyś zwrócił na nie uwagę”.

Bart nie miał wątpliwości, że ojciec z trudem znosił jego wizyty i z utęsknieniem czekał, aż wyjedzie z powrotem do Afryki. Matka też już się nim tak nie przejmowała. Żyła w swoim zamkniętym świecie bólu i beznadziejności. Pogodziła się z faktem, że nie będzie już uprawiać ukochanej jazdy konnej i nigdy nie odzyska władzy w pogruchotanych nogach.

Nie mogąc doczekać się na zielone światło, spojrział na mokrą plamę na siedzeniu. Była chyba jeszcze ciemniejsza niż wtedy, gdy próbował ją czyścić.

- A niech to szlag! - zaklął, przeciągnawszy palcem po skórzanym obiciu. - Krew. Dotknął ręką łokcia i zapalił wewnętrzne światła w samochodzie: całe palce miał we krwi. Błyskawicznie ściągnął z siebie skórzaną kurtkę. Całe szczęście, że nie stały za nim żadne samochody.

„Na ten widok szanowny doktor Faulconer chyba coś sobie golnie. Swoją drogą ciekawe, w jaki sposób pobrudziłem rękaw krwią. Ten nieszczęsny idiota wcale tak bardzo nie krwawił”. Splunął na ciemnoczerwoną podszewkę kurtki i klnąc głośno zaczął nią wycierać różową plamę na siedzeniu.

Pojechał do Londynu na przyjęcie pożegnalne z przyjaciółmi. Na zakończenie wieczoru zaprosili go na masochistyczne polowanie w okolicy Leather Tree na Hampstead Heath. Nie chcąc się okazać wobec nich niewdzięcznym, wziął udział w orgii, kopiąc i okładając pięściami ofiary. Wkrótce jednak znudziło go bicie mężczyzn, którzy znajdowali seksualne zaspokojenie w bólu i upokorzeniu.

82

O wiele bardziej wolał podniecające polowania na piękne i zręczne bawoły afrykańskie.

- Przeklęty zboczeniec - mruknął Bart widząc, że plama nie chce zniknąć. - Ze też musiał ubrudzić mnie swoją plugawą krwią - Przypomniał sobie, jak łokciem grzmotnął w usta jedną z tych nieszczęsnych kreatur, które, ledwie stojąc na nogach, jeszcze błagały o dalsze maltretowanie.

Zmieniły się światła i usłyszał klakson samochodu stojącego za nim.

- No, jazda - mruknął, ruszając ostro. - Potrzeba tu mydła i wody. Muszę też oczyścić kurtkę przed powrotem do domu. - Wyłączył radio i przez kilka minut jechał w ciszy.

Przypomniał sobie o miłej wdówce z West Hoathly, której nie widział już od tygodni.

Zwolnił by odczytać znak drogowy, i skręcił z autostrady A 22 na boczną drogę do West Hoathly. Pędził w ciemnościach, nie zważając na tablice ostrzegające o niebezpiecznych zakrętach, stromych zjazdach i krętych odcinkach drogi. Jechał z przymrużonymi oczami i zaciśniętymi ustami, ze złością waląc pięściami w kierownicę.

Na wąskiej, prowadzącej w dół drodze ukazała się w świetle reflektorów młoda para. Chłopak jedną ręką pchał rower, a drugą obejmował roześmianą dziewczynę. Wreszcie Bartholomew miał na kim wyładować złość. Skierował się prosto na nich, z drapieżnym uśmiechem obserwując, jak w popłochu odskakują na ciernisty żywopłot.

To cię trochę ostudzi" - powiedział w duchu do chłopaka, który pochylony nad leżącą dziewczyną wygrażał pięścią za znikającym samochodem.

Na moment zaniepokoił się. Mogli odczytać numer na jego tablicy rejestracyjnej. Jeśli dziewczyna jest ranna, lepiej mieć alibi. Ojciec dowie się, że nie było go w nocy, a zawsze podejrzewa swego syna, gdy zdarzy się jakiś nieszczęśliwy wypadek w promieniu dziesięciu mil od East Grinstead.

Miał nadzieję, że wdówka łatwo uwierzy w to, że przyjechał do niej jeszcze przed północą, a ponieważ przy nim nigdy nie nosiła okularów, była ślepa jak kret.

Zwolnił, skręcając na drogę do West Hoathly, nie chciał bowiem przegapić w ciemności jej willi.

II

Od ponurego, ołowianego nieba Sussex wiało przejmującym chłodem, przez gotyckie okna kuchni w Lyewood padało słabe światło na twarze osób siedzących wokół stołu.

Laura bardzo lubiła te zimowe dni, gdy zbierali się na śniadanie w kuchni ogrzewanej ogromnym starym piecem. Odkroiła kawałek bekonu i upewniwszy się, że Ashley i Giles zatopieni są w lekturze gazet porannych, a Emma przekłada gorące bułeczki z formy na talerz, opuściła rękę pod stół.

Jej szczodrość została nagrodzona cichym pomrukiem. Stara kotka, znowu ciężarna, ocierała się delikatnie o nogi Laury.

- Ojej! - pisnęła Laura, gdy ostre jak ciernie pazurki ukłuły ją przez grube wełniane spodnie.

- Nieznośna kocica - mruknął Giles. - Zmykaj stąd. Zostaw w spokoju naszą małą czarownicę.

Ashley zerknął na córkę spoza gazety.

- Znowu ją karmisz?

Laura podniosła do ust łyżeczkę z jajecznicą, mając nadzieję, że ojciec zaraz zapomni o zadanym jej pytaniu.

- Wygląda na to, że wojna w Rodezji rozszerza się - stwierdził Giles, smarując masłem grzanekę. - Nie zdziwię się, jeśli się przekształci w wojnę partyzancką. Afryka stała się teraz niebezpiecznym miejscem.

- Ale po raz pierwszy nie obciążą to brytyjskich podatników - powiedział Ashley. - Smith ogłosił niepodległość i niech sam za to płaci.

- A jednak to przykra sprawa - rzekł Giles. - Osiedliło się tam wielu porządnych ludzi.

- Masz rację, ale... - Ashley urwał, uderzając dłonią w gazetę, którą czytał. - Mamy tu jeszcze jedną poważną sprawę - mruknął - i to zaledwie kilka mil stąd.

- Co takiego? — zapytała Emma, stawiając gorące bułeczki na stole i usiłując zajrzeć mu przez ramię.

- Pirat drogowy uciekł z miejsca wypadku. Ogromny, wspaniały samochód, ale w ciemności nie dało się odczytać numeru.

- Dziewczynę przewieziono do szpitala ze złamanym obojczykiem. Biedactwo! - wykrzyknęła Emma.

84

- Podają jakieś nazwiska? - zainteresował się Giles. - Mamy tylu znajomych w okolicy. Emma zerknęła do gazety.

- Przedwczoraj - przeczytała. - To ten samochód, Gilesie. Ten daimler, który omal nie zepchnął nas z drogi na zakręcie do Hoathly. - Emma nie zauważyła ostrzegawczego znaku Gilesa. - To musiał być ten sam wóz.

- Co ty mówisz? - uśmiechnął się Ashley. - Ten wypadek zdarzył się około trzeciej nad ranem. Co robiliście o tej porze na drodze?

Emma zbladła. Od przyjazdu Ashleya, Virginii i Laury spotykali się z członkami zgromadzenia w mieszkaniu którejś z kapłanek lub kapłanów.

- Byliśmy z wizytą u przyjaciół. Zasiadaliśmy się. Wprost nie mogliśmy się oderwać od krzeseł - zażartował Giles, śmiejąc się do Laury.

Laura znów rzuciła na kamienną posadzkę kawałek skórki od bekonu.

Emma odetchnęła z ulgą.

- Miał jasne włosy, prawda, Gilesie?

- Gdybym przyglądał się temu idiocie, nasz land rover wpadłby do rowu.

- Byłaś w stanie go rozpoznać? - zapytał Ashley.

Laura spoglądała na Emmę oczyma szeroko otwartymi z podniecenia na myśl, że ciotka miałaby zidentyfikować pirata drogowego.

- Może - zawahała się Emma. - Nie jestem pewna. Było przecież ciemno. - Spojrzała na Ashleya. - Wydaje mi się, że go znam.

Podając Laurze miód, pomyślała: „Znajomy blondyn. Czy to nie ten sam mężczyzna? Powinnam spojrzeć do szklanej kuli. Muszę mieć pewność”.

- Prawdopodobnie syn któregoś z sąsiadów - mruknął Giles.

- Przypuszczam... - zaczęła Emma i urwała.

- Tak? - Ashley spojrział na nią znad gazety.

- Przypuszczam, że to mógł być syn Faulconera.

Ashley zmiął nerwowo gazetę. Przypomniał sobie aroganckiego młodzieńca, wytaczającego się z Cat Inn.

- Łatwo sprawdzić, czy ma daimlera.

- Taki właśnie samochód ma jego ojciec, doktor Faulconer - zauważył Giles.
- Och, ciociu Emmo - zawołała Laura - złapiesz go i zamieszczą w gazecie twoją fotografię.

Emma potrząsnęła głową:

- Zanim się pójdzie na policję, Lauro, trzeba mieć absolutną pewność. A ja jej nie mam.
- Ten Bartholomew Harden Faulconer źle skończy - wyraził swoje przypuszczenie Giles. - Mój stajenny marzy o tym, żeby go gdzieś dopaść. - Widząc, że Ashley pytająco uniósł brwi, dodał: -Jego córka musiała wyjechać na dziewięć miesięcy do krewnych mieszkających w Szkocji.

Laura już otwierała usta, żeby o coś zapytać, ale zrezygnowała, widząc minę Ashleya. Zostałaby skarcona za wtrącanie się do rozmowy dorosłych.

- Nie podoba mi się ten Bartholomew - powiedziała Emma. Mam nadzieję, że policja go odnajdzie.

- Miejmy nadzieję, że złapią winowajcę - rzekł Giles. - Przecież to nie musi być Faulconer.

- Wolałbym, żeby nie był, ze względu na jego ojca - Ashley położył gazetę obok talerza. Krzesło zaskrzypiało głośno o podłogę, gdy odsunął je do tyłu. Spod stołu wyskoczyła kotka i uciekła w drugi kąt kuchni.

- Chodź, Lauro - powiedziała Emma, stawiając na tacy dzbanek z herbatą. - Zaniesiemy Virginii śniadanie na górę.

- Spróbujcie ją namówić, żeby pozostała dziś w łóżku. - Ashley wziął na ręce Laure, jakby była jeszcze małym dzieckiem. - Powinna odpoczywać, tym bardziej że na dworze jest taki przenikliwy chłód.

- Ja dziś nigdzie nie wychodzę - odrzekła szybko Laura. -Pomogę cioci Emmie i poczytam mamie. - Objęła Ashleya rękami za szyję.

- Nie pójdziesz do szkoły? - zapytał srogo Ashley.

- Tylko dziś. - Laura przytuliła twarz do jego karku. - Wiem, co dziś mamy przerabiać. To bardzo łatwe, tatusiu. Tu jest zupełnie inaczej niż w szkole Regina Mundi na Mahe.

- Nie jest to klasztor, młoda damo, ale pamiętaj: przyjechałaś tu z nami, ponieważ mama musi chodzić do lekarza, a ja mam do

86

załatwienia ważne sprawy w związku z ratowaniem Aldabry, ale pod warunkiem, że będziesz chodzić do szkoły. - Laura pocałowała go w policzek. - No dobrze, zostań w domu, ale tylko dzisiaj -skapitulował, całując ją czule. - Pamiętaj, żebyś nie męczyła mamy, kwiatuszku. Nie czuje się najlepiej.

- Postawił ją z powrotem na podłodze i patrzył, jak umieściła ostrożnie na talerzu srebrzysty toster i poszła za Emmą do kuchni.

- Nie martw się o Virginie - uspokoił go Giles. - Jedź do Londynu. Przecież masz ważne spotkanie. A my zadbamy o nią.

- Wiem o tym. Emma jest cudowna - powiedział Ashley - ale trudno mi pogodzić się z chorobą Virginii. Szkoda, że od razu nie możemy wracać na Seszele. Ona tam czuje się znacznie lepiej. -Przymknąwszy oczy, kciukiem potarł nos. -

Prawdopodobnie niedługo będę mógł wrócić na wyspy, a potem przyjadę tu pod koniec roku. Mamy już za sobą pierwszy etap walki o uniemożliwienie Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym zniszczenie Aldabry.

Giles przyjrzał się z uwagą szwagrowi i po raz pierwszy zauważył cienie pod jego oczami i bruzdy w kącikach ust.

- A jak skończyła się konferencja? - zapytał ze współczuciem w głosie.

- Konferencja? Wreszcie podjęto decyzję.

- To najważniejsze - uśmiechnął się Giles, usiłując oderwać myśli Ashleya od Virginii.

Ashley skinął głową, rozmyślając o tych licznych stowarzyszeniach, które zaangażowały się w doprowadzenie sprawy do końca i do zawarcia tajnego porozumienia pomiędzy Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi. Należałoby tu przede wszystkim wymienić Akademię Państwową USA, Smithsonian Institute i rząd seszelski, współpracujący z Organizacją Jedności Afrykańskiej. Ileż to razy latał między Londynem a Seszelami, by wziąć udział we wszystkich tych spotkaniach i akcjach mających na celu zmuszenie najwyższych władz do pozostawienia wysp w spokoju. Rozumiał strategiczne znaczenie baz paliwowych na Oceanie Indyjskim, ale był przekonany, że można znaleźć inną lokalizację.

- Na dzisiejszym spotkaniu zostanie podane do wiadomości -powiedział w końcu - że Aldabra jest tak wyjątkowym miejscem na świecie, że nie powinno się tam budować lotniczych baz wojskowych. No i wtedy zacznie się zażarta walka.

- Jak myślisz, kto wygra?

- My... przynajmniej taką mam nadzieję. Ta wyżłobiona w koralu kraina zasługuje na szczególną ochronę. I jest wystarczająco dużo ludzi gotowych walczyć o nadanie wyspom statusu rezerwatu przyrody.

- Popieram wszelkie działania w obronie dzikiej przyrody -powiedział Giles. - Krucha równowaga w przyrodzie zależna jest od zachowania różnorodności gatunków. Popatrz tylko, co się stało tutaj po wykarczowaniu żywopłotów. Motylom, jeżom i licznym owadom grozi wymarcie z powodu zniszczenia ich środowiska naturalnego.

Ashley, powstrzymując się od uśmiechu, pomyślał, że Giles jest bardzo podobny do swej siostry: oboje z takim samym przejęciem i gniewem mówili o dewastacji Ziemi. Zawsze powtarzali, że miliony głodujących to ogromny problem, ale jeszcze większym problemem jest rabunkowa gospodarka i niszczenie środowiska naturalnego.

- A program ochrony zalesiania? - kontynuował Giles. - Czy sadzi się silne, zdrowe dęby? Nie, tylko krzaki i jakieś egzotyczne rośliny, które nadają się raczej do podmiejskich ogrodów.

- A jednak odżywa zainteresowanie Ziemią. Weszliśmy w okres Wodnika i nasza uwaga skupiona będzie na uniwersalnym aspekcie rzeczy. Czyż nie o to właśnie chodzi?

- No cóż - zaśmiał się Giles. - Wraz z setkami innych ludzi walczysz o ocalenie wyspy, która jest jak pyłek kurzu na ogromnej powierzchni Oceanu Indyjskiego. - Rzucił gazetę na krzesło i skierował się do drzwi.

- Trafne spostrzeżenie - uśmiechnął się Ashley.

- Jestem przekonany, że mam rację. - Giles nachylił się, by włożyć zabłocone buty z cholewami. - Wychodzę wieczorem na zebranie, na którym zaprotestujemy przeciwko dalszemu wycinaniu naszych żywopłotów i lasów.

- I to ma być uniwersalne spojrzenie na ten wiek? - zażartował Ashley.

- W każdym razie wynika to z pragnienia wsłuchiwanie się w to, co tkwi w naszej podświadomości, oraz powrotu do życia w harmonii z naturą - odpowiedział Giles. - I to właśnie mam zamiar teraz robić. - Włożył czapkę. - Sprawdź, jak moi ludzie

88

usuwają błoto z dróg na terenie farmy. Przecież trzeba będzie jakoś dojeżdżać do inwentarza, gdy spadnie zapowiadany śnieg. - Otworzył drzwi i do kuchni wpadł podmuch lodowatego, przejmującego wiatru.

- Brr... - wstrząsnął się Ashley, zapinając płaszcz. - Tropikalny klimat wysp zupełnie mnie rozhartował. Nie zazdrozczę ci, Gilesie, że będziesz musiał spędzić dzień na polach.

Odpowiedź Gilesa zagłuszyło trzaśnięcie drzwi i Ashley usłyszał tylko:

- ...powrót do Matki Natury.

Uśmiechnął się i poszedł po parasol. Czekало go kilka trudnych dni w Londynie. Musi się zastanowić nad dalszym postępowaniem po ogłoszeniu decyzji władz.

III

Wiatr wył i uderzał w szyby, ale okna trzymały się mocno w grubym murze. Laura siedziała ze skrzyżowanymi nogami, oparta o rzeźbiony dębowy filar szerokiego łóżka. Długie pasma włosów opadały jej na twarz, gdy sylabizowała jakieś słowo w książce, którą trzymała w ręku. Machinalnie włożyła kosmyk włosów do ust i zaczęła je żuć.

- Skrze-lo-we... Co to znaczy „komory skrzelowe”, mamusiu? - zapytała, nie podnosząc głowy. Przeczytałam, że kraby nie oddychają powietrzem i przechowują w tych komorach wodę morską. Często też pełzną do morza, by wymienić zapas wody.

Urwała nagle w poczuciu winy, że zakłóca spokój matce. Virginia leżała jednak bez ruchu z zamkniętymi oczami.

- Mamusiu - powiedziała cicho. Zsunęła się ostrożnie z łóżka. Podeszła na palcach do stolika nocnego i odsunęła na bok małą glinianą doniczkę z miniaturową poinsecją. Ostre przylistki, niczym purpurowe pazury, musnęły ją po głowie, gdy kładła książkę na szklanym blacie.

Spojrzała na wilczomlec i przypomniała sobie gąszcz takich samych szkarłatnych wysokich krzaków rosnących dziko w ogrodzie w La Retraite. Oczyma wyobraźni ujrzała Pierre'a goniącego ją po molo z gałązką poinsecji w zębach, podobną z daleka do czerwonego języka.

- Wracajmy do domu, mamusiu - szepnęła. - Kiedy jesteśmy w domu, nigdy nie leżysz w łóżku. Wiem, że od razu poczujesz się lepiej.

Nachyliła się, by pocałować matkę w policzek, i zamarła. Virginia nie oddychała. Przerazona Laura zastygła bez ruchu, jak w dziecięcej zabawie w „pomniki”.

Pochylona nad matką, ze strachem patrzyła na jej blade policzki. Ogarnięta paniką, nie była w stanie wydać nawet jęku ze ściśniętego gardła.

Nagle z ust matki wydobyło się chrapnięcie. Laura odetchnęła z ulgą. Gdy sięgnęła po chusteczki higieniczne leżące na stoliku, Virginia westchnęła cichutko i przekręciła się na bok.

Laura uklękła. A więc matka jeszcze nie odeszła od niej. Nie opuściła jej. Położyła rękę na kocu i poczuła ciepło.

„Proszę cię, nie opuszczaj mnie. Tak bardzo cię kocham”.

Patrzyła na matkę, nie widząc ani jej zapadniętych policzków, ani bladych powiek z niebieskimi żyłkami.

„Wszyscy cię kochamy: tatuś, wujek Giles i ciocia Emma”.

Wspomniawszy Emmę, zapragnęła, by ktoś ją ukoił i popieścił. Chciała usłyszeć głęboki głos Emmy, zwracającej się do niej zapamiętanym z lat dziecięcych imieniem Tanith i zapewniającej, że wszyscy ją kochają. Wstała, poprawiła koc i cicho wyszła z pokoju.

Lyewood wydawał jej się teraz zimny, ciemny i groźny, gdy biegnąc przez puste pokoje szukała Emmy. Nawet kotka leżąca pod piecem fuknęła ostrzegawczo, gdy Laura chciała ją wziąć na ręce.

Zatrzymała się przed drzwiami z łukowym sklepieniem i żelaznymi sztabami.

Przekręciła żelazną gałkę. Drzwi otworzyły się wolno i Laura weszła do środka.

Nigdy dotąd nie była w pokoju Emmy. Wewnętrzny głos mówił jej, że powinna stąd się wycofać.

Zaintrygowana, czujna jak kot, rozejrzała się po pokoju. Otworzyła szeroko ze zdumienia niebieskie oczy na widok ustawionych na kominku skamielin jeżowców, zwanych tutaj „koronami pastucha”. Wzięła do ręki jednego z nich - w kształcie serca, z pięcioramiennym wzorkiem na skorupie. Wstrząsnął nią dreszcz na myśl, że trzyma w ręce coś, co żyło miliony lat temu.

Ciekawa była, czy Emma znalazła to gdzieś na polach. Ona sama przez wiele miesięcy szukała „korony pastucha”, usłyszawszy od mamy, że gdy farmer natknie się na coś takiego, powinien splunąć od uroku i odrzucić przez lewe ramię.

Obejrząwszy skamielinę, odłożyła ją na kominek.

90

Blade promienie słońca, wpadające przez okno, oświetlały zawieszzone pod sufitem szklane kule, które swym srebrzystym, migotliwym połyskiem przywodziły na myśl wigilijną choinkę.

Jasny blask bijący od jednej z nich przyciągnął uwagę Laury. Kiedy obracała w dłoniach ogromną kulę wypełnioną tysiącem kolorowych żyłek, przeraził ją stłumiony odgłos. Kula wysliznęła się jej z rąk i z głośnym brzękiem uderzyła w inne ciemnozielone, złote i srebrne kule.

Przerażona wstrzymała oddech. Na szczęście żadna z tych magicznych kul nie rozbiła się. Kiedy już przestały się kołysać, podeszła do wyłożonej boazerią ściany koło kominka.

Z przechyloną na bok głową, w głębokiej ciszy, przyglądała się dębowym deskom, zagryzając nerwowo usta. Nagle chmury przysłoniły słońce. Pokój pograżył się w ciemnościach, a poczerniały dąb nabrał jeszcze bardziej ponurego wyglądu.

Laura zadrżała. Pokój nie sprawiał już tak miłego wrażenia jak przed chwilą.

Odwróciła się, chcąc stąd wyjść, gdy nagle poczuła na ramieniu coś miękkiego i jedwabistego, co spłynęło z niej, gdy dopadła drzwi. Z podłogi wpatrywało się w nią ciemne oko na opalizującym, zielonym tle.

Oparłszy głowę o dębowe drzwi, poczuła na policzku chłód żelaznych sztab. Z wolna ustawał szum w uszach i powracał normalny oddech. Nachyliła się i podniosła z podłogi pawie pióro.

Musi zanieść je do wazonu z pawimi piórami, stojącego na kominku. To przejście przez pokój wydawało się nie mieć końca. Coś się w nim zmieniło. Czuła, że mdli ją ze strachu.

„Nie zachowuj się jak małe dziecko - skarciła siebie w duchu. - Mamusia wstydziliby się za ciebie. Pomyśl, jaka ona jest dzielna”.

Wspięła się na palce, by sięgnąć do glinianego wazonu. Pióra zakołysały się nad jej głową, mieniając się niesamowitymi szmaragdowozielonymi i turkusowymi barwami. Wszystkie oczka mrugały do niej i przyglądały się jej złowieszczo.

Odskoczyła do tyłu i zaczęła o wystający kafelek w posadzce. Straciwszy równowagę, oparła się o boazerię przy kominku. Poczowała, że ściana przesuwana się.

Laura pisnęła cicho ze strachu i zacisnęła powieki. Była pewna, że czyha tam na nią ziejący ogniem potwór o straszliwych zębis

kach. Gdy wreszcie ośmieliła się otworzyć oczy, ujrzała łagodne żółte światło. Nieco uspokojona, zajrzała w szczelinę w ścianie.

Pchnęła ręką boazerię, która bezszelestnie ustąpiła, i znalazła się w sekretnym pokoju Emmy.

Pociągnęła nosem, czując intensywny zapach palącego się kadzidła, i na palcach zaczęła się skradać w kierunku ciotki siedzącej tyłem do niej przy stoliku. W wysokich świecznikach paliły się dwie czerwone świece, a ich światło drgało, jakby tańcząc majestatycznego menueta nad ołtarzem i okrągłą kryształową kulą.

Laura nie odezwała się ani słowem. To będzie bardzo zabawne, jeśli uda jej się podkraść i zaskoczyć ciotkę. Potarła mocno nosek, który zaswedział ją od silnej woni kadzidła.

„Żeby tylko nie kichnąć - pomyślała. - Bo wszystko zepsuję”.

Gdy była już całkiem blisko, stanęła zaintrygowana. Ciotka miała na sobie czarną pelerynę i wpatrywała się w błyszczącą, przezroczystą kulę, szepcząc do siebie jakieś słowa, których Laura nie była w stanie zrozumieć.

- Spójrz, ciotciu - odezwała się głośno. - Tam jest jakaś pani.

Zaskoczona Emma znieruchomiała. „Tylko spokojnie - powiedziała sobie w duchu.

- Nie przestrasz jej. Jeśli będzie się czuć bezpiecznie, dochowa tajemniczy”.

- Tanith - odezwała się do Laury. - Co za niespodzianka. Myślałam, że jesteś u mamy i czytasz jej książkę.

- Czytałam, ale mamusia zasnęła. Zrobiło mi się smutno i postanowiłam odnaleźć ciebie - odpowiedziała Laura, podchodząc bliżej stołu.

- Bardzo się cieszę, że tu przyszłaś. Wiesz, jak lubię być razem z tobą. - Emma rozejrzała się szybko po pokoju, sprawdzając, czy nie ma tu czegoś, co mogłoby zaniepokoić Laurę.

Zauważyła nóż leżący obok kryształu. Gdy chciała schować go do kieszeni płaszcza, przewróciła porcelanowy dzbanek, z którego wylała się na podłogę herbata.

- Ojej! - zawołała Laura, ustawiając dzbanek na stole. - Czy mogę się napić?

Emma zawahała się. Herbata była zrobiona z mieszanki aromatycznych liści rośliny zwanej „matką ziół”. Często używała takiego naparu przy wrózeniu.

83

- Nie będzie ci smakowała, Tanith - uprzedziła małą. - To jest napar z ziół, a nie prawdziwa herbata.

- Lubię zioła. Na Sesselach pijamy po obiedzie herbatę cytrynową. Mamusia mówi, że to ułatwia trawienie.

- No dobrze, napij się, ale tylko troszeczkę, bo jest bardzo mocna - skapitulowała Emma.

Emma odetchnęła z ulgą, kiedy dziewczynka łyknąwszy trochę naparu skrzywiła się i odstawiła dzbanek.

Nie chcąc się przyznać, że herbata jej nie smakowała, Laura popatrzyła na kryształową kulę i zapytała:

- Co to jest? Do czego to służy?

- Chodź tu - zaprosiła ją Emma. - Usiądź na moich kolanach, to ci pokażę.

Laura wgramoliła się na kolana Emmy i oparła się łokciami o ołtarz.

- To jest kryształ, kamień półszlachetny. Ta kula jest bardzo stara i bardzo cenna - wyjaśniła Emma, muskając palcami jasne włosy Laury.

- Zimna jak lód! - krzyknęła Laura, dotykając kuli. - Co z nią robisz? Dlaczego był tam obrazek jakiejś pani? - Oparłszy brodę na rękach, wpatrywała się w kulę, w której nic nie było teraz widać.

- Tę kryształową kulę setki lat temu używała jakaś bardzo mądra kobieta, kobieta mędrzec. Później dała ją swojej córce, która także stała się mędrzem. W ten sposób ta kula w ciągu stuleci przechodziła z rąk do rąk.

- A co robiła z kulą ta kobieta, która stała się mędrzem? -zapytała po chwili milczenia Laura.

- Zaglądała głęboko w serce kuli, tak jak ty teraz, i w kuli ukazywały się obrazy. Wtedy mogła przepowiadać ludziom, co ich czeka w przyszłości i...

- Tak jak jasnowidz na jarmarku - zwołała podekscytowana Laura.

- No, prawie. Ale większość jarmarcznych jasnowidzów wymyśla różne historyjki, żeby przypodobać się ludziom, którzy im za to płacą.

- Mamusia uważa, że to bardzo głupie - powiedziała Laura, nieświadomie naśladowując głos Virginii.

- Jak dorośniesz, Tanith, przekonasz się, że ludzie zazwyczaj drwią z tego, czego nie rozumieją.

- Ale mamusia jest bardzo mądra. Tatuś mówi, że jest inteligentna i zna się na wielu rzeczach.

- Masz rację. Oboje twoi rodzice są bardzo mądrzy - Emma przezornie zgodziła się z małą. Musiała nakłonić Laure, by nie zdradziła się, że była w jej sekretnym pokoju. Zdawała też sobie sprawę z tego, jak niebezpiecznie byłoby wtajemniczać tak małe dziecko w pradawną religię Wicca. Młodzi ludzie muszą najpierw całkowicie dojrzeć seksualnie, zanim ujawni się w nich druga, jakby antyseksualna natura. Emma zgodziła się z Gilesem, że ludzie przedwcześnie wprowadzeni do religii Wicca, dążąc do rozwoju duchowego, mogliby nie osiągnąć rozwoju fizycznego i nie byłiby w stanie sprostać trudnościom życia. Zaczęliby żyć życiem urojonym. Przeczytała wiele prac polecanych przez Gilesa na temat tego, co Jung nazywał procesem indywidualnym, w którym stykają się razem świadomość i podświadomość. To stanowczo za trudne dla młodych.

W żadnym wypadku nie chciała, żeby Laura uciekała od prawdziwego życia i jego problemów. Pragnęła jej pełnego rozwoju, ale marzyła także o tym, by w przyszłości przyjęła ona tę pradawną wiarę.

Głaszcząc włosy dziewczynki myślała, że musi jakoś przeciągnąć Laure na swoją stronę. Wyjaśniała jej wszystko i cierpliwie jak pajak czekała, aż ofiara wpadnie w misternie utkaną sieć.

- Ciociu Emmo - Laura pociągnęła ją za rękaw.

- Och, przepraszam cię, Tanith, zamyśliłam się. Co mówiłaś?

- Gdzie zniknęły te obrazki? Gdzie jest ta pani? - Laura próbowała podnieść ciężki kryształ i zajrzeć od spodu.

- Jaka pani?

- Z włosami tak długimi jak moje. Miała na sobie śliczne białe szorty w niebieskie pasy.

Emma usiłowała nadać swej twarzy obojętny wyraz.

- Nie widziałaś jej? - dopytywała się Laura. - Spacerowała. Była taka smutna i samotna.

- Nie, Tanith, nie widziałam - skłamała Emma. - A czy zauważyłaś jeszcze kogoś? - zapytała szybko w obawie, że Laura dostrzegła też mężczyznę o żółtych kocich oczach. Jego powtórne pojawienie się w kuli przeraziło Emmę.

85

Laura przecząco pokręciła głową. Kryształ przestał ją już interesować i oglądała teraz inne przedmioty na ołtarzu. Jej wzrok padł na białą czaszkę i zadrżała ze strachu.

- To Stary Szymon - uspokajająco wyjaśniła Emma, obejmując Laure i tuląc ją do siebie. - Przez wiele setek lat ludzie wierzyli, że jest symbolem śmierci i odrodzenia.

- Tak jak Jezus, który zmartwychwstał - wyrwało się Laurze.

- Rzeczywiście, jest pewne podobieństwo - odpowiedziała Emma z wahaniem.

Laura dotknęła palcami pustych oczodołów czaszki.

- Masz dużo starych rzeczy, ciociu Emmo. Mamusia nie ma nic takiego. Podoba mi się ten pokój.

Emma odetchnęła z ulgą. Teraz można wyjaśnić, na czym polega pradawny kult mądrości i dlaczego nie wolno nikomu powiedzieć o tym tajemnym pokoju.

Pocałowała Laurę w policzek i dłonią zasłoniła jej oczy.

- Nie otwieraj oczu, Tanith - powiedziała. - W ten sposób lepiej skoncentrujesz się na tym, co ci powiem. Chcę ci zdradzić pewien sekret.

Laura drgnęła, ale nie otworzyła oczu.

- Dawno, dawno temu - zaczęła opowiadać Emma cichym, kojącym głosem - ludzie mieszkali w zimnych, ciemnych jaskiniach. Bali się wielu rzeczy: dzikich zwierząt, nocnych duchów, burz i błyskawic.

Laura uwielbiała takie opowieści. Słuchała z głową opartą o ramię Emmy.

- Przewodnikami ludzi były słońce i gwiazdy, ogień rozpalony w jaskini ogrzewał ich i dawał im poczucie bezpieczeństwa. Gdy byli chorzy lub czegoś się bali, szli po radę do czarownicy, kobiety, która była medcem. Słuchała ona głosów na wietrze, przemawiała do drzew. Wiedziała, które rośliny są lecznicze. Z kamieni i kości przepowiadała przyszłość i знаła zaklęcia na odpędzenie złych duchów. Była bardzo, bardzo ważną osobą.

Laura, wtulona w ciepłe objęcia Emmy i wsłuchana w jej hipnotyczny głos, wyobraziła sobie kobiety z epoki kamiennej, które stały się później kapłankami i tajemniczymi boginiami epoki greckiej.

Emma opowiadała dalej, jak Kościół chrześcijański od samego początku zwalczał mądre kapłanki, które musiały w tajemnicy

uprawiać swój kult. Opisała, jak w ciemnych wiekach średniowiecza turturowano czarownice i palono je na stosach, ponieważ kochały pradawną religię i nie chciały się jej wyrzec. Po policzku wzruszonej Laury stoczyła się łezka. Emma, zrećnie wykorzystując jej nastrój, wytłumaczyła, że nie ma potrzeby bać się czarownic na miódach, trzymających w kieszeniach żaby i rzucających złe uroki. Przekonywała ją, że nie ma złych czarownic ani czarnej magii.

- Widzisz więc, moja mała Tanith, że gdybym żyła dawno, dawno temu, ludzie uznaliby mnie za taką właśnie mądrą kobietę. Byłabym czarownicą.

- A więc jesteś teraz czarownicą* ciociu Emmo? - zapytała Laura, wpatrując się w nią błękitnymi oczami.

- To będzie nasza wielka tajemnica, Tanith - odpowiedziała Emma poważnie. - Chociaż teraz nie skazuje się czarownic na tortury, ani się ich nie pali na stosach, ludzie w dalszym ciągu lękają się ich, uważając, że są służebnicami szatana. Tych zaś, którzy uprawiają dawne kultury, uważa się za złych ludzi.

- Ale ty nie jesteś zła, ciociu.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedziała spokojnie Emma, patrząc na Laurę, która stała się nagle bardzo podobna do Virginii.

Laura ześliznęła się z kolan cioci i przyrzekła:

- Nigdy nikomu nie powiem, że jesteś mądrą czarownicą. - Pośliniwszy palec, uczyniła nim znak krzyża ha gardle.

Emma zaśmiała się:

- Znam lepszą przysięgę, Tanith. Zwiąże ona nas na zawsze i nigdy nie będziemy mogły jej złamać.

- Czy stanę się przez to także czarownicą? - zapytała Laura, szeroko otwierając oczy. Emma szukała w myśli odpowiednich słów. Od tego, co w tej chwili powie, zależało, czy pozyska Laurę dla ich religii czy też straci ją na zawsze. Miała szansę odciągnąć Laurę od Ashleya i Virginii i związać ze sobą, żeby w przyszłości wprowadzić ją do kultu Wicca.

- A chciałabyś nią być? - zapytała wesołym tonem, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na odpowiedź Laury.

- To byłoby fajnie mieć taki pokój. Chciałabym tak jak ty widzieć obrazy w kuli i mówić ludziom, co ich czeka.

96

Emma odetchnęła. Udało się. Laura nie przestraszyła się sekretnego pokoju i jego wyposażenia, wręcz przeciwnie, była tym zafascynowana.

- Staniesz się nią kiedyś, Tanith - Emma starała się nie okazywać triumfu. - Ale na to, by osiąść tę mądrość, potrzeba wiele czasu. Musisz się jeszcze nauczyć wielu rzeczy.

Laura nie ukrywała rozczarowania.

- To samo mówi mamusia, kiedy nie chce mi się iść do szkoły. Emma z uśmiechem wyciągnęła do niej ręce.

- To, czego będziemy się uczyć razem, jest naprawdę bardzo ciekawe. Zanim otrzymasz własny sekretny pokój, muszę cię nauczyć wszystkiego, co wiedziały już dawno temu stare bardzo mądre kobiety.

Laura wtuliła się w ramiona Emmy i całując ją zawołała:

- Naprawdę nauczysz mnie, ciociu Emmo? Bardzo tego chcę.

- Ale najpierw - przypomniała jej Emma - musisz dokonać ceremonii przysięgi.

- Nie będę mogła powiedzieć o tym nawet tatusiowi i mamusi? - zaniepokoiła się nagle Laura.

- Masz wspaniałych, bardzo mądrych rodziców, ale uznają oni tylko fakty, rzeczywistość. Nie rozumieją tych spraw. Pamiętaj, Tanith, że te mądre i dobre czarownice były prostymi wiejskimi kobietami. Żyły blisko natury i ziemi, a swoją mądrość zdobyły słuchając głosów, których nie możemy usłyszeć we współczesnym świecie. - Podniosła podbródek Laury i spojrzała jej w oczy. - To będzie tylko nasz sekret. Twój i mój. Nawet Giles nie powinien się o tym dowiedzieć.

Laura po chwili zastanowienia skinęła głową.

- Ale to dobry sekret, prawda, ciociu? Mamusia mówi, że nie wolno mieć złych sekretów.

- Tanith, bardzo cię kocham i nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby cię skrzywdzić.

Powiedziawszy to, otworzyła poźółkłe ze starości rzeźbione puzderko z kości słoniowej i wyjęła srebrzystą igłę. Laura spojrzała z lękiem na połyskujące w blasku świec ostrze.

Emma wstała, a czarna peleryna owinęła się jej wokół nóg. Włożyła ostrze igły do płomienia świecy, której migotliwy cień padał na bladą twarz Laury.

88 - Głosy na wietrze

97

- Maleńkie ukłucie - powiedziała Emma, biorąc Laurę za rękę. - Nic nie poczujesz. Laura drgnęła, gdy stalowe ostrze przebiło jej skórę na kciuku, i patrzyła spokojnie na czerwoną kroplę krwi, wyciśniętą przez Emmę. Emma, widząc bladość na jej twarzy, szybko wbiła igłę w swój palec i poczekała przez chwilę, aż ukazała się krew.

- Jesteś dzielną dziewczynką, Tanith, i kiedyś staniesz się cudowną czarnoksiężniczką.

Przycisnęła kciuk Laury do swojego palca. Krew ich zmieszała się. „To nas połączy, Tanith - pomyślała. - To zapewni psychiczną więź między nami”. Głośno zaś powiedziała:

- Tak więc przypieczętowałyśmy krwią nasz sekret. Trzymając Laurę za rękę i przyciskając swój kciuk do jej palca, podprowadziła ją do Starego Szymona. Wycisnęła na czaszkę kilka kropel krwi ze swojego i Laury palca.

„Zbyt to teatralne” - zgaśniła siebie w duchu Emma. Ale na siedmioletniej dziewczynce taka przysięga zrobiła ogromne wrażenie. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w krew.

- Powtarzaj za mną - poleciła. - „Ja, Tanith, przysięgam nigdy nie zdradzić tajemnic, których byłam świadkiem”.

Laura powtórzyła te słowa drżącym głosem. Emma cofnęła swój palec i powiedziała wesoło, by czym prędzej przywrócić normalną atmosferę:

- Possij trochę, to nie będzie cię boleć. Teraz obie wyglądamy jak dzidzisie ze smoczkami. Chodź, mam dla ciebie prezent.

Laura wraz z Emmą opuściła sekretny pokój, nawet się za siebie nie oglądając.

Emma zapaliła lampę na biurku w pierwszym pokoju. Natychmiast zrobiło się tam miło i przytulnie od światła rzucanego przez czerwono-żółty klosz od Tiffany'ego. Otworzyła dolną szufladę dębowego biurka i czegoś tam szukała. Laura przyglądała się pomarańczowym iskierkom migocącym w kulach magicznych.

- Co to jest, ciociu Emmo? - zapytała, obracając kule zawieszane na łańcuchach.

Emma podniosła głowę i odgarniając z twarzy kosmyk włosów, odrzekła:

- Kule magiczne. Zawieszano je w ciemnych kątach lub w oknach wiejskich domów dla ochrony przed złym urokiem.

98

Laura słuchała zaintrygowana.

- Małe kule, takie jak ta, którą trzymasz w ręku, z kolorowymi bawełnianymi nitkami w środku, miały odbijać złe uroki rzucone przez przechodniów.

Laura trąciła kulę i nitki wewnątrz opadły na dół.

- A co to jest zły urok?

- Ludzie od dawna wierzyli, a niektórzy wierzą w to do dziś, że jeśli spojrzysz na kogoś z nienawiścią, rzuca się wówczas na niego zły urok, co może oznaczać jakieś nieszczęście lub chorobę.

- Czy naprawdę tak jest, ciociu Emmo? - zapytała szeptem Laura.

- Jeśli człowiek w to wierzy, ulega temu wpływowi - wyjaśniła Emma, stawiając na biurku małe czerwone pudełko. - W dawnych czasach wielu ludzi utrzymywało się z zabronionej żebraniny. Wieśniacy wierzyli, że żebrak może rzucić zły urok, jeśli nie da mu się jałmużny.

- To dlatego - powiedziała Laura po chwili milczenia - kiedy jesteśmy w Londynie, kupujemy wrzos od Cyganów. Mamusia mówi, że musimy to robić, bo inaczej ściągną na nas jakieś nieszczęście. . .

- No więc sama widzisz - zaśmiała się Emma - A teraz podejdź tu i zobacz, co mam dla ciebie.

Laura podbiegła i oparła się o biurko. Kiedy Emma otworzyła pokrywkę pudełka, Laura krzyknęła z zachwytem.

- Jakie śliczne! Wygląda jak krzyż z pętelkami.

- Jest to egipski symbol życia. Uważano, że taki talizman chroni właściciela przed niebezpieczeństwem i przynosi mu szczęście.

- Jest piękny.

- To rzadki, drogocenny okaz, Tanith. Wiem, że będziesz go cenić i nigdy nie zgubisz. - Mówiąc to, Emma wyjęła krzyż z wyłożonego czerwonym jedwabiem pudełka i zawiesiła go na łańcuszku na szyi Laury. „Jest jeszcze za wcześnie na inicjację, Tanith, ale niech właśnie to będzie wstępem do niej”.

- Naprawdę należy do mnie? - Laura wzięła do ręki krzyż i oglądała go z bliska z błyszczącymi oczami. - Przez całe życie będę o niego dbać. - Objęła Emmę za szyję i uścisnęła ją mocno. - Dziękuję - szepnęła.

- Kochaj go, Tanith - powiedziała Emma, a w myśli dodała: „Moja mała czarownico”.

- Czy mogę pokazać go mamusi? - zapytała uszczęśliwiona Laura, ale widząc niechętnie spojrzenie ciotki, szybko dodała: - Nie będę jej budzić, jeśli śpi.

Emma zmusiła się do uśmiechu. Słaba, chora, przywiązana do łóżka Virginia wciąż była największym autorytetem dla kochającej ją córki. Ale to się zmieni, gdy Virginia umrze. Krzyżyk nie powinien wzbudzić żadnych podejrzeń. Nosiło go już przedtem wiele osób. Virginia przywykła do tego, że Emma wciąż obsypuje Laure podarkami.

- Oczywiście - odpowiedziała w końcu. - A potem przyjdź do kuchni. Pomożesz mi w pieczeniu bułeczek z rodzynkami. Twój tatuś będzie głodny, gdy wróci do domu. Laura pobiegła do matki, a Emma nasłuchiwała odgłosu jej kroków na kamiennej posadzce. Zrzuciła z ramion czarną pelerynę i powiesiła ją w swoim tajemnym pokoju.

Pochyliła się, by zgasić świece, i nagle przypomniała sobie jasnowłosego mężczyznę, którego zobaczyła w kryształowej kuli właśnie w tym momencie, gdy zaskoczyła ją Laura. Chciała poznać jego twarz, ale ujrzała tylko oczy i włosy. Skóra jej ścierpła na to wspomnienie. Czuli, że ten człowiek jest gdzieś blisko, bardzo blisko ich domu. Zdmuchnęła świece i wybiegła pośpiesznie. '

Przekręciwszy żołądź we fryzie nad kominkiem, zamknęła starannie sekretne wejście w boazerii. Zgasiła lampę na biurku i opuściła pokój oświetlony bladymi promieniami zimowego słońca.

IV

Land rover, zostawiając głębokie ślady w czerwonej glinie, jechał wolno w kierunku Lower Pond, położonego w dolinie pomiędzy wzgórzami. Zimowy wiatr burzył powierzchnię jeziora, napotykał dalej opór cisów i ostrokrzewu, tworzących żywopłot na południowym brzegu. Ponad żywopłotem górowały ogołocone z liści dęby z potężnymi, sękatymi konarami.

91

- No i proszę, kto by pomyślał, że będziemy mieli taki śliczny dzień pod koniec roku, błękitne niebo i słońce - powiedział wesoło Ashley, zatrzymując wóz na końcu wyboistej drogi.

- To moja zasługa - odezwała się Virginia. Postanowiłam, że musimy urządzić sobie piknik przed wyjazdem na Seszele. - Podała rękę Ashleyowi, który pomógł jej wysiąść z samochodu. - To jedno z moich najbardziej ulubionych miejsc na farmie. Szare oczy Virginii błyszczały, a zimne powietrze zabarwiło złudnym rumieńcem zdrowia jej policzki. Ubrana była w ciepły granatowy płaszcz z kapturem, a na głowie miała moherowy beret zakrywający uszy.

- Wyglądasz jak kwiat wiosenny - szepnął Ashley, podprowadzając ją do zwałonego dębu.

Pod koniec tego tygodnia mieli wracać na wyspy. Walka o Al-dabrę zakończyła się sukcesem, a lekarz upewnił Virginie, że stan jej zdrowia uległ niezwyklej poprawie.

- Już niedługo wiosna i będę skakać jak młoda koza - powiedziała.

- No, musisz trochę poczekać - wtrącił Giles, zdejmując z ramienia wiklinowy kosz.

- Drogi są błotniste, a do wiosny jeszcze daleko.

Roześmieli się wszyscy prócz Emmy, zajętej rozstawianiem pasiastych drewnianych leżaków. Przygnębiała ją myśl, że traci Laureę. Zdecydowana była poruszyć ten delikatny temat i przekonać rodziców, żeby zostawili ją w Lyewood.

- Poprzednio wybraliście się tutaj na początku roku, kiedy było wietrznie, zimno i mokro - powiedziała, rozstawiając ostatni leżak.

- Wyjechaliśmy z Anglii latem i też było zimno i mokro - zażartował Ashley.

- Teraz wyjeżdżacie w końcu roku i znowu jest wietrznie - Emma mówiła dalej, ignorując słowa Ashleya. Usiadła ciężko na jednym z leżaków, który zaskrzypiał pod nią. - Czy nie uważacie, że lepiej byłoby dla Laury, gdyby mogła żyć w jednym miejscu? Przenosicie się częściej niż rodziny dyplomatów. Te podróże nie są dla niej korzystne. Ma już prawie osiem lat i trzeba zwrócić uwagę na jej wykształcenie.

Virginia nachmurzyła się.

- Mamy tutaj doskonałe szkoły - nalegała Emma. - Giles i ja będziemy o nią dbać.

Lyewood to dom Laury.

- Dom Laury jest tam, gdzie jesteścymy -wybuchnęła Virginia. Ashley pobladł. Virginia rzadko traciła panowanie nad sobą przy ludziach, ale kiedy już do tego dochodziło, zachowywała się jak nie zważające na nic rozzłoszczone dziecko.

- Zakon Regina Mundi prowadzi na Seszelach doskonałą szkołę. Inaczej Laura nie poradziłaby sobie tutaj. - Virginia przerwała dla nabrania oddechu. -I nie tylko sobie radzi, ale w dodatku ma bardzo dobre wyniki.

Emma z pociemniałymi od gniewu oczyma wyłamywała palce, z trudem powstrzymując cisnące się na usta słowa, których nie wolno jej było powiedzieć. „Umrzesz niedługo” - pomyślała. Nie czuła litości dla swojej szwagierki. Gdy Virginia umrze, Ashley z pewnością odda jej Laurę na wychowanie. Wtedy dziecko będzie należało wyłącznie do niej.

Zrobi wszystko, by Laura opuściła Seszele. Tam, na tych wyspach, w życiu Laury pojawi się jasnowłosa mężczyzna. Musi temu zapobiec. Czuła, że gdy tylko pojawi się ten człowiek, ona sama całkowicie straci nad nią władzę. „Tanith będzie moja i zostanie tam, gdzie jest jej miejsce - w Lyewood, ze mną”.

Giles, przenosząc wzrok z Emmy na Virginie, powiedział:

- Nasza mała czarownica jest już mądrą dziewczynką. Oboje z Emmą chcielibyśmy, żeby zamieszkała z nami. Słyszałem jednak, jak rozmawia przez telefon ze swoim przyjacielem Pierre'em i z Nicole. Tęskni za nimi.

Było to mistrzowskie posunięcie. Przypomniał w ten sposób zarówno żonie, jak i siostrze, że słucha ich Laura. Patrzyła zaniepokojona na obie kobiety, które kochała i którym ufała. Wzmianka o Pierze Payecie zmusiła Emmę, by pomyślała o nowym rywalu do serca Laury.

- Taniej kosztuje bilet na Seszele niż opłata za rozmowy telefoniczne mojej córki - zaśmiał się Ashley, głaszcząc Laurę po głowie.

- Wydała już na telefony całe kieszonkowe za następny tydzień - z uśmiechem zauważyła Virginia.

Laura odetchnęła z ulgą, że mama już nie gniewa się na nikogo.

- Czy mogę pójść do Sweet Briar Meadow? - poprosiła. - Chcę sprawdzić, czy w dziupli w dębie mieszka jeszcze wiewiórka. Zaraz wrócę.

102

- Pośpiesz się, bo zjem cały piernik - ostrzegł ją Giles.

- Wrócę, zanim mama zdąży go pokroić - obiecała i pobiegła w podskokach. Po chwili już tylko jej czerwone kaloszki migają w oddali.

- A jak się miewa młody Pierre? - zapytał Giles, rozstawiając składany stół. - Jakie czyni postępy? Mam wrażenie, że Laura wprost go uwielbia. Cieszę się, że go poznam, kiedy przyjedziemy do was w przyszłym roku.

Emma w ponurym milczeniu rozłożyła żółty kraciasty obrus i zajęła się przygotowaniem lunchu.

- Jeśli chodzi o tego młodzieńca - odpowiedział Ashley, sięgając po kanapkę - to zaangażował się on w działalność nowej partii - Zjednoczonej Partii Ludowej Seszeli.

- Nowej? - zdziwił się Giles.

Ashley zastanowił się. Rzeczywiście, Partia Ludowa i Partia Demokratyczna istniały już od trzech lat. Objawy rodzącej się świadomości politycznej mieszkańców Seszeli niepokoiły go. Te niewiarygodnie piękne wyspy pod względem ekonomicznym są bardzo słabe i, jego zdaniem, powinny pozostać pod opieką brytyjską. Należały do Wielkiej Brytanii od stu pięćdziesięciu lat i Ashley nie widział żadnego powodu do zmian.

- Pierre zafascynowany jest ideą niepodległości Seszeli, a Partia Ludowa taki właśnie postawiła przed sobą cel. Wygląda na to, że jest zdecydowana przeciąć więzy łączące wyspy z Wielką Brytanią.

- Czy Pierre nie jest za młody na zajmowanie się polityką? - wyraził swoje wątpliwości Giles.

- Zbliża się do wieku, w którym chce się zmieniać świat, młodzi ludzie zawsze uważają, że potrafią rozwiązać wszystkie problemy - powiedziała Virginia, ogrzewając dłonie o garnek z zupą. - To chyba naturalne, że Pierre interesuje się sprawami swojego kraju.

- Mam nadzieję, że nie wciągnie w to Laury - wtrąciła Emma, krojąc na cienkie plastry pieczoną kurę. - Jego przodków za taką działalność nie spotkało nic dobrego. Virginia ciekawa była, co by też powiedziała Emma, gdyby wiedziała, że wśród siedemdziesięciu jakobinów zesłanych na Mahe był osławiony Corchant, który bez sądu posłał dwa tysiące ludzi na szafot, Rossignol, który brał udział w szturmie na Bastylię i był autorem słów: „Głowy będą spadać jak grad, a ulice spłyną krwią”,

i Boniface, inicjator Wrześniowej Masakry, którego żona piła krew ofiar. Miała ochotę podrażnić Emmę i powiedzieć jej, że przodkiem Pierre'a był prawdopodobnie Parein lub Corchant, odpowiedzialni za egzekucje w Lyonie. Ashley uśmiechnął się, słysząc opinię Emmy, i podsunął talerz, żeby mu nałożyła mięsa.

- Możesz się śmiać - powiedziała Emma z ponurą twarzą - ale ci wszyscy deportowani byli rewolucjonistami i mordercami. Pierre Payet ma we krwi ich geny.

- Jesteś bardzo niesprawiedliwa - oburzyła się Virginia, zapominając o własnej reakcji, gdy pierwszy raz usłyszała historię rodziny Pierre'a.

- Daj spokój, Emmo - odezwał się Ashley. - Nie jesteśmy wcale lepsi. - Na naszej małej wyspie też są różni ludzie. - Przypomniał im o angielskich królach, którzy okazywali sympatię poganom i uprawiali czary.

- Jak możesz porównywać rewolucjonistów i wyznawców dawnych kultów? - wybuchnęła Emma. - Być potomkiem czarownicy to nie to samo, co mieć w sobie geny mordercy.

- Nie gniewaj się. Porównanie rzeczywiście niezbyt dobre. Chciałem tylko zwrócić uwagę na to, że czasami możemy dowiedzieć się dziwnych rzeczy o swoich przodkach. - I żeby naprawić własną niezręczność, ująwszy rękę Emmy, dodał: - Pojedź z nami. Poznasz Pierre'a. Sama osądzisz, jaki jest. 'Przekonasz się, że to dobre towarzystwo dla Laury.

Łagodny ton Ashleya uspokoił Emmę. Natomiast Virginia nachmurzyła się. Na Szeszelach chciała mieć córkę wyłącznie dla siebie, nie dzielić się nią z zaborczą Emmą.

- Zachowujesz się jak stara kwoka - Giles zganił żonę i wstał, żeby dolać sobie zupy.

- Osiwiejesz niedługo z powodu Laury. - Stojąc tyłem do Ashleya i Virginii, spojrzał stanowczym wzrokiem na Emmę, która zrozumiała jego nieme polecenie.

- Przepraszam was - zwróciła się do Virginii i Ashleya, gdy Giles wrócił na miejsce.

- Chyba zrobiłam się trochę nerwowa z powodu waszego wyjazdu. - Spojrzała na Virginie oczyma pełnymi łez, które wywołała siłą woli. - Będzie mi was bardzo brakowało, a szczególnie Laury. Dom bez niej jest tak pusty. Gdybym miała własne dziecko... - Głos jej zadrżał ze wzruszenia.

104

- Tak, tak, Emmo, wiemy - przerwała jej Virginia ze współczuciem. - Niedługo znowu przyjedziemy i pamiętaj, że Laura zawsze będzie cię kochać.

- Łatwiej będzie wam przyjechać do nas - powiedział Ashley. - Słyszałem, że zawarto już kontrakt na budowę w przyszłym roku międzynarodowego portu lotniczego na Mahe.

- Och, nie! - jęknął Giles. - Oznacza to, że będę permanentnym słomianym wdowcem.

Zajadając pieczony drób z sałata, długo śmieli się z tego „nieszczęścia” Gilesa.

- Jest, jest tam! - usłyszeli podniecony głos Laury. - Moja wiewiórka mieszka w dziupli na dębie i na pewno mnie poznała.

- Jak wszystko, co żyje w Lyewood - zażartował Giles, zadowolony, że atmosfera stała się mniej napięta. - Nadałaś imiona dzikim ptakom, kaczkom i gołębom. Podobno też nadajesz imiona owcom.

- Och, wujku Gilesie, jesteś taki śmieszny - zawołała Laura. Czekaając, aż Emma napełni jej talerz, bawiła się krzyżykiem na łańcuszku. Ten nowy nawyk Laury irytował Virginie podobnie jak to, że żuła włosy. Virginia nie bardzo wiedziała, co ma sądzić o tym podarku Emmy. Czowała, że ten krzyż był jakimś magicznym symbolem, ale nic nie mówiła, żeby nie zrobić przykrości Emmie. Zastanawiała się, czy powinna ostrzec córkę przed dziwnymi zainteresowaniami ciotki. Postanowiła jednak nie podważać jej miłości do ciotki przez opowieści o widmach i upiorach.

Giles uroczyście napełnił szampanem cztery kieliszki, a potem nalał kilka łyżeczek tego złocistego, pieniającego się płynu do szklanki Laury. Laura postawiła szklankę na talerzu i usiadła obok Virginii. Giles wstał, odgarniając z czoła gęste, czarne włosy. Jego twarz w promieniach jasnego słońca była jeszcze bardziej męska.

- Braciszku, wyglądasz jak stary druid przed ucztą w świętym gaju dębowym. Giles spojrzał na siostrę zaskoczony.

- A tak naprawdę jestem tylko ciężko pracującym farmerem, który ma zamiar wznieść toast za swoją siostrę i szwagra. Chciałbym wam pogratulować sukcesu w trudnej walce o Aldabrę. Macie prawo być dumni z tego osiągnięcia. Wasze zdrowie!

Podniósł do góry kieliszek, w którym lśniło tysiące bąbelków. Laura spróbowała szampana skrzywiła się i schowała szklankę pod krzesło.

- Dziękujemy - powiedział Ashley - ale i obecny rząd brytyjski ma w tym niemałą zasługę.

Zaledwie o tym wspomniał, Giles gwałtownie zaatakował rząd. Lista oskarżeń była długa: największy od dwudziestu lat kryzys finansowy; funt znowu stracił na wartości; kredyty bankowe podrożały do ośmiu procent; na podatki wpłacono dwieście milionów funtów, a mimo to Wielka Brytania zmuszona była wystąpić o zagraniczne pożyczki. Na zakończenie swego przemówienia Giles oświadczył, że Wielka Brytania potrzebuje innego rządu, bo inaczej zostanie całkowicie uzależniona od państw silniejszych.

Ashley potakiwał głową. Zgadzał się z tym, co mówił Giles, ale to właśnie kłopoty ekonomiczne rządu spowodowały rezygnację z planów budowy bazy wojskowej na czterech wyspach Oceanu Indyjskiego, podobnej do bazy na wschód od Suez. Aldabra nie zostanie zniszczona betonowymi pasami startowymi. Nigdy już nie powstanie tu lotnisko wojskowe.

Virginia podniosła kieliszek z szampanem i korzystając z okazji, powiedziała:

- Ponieważ Królewskie Towarzystwo Naukowe uznało Aldab-rę za jedną z najciekawszych wysp na świecie, postanowiono założyć tam stację badawczą.

- Wspaniała wiadomość - ucieszył się Giles.

- W ten sposób świat zwróci też uwagę na inne koralowe wyspy archipelagu - podjął Ashley, biorąc kawałek placka z jagodami. -

1 mam nadzieję, że te trzy wyspy, na których jeszcze pięćset lat temu żyły ogromne żółwie i płochliwe derkacze, nie będą dłużej eksploatowane.

- Pierre mówi, że gdy Seszele wywalczą niepodległość, wszystkie wyspy będą bezpieczne, bo rząd o nie zadba - wtrąciła Laura.

- Wspaniale, kwiatuszku - powiedział Ashley - ale ochrona tych miejsc jest bardzo kosztowna, a na Seszelach nie zanotowano jeszcze boomu ekonomicznego.

- Pierre mówi... - zaczęła Laura mniej pewnym głosem.

- Pierre nie musi się o to martwić, dopóki Seszele nie zdobędą niepodległości - przerwała jej Virginia. - A teraz, córeczko, czy możesz mi podać kawałek placka upieczonego przez Emmę?

Lunch na świeżym powietrzu zakończył się w wesołej, pogodnej atmosferze. Kiedy pakowano resztki jedzenia do koszyka i wstawiano leżaki do land rovera, Giles powiedział, obejmując Virginie:

97

- Pamiętasz, jak bawiliśmy się tutaj, będąc dziećmi?

Virginia rozejrzała się po dolinie porośniętej barwinkiem i leśnymi poziomkami i zatrzymała wzrok na żywopłocie z ostrokrzewu w który wplątała się dzika róża i powojnik pnący.

-Mieliśmy Gilesie, wyjątkowe dzieciństwo – odpowiedziała, kiedy powoli szli do samochodu. - Żałuję bardzo, że nie urodziłam syna, bo Laura przekonałaby się, jak to dobrze mieć brata.

- Giles uściskał ją czule.

- Ale już jest na to za późno... - szepnęła.

_ Urodziłaś wspaniałą córkę. Wokół Laury będzie się kręcić cały tłum młodzieńców, którzy zapełnią tę dolinę, Lyewood i La Re traite. - Uniósł ją z łatwością, jak piórko, i ostrożnie umieścił w samochodzie. - Będziemy mieli mnóstwo wnuków.

Virginia przytrzymała rękę brata, a on uświadomił sobie nagle, iak bardzo czuje się ona nieszczęśliwa.

-Siostrzyczko - szepnął - nie poddawaj się. Musisz walczyć dalej. Wszyscy obdarzeni jesteśmy nie znaną nam samym wielką mocą. Zmus ją, żeby tobie służyła. Z łatwością pokonasz chorobę.

- Och, Gilesie - odpowiedziała Virginia z ciężkim westchnieniem. - Modłę się o to usilnie.

-przyznał. - Ale zazwyczaj ludzie modlą się do świętych, do Matki Boskiej i do Boga. - Przeciagnał ręką po włosach. Musiał uważać, żeby nie zranić głęboko wierzącej Virginii. Nie chciał niszczyć jej wiary, ale pragnął naklonić ją, by moca swego umysłu zapanowała nad chorobą.

- Siostrzyczko, powinnaś wykorzystać wszystkie możliwości, jakiekryją się w twoim mózgu. Znam siłę modlitwy, ale wierz mi, moce, jakie mamy w sobie, są o wiele potężniejsze.

Virginia chciała coś powiedzieć, uprzedził ją jednak.

Zaufaj mi, módl się, ale do siebie samej. Użyj siły swej podświadomości, by pokonać tę straszną chorobę.

Obejrzał się za siebie. Emma i Ashley pomogli Laurze złożyć papierowy obrus i szli w kierunku samochodu.

Przemyśl to sobie dobrze - dokończył cicho Giles i pocałował ją w policzek.

Virginia z uśmiechem przyglądała się, jak pomagał wszystkim usadowić się wygodnie w samochodzie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Seszele - 1972

I

Szorstka sizalowa lina, owinięta podwójnie wokół cętkowanych łap żółwia, wrzynała się w jego ciało. Dwaj rybacy, wychyleni za burtę drewnianego kutra, z widocznym wysiłkiem walczyli z ogromnym ciężarem zwierzęcia.

Żółw bezradnie miotał się przy burcie, aż wreszcie, wyczerpany, zamknął ciężkie powieki. Na ostry rozkaz w języku kreolskim dwaj mężczyźni w pirodzie uwiązanej do kutra chwycili za wiosła, żeby unieruchomić zdobycz.

Ociekając potem, pracowali mrużąc oczy od oślepiającego blasku słońca.

Nagle zaalarmował ich głuchy warkot motoru. Spojrzeli niespokojnie w kierunku zbliżającej się łodzi.

- Pośpiesz się - przynagliła Pierre'a Laura, uchwyciwszy się mocno burty pomarańczowo-białej motorówki.

Niespodziewanie uderzyła w nich wysoka fala i, zanim Pierre zmniejszył szybkość, łódź zaryła się dziobem w wodę. Laura, tracąc równowagę, uderzyła się o przednią szybę.

- O Boże! - jęknęła, pocierając stłuczone kolano.

Pierre wyłączył silnik i łódź zakołysała się spokojnie na falach.

- Nie zatrzymuj się! - krzyknęła Laura, nie zważając na dotkliwy ból. - Musimy uratować tego żółwia. Zobacz, co oni robią z tym biednym stworzeniem. Umrze na słońcu.

- Nie ma dla niego ratunku. - Pierre przykucnął, by zobaczyć jej kolano. - Schwytali go, bo ma smaczne mięso.

108

- Ale to nielegalne - oburzyła się Laura, krzywiąc się z bólu, gdy zginał jej kolano. - Przecież nie wolno już polować na zielone żółwie. , .

- Przeżyjesz - stwierdził Pierre, wstając. - Na szczęście noga nie jest złamana, ale przez kilka dni będziesz miała siniak.

- Ratujmy tego żółwia - nie ustępowała Laura. - Płynmy za nimi i zatrzymajmy ich. Proszę cię, Pierre. - Patrzyła na niego błagalnie niebieskimi oczyma.

Zawahał się. Nie potrafił nigdy odmówić Laurze. Wiedział, że gdy w przyszłym roku pojedzie do Francji uczyć się organizacji turystyki i zarządzania przedsiębiorstwami, jego myśli będą stale przy tej jasnowłosej dziewczynie.

Włączył motor łodzi i popłynął za rybakami. . .

- To wyjątkowo niepopularny zakaz, Lauro - powiedział, gdy zbliżali się do kutra. - Żółwie od wieków były tradycyjnym pożywieniem wyspiarzy. Dawniej w ogóle nie znali innego mięsa.

- Tradycje zmieniają się z biegiem czasu - stwierdziła Laura, naśladowując ton Ashleya.

- Pomyśl jednak, mała... - zaczął Pierre.

- Nie jestem mała! Mam już dwanaście lat! - rozgniewała się Laura.

- To nie zwalnia cię od myślenia. - Pociągnął ją delikatnie za włosy uczesane w koński ogon. - Ci ludzie to biedni rybacy -Zwolnił, podpływając do pirogi. - Jedzą to, co złowią. Tych kilka żółwi nie stanowi żadnego problemu. Niebezpieczni są ci, którzy sprzedają mięso żółwi do restauracji lub je eksportują.

- Och, Pierre - powiedziała Laura z przejęciem, wychylając się, by uchwycić rufę pirogi. - Spójrz, jaki nieszczęśliwy i przerażony jest ten żółw.

Pierre wyłączył silnik i zajrzał do smołowanego wnętrza łódki. Leżały już tam brzuchami do góry dwa inne żółwie, wystawione na palące słońce, z powykręcanyimi do tyłu głowami, zanurzonymi w zbierającej się na dnie wodzie. Widok tych bezbronnych, nieruchomych zwierząt był tak okropny, że Pierre odwrócił wzrok.

Laura, pamiętając o tym, czego uczyli ją rodzice, z trudem powstrzymała się od ostrych wymówek.

- Dlaczego nie jadacie ryb? - spytała rybaków. - Czy koniecznie musicie jeść żółwie?

100

Jeden z rybaków zrobił na linie pętlę i zarzucił ją na żółwia.

- Zabierz ją stąd - powiedział do Pierre'a, nie patrząc nawet w stronę Laury. Zaciął pętlę i uniósł do góry żółwia, usiłującego bezskutecznie wrócić do wody. Rzucił drugi koniec liny ludziom na kutrze. Piroga przechyliła się niebezpiecznie na burtę. Rybacy unieśli żółwia do góry. Biedne zwierzę wyciągnęło szyję i patrzyło oszalałymi ze strachu oczami, a chwilę później grzmotnęło pancierzem o drewniany pokład.

- To straszne - jęknęła Laura. - Przypomina starego profesora, który zgubił okulary. Czy nie możesz ich zmusić, żeby uwolnili tego biedaka? Powiedz, że wezwiemy policję - gorączkowała się.

Pierre pokręcił głową.

- Zanim dopłyniemy na Mahe i zadzwonimy na policję te łodzie znikną stąd. I nie będzie śladu po żadnym żółwiu.

- Ale... - Oczy Laury napęłniły się łzami.

- Bądź rozsądna - zdenerwował się Pierre. - Ani ty, ani ja nie zdołamy nic tu zdziałać. Ci rybacy są twardzi i nie pozwolą, żebyśmy się wtrącali do ich spraw. Laura przyjrzała się pięciu nagim do pasa mężczyznom zajęтым ładowaniem następnego żółwia. Zrozumiała, że Pierre ma rację.

- Uwważaj! - zawołał. - Odepchnij się od pirogi, kiedy zapuszczę silnik.

- Dlaczego oni przenoszą żółwie z pirogi na kuter? - zapytała Laura, gdy motorówka odpływała burząc fale.

- Pewnie dlatego, że łatwiej je ukryć pod sprzętem rybackim i sieciami, a także dlatego, że kuter jest szybszy.

Pierre dodał gazu i wkrótce kuter i piroga znikły za linią horyzontu. Uwagę Laury przykuły latające srebrne ryby, śmigające nad falami w ucieczce przed czającymi się w błękitnej wodzie drapieżnikami.

Laura przyglądała się z uśmiechem, jak obracając płetwami ogonowymi niczym śmigłami ślizgały się po wodzie wśród morskich ptaków. Oderwała w końcu wzrok od tego pięknego widowiska i spojrzała na Pierre'a.

Wysoki, szczupły, prowadził pewnie łódź na wysokiej fali. Znał wszystkie dziecinne sekrety i lęki Laury, zawsze chętnie mu się ze wszystkiego zwierzała, ale teraz nie wiedziała, od czego zacząć.

- Pierre - pociągnęła go za obryzganą wodą morską spodnie.

101

- Dobrze - uśmiechnął się do niej. - Posteruj, ale nie zwiększaj szybkości. I żebyś nie wyfrunęła za burtę jak te latające ryby.

- Nie, dziękuję.

Pierre spojrzał na nią zaskoczony. Przecież uwielbiała prowadzić motorówkę.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- O czym? Stale ze sobą rozmawiamy.

- Ale to coś bardzo ważnego. - Pierre spoważniał, widząc jej smutną minę. - Chodzi o mamusię.

- Usiądź koło mnie - powiedział, zmniejszając szybkość. -I włóż na głowę kapelusz, bo spalisz sobie nos.

Laura posłusznie sięgnęła po słomkowy kapelusz.

- Wiem, że mamusia jest coraz słabsza. Zawsze na Seszelach czuła się lepiej, ale tym razem jest inaczej. Boję się o nią. Ostatniej nocy słyszałam, jak ciocia Emma mówiła do tatusia, że może zostać z nami dłużej, ponieważ będziemy jej potrzebowali, gdy mamusia umrze.

Laura pociągnęła nosem i Pierre przytulił ją do siebie.

- Powiedziała także, żeby tatuś zastanowił się, czy nie powinnam zamieszkać w Sussex. - Spojrzała na Pierre'a, ale nic nie zdołała wyczytać z jego oczu zasłoniętych ciemnymi okularami. -Tak bym chciała, żeby mamusia była z nami zawsze. Mogę popychać jej fotel na kółkach i czytać jej książki. - Głos Laury załamał się. - Pierre, ja nie chcę opuszczać ciebie i Nicole.

Pogłaskał ją delikatnie po ramieniu, czując, że pieką go oczy. Spojrzał do góry, gdzie na błękitnym niebie majestatycznie szybowały dwie białe fregaty.

- Virginia pozostanie z tobą na zawsze, Lauro, nawet... - próbował ją pocieszyć.

- Och, Pierre - zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go uścisnęła. - Wiedziałam, że tak powiesz, że mnie uspokoisz.

Pierre pomyślał, że lepiej będzie, jeśli Laura zachowa choć trochę nadziei.

Emma przyleciała tu natychmiast, gdy tylko otwarto nowy port lotniczy. Pierre obawiał się, że będzie teraz zbyt częstym gościem na wyspie. Wyczuwał jej niechęć wobec siebie. Ostrożnie poruszył ten temat w rozmowie z Nicole, ale ona powiedziała mu, że wszystkie kobiety bezdziejne są zaborcze wobec cudzych dzieci. Przyjął to wyjaśnienie, ale w obecności Emmy zawsze czuł się niezręcznie.

- Teraz ty poprowadź łódź. - Pocałował Laureę w policzek i ustawił za sterem. - Nicole chce wszystkim wręczyć jakieś niespodzianki podczas lunchu. Poświęciła na to masę czasu i będzie zła, jeśli się spóźnimy. '

- Poczekaj, Pierre. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Chodzi o tego czarownika z lasu.

Pierre znieruchomiał.

- Lauro, do czego ci potrzebne amulety gris-gris? Twój rodzice będą bardzo niezadowoleni, kiedy dowiedzą się, że interesujesz się czarami.

- Pierre, jeszcze nigdzie nie byłam i nic złego nie zrobiłam - odpowiedziała, nerwowo zagryzając wargi. - Ale Cook zna dobrego czarownika, który może dać nam amulety gris-gris, żeby mamusia poczuła się lepiej.

Straciła pewność siebie, widząc groźną minę Pierre'a, zdecydowana była jednak zmusić go, by wysłuchał ją do końca i pomógł jej.

- Proszę cię, Pierre, pojedź ze mną do tego czarownika. Czary mogą pomóc. Wiem, bo ciocia Emma pokazała mi kiedyś...

Urwała nagle, przypomniawszy o przysiędze przypieczętowanej krwią. Omal jej nie złamała. Patrzyła na Pierre'a przerażona, walcząc z potrzebą zwierzenia się przyjacielowi i ze strachem, że mogłaby zdradzić sekret.

Pierre, widząc zdenerwowanie Laury, ujął ją za rękę. Znał Laureę bardzo dobrze. Od pierwszego dnia rozumieli się nawzajem i odgadywali swoje myśli. Musi ją nakłonić, by opowiedziała mu o Emmie.

- Wiem, że ludzie przesądni wierzą w potęgę czarowników, Lauro. Ale jednak lepiej nie zaczynać z tymi, co znają czarną magię afrykańską. Czasem źle się to kończy.

- Tak, Pierre, ale my chcemy tylko dobrych czarów, takich, które pomogą mamusi.

- Wiesz dobrze, że praktyki związane z gris-gris są tak samo zakazane na wyspach, jak zabijanie zielonych żółwi. Zła byłeś na tamtych rybaków, a teraz sama chcesz naruszyć prawo.

- Ja to muszę zrobić - szepnęła Laura po chwili. - Proszę cię, Pierre. On mieszka na Praslin. Cook zapewnia, że to dobry czarownik. Po lunchu Nicole wszyscy dorośli wrócą na Mahe łodzią tatusia, a my powiemy, że chcemy ponurkować przy St.

Pierre

112

Island. - Widząc dezaprobatę w oczach Pierre'a, dodała szybko: -Czarownik czeka na nas. Cook go uprzedziła.

Pierre nie odzywał się wpatrzony w wodę, jakby w jej głębiach spodziewał się znaleźć odpowiedź.

- Lauro - rzekł w końcu - zgadzam się, ale musisz mi opowiedzieć o Emmie. Nie pojedę z tobą do czarownika, jeśli coś przede mną ukrywasz.

Laura milczała.

- Czy nie ufasz mi, Lauro? Czy choć raz nie dotrzymałem danego słowa?

Laura westchnęła ciężko. Nie może zranić Pierre'a, który nigdy jej nie zdradził.

- Zrób znak krzyża na gardle i przysięgnij na śmierć i życie, że nikomu o tym nie powiesz.

Pierre uroczyście poślinił palec i nakreślił nim znak krzyża na opalonej na brąz szyi.

- No, dobrze - powiedziała Laura. - Ciocia Emma jest czarownicą. Ale dobrą czarownicą - dodała szybko. - Mówi, że ludzie uważają czarownice za złe istoty, a tak naprawdę to są one bardzo mądre.

Pierre słuchał zaskoczony, ale nie przerywał Laurze, chcąc, żeby mówiła dalej.

- To ona dała mi ten krzyż egipski. - Laura wskazała na krzyżyk zawieszony na szyi.

- To amulet, który przynosi szczęście i ma mnie ochraniać. To jest...

- A dlaczego nie dała ci odpowiedniego amuletu dla Virginii? -nie wytrzymał Pierre.

Laura przez chwilę spoglądała na niego z otwartą buzią, a potem zaśmiała się:

- Oczywiście! Ciocia Emma nam pomoże. - Ale natychmiast posmutniała. - Nie, nic z tego. Potrzebny jest do tego specjalny pokój, taki, jaki ma w Lyewood, z tymi wszystkimi magicznymi przedmiotami.

- Często bywałaś w tym pokoju? - zapytał ostrożnie Pierre.

- Tak - odpowiedziała wesoło. - Uczyłam się tam, jak robić leki z ziół i różnych innych rzeczy.

Pierre zadrżał. Wychował się na plantacji orzechów kokosowych na Praslin i spotykał tam czarowników z lasu. Ich sztuka

fascynowała go, a zarazem przerażała. Nie chciał, by Laura dała się wciągnąć w czarną magię.

- Lauro, obiecałem, że nie zdradzę twojego sekretu, a teraz ty mi coś przyrzeknij.

- Oczywiście- odpowiedziała uszczęśliwiona, że Pierre nie gniewa się na nią.

- Chcę, żebyś opowiedziała mi o wszystkim, czego uczyła cię Emma.

- Dlaczego? Czy chcesz także zostać czarownikiem?

NiC, Die Chc?,1 uważam, » ^ tez powinnaś tego chcieć -Widząc jej nachmurzoną minę, dodał

pośpiesznie: - Widzisz Lauro, moja babcia chodziła po porady i amulety do czarownika na Prashn. Kiedy się urodziłem, powiedział jej, że urodzeni pod znakiem wody muszą doskonale pływać, by uniknąć wpływu czarnej magii, bo inaczej zostaną wciągnięci przez nią i utoną Ty też jesteś spod znaku wody.

Ponieważ chcę się tobą opiekować, przyrzeknij, że nie zataisz przede mną żadnych czarodziejskich sekretów

- Obiecuję.

Laura stanęła przy sterze, niewprawnie prowadząc łódź ku jednej z ukrytych zatoczek na Praslin, a Pierre zastanawiał się czy ma powiedzieć Ashleyowi i Virginii o tym, czego dowiedział się o Emmie. „To mój obowiązek - przekonywał sam siebie - ale jeśli to zrobię, Laura nigdy mi tego nie wybaczy”.

Spojrzał na wysoką, szczupłą dziewczynkę stojącą u jego boku Wiatr rozwiewał jej włosy. Słońce oświetlało opalony nos i policzki. Roześmiana, zlizywała z warg słoną wodę, zręcznie utrzymując równowagę.

„Nie – pomyślał. – Nie mogę zawieść jej zaufania. Ze mną będzie bezpieczna.

Dowiem się o wszystkim, co robi Emma, i potrafię obronić Laurę”.

- Uważaj! - ostrzegł ją, widząc rafę koralową pod spienionymi falami przyboju.

Gdy Laura ominęła przeszkodę, Pierre zarzucił kotwicę i poszli oboje w płytkiej ciepłej wodzie, płosząc maleńkie srebrne łososie.

- Spóźniliście się - powiedziała z wyrzutem Nicole. - Jeszcze dziesięć minut i nic by nie wyszło z mojej niespodzianki.

- Nie gniewaj się - Laura uściskała Nicole, nie zważając na iei poplamiony tłuszczem fartuch.

114

- Nieźle pachnie - Pierre pociągnął nosem. - Mogę zobaczyć, co przygotowałaś?

- Nie ma mowy - zaśmiał się Ashley. - Nicole nie pozwoliła nikomu z nas zajrzeć za te skały. - Odstawił na piasek pustą butelkę po piwie. - No, ale skoro już i wy jesteście, może wreszcie ustąpi.

- Tatusiu, widzieliśmy czarno nakrapiane małe rybki, ale Pierre nie pozwolił mi się do nich zbliżyć - powiedziała Laura, podchodząc do rodziców, którzy siedzieli w cieniu drzewa palmowego.

Emma wzdrygnęła się widząc, jak Laura siada na piasku obok Virginii. Ashley wyjaśnił, że te rybki nazywają się po japońsku „fuga”. Japończycy jedzą je na

dowód, że nie lękają się śmierci. Wystarczy bowiem zjeść małej kawałek wnętrza tej ryby, żeby umrzeć po kilku minutach. Ta trucizna jest o wiele silniejsza od cyjanku i nie ma na nią lekarstwa.

- Spodziewam się, że Nicole nas tym nie uraczy - zażartowała Emma. Spodobała jej się ta kobieta o błyszczących oczach, śmiejąca się w sposób tak zaraźliwy.

- Chodźcie i sami się przekonajcie - zaprosiła ich Nicole. - Można już wejść do mojej kuchni.

Ashley i Pierre splekli ręce, robiąc krzeselko dla Virginii. Gdy objęła ich za szyje, ponieśli ją bez trudu, jakby była małym dzieckiem.

W palenisku, zrobionym przez Nicole z kamieni, jeszcze zarzyły się węgle. Gdy podprowadziła ich do zaimprovizowanego stołu, stanęli oszołomieni na widok ogromnej skorupy żółwia, ułożonej na liściach palmowych.

- W jaki sposób zdobyłaś zielonego żółwia? - zapytał Ashley.

- Przez moich starych przyjaciół z ambasady - odpowiedziała z dumą Nicole. - Mieli zezwolenie. Chciałam przygotować coś wyjątkowego z okazji utworzenia stacji badawczej na Aldabrze. Włożyliście tyle wysiłku w to, by ochronić tę wyspę. Mamy też święto z tego powodu, że Virginia i Ashley pojedą na uroczystość otwarcia stacji.

- Trzeba było zaprosić tu sekretarza ambasady, który odstąpił Virginii swoje miejsce w hydroplanie Grumman Albatros - zaśmiał się Ashley.

- Nie zrobił tego z entuzjazmem - stwierdziła Virginia. - Mnóstwo ludzi chciałoby się dostać na Aldabrę. Miałam naprawdę szczęście.

- Szczęście? - obruszył się Ashley. - Zasłużyłaś na to, żeby tam być. Pracowałeś nad tym od samego początku. - Objął ją i posadził na płaskim kamieniu. - Zaraz ci nałożę na talerz tego pysznego

- O nie, nie - zaprotestowała Nicole. - Takie rzadkie danie należy jeść na Seszelach palcami.

W doskonałych humorach zasiedli na piasku wokół żółwiej skorupy.^J

- Ale smaczne - Ashley przymknął oczy, cmokając z zachwytu -jesteś wspaniałą kucharką, Nicole. To ucztą godną bogów

Zarumieniona Nicole uśmiechnęła się do Ashleya i opuściła szybko wzrok, wykrawając z muszli tłuste kawałki mięsa

Emma zerknęła na Virginie: brała właśnie palcami kawałek mięsa i ryż i nie patrzyła w stronę Nicole.

Słaba, kaleka żona, przystojny mąż i tryskająca zdrowiem Piękna młoda kobieta to nie najszcześniejsze zestawienie" - pomyślała Emma. Obserwowała ich i doszła do wniosku, że Ashley nie domyśla się uczuć Nicole. Spojrzała na Virginie, do której przytulała się Laura. Emma już wcześniej zauważyła, że kiedy Laura miała jakieś zmartwienia lub kłopoty, zawsze szukała bliskiego kontaktu z matką. Virginia nigdy nie rozpieszczała dziewczynki, ale potrafiła bardzo szybko zamienić jej łzy w śmiech i usunąć gnębiące ją troski. „Ja też tak potrafię - szepnęła do siebie Emma. - Już wkrótce tylko do mnie będzie mogła przybiec po pocieszenie". Upewniła się w tym, patrząc na wychudzone ręce i palce Virginii.

Laura odwracała wzrok od rozłożonych kawałków tłustego żółwiego mięsa, pieczonego w skorupie przez cały ranek.

- Kwiatuszku, dlaczego nie jesz? - zmartwił się Ashley - Spróbuj, jakie to pyszne. - Wziął w garść trochę mięsa, ryżu i jarzyn i podsunął córce.

Twarz Laury zrobiła się biała jak płótno. Zerwała się na nogi i pobiegła, zasłaniając usta, pomiędzy palmy kokosowe.

- Przepraszam cię - ocierając usta wyjąkała do Pierre'a, który przyszedł sprawdzić, czy nie stało się jej nic złego. - Jestem głupia, ale...

- Rozumiem. Nie przejmuj się tak.

- Nie mów im o tym starym żółwiu, którego widzieliśmy rano. Tatuś gniewałby się na mnie.

116

- Nic nie powiem - uspokoił ją i razem poszli z powrotem, stąpając ostrożnie wśród stert zwiedłych liści palmowych.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Nie chciałabym sprawić przykrości Nicole, ale będę jeść tylko owoce. Nie będę patrzeć na to żółwie mięso i jakoś wytrzymam.

Laura miała wrażenie, że ten lunch nigdy się nie skończy. Upał zelżał nieco, gdy dorośli, uprzątnąwszy naczynia po pikniku, wsiadali do łodzi Ashleya.

- Nie wracajcie zbyt późno - zawołała Virginia, gdy łódź odpływała, burząc wodę dwiema śrubami.

- Wrócimy przed zmierzchem - obiecał Pierre.

Oboje z Laurą machali na pożegnanie rękami, czekając, aż łódź zniknie za zakrętem zatoki. Wtedy szybko poszli do swojej motorówki.

- Jesteś pewna, że spotka tam nas siostra Cook? - zapytał Pierre.

- Tak, i czarownik też na nas czeka.

- Musimy się pośpieszyć, jeśli mamy wrócić na Mahe przed zachodem słońca.

Laura pomyślała, że dla miejscowych ludzi z wysp czas nie ma istotnego znaczenia. Siostra Cook równie dobrze mogła ich umówić na jutro, a nie na dziś. „Proszę cię, bądź tam - błagała w duszy. -Nie będziemy mogli drugi raz popłynąć na Praslin, zanim mamusia nie polecą na Aldabre. Dziś jest jedyna okazja, żeby zdobyć gris-gris. Muszę go zdobyć dla mamusi”.

- Lauro!

Drgnęła i otworzyła oczy.

- Dobrze się czujesz? - Pierre badał ją niespokojnym wzrokiem.

- Tak, tylko jakiś pyłek wpadł mi do oka - skłamała.

- Pyłek na pełnym morzu? - zdziwił się Pierre.

- O, spójrz tam! Czy to nie ona? - Zadowolona, że może zmienić temat, wskazała palcem małą postać stojącą na kamienistym cyplu.

Wierciła się niecierpliwie, kiedy Pierre szukał dogodnego miejsca do zakotwiczenia łodzi.

Pobiegli szybko, obawiając się, czy siostra kucharki nie jest zła na nich za spóźnienie. Gdy znaleźli się obok niej, mruknęła coś, odwróciła się i poszła w kierunku plaży.

- Jest tak samo rozmowna jak nasza Cook - szepnął Pierre, gdy zostawili już za sobą czerwone skały i przedzierali się przez las palmowy.

Laura parsknęła śmiechem. Gdy zamierzała coś powiedzieć, potknęła się o wystający korzeń i runęła jak długa na suche liście. Ich przewodniczka zatrzymała się na chwilę, spojrzała obojętnie na dziewczynę i ruszyła dalej. Pierre nachylił się i pomógł Laurze wstać.

- Wstrętne palmisko! - Laura ze złością kopnęła korzeń i potarła zadrażnione kolano. W końcu dotarli do polany, gdzie napotkali grupkę ludzi. Kobiety we wzorzystych bawełnianych sukienkach spojrzały na nich obojętnie i zamiatały dalej miotłami czerwoną ziemię. Z jedną ręką założoną do tyłu wykonywały rytmiczne ruchy, jakby tańczyły menueta.

Pomimo cienia rzucanego przez wysokie rozłożyste palmy, powietrze było ciężkie i duszne. Odetchnęli z ulgą, gdy ich przewodniczka zboczyła ze ścieżki i przedarłszy się przez gęstwinę drzew bananowych zatrzymała się przed domkiem z blachy falistej, ustawionym na wysokich kamiennych słupkach. Ściany tego domku, kiedyś pomalowane na niebiesko, a teraz przeżarte rdzą, obrośnięte były mchem.

- To tutaj - powiedziała kobieta. - Czarownik jest w środku. Poczekam na was. - Wzięła drewniany stołek, ustawiła go w cieniu drzewa mango, zdjęła słomkowy kapelusz d szerokim rondzie i zamknęła oczy.

Laura obejrzała się niepewnie na Pierre'a, który uśmiechnąwszy się uspokajająco wziął ją za rękę i poprowadził pod górę ścieżką, wzdłuż której rosły pnącza wanilii. Laura zawahała się na chwilę przed wejściem na werandę domku.

W panującej dokoła ciszy słyszeli tylko własne oddechy. Zatrzymali się przed pasiastą, zielono-pomarańczową zasłoną w otwartych drzwiach. Laura drgnęła, gdy zasłona uniosła się i z ciemnego wnętrza wyłonił się czarownik.

Ten szczupły starzec, pomarszczony jak wysłużona cynkowa tara do prania, był tak wysoki, że musiał pochylić się w drzwiach. Miał na sobie krótkie szorty w kolorze khaki. Jego czarna twarz o głęboko osadzonych oczach okolona była gęstymi, mocno skręconymi białymi włosami.

118

- Wiem, kim jesteście i czego chcecie - odezwał się skrzypiącym głosem. - Chodźcie za mną.

Poprowadził ich na tyły domku i posadził na beczkach po benzynie, ustawionych wkoło w cieniu starego drzewa tekowego. Laurze zakręciło się w głowie od zapachu białych kwiatów, którymi obsypane były rosnące tu gęsto cierniste krzewy.

- Na co mu te trujące liście? - szeptem zapytała Laura, patrząc, jak czarownik obrywa je z gałązek.

- Zawierają daturinę - wyjaśnił Pierre - środek halucynogeny, który pomaga mu w przepowiadaniu przyszłości.

- Ale my tylko chcemy amulet gris-gris...

- Cicho, podchodzi do nas - przerwał jej Pierre. Czarownik niósł pod jedną pachą czerwonego koguta, a pod drugą pęk trujących liści. Wepchnął liście do starej puszeki po dżemie, a następnie, jedną ręką trzymając koguta za nogi, drugą ukreślił mu głowę.

- Podaj mi to - zwrócił się do Pierre'a po kreolsku, wskazując wzrokiem nóż z drewnianym trzonkiem, leżący obok puszeki.

Pierre, domyślając się, na co się zanosi, podając czarownikowi nóż, zasłonił Laurze widok.

Zręcznie obcięta głowa koguta upadła na ziemię. Przez chwilę jego żółte oczy patrzyły na nich, aż wreszcie zaszły śmiertelną mgłą. Kopnąwszy głowę ptaka na bok, czarownik wycisnął kilka kropel koguciej krwi do puszeki.

Wtedy odrzucił koguta. Bezgłowy ptak miotał się po kręgu, machając rozpaczliwie skrzydłami. Fontanna krwi trysnęła z jego szyi na ścieżkę. Pochylony nad ptakiem czarownik przyjrzał się uważnie krwawej plamie. Gdy wreszcie ptak zastygł bez ruchu, starzec w wielkim skupieniu zaczął coś do siebie mrużyć.

Pierre nie zdołał zasłonić Laurze widoku konającego koguta. Siedziała blada i nieruchoma. Gdy czarownik przywołał ją gestem ręki, podeszła do niego niemalże na oślep i usiadła na piasku u jego stóp.

- Czy przyniosłaś coś z ubrania twojej matki? - wychrypiał. Laura wyjęła z kieszeni szortów jasnozieloną apaszkę, którą

Virginia często zawiązywała na głowie, gdy pływała łodzią. Podając ją czarownikowi, poczuła delikatną woń wody kwiatowej i przypomniała sobie, jak uśmiechnięta Virginia spryskiwała się nią za

uszami. To wspomnienie umocniło Laureę w podjętej decyzji. Siedziała wyprostowana i patrzyła czarownikowi prosto w oczy nie zwracając uwagi na jego poplamione krwią palce

Starzec owinał apaszkę wokół puszki i zawiązał na niej skomplikowany supeł. Kościstą, chudą nogą przyciągnął koguta i wyrwał mu z ogona długie czerwone pióro.

Laura dysząc ciężko, przyglądała się, jak za pomocą gałęzi trującego krzewu mieszał w puszcze krew i sok z liści. Wzdrygnęła się, gdy odrzucił zakrwawioną gałąź na martwego ptaka, podniósł puszkę i powąchał jej zawartość.

Kiedy jednak zanurzył pióro w tej miksturze, a potem, mrucząc coraz głośniejsze, zaczął je ssać i lizać, Laura nie wytrzymała i odwróciła wzrok.

Pierre obserwował Laureę, w każdej chwili gotów ją podtrzymać i bronić gdyby czarownik pod wpływem narkotyku stał się agresywny. Ale starzec siedział spokojnie z zamkniętymi oczami, kiwając się miarowo na blaszanej becze.

Nagle poderwał się i ustawił beczkę przed *makalapo*. Pierre rozpoznał ten stary instrument muzyczny, choć od czasów dzieciństwa nie słyszał nikogo grającego na nim. Czarownikom z lasu zakazano praktyk znachorskich, chcąc w ten sposób zlikwidować czarną magię na wyspach, i dlatego bardzo rzadko można było usłyszeć niesamowite dźwięki *makalapo*.

Starzec uderzył kijem o blachę zawieszoną na drewnianym kabłąku którego dwa końce wetknięte były w piasek i umocowane do pni. Przy wtórze głuchego bębnienia zaczął śpiewać wysokim piskliwym głosem. Pierre nie rozumiał ani słowa tej pieśni pochodzącej z zamierzchłych czasów.

Laura, zdrętwiała i obolała od długiego siedzenia w niewygodnej pozycji, wpatrywała się w starca, wzywającego spiewem duchy,

Nagle czarownik odrzucił do tyłu głowę i błyskając białkami oczu wyszeptał niewyraźnie: - Za późno.

Laura spojrzała na Pierre'a, który dał jej znak głową, żeby nie ruszała się i nic nie mówiła.

„To niemożliwe, żeby było za późno dla mamusi - modliła się w duchu. - On musiał mieć coś innego na myśli”.

111

Odetchnęła z ulgą, gdy czarownik podniósł z ziemi stary orzech kokosowy, wydłubał z niego okrągły czarny przedmiot z dziurką w środku i wrzucił go do puszki po dżemie.

Przeraziła się, gdy podsunął jej puszkę i rozkazał, by rozwiązała apaszkę.

Gdy już to uczyniła, wzięwszy puszkę pod pachę, krokiem niepewnym jak ślepiec poczłapał na środek placyku, gdzie rozniecił niewielkie ognisko z suchych liści trującego krzewu i gałązek drzewa cynamonowego.

Skoro tylko ogień rozpalił się na dobre, wrzucił w płomień zieloną apaszkę. Zanim zdążyła się spalić, wyjął pośpiesznie z puszki krążek i pióro koguta. Następnie wylał mieszaninę krwi i soku na płomień. Trzymając w ręku krążek, rozganiał piórem czarny dym unoszący się nad trzaskającym ogniem.

Z zaczerwienionymi od dymu oczyma zaczął znowu śpiewać w niezrozumiałym dla Pierre'a języku.

Laura nie mogła się już doczekać końca tego obrzędu. Miała ochotę zanurzyć się w morzu i ochłodzić na wietrze; marzyła, by jak najprędzej opuścić tę ukrytą głęboko w lesie polanę. Przytłaczały ją ogromne drzewa o gęstych liściach, czarna chmura dymu nad głowami utrudniała oddychanie, słodki zapach kwiatów przyprawiał o mdłości. Pragnęła wrócić do domu, do Virginii, znaleźć się daleko od tego czarownika i jego amuletów gris-gris.

Usiłowała myśleć o czymś przyjemnym, tak jak doradzała jej kiedyś w dzieciństwie Virginia.

„Kiedy przyśni ci się coś złego, pomyśl o czymś miłym i od razu poczujesz się dobrze”.

Jednakże jej odrętwiały umysł nie potrafił wyczarować nic przyjemnego.

Wystraszona, nie miała odwagi się ruszyć. W pierwszej chwili nie usłyszała nawet, gdy czarownik powiedział do niej:

- Weź to - podał jej czarny krążek. - To dobry amulet gris-gris. Silnie działający, ale nie podoba mi się to, co czuję. To nie wróży nic dobrego.

Laura wzięła ostrożnie krążek i schowała go do kieszeni, wycierając ukradkiem ręce o szorty.

- Twoja matka musi stale mieć przy sobie gris-gris, w dzień i w nocy.

- Dziękuję - powiedziała, wstając.

Siostra kucharki, słysząc ich kroki, otworzyła oczy, powiedziała coś niewyraźnie mieszaniną angielskiego i kreolskiego, włożyła słomkowy kapelusz, plastikowe sandały i poprowadziła ich z powrotem przez las.

- Jeśli w coś mocno wierzysz, to się spełni - przetłumaczył Pierre.

Kobieta obejrzała się na nich i Laura nie odezwała się ani słowem, dopóki nie znaleźli się w łodzi.

- O Boże, Pierre! - rzekła w końcu, gdy odpłynęli już daleko od brzegu. - To było straszne. Miałam uczucie, że zaraz wydarzy się coś okropnego. Bardzo się bałam.

- Trzymaj się z daleka od czarów i magii, Laura. Dziwne rzeczy mogą ci się przytrafić, jeśli będziesz miała do czynienia z ludźmi którzy je praktykują.

- Ale ciocia Emma nie jest taka straszna jak ten czarownik -zaoponowała Laura. - Ja ją kocham. Jest dla mnie dobra

- Oczywiście, że jest dobra - zgodził się Pierre. - Ale moja babcia zawsze powtarzała: „Odwróć monetę”. Każda rzecz ma dwie strony, niejednakowo piękne.

Laura wysłuchiwała Pierre'a w milczeniu. Wymacała w kieszeni amulet gns-gris. Zawiesi go na srebrnym łańcuszku i da Virginii Powie, że to prezent z okazji udanej akcji o ocalenie Aldabry Będzie pilnować, żeby Virginia miała go zawsze przy sobie.

Czarownik uprzedził, że trzeba go stale nosić.

W spokojnej aż po horyzont, skrzącej się wodzie odbijały się jak w lustrze różowe i srebrzyste cumulusy.

Oparta o burtę Laura patrzyła na kilwater łodzi, w którym te piękne obłoki pękały, rozpadając się na kawałki.

II

Pierwsze promienie słońca przesączały się o świecie do sypialni przez opuszczone żaluzje. Pod sufitem w ciepłym powietrzu kręcił się z szumem wentylator.

Virginia jęknęła cicho przez sen i przekreśliła się na plecy. Bezszykownie usiłowała zrzucić z siebie prześcieradło, które owinęło się ciasno wokół jej ciała jak kaftan bezpieczeństwa. Mokra od

122

potu włosy kleiły się do poduszki, a jej przymknięte powieki nerwowo drgały.

„Nie, Ashleyu, nie!” - Zobaczyła, jak opalonymi, muskularnymi ramionami obejmuje szczupłą kibić Nicole i przyciąga ją do siebie.

Ty już do niczego się nie nadajesz, ptaszyno - odburknął. - Jesteś chora i bezużyteczna”.

W jego oczach wyczytała miłość do Nicole, słyszała ich przyśpieszone oddechy.

Nicole potrząsnęła głową i fala czarnych, gęstych włosów spłynęła na jej ramiona. Z rozchyłonymi ustami zaborczym ruchem usiadła okrakiem na Ashleyu.

„Och, nie! - jęknęła Virginia na widok wbiegającej do pokoju Laury. - Lauro! Lauro!" zawołała.

Ale Laura, nie zwracając na nią uwagi, podeszła do Ashleya i Nicole. . . „

„To są moi rodzice - zaśmiała się. - Moi nowi rodzice . Objęli ją i wszyscy troje spojrzeli na Virginie, jakby ją o coś oskarżali.

Z koszmarne go snu wyrwał Virginie trzask podnoszonych żaluzji i śpiew ptaków. Roztrzęsiona, czując mdłości, z sercem bijącym jak oszalałe, leżała opanowana lękiem na myśl, że może stracie Ashleya i Laurę. Ręką wymacała poduszkę obok. Ashley był już na Aldabrze. Zobaczą się dopiero w porze lunchu.

- Dzień dobry, Virginio! Dobrze spałaś? - powitała ją Emma. Odsłoniwszy okno, weszła do łazienki, postawiła pod prysznicem stołek dla Virginii i odkręciła zimną wodę. - Mamy piękną pogodę. W radiu nie zapowiadają deszczu. Będzie ci się dobrze leciało na Aldabrę.

Emma pomagała ostatnio Virginii przy kąpieli i ubieraniu się. Virginia przyłapała się na myśli, że chętnie wysłuchuje wesołej paplaniny szwagierki i jej sensacyjnych opowieści zasłyszanych od Cook Tu, na wyspach, lepiej znosiła obecność Emmy, prawdopodobnie dlatego, że nie mogła ona tak kontrolować Laury jak w Lyewood, ponieważ dziewczynka większość czasu spędzała poza domem z Pierre'em i Nicole.

- Masz szczęście, że lecis na Aldabrę. Chętnie bym się z tobą zamieniła - powiedziała Emma. Zauważyła, że dzięki takiej nie-przerywanej paplaninie w czasie porannej toalety, łatwiej było

Virginii zapanować nad upokarzającym uczuciem zależności od innych - Giles i ja całą duszą byliśmy po waszej stronie w tej walce o wyspy. - Podała rękę, by Virginia mogła się na niej wesprzeć. - Jak to Ashley napisał w artykule dla Towarzystwa Naukowego?

- Ta wyspa, rysująca się na tle lśniącego, turkusowego morza, odpoczywa jak znużony korsarz, wpatrzona w błękitne sklepienie nieba" - zacytowała Virginia.

- Pięknie to wyraził - stwierdziła z zachwytem Emma, prowadząc Virginie do łazienki. .

- To wyjątkowa wyspa. Ocean wydaje się stąd nieskazitelnie czysty i bezkresny. Morze i niebo zlewają się w jedną całość. Człowiek czuje się tak, jakby znajdował się w półprzezroczystej, cudownie błękitnej kuli.

Emma nie przerywała Virginii, która dawno już me była tak podniecona i rozentuzjasmowana.

- Jestem pewna, że podobałoby ci się na Aldabrze. Może Ashley zdołałby załatwić dla ciebie miejsce w hydroplanie. Porozmawiam z nim.

- Dziękuję ci. A wiesz, co najbardziej chciałabym zobaczyć

- Emma pomagała Virginii zdjąć nocną koszulę. - Tego ptaka, który nie potrafi latać. Tak jak dronty, olbrzymie gołębie, które żyły kiedyś na wyspie Mauritius.

- Wiem, chodzi ci o nielotnego derkacza o białej szyi - powiedziała Virginia, opierając się na ramieniu Emmy i zsuwając z nog ranne pantofle.

Przypomniała sobie małego czerwonego derkacza, który bez cienia strachu trącał dziobkiem polakierowane na czerwono paznokcie u jej nóg. Westchnęła. Na innych wyspach świat zwierzęcy od dawna nie jest już tak ufny wobec ludzi. Niezwykłość Aldabry polegała właśnie na tym, że najprzeróżniejsze stworzenia żyły na niej w harmonii z człowiekiem.

- Może nawet zobaczysz tam czarnego dronta - dodała Emma, sadzając Virginie na plastikowym stołku i zamykając kabinę z prysznicem. .

- Może. - Virginia zamknęła oczy, poddając się zimnemu strumieniowi wody, zmywającemu z niej nocne koszmary.

Z coraz większą radością myślała o czekającej ją wyprawie na Aldabrę. Pragnęła raz jeszcze spojrzeć na tę niezwykłą wyspę. Tym

124

razem przeleci nad nią hydroplanem i będzie mogła spojrzeć z góry na kanały pulsujące jak tętnice, gdy przepompowywały wodę morską do laguny.

Nurkować nie mogła już od dawna. Nie byłaby w stanie zanurzyć się głęboko i walczyć z silnym prądem laguny. Dobrze pamiętała strach, że zostanie wessana w morze pełne rekinów i groźnych barrakud.

Gdyby jednak w pobliżu był Ashley, utrzymałaby się pewnie jakiś czas na powierzchni z maską do nurkowania na twarzy, poddając się spokojnemu prądowi. Być może...

Uśmiechnęła się do swych myśli i owinąwszy się żółtym ręcznikiem, zawołała:

- Emmo, jestem już gotowa. - Chciała jak najszybciej się ubrać.

Niecierpliwie oczekiwała chwili wyjazdu. Marzyła, by popływać po lagunie łódką i krążąc między wystającymi z wody jak grzyby wysepkami obserwować szybujące w górze biało-czarne głuptaki. Lubiła te małe ptaki z czerwonymi nóżkami. Fregaty, kołysząc się na falach, czekały spokojnie na powrót głuptaków z wyprawy po ryby. Zaatakowane w locie głuptaki wypluwały cały ranny połów, natychmiast przechwytywany przez wielkie, zuchwałe fregaty. Jak chętnie zanurzyłyby rękę w kryształowej wodzie, usiłując dosięgnąć czarnych grzbietów rekinów, wyglądających tak niewinnie jak na filmach Disneya. Tęskniła za Ashleyem, za jego opiekuńczym ramieniem i zapewnieniami, że ją jeszcze kocha.

Laura zbiegła szybko po kamiennych schodkach, wyprzedzając Pierre'a. Chciała być pierwsza przy Virginii, by popchać jej wózek do samochodu. Zdyszana objęła matkę.

- Byłam pierwsza, a więc to ja popcham twój wózek. Virginia zaśmiała się, wtulając twarz we włosy córki i wdychając świeży zapach szamponu kokosowego. Odsunęła ciężkie, związane w koński ogon włosy Laury i gorąco ją ucałowała. Jej dziecko wyrosło na uroczą dziewczynkę, a wkrótce stanie się bardzo piękną kobietą.

Laura zerknęła ukradkiem, czy matka ma na szyi łańcuszek z amuletem.

- Mam go tutaj - uspokoiła ją Virginia. - Nie mogłabym zapomnieć o twoim podarku w dniu wyjazdu na Aldabrę.

Laura uściskała matkę, szczęśliwa, że będzie ona chroniona przez magiczny amulet.

- Ucałuj ode mnie tatusia i szybko wracaj - powiedziała i cofnęła się, by Pierre pomógł Virginii wsiąść do czerwonego mini-moke'a.

Nicole zajęła miejsce za kierownicą, a Emma usiadła z tyłu za wózkiem.

- Czekać na mnie przed szkołą - zawołała Nicole, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Zawiozę Emmę na południe wyspy, gdzie żyją zielone żółwie.

Virginia zza ciemnych okularów przyglądała się Nicole, rozmawiającej z Pierre'em i Laurą. Znowu powróciły obrazy z nocnego koszmaru: zobaczyła nagiego Ashleya i nagą Nicole, zobaczyła miłość i pożądanie w oczach Nicole, usłyszała ochryply, pełen namiętności głos Ashleya. Zacisnęła palce na łańcuszku od Laury, z trudem panując nad sobą.

- Zielone żółwie? - zdziwili się jednocześnie Laura i Pierre.

- Tak, chcę je poznać - powiedziała Emma, sadowiąc się wygodniej w ciasnym samochodzie.

- Chyba nie zabierzesz jej do czarownika? - zapytał Pierre po kreolsku, wymieniwszy z Laurą szybkie spojrzenie.

- Ależ skąd! - odpowiedziała Nicole i dodała szybko po angielsku: - Emmę interesują też zioła rosnące na wyspie.

Virginia otrząsnęła się. To był tylko zły sen. Nicole jest przemiła. Nie ma powodu obawiać się jej. Nie okazuje żadnego zainteresowania Ashleyem. To choroba podsuwa jej takie fantazje.

- No, musimy jechać, bo spóźnimy się na pocziwego „Żółwia Morskiego” - przerwała im Virginia, dotykając ramienia Nicole.

- „Żółw Morski”? - zdziwiła się Emma.

- Tak nazywamy hydroplany Grummana. Gdy gramolą się na brzeg z wody, są bardzo podobne do żółwi - wyjaśniła Virginia.

- Może i im grozi zagłada, gdy otwarto już nowe lotnisko - rzekła Emma. - Naciesz się tą podróżą. Kto wie, czy jeszcze polecisz.

- Nie mów tak - zawołali chórem Pierre i Nicole. Virginia zaśmiała się, zanim Emma zdążyła coś powiedzieć.

- Nie bądźcie takimi pesymistami. Hydroplany jeszcze długo będą potrzebne, zanim zbuduje się lądowiska na wyspach.

126

Ruszyli. Laura przez chwilę biegła obok samochodu, trzymając matkę za rękę.

- Do widzenia, mamusiu - zawołała. - A gdy moke zniknął w chmurze gryzącego dymu, szepnęła: - Kocham cię.

Patrzyła na pustą drogę, z trudem powstrzymując łzy. „Nie bądź dziecinna - skarciła się w duchu. - Pierre będzie się z ciebie śmiał. Nie możesz zawsze podróżować z mamą”.

Ocierając ukradkiem wilgotne oczy, schyliła się i podniosła z ziemi dojrzały owoc mango, który ofiarowała Pierre'owi.

III

Dzięki bambusowym zasłonom, nie przepuszczającym słońca, na werandzie panował półmrok i chłód.

Cook postawiła tacę na stole przed Emmą i Nicole. Nie ocierała łez, które kapały na różową pikowaną przykrywkę czajnika i na serwetkę rozłożoną na tacy.

- Usiądź - powiedziała do niej Nicole. - Napij się z nami herbaty. Od razu poczujesz się lepiej.

Cook potrząsnęła przecząco głową. Z zaczerwienionymi, pod-puchniętymi oczyma i martwą twarzą poczłapała do kuchni.

- A ty, Pierre? - zapytała Nicole.

- Nie, dziękuję. Muszę jechać po Laurę - odpowiedział z trudem. - Już dochodzi piąta. Zaraz skończy lekcję muzyki i będzie na mnie czekać.

- O Boże, biedna mała - westchnęła Nicole.

Emma przytaknęła głową, nie podnosząc oczu znad filiżanki. Trwało to bardzo długo, ale wreszcie ciemne moce wypełniły jej polecenie. „Już jesteś moja, Tanith” - pomyślała uszczęśliwiona.

Laura czekała na Pierre'a przed klasztorą szkołą Regina Mundi. Okna sal lekcyjnych otwarte były na oścież, a ciemnoszare kamienne ściany nie przepuszczały panującego na zewnątrz upału.

Trzech chłopców z College'u Seszelskiego, ubranych w szorty khaki i białe koszule, rozmawiało z Laurą. Pierre zdał sobie nagle

sprawę, że boi się śmiertelnie tego spotkania. Chłopcy natychmiast odstepili, gdy podjechał do krawężnika. Laura wskoczyła do wozu.

- Oni kłamią, Pierre! To śmierzące kłamczuchy! Powiedz, że to nieprawda!

- O co ci chodzi? - próbował zyskać na czasie.

Nicole i Emma postanowiły, że ma przywieźć Laureę do domu i wtedy dopiero Emma spokojnie i rzeczowo przekaże jej tę wiadomość. W domu łatwiej będzie ją pocieszyć i utulić. Pierre czuł się za młody, za mało doświadczony do takiej misji.

- Jeden z chłopców, którego ojciec leciał na Aldabrę, został przed chwilą zabrany do domu rządowym samochodem. - Przywarła do ramienia Pierre'a z pociemniałymi od lęku oczyma. - Oni mówią, że hydroplan rozbił się na morzu. - Głos jej się załamał.

- Pierre, powiedz, że to nieprawda! Przecież mamusia miała przy sobie gris-gris.

Wiem, że nic się jej nie stało. - Nie mogła dalej mówić.

- Tak, Virginia miała gris-gris.

Zrozpaczony, postanowił jak najszybciej zabrać ją z tego miejsca, gdzie kręciło się dużo dzieci wychodzących ze szkoły. Będzie musiał powiedzieć jej, że nie są to plotki, że to prawda, ale chciał to zrobić bez świadków. Jechał szybko ruchliwymi ulicami, skręcił ostro przy Le Niol i zjechał w dół do zatoki Beau Vallon. Całe szczęście, że głośny warkot motoru i szum wiatru wpadającego przez otwarty dach moke'a uniemożliwiały rozmowę.

- Chodź - ponaglił ją, wysiadając z samochodu zaparkowanego w głębokim cieniu drzewa tekowego, które nie wiadomo skąd wzięło się na plaży w Beau Vallon. -

Musimy porozmawiać. Pójdziemy tam, gdzie zawsze.

- Pierre, dlaczego oni tak powiedzieli? Przecież to takie okrutne.

- Podaj mi sandały i torbę z książkami. Schowam je do bagażnika.

Laura kilkakrotnie szarpnęła za pasek torbę, która zaczepiła się klamerką o siedzenie samochodu. Zrezygnowana podniosła oczy i zobaczyła, że jakaś rodzina chodząc po piasku na czworakach szuka małży tec-tec.

- Pomogę ci - powiedział Pierre, zaniepokojony jej nienaturalnym spokojem.

128

Gdy wyciągał torbę z samochodu, wypadł z niego mały czarny krążek. Laura drgnęła i złapała za cienki srebrny łań- To przecież amulet gris-gris - szepnęła. - Dlaczego mamusia nie miała go przy sobie? Przecież widziałam go na jej szyi, gdy się z nią żegnałam.

Obracała w palcach amulet z zerwanym łańcuszkiem. Spojrzała na Pierre'a z niemą prośbą, by zapewnił ją, że Virginia jest bezpieczna.

- A więc oni nie kłamali. To prawda - powiedziała me doczekawszy się odpowiedzi.

Pierre, patrząc na jej pobladłą twarz, skinął głową. Laura stała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w morze, gdzie daleko na horyzoncie wyłaniała się z chmur wyspa Silhouette.

Bez słowa pobiegła po głębokim piachu, tak lekko, jak mewa ślizgająca się na falach. Pierre rzucił kluczyki na siedzenie samochodu i podążył w ślad za nią. Laura zatrzymała się dopiero przy Wielorybiej Skale. Było to ich ulubione miejsce. Nagle podskoczyła do granitowej skały i uderzyła amuletem w otwór przypominający paszczę wieloryba.

- Lauro, opanuj się! - zawołał Pierre, podbiegając do niej.

Wymknęła mu się i cisnęła kawałki amuletu do morza. Łańcuszek zabłysnął na fali i zatonął. Laura weszła do wody. Jej pasiasty zielono-biały mundurak szkolny unosił się do góry, gdy brnęła coraz dalej w morze. Pierre'a ogarnęło przerażenie. Laura najwidoczniej zamierzała się utopić. Skoczył za nią. Płynęli potem razem w czerwieniejącej wodzie, wśród różowych i złotych odblasków zachodzącego słońca. Światła hotelowe były już prawie niewidoczne w oddali, niebo i morze tworzyły jedną czarną plamę, gdy w końcu udało się Pierre'owi namówić Laurę, by zawrócili do brzegu.

Pierre odwrócił się, czekając, aż Laura przestanie wymiotować. Objąwszy ją ramieniem, doprowadził do czarnych, ledwie widocznych skał. Wyczerpana Laura oparła się o mokry, oślizgły kamień. Pierre usiadł u jej stóp.

- A co z tatusiem? - zapytała cicho.

120 - Gtosy na wietrze

129

- Ashley jest jeszcze na Aldabrze. Słyszałem, że rząd szuka innego hydroplanu, żeby przewieźć wszystkich stamtąd. Pewnie więc przyleci lada dzień. Wiesz dobrze, że będzie się śpieszył do ciebie. - Patrzył na nią, usiłując znaleźć słowa pocieszenia. - Jestem pewny, że Virginia...

- Nie chcę mówić o... - urwała i z oczu jej pociekły łzy. Tłukła piąstkami i kopała skałę, podczas gdy Pierre usiłował ją objąć i uspokoić. Szeptał słowa pocieszenia i współczucia, ale nie był w stanie nic poradzić na jej udrękę.

Gdy wreszcie Laura przestała szlochać, Pierre posadził ją obok siebie na kamieniu, objął i oboje trwali tak bez ruchu, wpatrując się w morze.

- Czy ciocia Emma wie już o tym? - zapytała Laura, wyciskając wodę z mokrych włosów.

- Tak. Razem z Nicole czekają na ciebie w domu. Trzymając się za ręce, poszli plażą do samochodu.

- Miałaś dużo szczęścia, Lauro, że znalazła swoją matkę. Była z tobą całe dwanaście lat. I masz jeszcze ojca.

Bez słowa skinęła głową.

Para nietoperzy przeleciała tuż nad ich głowami, gdy szli pogrążoną w mroku plażą. Spod ich nóg uciekały nastroszone wojowniczo kraby. Ale oni nie zwracali na nic uwagi.

Emma i Nicole, siedzące w ciemnościach na werandzie, poderwały się na odgłos strzałów w gaźniku moke'a.

- To oni - powiedziała Nicole.

Emma przymknęła oczy z ulgą. Bogini Diana ochroniła poświęcone jej dziecko. Tanith była cała i bezpieczna. Podeszła do drzwi i zapaliła światła na zewnątrz domu.

W oślepiającym świetle ukazali się Laura i Pierre: bosi, bladzi, wyczerpani.

- Lauro! - wykrzyknęła Emma na widok pokaleczonych rąk dziewczynki i krwawych siniaków na jej nogach. - Co się stało?

W odpowiedzi na niemą prośbę w oczach Pierre'a Nicole zbiegła szybko po schodkach i przytrzymała Emmę za ramię. Poczowała ostrą woń wymiocin, gdy przytuliła do siebie Laurę. Dziewczynka oparła głowę na ramieniu Nicole i przez chwilę stały

130

tak, nic do siebie nie mówiąc. Kiedy Nicole puściła Laurę, Emma przygarnęła siostrzenicę do piersi.

- Moja mała Tanith - szepnęła, całując wilgotne włosy Laury. - Moja mała dziewczynka.

Laura, obejmując Emmę, pobrudziła jej białą bluzkę krwią z pokaleczonych rąk.

- Przygotuję gorącą kąpiel - powiedziała Nicole - a Emma

utuli cię potem w łóżku.

Pierre popatrzył za nimi, jak prowadziły Laurę do domu, a potem usiadł ciężko na schodkach i ukrył twarz w dłoniach.

Nicole i Emma zajęły się troskliwie dziewczyną. Umyły ją i wysuszyły jej włosy. Nicole wyszczotkowała je tak, że aż lśniły, a Emma posmarowała merkurochromem wszystkie rozcięcia i zadrapania. Laura krzywiła się, gdy watą dotykano jej świeżych ran, ale nie wydała z siebie żadnego jęku. Nicole włożyła jej przez głowę różową koszulę nocną i zaprowadziła do łóżka.

Laura zatrzymała się na chwilę przy stoliku nocnym i powiodła ręką po fotografii oprawionej w srebrną ramkę, na której była wraz z Pierre'em. Stali na moło w jachtklubie po wygranej w regatach i Pierre trzymał uniesioną rękę w geście zwycięzcy. Jacy byli wtedy szczęśliwi. Odwróciła wzrok od zdjęcia i weszła do łóżka.

Obie kobiety okryły ją starannie i pieczołowicie poprawiły poduszki. Podczas gdy Emma ustawiała obok łóżka wiklinowe krzesło i sadowiła się na nim, Nicole wydobyła z kieszeni inną fotografię, również w srebrnej ramce, i, podając ją Laurze, powiedziała:

- Weź na pewno chciałabyś ją mieć dziś przy sobie.

Oczy Laury napełniły się łzami, gdy spojrzała na zdjęcie zrobione na plaży.

Obejmowała na nim matkę za szyję i uśmiechały się do siebie, jakby wyznały sobie przed chwilą jakiś cudowny sekret. Była to ulubiona fotografia Virginii, którą miała zawsze na biurku w swoim pokoju.

- Dziękuję ci - wykrztusiła Laura i wyciągnęła ręce do Nicole.

- Virginia zawsze będzie z tobą, Lauro. Pamiętaj o tym. Nigdy o niej nie zapominaj ani też o tym, czego cię uczyła - szepnęła Nicole, nachylając się nad łóżkiem. - Pomyśl, jak cię kochała, a łatwiej będzie ci przetrwać te najgorsze chwile.

Pogłaskała Laurę po policzku i wyszła z pokoju, zatrzymując się tylko po to, by włączyć wentylator.

Emma nie przerywała ciszy, która zapadła po wyjściu Nicole, która leżała spokojnie, oglądając zdjęcie, a potem położyła je sobie na piersi i przycisnęła rękoma. Emma zadrżała. Czerwone od antyseptycznego płynu ręce Laury, zaciśnięte na ramce, przypominały jej pazury ofiarnego ptaka.

Emma była szczęśliwa, że Virginia nie stoi już jej na przeszkodzie. Laura musi jednak natychmiast przestać myśleć o matce, zęba ukazać jej śmierć od innej strony.

- Tanith - zaczęła Emma. - Obiecałam nauczyć cię wszystkiego o czarach i czarownicach.

Laura zamrużyła powiekami, ale nic nie odpowiedziała.

- Wiesz - ciągnęła Emma cichym, pogodnym głosem - są pewne rzeczy, w które my, czarownice, wierzymy bez zastrzeżeń. Jedną z nich jest reinkarnacja. - Uchwyciła błysk zainteresowania oczach Laury i pośpiesznie mówiła dalej: - Nie wierzymy, że dano nam jedno życie, po którym trafimy do piekła za złe uczynki lub do raju - za dobre. Nie wierzymy też, że śmierć jest kresem wszystkiego.

Gdy Laura otworzyła szeroko oczy, Emma bezwiednie uśmiechnęła się, zadowolona, że przyciągnęła uwagę dziewczynki.

- Wierzymy, że chociaż martwe ciało zostaje pogrzebane, duch nie ulega unicestwieniu. Żyje nadal.

- Nawet jeśli człowiek utonął zamknięty w samolocie i leży raz na dnie morza?

- Nawet wtedy.

Laura rozluźniła uścisk palców na fotografii i widać było, że się nieco odprężyła.

- Wierzymy, że gdy ciało umiera, dusza wędruje do Zaczarowanej Krainy.

- Czy to także jest w niebie?

- Nie, Tanith. Wierzymy, że jest to świat niewidzialny dla nas, ale łączący się ze światem widzialnym. Czasami odwiedzamy go we śnie i gdy budzimy się, jeszcze coś z tego pamiętamy.

- Czy tylko czarownice wierzą w Zaczarowaną Krainę? Emma zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ludzie wierzą w reinkarnację od tysiącleci. Reinkarnacja jest jedną z podstawowych zasad religii Azji. Starożytni Egipcjanie, Rzymianie i Grecy uważali, że dusza nigdy nie ginie. Nawet

132

antyczny filozof Pitagoras, o którym słyszałaś na lekcjach matematyki, uważał, że dusza jest nieśmiertelna. Tak więc, Tanith, nie tylko my wierzymy, że dusze żyją i wracają ponownie na Ziemię.

- To mamusia wróci? - Laura usiadła, utkwivszy pytający wzrok w Emmę.

- Dusza Virginii powróci, ale pod inną postacią, jako inna osoba.

Laura opadła z powrotem na poduszkę i wsunęła fotografię pod prześcieradło, jakby chcąc mieć matkę bliżej siebie.

- Pamiętaj, Tanith - mówiła dalej Emma z ręką opartą o kolana dziewczynki - chociaż nie ma już z nami Virginii, powinniśmy być szczęśliwi, że jej dusza żyje i któregoś dnia przeoblecze się w nowe, zdrowe ciało.

Laura skinęła potakująco głową.

- Odwróć się teraz na bok i zamknij oczy - powiedziała Emma. - Zostanę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

Laura położyła zdjęcie na poduszce. Chłód srebrnej ramki, dotykającej policzka, działał na nią kojąco.

- Ciociu Emmo - szepnęła, gdy ciotka całowała ją w czoło -dlaczego nie pomogłaś mamusi swoimi czarami? Jesteś taka mądra i tyle wiesz o magii.

Emma zamarła w bezruchu. Zapadła przytłaczająca cisza. Laura spojrzała w ciemną, szmaragdową głębię oczu ciotki.

- Ja czyniłam czary... - mówiąc to, Emma poczuła mdlący zapach czarnego bzu.

- Ale nie pomogły - dokończyła cicho Laura.

- Śpij, maleńka Tanith - szepnęła Emma. - Śpij, wszystko będzie dobrze.

Emma cicho zamknęła drzwi za sobą. Szła zaglądając do wszystkich pokoi w poszukiwaniu Nicole. Chciała uzyskać jej poparcie przed przyjazdem Ashleya, postanowiła bowiem, że Laurę powinno się nakłonić do opuszczenia wyspy i zamieszkania z nią i Gilesem w Lyewood.

Pusta weranda tonęła w mroku. Emma zeszła po schodkach na miękki, puszysty jak dywan trawnik, oświetlony jasnym światłem księżyca. Dalej, w końcu ogrodu, lśnił ponury o tej porze ocean. Emma skierowała się w stronę mola.

Wokół panowała nocna cisza. Jak gdyby śmierć rozpostarła całun nad domem i ogrodem. Nawet połyskujące srebrzyście fale bezszelestnie rozbijały się o drewniane molo.

Emma uniosła głowę i ciemnymi jak morskie głębiny oczyma spojrzała na księżyc. „Diano, wielka bogini księżycy, jesteś piękna i potężna” - pomyślała.

Usłyszała jakiś szmer na molo. Gdy szła w tamtą stronę, poczuła zapach perfum Nicole: doskonałe połączenie olejku paczu-lowego i uroczynu czerwonego.

Wyteżając wzrok, dostrzegła niewyraźną sylwetkę w cieniu falochronu.

- Nicole! - zawołała.

Odpowiedział jej Pierre i Emma zakłęła w duchu. Chciała porozmawiać z Nicole na osobności, dać jej do zrozumienia, że gdy Laura wyjedzie, będzie miała Ashleya wyłącznie dla siebie. Nicole z pewnością nie odrzuci takiej szansy.

- Gdzie jest Nicole? - zapytała.

- Jestem tutaj - Nicole pomachała ręką. Siedziała oparta o jeden z drewnianych słupków, niewidoczna, bo zasłaniał ją Pierre. - Czy Laura już zasnęła?

- Tak, była bardzo wyczerpana - odpowiedziała Emma, siadając obok nich. -

Zostałam przy niej jeszcze przez chwilę na wypadek, gdyby się obudziła. Zapaliłam światło w holu.

Jakiś czas trwali w milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Pierwsza przerwała ciszę Emma:

- Nicole, musimy porozmawiać o Laurze.

Nicole spojrzała na nią, ale nic nie wyczytała z jej twarzy w panującym wokoło mroku. Pierre wstał, chcąc odejść.

- Nie, Pierre, zostań, przecież znasz Laurę lepiej niż my. Emma, zacisnąwszy zęby, uśmiechnęła się i przytaknęła:

- Oczywiście, Pierre, możesz z nami zostać. Wszyscy wiemy, jak Laura jest do ciebie przywiązana.

Pierre wyczuł w jej głosie cień ironii.

- Teraz, kiedy Virginia odeszła, trzeba zastanowić się nad przyszłością Laury.

- A czy to nie Ashley powinien o tym decydować? - zapytał Pierre. - Przecież jest jej ojcem.

- A ja jestem jej ciotką, najbliższą krewną - ostro odpowiedziała Emma, ale natychmiast się zreflektowała i dodała spokojniej-

134

szym tonem: - Oczywiście, omówimy z nim wszystko, gdy wróci z Aldabry, miejmy nadzieję, że już jutro.

- Może lepiej po pogrzebie... - odezwała się niepewnie Nicole. - On bardzo kochał Virginie i...

- To prawda - zgodziła się Emma - ale trzeba myśleć o przyszłości. Chciałabym, żebyśmy ustaliły wspólnie pewne sprawy, zanim będziesz rozmawiać z Ashleyem. - Uśmiechnęła się do Nicole. - Ashley jest na pewno bardzo przybity i zrozpaczony, pomóżmy mu więc, przedstawiając konkretne plany dotyczące edukacji Laury. Pierre chciał coś wtrącić, ale Nicole nie dopuściła go do głosu.

- Co masz na myśli, Emmo?

Emma, zadowolona, że Nicole skłania się na jej stronę, odpowiedziała:

- Tutejsza szkoła wystarczała, dopóki Laura była mała, ale teraz powinna pójść tam, gdzie jest wyższy poziom. W naszym rejonie są wspaniałe szkoły.

Pierre poruszył się niecierpliwie, ale Nicole kopnęła go lekko w nogę.

- Ashley nie musi przeprowadzać się do Anglii. Może kontynuować swoją pracę tutaj. Przecież będziesz mu prowadzić dom i zadbasz o niego. Pierre niedługo wyjeżdża do Francji, tak więc zostaniecie tylko we dwoje - dorzuciła znacząco. Na szczęście nie widziała twarzy Nicole, ukrytej w cieniu. - Oczywiście, Laura przyjeżdżałaby na Seszele na letnie wakacje.

- I myślisz, że Ashley byłby zadowolony z takiego układu? -zapytała Nicole.

- Mężczyźni rzadko wiedzą, co jest dla nich dobre. Z pewnością uda ci się go przekonać, że tego wymaga dobro Laury. - Biorąc milczenie Nicole za zgodę, Emma pogratulowała sobie zwycięstwa. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, co mówi Nicole.

- Virginia pragnęła, by Laura wzrastała na wyspach, w ich atmosferze swobody i piękna. Uważała, że zdąży później poznać życie w dużych miastach. Nie chciałyby, żeby Laurę stąd zabrano.

- Ależ nie rozumiałaś, o co mi chodzi.

- Doskonale zrozumiałam - przerwała jej stanowczo Nicole. -Aż za dobrze. Przykro mi, Emmo, ale nie mogę ci pomóc. Wiem, jak bardzo kochasz Laurę, i że ona ciebie uwielbia, ale wydaje mi się, że w ten sposób zdradziłybyśmy Virginie.

Zaskoczona Emma wpatrywała się w Nicole, aż wreszcie opuściła wzrok. Pierre zdążył jednak zauważyć wyraz jej oczu i aż zadrżał - tyle było w nich nienawiści. Nicole powinna teraz uważać na siebie. Emma szybko się opanowała, podniosła się i otrzepawszy z piasku sukienkę, powiedziała:

- Mieliśmy męczący dzień. Idę spać. - Ziewnęła w sposób teatralny. - Zostawiam was, żebyście się mogli nadal napawać spokojem i ciszą morza.

- Dobranoc, Emmo - odpowiedziała grzecznie Nicole.

- Dobranoc - powtórzył za nią Pierre.

„Rozkoszujcie się tą wyspą, jeśli sprawia wam to przyjemność -wściekała się w duchu Emma, wchodząc na schody prowadzące do La Retraite. - Virginia nie zdoła mi przeszkodzić. Mogę jeszcze poczekać”.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na księżyc, głośno zamknęła za sobą drzwi domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Anglia i Seszele - 1977

I

Deszcz bębnił miarowo o dach daimlera stojącego przy samym murze okalającym parking. Choć był to środek lata, ale z zaciągniętego szarymi chmurami nieba londyńskiego padało bez przerwy cały dzień.

Bartholomew Harden Faulconer wsiadł do samochodu, zatrasnął i dodatkowo zablokował drzwi. Rozejrzawszy się dokoła, mruknął zadowolony. Mokre szyby wkrótce pokryje mgła, a od strony pubu samochód zasłonięty był przez pomarańczową ciężarówkę. Jej kierowca nie wróci wcześniej niż za dwie godziny, bo właśnie zabrał się do rzucania strzałkami do tarczy i musi przy okazji wypić kilka piw z kumplami.

Bart ściągnął zmoczoną skórzaną marynarkę i zwrócił się do czekającej w samochodzie kobiety. Dawno już przekroczyła wiek, który najbardziej lubił, ale po latach spędzonych w buszu rodezyjskim przestał być taki wybredny. Brał kobiety takie, jakie się trafiały. Objął ją w pasie i pchnął na tylne siedzenie.

Zaśmiała się gardłowo, gdy zadarł jej minispódmczkę. Gęste, falujące włosy koloru henny sięgały jej do pasa. Szminka rozmazała się wokół ust. Gdy pochylił się nad nią, poczuł mocną woń sherry. Przywarł ustami do jej warg i sięgnął ręką pod elastyczne rajstopy. Opierała się i tłukła go pięściami, ale przygwoździł ją swoim ciężarem. Opór kobiet zawsze go jeszcze bardziej podniecał.

- Nie chcę - jęknęła, uwolniwszy usta.

- Ależ tak, chcesz - zaproponował, ciężko dysząc. - Chciałaś już tego w pubie. Nie mogłaś się wprost doczekać.
- Ale nie na tylnym siedzeniu samochodu, jak jakaś siksa - odpowiedziała za złością, bezskutecznie próbując się wyswobodzić.
- Daj spokój, dziecinko - zmienił nagle ton z brutalnego na łagodny i przekonywający. - Jesteś cholernie pociągająca. Każdego mężczyznę doprowadzisz do szaleństwa.

Gdy przestała walczyć, uśmiechnął się do niej. Niewiele kobiet potrafiło oprzeć się Bartowi Faulconerowi. Emanowała z niego siła i pożądanie, a to działało na nie jak mocny afrodyzjak.

Pogłaskała go po brodzie żółtej niczym dojrziałej kaczan kukurydzy i podała usta do pocałunku.

- Tak właśnie trzeba, dziecinko - mruknął i podciągnął wysoko jej spódniczkę. A gdy osiągnął już to, czego chciał, z pomrukiem zadowolenia przesunął się na siedzeniu.

- I co teraz? - zapytała.

Obrzucił spojrzeniem jasnych, złocistych oczu jej wymiętą spódniczkę i umazaną szminką twarz.

- Teraz wróć do moich kumpli i napij się czegoś mocnego - odpowiedział, upychając koszulę do spodni i zapinając suwak.

- A ja?

- Doprowadź się do porządku i zwiewaj do domu. Chyba że masz ochotę również na moich kolegów. - Odblokował drzwi i otworzył je na oścież. - Tylko nie podrzyj tapicerki i nie powalaj jej szminką. Wiem, gdzie cię znaleźć, i uprzedzam, że nie będę miły.

Uśmiechając się szyderczo, wysiadł z wozu i kopniakiem zamknął za sobą drzwi. Patrzyła, jak odchodził w ciemność, beztroski i bezczelny.

- Świnia - szepnęła, schylając się po rzeczy leżące na podłodze. - Obrzydliwa świnia, wszyscy mężczyźni to cholerne świnie.

Na odgłos otwieranych z rozmachem drzwi pubu mężczyzna w średnim wieku podniósł głowę okrągłą i łysą jak kolano. Przyjrzał się Bartowi spod przymrużonych powiek. Czekał na niego już ponad godzinę. Znany tutaj jako Top, był dowódcą najemników działających w cieniu międzynarodowej polityki. Nigdy dotąd żaden nowy człowiek nie kazał mu tak długo na siebie czekać. Miał pewne zastrzeżenia wobec Barta, którego poznał w Rodezji, szuka

138

jąc nowych najemników, ale ponieważ miał on kwalifikacje potrzebne do dokonania planowanego na Szeszelach zamachu, najął go, odsuwając na bok wszelkie obawy.

„Dziwkarz - pomyślał, widząc, jak Bart nonszalanckim krokiem wchodzi do baru z przerzuconą przez ramię marynarką. -Dziwkarz, ale cholernie dobry w swoim fachu. Niektórzy na widok krwi i śmierci rzygają, a innym ciągle za mało. On jest właśnie z tych nienasyconych. Po dziesięciu latach w Afryce me ma jeszcze dość Wszyscy moi najlepsi ludzie walczyli w afrykańskim buszu .

Łyknąwszy piwa, obserwował Barta, który głośno zamawiał coś do picia przy mokrym kontuarze. „Chyba w samą porę wyciągnęliśmy go z buszu. Zna się na swoim fachu, ale muszę go mieć na oku - pomyślał. - Pewne symptomy świadczą o tym, że to urodzony morderca. Często zapomina, że jest żołnierzem”.

Bart, rozpychając ludzi, przepychał się między stolikami. Niech Bóg ma w opiece tych poczciwców na Seszelach. Mam nadzieję, że nowy prezydent da sobie radę z tym facetem, gdy pojawi się on na wyspach pod pretekstem reorganizacji sił bezpieczeństwa”. Przez moment zawahał się, czy dobrze zrobił, umieszczając Barta tak blisko prezydenta. Ale prezydent to twardy facet, który zamierza zdobyć władzę w wyniku zamachu stanu. Potrafi utrzymać w ryzach Barta Faulconera.

Top nogą odsunął krzesło, na którym ciężko usiadł Bartholomew.

- Gorąco - powiedział, ocierając pot z czoła. - Ostra dziwka, jak żyłeta... ,

- Uważaj, bo się wykończysz - ostrzegł go Top z hamowaną irytacją.

Nie ma obawy - zaśmiał się Bart, stawiając kufel na stoliku - Wprawiam się, żeby zadowolić dziewczynki na Seszelach. Palmy, białe plaże i dziewczynki o długich blond włosach. - Oblizwał wargi, wymownie przewracając oczyma.

- Pojutrze wyjeżdżasz.

Bart wyprostował się nagle, jakby dźgnięty w plecy lufą karabinu Zmrużywszy oczy jak czyhający na ofiarę lew, zapytał:

- Czy to znaczy, że wszystko już zostało przygotowane?

- Tak Mam dla ciebie dokumenty. Czy pojedziesz jako Bart Harden? Przypuszczam, że nie zechcesz używać swego własnego nazwiska.

- Było dobre do buszu. Mój stary ma fioła na punkcie praw człowieka i tym podobnych bzdur. Kiedy w grę wchodzi zabijanie wolę używać jako nazwiska swego drugiego imienia, Harden' Ojciec nie ma wtedy powodów, żeby się ciskać. Ale na Seszelach będę przy prezydencie i nazwisko Faulconer lepiej tam pasuje wzbudza szacunek.

Top kiwnął głową i podniósł szklanę.

- A teraz posłuchaj - powiedział. - Wyspiarze to spokojni łagodni ludzie. W wyniku zamachu z piątego czerwca tego roku usunięto prezydenta i pozbawiono władzy Partię Demokratyczną Na plan pierwszy wysunęła się Zjednoczona Partia Ludowa Seszeli' a na czele nowego rządu stanął poprzedni premier. Nie muszę ci mówić, że w szeregach demokratów panuje wielkie niezadowolenie i dlatego mamy zamiar przywrócić do władzy poprzedniego prezydenta. Musimy dokonać tego, zanim nowy rząd okrzepnie i uniemożliwi nam działanie. - Zlizał z wąsów białą pianę. - Weź pod uwagę, że jedyne mundury, jakie dotąd widziano na wyspie to mundury policji. Mają tam zresztą doskonałych policjantów, szkolonych według najlepszych brytyjskich tradycji w Police College w Hendon.

Oglądając szklanę, dobierał starannie słowa- Mieszkańcy Seszeli nie przepadają za żołnierzami sprowadzonymi z Afryki. Nie lubią, gdy rozkazują im obcy. - Przerwał by dokończyć tonem dowódcy wydającego rozkazy: - Uważaj, żebyś me narobił sobie kłopotów. Społeczeństwo nie chce tam ani ciebie ani twoich ludzi. Trzymaj się z daleka od polityki. Jesteś tam' dlatego, że znasz żołnierzy afrykańskich.

Pracowałeś z nimi przez wiele lat. Masz być tylko ich instruktorem. Nie zapominaj o tym -Głos Topa był ostry i stanowczy. - Wszystkie zebrane informacje przekażesz naszym agentom. Będą z tobą w kontakcie. Na Mahe mamy dwóch agentów. Znani są jako Job i King, bardzo bogaci bracia, Anglicy, którzy przybyli na Seszele, by w miły sposób spędzić tam angielską zimę.

- A kiedy dojdzie do przewrotu? - zapytał nieopatrnie Bart

- A ile czasu potrzeba, żeby wyśledzić w buszu grupę terrorystów? - Top odpowiedział pytaniem na pytanie. - Tym razem nie będziesz miał wsparcia armii rodezyjskiej. Jeśli pokrzyżujesz moje plany, zrobisz coś wbrew rozkazom, narazisz naszą operację na

130

niebezpieczeństwo, nic cię nie uratuje. Job i King doskonale znają swoją robotę.

Bart bez słowa przyjął do wiadomości tę pogrózkę.

Przez następne dwie godziny, korzystając z gwaru panującego w pubie, omawiali szczegóły zadania, jakie Bart miał wykonać w związku z planowanym przewrotem. Gdy wreszcie Top upewnił się, że Bart odegra swoją rolę bezbłędnie, wyszli z pubu, rechotali i zataczali się, doskonale udając pijaków.

II

Drzwi do gabinetu były zamknięte. Pachniała woskiem starannie wyfroterowana posadzka.

Nicole, wahając się przez chwilę, zapukała. Powróciły dręczące ją wątpliwości.

- Proszę wejść - zawołał Ashley.

Przekreśliła błyszczącą gałkę i weszła do środka. Siedział przy biurku tyłem do drzwi, a ciepły wiatr targał jego włosy. Uśmiechnął się do niej, kończąc rozmowę telefoniczną. Nicole usiadła koło biurka na wyplatanej z trzciny krześle, zakładając nogę na nogę.

Słuchał swego rozmówcy ze zrezygnowaną miną, pocierając ołówkiem nasadę nosa.

Nicole przypatrywała się Ashleyowi, myśląc, jak bardzo go kocha.

Wreszcie odłożył słuchawkę i przyglądziwszy ręką włosy, powiedział:

- To absolutnie szalony pomysł, żeby zwiększać fundusze przeznaczone na ratowanie Aldabry.

Sprawa ta bardzo martwiła Ashleya. Od 1976 roku, kiedy Seszele ogłosiły niepodległość i uniezależniły się od Wielkiej Brytanii, koszty związane z badaniami na Aldabrze ponosił rząd seszelski. Nikt nie wyobrażał sobie na Szeszelach, ile pieniędzy przez ostatnie dziesięć lat wydawał na ten cel rząd brytyjski i Towarzystwo Naukowe.

- Od kiedy Aldabra wróciła do Szeszeli, telefon urywa się od różnych pomysłów finansowania jej. No, ale dość o tym. Powiedz, z czym przysłaś.

Patrząc na jego uśmiechniętą twarz czuła, że traci pewność siebie.

- Czy kucharka znowu się dąsa? Czy Laura odrzuciła kolejnego konkurenta? A może zdenerwował cię Pierre swymi teoriami na temat polityki? - zażartował Ashley.

- Nie, nie o to chodzi. Chcę pomówić z tobą o bardzo ważnej sprawie.

Ashley odłożył ołówek i oparty o biurko czekał, co powie Nicole

- Już od jakiegoś czasu zamierzałam porozmawiać z tobą na ten temat. - Nicole zagryzła usta. Rozmowa z Ashleyem okazała się dla niej trudniejsza, niż myślała. - Chodzi o moją przyszłość

Ashley poczuł nagle, że wolałby nie słyszeć tego, co ma mu do powiedzenia Nicole.

- Ashleyu...

W tym momencie do gabinetu wpadli Pierre i Laura. Ashley odetchnął z ulgą i odwrócił się do nich z krzesłem.

- Tatusiu! - zawołała Laura, zdyszana od biegu. - Przekonaj Fierre a, żeby zabrał mnie na ich zebranie.

- Ashleyu, nie pozwól jej - poprosił Pierre. - Będzie tam tylko przeszkadzać. Nikt nie zechce mówić o polityce w jej obecności

Ashley powstrzymał się od uśmiechu. Pierre zawsze interesował się polityką, ale odkąd Zjednoczona Partia Ludowa Seszeli doszła do władzy, polityka stała się jego obsesją.

- Kwiatuszku, czy wybierasz się tam tylko po to, żeby wprowadzić zamieszanie, czy naprawdę interesujesz się polityką społeczną rządu? t

Laura, spoglądając na ojca spod długich rzęs, odpowiedziała wesoło:

- Z obu powodów. Pierre zrzędzi, bo nie lubi, kiedy jego koledzy rozmawiają ze mną.

- Rozmawiają! Dobrze sobie! - wybuchnął Pierre. - Aż się ślinią na twój widok. To obrzydliwe.

Nicole uśmiechnęła się. Pierre w dalszym ciągu roztaczał trosk-hwą opiekę nad Laurą i miał rzeczywiście powody do niepokoju. Była teraz wyjątkowo piękną siedemnastoletnią dziewczyną. Odziedziczyła po Virginii smukłą figurę i grację ruchów, ale pozostała marzycielką, ufną jak dziecko. Łączyła w sobie zmysłowość kobiety i beztroską niewinność dziecka tych wysp.

Ashley i Nicole wygrali batalię przeciwko Emmie i zatrzymali Laurę na Szeszelach, gdzie uczęszczała do miejscowego liceum.

132

Laura nie towarzyszyła Ashleyowi w jego podróży za ocean. Wolała zostać w La Retraite z Nicole i Pierre'em, którzy przeprowadzili się tu po śmierci Virginii.

Emma ukryła dobrze swoje niezadowolenie. Wiedziała, że po ukończeniu szkoły na Szeszelach Laura przyjedzie do Anglii na dalsze studia. Wtedy będzie miała swoją Tanith w Lyewood, tylko dla siebie, i zapozna ją z dawną pogańską religią. Nie wątpiła, że Laura kiedyś włoży strój kapłanki.

- Lauro - zwrócił się do niej Ashley - czy obiecasz, że nie złamiesz żadnego serca i uważnie będziesz słuchać dyskusji, jeśli Pierre zgodzi się wziąć cię ze sobą?

- Obiecuję - odpowiedziała uroczyście.

- Możesz dać jej jeszcze tę szansę, Pierre? - zapytał Ashley oficjalnym tonem.

Pierre spojrział na Laure, która schyliła głowę, zasłaniając twarz włosami.

- No dobrze, zgadzam się. Ale musi zachowywać się przyzwoicie. Nie może robić żadnych uwag.

- Ja tylko powiedziałam, że przewrót nie jest uczciwym sposobem przejęcia władzy i że ludzie powinni mieć możliwość wolnego wyboru rządu - wyjaśniła z oburzeniem Laura.

Ashley i Nicole spojrzeli po sobie, zachowując poważny wyraz twarzy.

- Kwiatuszkule, wypowiesz się w sprawach kraju wtedy, gdy będziesz pełnoprawnym, płacącym podatki członkiem społeczeństwa.

- A Pierre?

- Pierre pracuje już od dwóch lat, odkąd wrócił z Francji, i wkrótce ma dostać dobrą posadę w nowym Ministerstwie Turystyki.

Pierre, widząc smutną minę Laury, objął ją ramieniem.

- Chodź, bo się spóźnimy.

Z roz pogodzoną twarzą ucałowała Ashleya i Nicole i wyszła z Pierre'em z pokoju. Do gabinetu docierały jeszcze przez chwilę strzępy ich rozmów, gdy schodzili po schodach:

- Nie masz racji. To, że ma się władzę, nie gwarantuje wszystkim równych praw... Nie dosłyszeli odpowiedzi Pierre'a.

- I te hasła! „Nie zapomnimy nigdy Piątego Czerwca“!, „Przyszłość zależy od wolnej młodzieży“! Na co nam potrzebne wszędzie transparenty i takie slogany? Ashley pokiwał głową:

- Młodzieńcza zapalczywość! Nie potrafią na nic poczekać cierpliwie. Uważają, że znają odpowiedź na wszystko. '

- Ludzie na wyspie stale rozmawiają teraz o polityce - zauważyła Nicole. A po chwili dodała: - Oprócz ciebie.

- Według mnie polityka to brudne zajęcie. Dobra jest dla tych, którzy nie brzydzą się powalać rąk i nie boją się nieuczciwych partnerów - odparł Ashley lekkim tonem.

- Ja też myślałam o tym, żeby zająć się polityką - powiedziała Nicole.

Ashley spojrział na nią gwałtownie, a następnie usiadł znowu za biurkiem, niecierpliwie postukując ołówkiem o paznokcie. Najwyraźniej czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Po śmierci Virginii miałam dużo wolnego czasu, a teraz zanosi się na to, że będę miała go jeszcze więcej. Za rok Laura wyjedzie do Londynu na studia artystyczne. Pierre jest w pracy cały dzień i nie mam co robić w La Retraite.

Nicole przerwała, zbierając myśli. Ponad Silhouette przesunęły się chmury zabarwione na czarno i purpurowo przez promienie zachodzącego słońca. Ashley czekał cierpliwie!

- Ty jesteś pochłonięty pracami badawczymi na Aldabrze i zdobywaniem na to dodatkowych funduszy.

Ashley kiwnął głową.

- Cook doskonale da sobie radę z prowadzeniem domu. Wiem, że czasem jest nieznośna i zgryźliwa, ale to bardzo oddana i pracowita kobieta. - Nicole nerwowo kręciła na palcu staroświecki pierścionek z rubinem, który dostała w prezencie od Virginii. - Zrozum mnie, Ashleyu. Dobrze mi tutaj, ale mam już trzydzieści dziewięć lat i muszę pomyśleć o swojej przyszłości. Jeśli zaangażuję się w politykę, nie będę w stanie wypełniać moich obowiązków tutaj, dlatego...

- Myślałem, że jesteś z nami szczęśliwa, Nicole - przerwał jej cicho Ashley.

- O tak, jestem! Kocham Laureę, ten dom, was wszystkich. Będę za tym tęsknić ogromnie. Niełatwo mi podjąć taką decyzję, ale już najwyższa na to pora.

144

W gabinecie robiło się coraz ciemniej. W gęstniejącym mroku Nicole nie mogła dostrzec wyrazu twarzy Ashleya.

- Nicole, przybyłaś do nas w okresie, kiedy bardzo cię potrzebowaliśmy.

Zrezygnowałaś wtedy z pracy w ambasadzie brytyjskiej i poświęciłaś się naszej rodzinie.

Spokojny, czuły ton jego głosu wzruszył Nicole. Do oczu napłynęły jej łzy. Zaczęła pocierać nasadę nosa, żeby się nie rozplakać.

- Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć za życzliwość i serce, jakie okazałaś Virginii, i za miłość do Laury. - Odkasznął, również wzruszony. - Muszę uszanować twoją decyzję. Życzę ci szczęścia i spełnienia wszelkich marzeń w przyszłości. ^

Nicole poczuła, że robi jej się słabo: Ashley zgodził się nie zamierza jej prosić, by została, chociaż tak się do siebie zbliżyli po śmierci Virginii. „No cóż, widocznie nie odwzajemnia twoich uczuć - powiedziała sobie w duchu. - Byłaś dla niego jedynie dobrym przyjacielem i podporą w trudnych chwilach. Nie rozplacz się tylko przy nim. Odejdź z godnością”.

- Dziękuję, Ashleyu - odpowiedziała spokojnie i wstała, odsuwając krzesło. - Dziękuję, że tak długo traktowałeś mnie jak członka rodziny. Powiadomię cię o moich planach.

Opuściła pokój, cicho zamykając za sobą drzwi. Ashley westchnął i wstał ciężko z krzesła. Przeszedł na werandę krokiem starego człowieka. Oparł głowę o drewniany słup balustrady i przymknął oczy. Usłyszał wysoki, ostry dźwięk, jak gwizd czajnika. Małeńki kardynał o szkarłatnej piersi i głowie, ledwo widoczny w nikłym świetle wieczornym, kołysał się na lince bambusowej zasłony. Skończył wreszcie swą pieśń, będącą ostrzeżeniem dla każdego by trzymał się z daleka od jego terytorium i jego małżonki. A potem, przechyliwszy na bok główkę, zaczął się przyglądać zuchwale Ash-leyowi.

- Virginia - wyszeptał Ashley.

Wspomniał Virginie, słuchającą go z tak samo przechyloną na bok głową. Widział jej blond włosy, ale nie mógł już odtworzyć w pamięci jasnych, szarych oczu. Słyszał jej śmiech, ale nie rozpoznawał jej warg. Zacisnął mocno powieki, jednakże obraz Virginu w dalszym ciągu był jakiś rozmyty.

10 - Głoiy na wietrze

145

Zamiast tego ujrzał gęste, falujące czarne włosy, okalające piękny owal twarzy, jedwabiste rzęsy, przesłaniające niezwykle, szaroniebieskie oczy, zawsze uśmiechnięte usta o pełnych wargach, wymawiające miękko jego imię z wyspiarskim akcentem.

Otrząsnął się i obraz znikł. „Nie ma jej. Virginia umarła -pomyślał. - A Nicole? Czy ona też mnie opuści?”

Gdy straci Nicole, w jego życiu pozostanie próżnia, dręcząca pustka. Była przecież jego najbardziej zaufanym przyjacielem i towarzyszem. Zastąpiła Laurze matkę, powiernicę. Gdy po śmierci Virginii zamknął się w sobie zrozpaczony, ze złamanym sercem, to właśnie Nicole dodawała mu sił i odwagi. Dzięki niej pogodził się wreszcie z faktem, że morze stało się grobem Virginii. Stała się decyzją po jego stronie i nie dopuściła, by Emma zabrała Laurę do Lyewood. Pocieszała go i koła lęki Laury, łagodziła cierpienia obojga. Towarzyszyła jego jednemu dziecku w trudnych chwilach burzliwego wieku dojrzewania. Laura jej zawdzięczała szczęście, a on uspokojenie.

Siedział tak długo, błędząc nie widzącym wzrokiem po czarnym morzu i niebie. A gdy pojawił się srebrny rogalik wschodzącego księżyca, podjął decyzję. Nie chce utracić Nicole. Powinien był ją prosić, żeby z nim pozostała. Potrzebuje jej.

Drzwi do pokoju Nicole były uchylone. Zostawiała je tak ze względu na Laurę, która przez wiele miesięcy przybiegała do niej w nocy, przerażona koszmarnymi snami. To przyzwyczajenie z lat dzieciństwa stało się tradycją i teraz Laura przed pójściem do łóżka zawsze przychodziła do pokoju Nicole, gdzie omawiały wydarzenia minionego dnia. Nie zdając sobie z tego sprawy, Laura zaczęła traktować Nicole jak matkę. Wspominały często Virginie. Ból z czasem ucichł. Nicole stworzyła Laurze naprawdę szczęśliwy dom.

Ashley nieśmiało zapukał do drzwi.

- Wejdz, Lauro - zawołała Nicole przytłumionym głosem. Ashley wszedł do pokoju. Poczul znany zapach uroczynu czerwonego i olejku paczulowego.

- Nicole - szepnął - czy możemy porozmawiać? To bardzo ważne.

Nicole usiadła i sięgnęła po chusteczkę do nosa.

146

- Nie bój się. - powiedział cicho. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, możemy porozmawiać tutaj.

Otarła oczy, ale łzy w dalszym ciągu błyszczały na jej rzęsach.

- Czy mogę usiąść? - zapytał, a gdy Nicole skinęła milcząco głową, przycupnął na brzegu jej łóżka.

Lekki wiaterek szarpał zasłonami w otwartych oknach, a światło księżyca padało na jej twarz i ramiona. Ashley patrzył na nią z zachwytem.

- Wybacz mi, Ashleyu - załkała.

Objąwszy ją bezwiednie, powiedział przez zaciśnięte gardło:

- Nie płacz. Proszę cię, nie płacz, Nicole.

Gdy nieśmiało przytuliła się do niego, poczuł, jak twardnieją jej małe piersi pod koszulą nocną. Kiedy ucałował słone od łez wargi, współczucie i żal ustąpiły miejsca pożądaniu. Wydawała mu się krucha i wiotka jak ptaszek. Próbował zapanować nad sobą, ale czekał już zbyt długo i zbyt pragnął tej kobiety. Zdjął i odrzucił na bok koszulę nocną Nicole. Ułożył ją na wznak na białych poduszkach. Krzyczała pod nim z rozkoszy, a stary dom stał się świadkiem ich miłości.

- Nicole - szepnął z ustami w jej czarnych gęstych włosach. - Byłem potwornym głupcem.

- Óóó... - uciszyła go, kładąc palec na jego ustach. - Teraz należymy do siebie i to jest najważniejsze.

- Chcę... - urwał, słysząc warkot silnika mini-moke'a. Odgarnął na bok prześcieradło.

- Nie odchódź - poprosiła Nicole, całując go w szyję.

- Ale dzieci... Laura... - zaprotestował.

- Zamknąłeś drzwi. Laura nigdy nie wchodzi, jeśli drzwi są zamknięte. Chcę, byś ze mną został tej nocy, Ashleyu. Czekałam na ciebie tyle lat. Muszę uwierzyć, że to nie sen.

- Będę z tobą tej nocy i we wszystkie pozostałe.

Umilkli, słysząc kroki Laury. Nicole wyczuła napięcie Ashleya i sama wstrzymała oddech. Laura postąpiła chwilę za drzwiami, a potem usłyszeli, jak schodzi po schodach do swojej sypialni.

Odpężony Ashley odwrócił się do Nicole. Zaczął ją znowu całować, muskając wargami całe jej ciało i ponownie stwardniałe brodawki piersi. Drżała podniecona tą pieścizotą.

- Kochaj mnie - szepnęła mu do ucha.

137

Ashley pochylił się nad tą kruchą kobietą leżącą koło niego Ujrzał jej wilgotne wargi i rozpaloną pożądaniami twarz. Zrozumiał, że jego życie zaczyna się na nowo. Przenikliwy pisk rybitw krążących nad brzegiem w pobliżu moła obudził Nicole. Podmuch świeżego morskiego wiatru unosił zasłony, ukazując jasny brzask świtu. Odwróciła się i napotkała spojrzenie błyszczących oczu Ashleya.

- Obudziłeś się już - szepnęła.

- Nie śpię od godziny - odpowiedział. - Leżałem i powtarzałem sobie, jakie to szczęście, że mam ciebie. - Odgarnął splątane włosy z czoła Nicole i zajrzał głęboko w jej oczy, jakby chcąc wyczytać z nich, co naprawdę czuje. - Wiem, ile z Laurą zawdzięczamy tobie. Laura kocha cię szczerze, a teraz i ja zdałem sobie sprawę, że jesteś mi niezbędna.

Nicole chciała coś wtrącić, ale Ashley mówił dalej:

- Pojedź z nami do Lyewood na Boże Narodzenie. Pobierzemy się. Razem załatwimy wszystkie sprawy związane ze studiami Laury, a potem wrócimy na Seszele, gdzie spędzimy cudowny miodowy miesiąc.

- Pobierzemy się?

- Tak, Nicole. Zgadzasz się? Czy zechcesz zostać moją kochanką i żoną, panią Challoner?

Milczała przez chwilę, szeroko otwartymi¹ oczyma badając jego twarz, czy przypadkiem z niej nie drwi. W końcu skinęła głową z promiennym uśmiechem:

- Tak, tak, zgadzam się, Ashleyu.

Ashley wyciągnął ręce, by ją objąć, ale Nicole nagle usiadła, a prześcieradło zsunęło się z jej nagiego ciała.

- O Boże, Ashleyu, nie mogę pojechać na Boże Narodzenie do Lyewood - powiedziała z zalem. - Tego dnia wypadają urodziny mojej mamy. - Widząc zdziwienie we wzroku Ashleya, dodała: -Widzisz, ona wierzy, że umrze w przyszłym roku, przed ukończeniem osiemdziesięciu pięciu lat. Żadna z kobiet w naszej rodzinie nie może dożyć takiego wieku. To stara tutejsza przepowiednia. I dlatego w tym roku zbierze się na Praslin cała rodzina. Muszę tam być.

- Dziwna ta przepowiednia. Osiemdziesiąt pięć lat to całkiem niezły wiek.

148

Nicole zaśmiała się.

- Pewnie czarownik wypił wtedy za dużo wina palmowego. Chciał dokuczyć mojemu dziadkowi przepowiadając, że żadna kobieta w jego rodzinie nie dożyje dwudziestu pięciu lat, ale się przejęzyczył i wyszło osiemdziesiąt pięć.

- Wino palmowe to niebezpieczny trunek -zażartował Ashley. -Trudno, pobierzemy się więc na wyspie. Wrócę tu z Emmą, Gilesem i Laurą po Bożym Narodzeniu i ślub odbędzie się w La Retraite.

Gdy odpowiedziała mu radosnym spojrzeniem, wziął ją w ramiona i pokornym tonem poprosił:

- A teraz oczekuję na poranny pocałunek przyszłej pani Challoner.
Nicole, szczęśliwa jak nigdy dotąd, spełniła bez wahania jego prośbę, podając mu uległe, gorące, na pół rozchylone usta, nie ukrywając pożądanego widocznego w oczach przesłoniętych czarnymi rzęsami.

III

W starym kominku trzeszczały i parowały polana zabrane z pokrytej mokrym śniegiem ziemi. Na środku pokoju ozdobionego boazerią stała wysoka, zielona choinka, ze srebrną gwiazdą pod samym sufitem. Wokół czuć było silny, świąteczny zapach rodzynek.

- Ojej - jęknęła Laura, wydostając się spod rozłożystych gałęzi. Gdy trąciła głową dolną gałąź, zadzwoniły szklane bombki i srebrne dzwoneczki. Na piękny, gruby dywan perski posypały się suche igły. - Dopiero co zmiatałam.
Emma uśmiechnęła się, zajęta poprawianiem przekrzywionych ozdób.

- W tym roku igły wyjątkowo szybko zaczynają opadać.

- Pośpiesz się lepiej - powiedziała Emma, nie zważając na jej żale. - Giles i Ashley wkrótce przyjadą z Londynu. Miejmy nadzieję, że przywiozą suknię dla Nicole. Umieram z ciekawości i chciałabym na nią zerknąć, zanim pójdziemy na lunch do Cat Inn.

- Będzie w niej wyglądać przepięknie - powiedziała Laura, z zazdrością myśląc o wyszywanej perłami, długiej, rozkloszowanej sukni, zamówionej w Londynie specjalnie dla Nicole.

- Tak, jest bardzo ładna - przytaknęła Emma, klękając obok Laury, żeby zawiesić na choince porcelanowego anioła. - Powiedz mi, Tanith, czy jesteś zadowolona, że Ashley ponownie się żeni?

- Tak - odpowiedziała Laura z namysłem. - Tatuś był bardzo nieszczęśliwy i bardzo samotny. Przecież to nie znaczy, że zapomniał o mamusi - dodała szybko, jakby w jego obronie. - Zawsze będzie pamiętał o mamie i będzie ją kochał. Tak jak ja.

- Wiem - kiwnęła głową Emma, zawiązując białą kokardę na jednej z gałęzi, z której znowu posypały się igły.

- Właściwie niewiele się zmieni. Nicole zawsze była z nami. Ona i Pierre od początku stali się członkami naszej rodziny i bardzo ich kocham. Myślę, że to wspaniale pokochać kogoś takiego jak mój tatuś. Jest taki niezwykły.

Emma wstała, otrzepując ze spodni strzępki wstążki i kolorowych papierków.

- Któregoś dnia i ty spotkasz kogoś takiego jak Ashley. Musisz tylko uważać, żeby zakochać się w odpowiednim człowieku.

- Ale jak to zrobić?

- Masz szczęście, że twoja ciotka to bardzo mądra czarownica.

- Och, ciociu Emmo - zaśmiała się Laura - tylko nie uciekaj się znowu do twoich czarów.

Od czasu wizyty u czarownika na Praslin Laura nie wykazywała chęci odwiedzania sekretnego pokoju Emmy. Emma domyślała się, że czegoś musiała się przestraszyć, i nie nalegała. Była pewna, że gdy Laura zamieszka na stałe w Lyewood, znów zainteresuje się magią. Miała nadzieję, że nastąpi to zaraz po śmierci Virginii, ale jej plany zostały udaremnione. Ucieszyła się na wieść, że Ashley zamierza ożenić się z Nicole. Może teraz Nicole okaże się bardziej użyteczna? Ashley prawdopodobnie będzie chciał spędzać z nią więcej czasu na Szeszelach, mniej interesując się Laurą studiującą w Anglii. Artystyczne studia Laury potrwałają trzy lata i w tym czasie będzie można wprowadzić ją w arkana kultu Wicca.

- Są różne miłosne napoje ziołowe, miłosne czary, moja Tanith - powiedziała, biorąc od Laury śmietniczkę i szczotkę. - Dzięki tym czarom możesz zdobyć każdego, kogo zapragniesz. Żaden mężczyzna nie zdoła ci się oprzeć.

- Strasznie jesteś uparta - odrzekła Laura. - Jakie miłosne czary masz na myśli?
140

- Kiedy tęsknię do miłości... - zanuciła Emma popularną piosenkę, mrugając uwodzicielsko oczami i kołysząc biodrami.

Laura roześmiała się. Uwielbiała swoją ciotkę. Nie mogła się doczekać, kiedy zamieszka w Lyewood.

- ...to wystarczy mi napój miłosny - improwizowała Emma, a Laura zaklaskała do rytmu w dłonie.

- Zioła miłosne. - Zdyszana Emma usiadła w fotelu i zaczęła się na głos zastanawiać:

- Można by użyć barwinka niebieskiego, zerwanego o północy, położyć go pod

poduszkę. Wypowiesz przed zaśnięciem magiczną formułę i twój ukochany ukaże ci się we śnie.

- We śnie - zaśmiała się Laura. - A więc będzie to tylko sen.

- Niezły jest też kąkol. Daj go jakiemuś przystojniakowi, za którym szalejesz, a gdy go skosztuje, będzie twój.

- Kąkol? - zdziwiła się Laura.

- Zdobędziesz bogactwo bez większego trudu, wystarczy unieść spódniczkę i... - żartowała Emma z wesołym błyskiem w oczach.

- Ciociu Emmo! - przerwała jej zarumieniona Laura. - Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Starzy ludzie powiadają, że to działa - droczyła się z nią Emma. - Więc jeśli trafi ci się przystojniak...

- Przestań! Jesteś okropna, ciociu.

- Ja też tak uważam - zadudnił basem Giles.

Emma i Laura spojrzały w stronę drzwi. Ich śmiech zagłuszył warkot samochodu i odgłos kroków Gilesa i Ashleya. Emma chwyciła przywiezione przez nich duże kartonowe pudło.

- Suknia! - pisnęła Laura. - Suknia Nicole!

- Ostrożnie - ostrzegł je Giles. - Najpierw mnie pocałujcie. Emma wspięła się na palce, a on przycisnął ją mocno do siebie, rozkoszując się bliskością jej ciała.

- A teraz całus od mojej małej czarownicy. - Objął Laureę, która pociągnęła go za brodę, by się schylił, i szybko go pocałowała.

Następnie Laura rzuciła się w ramiona Ashleya.

- Tatusiu, jestem taka podniecona! Nie mogę się już doczekać waszego ślubu! Uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc ją tak rozradowaną.

- A teraz, panowie, wyjdźcie do holu - zakomenderowała Emma. - Nie wolno wam oglądać sukni.

- Nawet nie rzucimy okiem w tę stronę - odpowiedział Giles, rozcierając przy kominku zmarznięte ręce.

- Lekq'a numer jeden - pouczyła Laure Emma. - Nigdy nie ufaj mężczyznom. - Położyła ręce na biodrach i rzekła stanowczo: - Wychodźcie. Za trzy minuty spotkamy się w holu.

- Dobrze, dobrze - zgodził się Ashley. - Ale jestem głodny.

- Przydałaby się pieczeń wieprzowa z piwem - stwierdził Giles, poklepując Ashleya po ramieniu. - Dajemy naszym dziewczynom trzy i pół minuty i jedziemy do Cat Inn.

- Albo zakradniemy się tu i obejrzymy suknię - zagroził Ashley.

- Już was tu nie ma - rozkazała Emma, a kiedy zamknęły się za nimi drzwi, otworzyła pudło.

- O, jaka piękna! - zawołała z zachwytem Laura, dotykając mieniących się perełek, którymi wyszyta była suknia. - Moja nowa mama będzie w niej wyglądać oszałamiająco. - Przytuliła policzek do miękkiego szyfonu.

- Mama? - powtórzyła Emma, utkwivszy w niej szmaragdozielone oczy.

- Tak - szepnęła uszczęśliwiona Laura. - Chyba mogę ją tak nazywać. Jak myślisz, czy będzie z tego zadowolona?

Emma, gorączkowo zastanawiając się, co odpowiedzieć, zabrała się do pakowania sukni, z przesadną troskliwością układając fałdy, by jej nie pognieść. Nie doceniła tej małej Francuzki z wysp, która, jak się okazuje, ma tak wielki wpływ na Laure. To dziecko naprawdę ją kocha.

- Mama? Czy to trochę nie za dużo? - Zamknęła pudło i ujęła dłonie Laury w swoje ręce. - Cała uwaga Nicole skupi się teraz na Ashleyu.

Laura otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Emma, ściskając jej ręce, mówiła dalej:

- Miałam zawsze nadzieję, że to mnie będziesz uważać za swą matkę, Tanith.

Kołysałam cię w ramionach, gdy byłeś małym dzieckiem. - Spojrzała na Laure, pragnąc w jej oczach ujrzeć łzy, ale były zupełnie suche. - Zawsze traktowałam cię jak córkę.

Laura z uśmiechem uścisnęła ją mocno.

- Och, ciociu Emmo, nie możesz być moją matką. Jesteś taka śmieszna. Lubię być z tobą. Robisz takie różne dziwne rzeczy. Jesteś moją najlepszą, najukochańszą ciocią.

142

Emma zmusiła się do spokoju, ale poczuła bolesny skurcz w sercu i chłód przenikający wewnątrz. Mimo strachu trzeba będzie znowu wezwać sługi Hekate. Moce, którym umiała rozkazywać, były potężne i zgubne. Za każdym razem, kiedy przyzywała je na pomoc, musiała sporo się natrudzić, aby nad nimi zapanować, a

każda kolejna próba osłabiała ją ogromnie. Niemogła zwrócić się do Gilesa. Musiała sama sobie z tym poradzić. Jeśli zabraknie jej sił, czekają straszny koniec.

„Dziś w nocy - zdecydowała, całując Laurę lekko w policzek i wypychając z pokoju.

- Dziś w nocy znowu będą posłuszne mojej woli”.

Rzuciła pudło na sofę. „Pozostań w tym pudle - syknęła - nie oglądana i nie noszona”.

Zamknęła za sobą drzwi i zeszła schodami w ślad za Laurą.

W czasie spaceru do Cat Inn przez puste o tej porze roku pola Emma, zajęta swymi myślami, prawie nie brała udziału w ożywionej rozmowie na temat ślubu. Gdy Ashley wszedł już z Laurą do pubu, Giles z czułością w głosie zapytał Emmę:

- Czy coś się stało, moja czarownico?

- Och nie, nie, po prostu jest mi zimno - odparła lekkim tonem po sekundzie wahania. - Giles był bystrym obserwatorem i miał intuicję. Nie chciała go niepokoić, by przypadkiem w nocy nie przyszedł sprawdzić, co się z nią dzieje.

- Wiek robi swoje - dodała.

Giles roześmiał się i razem weszli do pubu. W ciepłym pomieszczeniu pachniało piwem i aż niebiesko było od dymu tytoniowego.

- Nigdy nie będziesz stara - powiedział Giles, ustawiając dwa stołki barowe koło Ashleya.

Właściciel rozpromienił się na widok Laury i natychmiast podał jej szklanekę soku jabłkowego.

- Słyszałem, że zamieszkaż na jakiś czas z ciocią i wujkiem. - Laura, popijając sok, skinęła potakująco głową. - No, Gilesie, tutejsi młodzieńcy na wyścigi pobiegną do Lyewood.

Laura zaczerwieniła się, szukając wzrokiem pomocy Ashleya.

- Ona ma zamiar studiować.

- Co tam studia, młodość ma swoje prawa - zaśmiał się rubasznie właściciel lokalu.

- Studia są bardzo absorbujące, a wakacje będę spędzać na Seszelach.
 - Na Seszelach? Podobno jest tam od ponad roku syn starego Faulconera. Wielki z niego teraz ważniak.
 - Strasznie bezczelny - uzupełniła jego żona, stawiając przed nimi kwartę jasnego piwa.
 - Co on tam robi? - zapytał Ashley, biorąc garść orzeszków. - Myślałem, że poluje w Rodezji.
 - Trenuje komandosów - wyjaśnił właściciel lokalu. - Zajęcie akurat dla niego. Sam wygląda jak morderca.
 - Kto to jest, tatusiu? Znasz go?
 - Nie, kwiatuszku, ale wiele lat temu, zaraz po twoim urodzeniu, widzieliśmy tutaj Bartholomew Faulconera. Mamie bardzo się nie spodobał.
 - Pewnie Virginia wyczuła w nim coś złego - powiedział właściciel lokalu, napełniając pusty kufel jednego z gości. - Teraz Smith chce oddać rządy w Rodezji czarnej większości i młody Faulconer wziął nogi za pas. Rodezja była dla niego za mało podniecająca. Może ma zamiar na własną rękę wszcząć wojnę na Seszelach?
 - Źle wybrał - zaśmiał się Giles. - Mogli tam zrobić bezkrwawy przewrót, ale wojny nie będzie.
 - Zazwyczaj jeden przewrót wywołuje następny, pojawia się ogólne niezadowolenie
 - wtrąciła się do rozmowy Emma, by zapobiec ewentualnym podejrzeniom Gilesa, dlaczego milczy. - Z przykrością myślę, że te piękne wyspy mogłyby się stać polem walki.
 - Są to wyspy miłości, a nie śmierci - Giles opróżnił szklanekę i pchnął po kontuarze do ponownego napełnienia. - Trudno byłoby wyspiarzy zmusić do walki.
 - Nie wszyscy się tam kochają - zaproponował Ashley. Giles zaśmiał się tubalnie i walnął Ashleya w plecy.
 - I to mówi facet, który już wkrótce poślubi najpiękniejszą kobietę na Seszelach!
 - Naprawdę? - zdziwił się właściciel pubu.
 - Tak, a Nicole jest cudowna i wszyscy ją kochamy - powiedziała Laura.
 - W takim razie ta kolejka jest na koszt firmy - ucieszył się właściciel. - Moje gratulacje. Czy zobaczymy tę panią?
- 144
- Oczywiście. Nicole i tatuś przyjadą tu na inaugurację mojego roku szkolnego w college'u. Wtedy będą już po ślubie.
 - Chciałbym jak najszybciej poznać twoją nową mamę - podał Laurze szklanekę soku jabłkowego. - Gratulacje i wszystkiego najlepszego.
- Emma również podniosła do góry szklanekę, ale piwo wydało jej się bardziej gorzkie niż kiedykolwiek.
- Jaka jest teraz sytuacja na wyspach? - Człowiek ten, jak wszyscy właściciele piwiarni, lubił plotki i zawsze można było się od niego dowiedzieć o różnych

miejscowych skandalach i mniej ważnych wydarzeniach. - Podobno komuchy chcą przejąć władzę.

- Na razie jest spokój, ale nie należy wywoływać wilka z lasu -odpowiedział Ashley.

- Mamusia zawsze mówiła, że komunizm to wspaiała idea, z tym jednak, że zrealizować ją mogliby tylko kapitaliści - odezwała się Laura.

- Oczywiście - zgodził się właściciel lokalu. - Ktoś musi płacić za te wszystkie przywileje socjalne.

- Pierre uważa, że nowy rząd jest socjalistyczny, a nie komunistyczny.

- Nie wydaje mi się - mruknął jej rozmówca, opróżniając popielniczki.

- Pierre orientuje się w tym dobrze, bo pracuje dla rządu. Prawdopodobnie wkrótce będzie odpowiedzialny za Ministerstwo Turystyki. Jest bardzo mądry.

Właściciel pubu mrugnął do Ashleya.

- Czy ten Pierre to twój narzeczony?

Laura zaczerwieniła się po uszy i odpowiedziała oburzona:

- Nie, ale jest moim najlepszym przyjacielem i zostanie moim przyrodnim bratem. Ashley skierował rozmowę z powrotem na politykę, ratując Laurę z niezręcznej sytuacji.

- Wydaje mi się, że rząd postawił sobie za główny cel poprawienie sytuacji materialnej ludności i rozwój przemysłu. Podobno przemysłem rybnym mają się zająć Francuzi. Zaczną od prymitywnych sieci, a potem będą używać koreańskich trawlerów. -W zamyśleniu powoli popijał piwo. - Poza tym, oczywiście, będą kontynuowane odwieczne poszukiwania czarnego złota. Znalazie

nie bogactw naturalnych to najważniejszy problem dla wyspy i obecnie cała uwaga skierowana jest na ropę naftową. Wolałbym, żeby skoncentrowano się na turystyce i zabudowie wybrzeży. Nie ma tam miejsca dla wież wiertniczych, zbiorników z paliwem i rybackich statków przetwórci. Obawiam się, że gdy te wielkie przemysłowe idee okażą się z jakiegoś powodu niewypałem, szkody przez nie wywołane będą już nieodwracalne. Znikną ławice tuńczyka. Turyści, którzy dopiero się tutaj pojawili, wybiorą inne podzwrotnikowe kurorty. - Westchną ciężko. - Równowaga ekologiczna wysp jest bardzo krucha. Miejmy jednak nadzieję, że socjaliści, domagający się stale nowych środków na realizację swoich idei, nie doprowadzą do jej zakłócenia, a w konsekwencji do zagłady tych wysp.

- Nie martw się, tatusiu, Pierre uważa, że teraz wyspy będą jeszcze lepiej chronione - pocieszyła go Laura. - Mocny ten sok - dodała, marszcząc nos.

- Daj mi spróbować. - Emma wzięła jej szklanekę. - Ależ to jest jabłecznik, a nie sok! Jeszcze trochę i zatańczyłabyś na kontuarze.

- Prawdziwy napój czarownic - zakpił Giles, mrużąc oczy.

- Naprawdę piją to czarownice? - zapytała Laura, spoglądając podejrzliwie na bursztynowy płyn.

- W dawnych czasach pewnie piły, a ponieważ od sfermentowanego soku z lekka się upijały, traktowały go jako napój magiczny - odpowiedziała Emma.

- Jabłko w dalszym ciągu jest owocem magicznym - wtrącił Giles, biorąc do ust garść orzeszków. - Jego owocnia ma kształt pięcioramiennej gwiazdy, jest więc jak pentagram, magiczny symbol czarnej magii.

- Co słyhać z twoją nową książką? - spytał Ashley, dając znak barmanowi, by zmienił jabłecznik na sok jabłkowy.

- Niewiele napisałem podczas lata, ale teraz praca posunęła się naprzód.

- Niedawno na Seszelach pewien człowiek został oskarżony o niezgodne z prawem uprawianie czarów, zwanych gris-gris. Zainteresował mnie ten wypadek i przeczytałem sporo książek na temat magii - powiedział Ashley. - Najbardziej zaintrygowało mnie to, że do odrodzenia kultu Wicca przyczynili się dwaj ludzie: Gardener

1 Crowley. - Przyglądał się Laurze, popijającej sok, i zastanawiał się,

146

czy nie jest to znowu jabłecznik. - Wygląda na to, że Crowley sam wymyślił różne dziwne rytuały.

- Na pewno jakieś bzdury - prychnęła pogardliwie Emma.

- Wszystkie religie i kultury mają swoje odmiany - Giles ostrzegawczo szturchnął ją pod stołem w kolano. - Jestem przekonany, że Wicca to najstarszy na świecie kult przyrody. - I zaczął objaśniać szwagrowi jego istotę.

Mówił, że rzeźby i malowidła przedstawiające czarownice i ich obrzędy pochodzą z epoki kamiennej. W związku z tym zrozumiałe jest, że w ciągu wieków zachodziły

pewne zmiany w formułach inwokacyjnych i rytuałach. Giles gotów był przyznać, że Crowley upiększył i nadał subtelniejszą formę inwokacjom i starym formułom wywołującym duchy, ale korzenie Wicca tkwią głęboko w kulcie Natury i nic się tu nie zmieniło.

Laura z zainteresowaniem przysłuchiwała się tej rozmowie. Podziwiała Gilesa, który mówił bardzo ciekawie, potwierdzając to, co usłyszała kiedyś od Emmy. Giles przeszedł do problemu odziedziczonej świadomości zbiorowej, a widząc minę Laury, zaczął wyjaśniać prostszymi słowami koncepcję Junga, który napisał, że bez względu na to, gdzie i kiedy żyli ludzie i jaka była ich kultura, zawsze mieli podobne wierzenia i mity.

- Ślady dawnych religii znajdujemy na całym świecie, od Meksyku po Europę - wtrąciła Emma.

Laura bez słowa kiwnęła głową. Właściciel pubu, oparty o kontuar, również słuchał tego z wielkim zainteresowaniem.

Giles wyjaśnił, jaką rolę odgrywa w czarnoksiężstwie odziedziczona psyche.

- Czarownicy wykorzystują boskie siły tkwiące w nich samych i te, które istnieją w eterze, w piątym wymiarze. - Chciał, by Laura zrozumiała, że istnieje jeszcze inna przestrzeń o wyższych wibracjach niż te, które są zdolni odebrać przeciętni ludzie, przystosowani do życia na tej planecie.

- To pewnie coś podobnego do tego, o czym wspominała nasza kucharka - odezwała się Laura. - Mówiła, że niszczyliśmy to, co wiedzą dzieci; wmawiamy im, że to tylko naiwna, dziecięca fantazja i w ten sposób ograniczamy ich pole widzenia i myślenia.

- Może to i racja - uśmiechnął się Giles.

Ashley, robiąc na kontuarze miejsce na pieczeń wieprzową, którą właśnie przyniosła żona właściciela, wyraził swoje obawy, że niewidzialne siły wywołane przez kult Wicca mogą być zgubne, a to, co było pierwotnie kultem Natury, może znaleźć swój finał w przerażających rytuałach, oddających ludzi we władanie groźnych duchów. Ludzie, zamiast panować nad duchami, staną się ich sługami. Emma nie odrywała oczu od talerza, gdy Giles, krojąc na cienkie plasterki pieczeń, wyjaśniał z powagą, że obrzędy odprawiane niezgodnie z rytuałem i w nieuczciwym celu rzeczywiście mogą wyrządzić komuś krzywdę. Zgodził się też, że istnieją siły szatańskie, potężne i przebiegłe, które należy pozostawić w spokoju.

- Zawsze były prawa zakazujące uprawiania czarnej magii. Są na to dowody od najdawniejszych czasów — mówił, dźgając widelcem plasterki jajka ugotowanego na twardo, jakby w ten sposób chciał przestrzec poszukujących i wątpiących, by nie angażowali się w Wicca, bo kontakt z siłami boskimi wymaga niezwyklej ostrożności.

- Czy to znaczy, że czarnoksięskie praktyki są niebezpieczne? -zapytała cicho Laura, spoglądając w kierunku Emmy.

- Ależ nie, mała czarownico. Wicca to dobra i szlachetna religia, ale ci, którzy wzywają czarne moce dla własnych zgubnych celów, igrają ze śmiercią.

Zimny dreszcz wstrząsnął Emmą. Odłożyła nóż i widelec i zaproponowała:

- Może zamówimy po kawałku tortu czekoladowego?

- Świetny pomysł - ucieszył się Ashley. - Ale musimy zaraz wracać do Lyewood, gdyż około czwartej zadzwoni Nicole.

- Opowiemy jej o sukni ślubnej. - Laura zsunęła się ze stołka, żeby podnieść z podłogi serwetkę Emmy.

- Oczywiście - Emma zmusiła się do uśmiechu.

- Zostały już tylko dwa tygodnie do tego wielkiego dnia. -Giles żartobliwie klepnął Ashleja po ramieniu.

- Ani dnia dłużej nie będziemy zwlekać i zaprosimy wszystkich mieszkańców wyspy. Lista gości wydłuża się z każdym dniem -zaśmiał się Ashley.

- Wszyscy są tak podekscytowani! - wykrzyknęła Laura. -Pierre mówi, że będzie to święto zgodne z tradycją wyspy i wszyscy będą tańczyć *moutię* przy akompaniamencie muzyki ludowej.

148

- Odpowiedni taniec na wesele - stwierdził Giles. - Kołysanie biodrami wprawi wszystkich we właściwy nastrój.

- No i pewnie podadzą słynne *caillel* - zapytała Emma.

- Tak. W zeszłym roku zniesiono zakaz połowu samców zielonych żółwi, a więc *caille* będzie z całą pewnością - potwierdza Ashley i spojrzawszy na Laurę, dodał: - Miejmy nadzieję, że pewna młoda dama nie zademonstruje swej niechęci do tej potrawy, uciekając do gaju palmowego.

- Tatusiu, byłam wtedy dzieckiem - zaprotestowała Laura. Zamknąwszy na moment oczy, przypomniała sobie świąteczny

lunch na Praslin i czarownika z lasu. „Dziś niepotrzebny mi już amulet gris-gris - pomyślała. - Wszystko układa się cudownie”.

- Ciociu Emmo - dotknęła jej ręki - mogłybyśmy pojechać jutro do Londynu? Na Burlington Arcade widziałam piękną broszkę.

- Aha - pokiwał głową Ashley - to dlatego prosiłaś o kieszonkowe za trzy miesiące z góry.

Laura uśmiechnęła się.

- To śliczna broszka w kształcie kolibra. Chcę ją kupić w prezencie ślubnym dla mojej mamy Nicole. Na pewno jej się spodoba.

Ashley poczuł, jak wzruszenie ściska go w gardle. Wiedział, że Laura kocha Nicole, ale nie przypuszczał, że zaakceptuje ją jako swoją matkę. Objął czule córkę.

- Nicole będzie wzruszona i zachwycona.

Nagle zapragną) czym prędzej wrócić do La Retraite.

- Lauro - powiedziała Emma, zakładając torbę na ramię - czy możemy przełożyć wyprawę do Londynu na pojutrze? Mam jeszcze coś do zrobienia i jutro będę bardzo zajęta.

- Oczywiście - zgodziła się Laura, machając ręką na pożegnanie właścicielowi pubu i jego żonie. - A może ci pomóc, ciociu?

- Nie, dziękuję, Tanith. Muszę to zrobić sama.

Na myśl o ogromnym, czarnym pentagramie ogarnął ją lęk.

- Kto ostatni dotrze do Briar Meadow, rozpala ogień w kominku w salonie! - zawołał Giles, otwierając szeroko drzwi pubu.

- Na pewno nie ja - zaśmiała się Laura i wszyscy hurmem opuścili Cat Inn, rozbawieni niczym dzieciaki wybiegające w szkole na przerwę.

IV

Było południe. Na przeladowanej ornamentami wieży zegarowej w centrum Mahe lśniły srebrzyście w blasku słońca cyfry i wskazówki.

Bartholomew Harden Faulconer zatrzymał mały beżowy samochód przed światłami i niecierpliwie czekał, aż przez ulicę przejdzie zgarbiony Szeszelczyk, chudy jak niesiona przez niego barrakuda, której ogon uderzał o asfalt, pozostawiając na nim mokry ślad.

- Jeszcze jeden amator wina palmowego - mrukną) do siebie Bart, ocierając wierzchem dłoni pot z czoła. - Będzie się tym zapijał, aż wreszcie wykituje. - Zniecierpliwiony nacisną) klakson. - Cholerny idiota! - zaklął, gdy starzec powłócząc nogami szedł dalej, nie oglądając się na boki, z twarzą ukrytą pod szerokim rondem kapelusza.

Bart wrzucił bieg i ruszył wprost na Szeszelczyka. Roześmiał się z satysfakcją widząc, jak pośpiesznie wskakuje on na chodnik, a ryba ląduje w rynsztoku.

- To cię nauczy ruszać się szybciej! - zawołał.

Okrzyżyl wieżę zegarową i zwolnił, wjeżdżając na główną ulicę. Była pora lunchu i dziewczyny pracujące w biurach wyszły pooglądać wystawy sklepów. Jak na jego gust były trochę za chude. Lubił, gdy miały wszystko, co potrzeba. Ale były młode i chętne. Dzięki nim łatwiej znosił na wyspie nudny okres oczekiwania na przewrót. Minione miesiące spędził trenując gwardię prezydencką do walki wręcz. Uczył ich też taktyki partyzanckiej, tak że prezydent był teraz otoczony ludźmi, którzy obroniliby go w każdej sytuacji. Jednakże Bart się nudził. Tęsknił za niebezpiecznymi polowaniami, za wprawiającymi go w stan radosnego upojenia akcjami gaszenia pożarów, a najbardziej za wyrazem oczu więźniów, którym przystawiano do skroni lufy karabinów. Był wyszkolonym zabójcą, tak niebezpiecznym jak leopold, który miota się w cyrkowej klatce czyhając na okazję, by z niej uciec. Bart potrzebował czegoś, by się rozładować.

Agenci Job i King dostrzegli to w nim natychmiast i przekazali do Londynu ostrzeżenie:

„Ten człowiek jest jak bomba z opóźnionym zapłonem”.

Za późno jednak było na zmianę planów. Bart miał w nich odegrać najważniejszą rolę. Musiał tu pozostać. Był jedynym czło

160

wiekiem, który miał wolny dostęp do prezydenta i cieszył się jego całkowitym zaufaniem. W dniu planowanego zamachu stanu Bart miał aresztować prezydenta i trzymać go tak długo, aż władzę przejmie premier poprzedniego rządu.

Gwizdnął na dwie dziewczyny idące w kierunku Jacht Klubu. Młodsza z nich, bardzo pewna siebie z powodu niewątpliwej urody, spojrzała na niego przez ramię i zawołała coś do miejscowych chłopaków pracujących na turystycznej łodzi z przezroczytym dnem. Bart zrobił się czerwony, gdy roześmieli się głośno z

dowcipu dziewczyny. Nauczył się wystarczająco dobrze języka kreolskiego w obozie wojskowym, by zrozumieć, że nazwała go spoconą świnia i dodała jeszcze coś równie niemiłego.

- Dziewka - zaklął, gwałtownie ruszając z miejsca. Dojechał do skrzyżowania Le Chantier, a następnie skręcił na drogę prowadzącą na lotnisko Cascades.

„Zobaczyłaby mnie w mundurze i od razu zmieniłaby zdanie. Na widok munduru wszystkie tracą głowy. Panicznie boją się żołnierzy”.

Młoda dziewczyna, którą poderwał kilka dni temu, gdy jechał do La Misere, była tak przerażona, że nie miała odwagi odmówić, gdy zaproponował, że ją podwiezie. Nie pisnęła nawet, gdy zjechał z drogi i poprowadził ją w góry. Była zbyt przerażona, by donieść na niego na policję lub poskarżyć się rodzicom, kiedy już odwiózł ją do domu w Cascades. Na wspomnienie tego, do czego zmusił dziewczynę w drodze powrotnej, zaczął szybciej oddychać.

- Zrobiłaby to chętnie jeszcze raz - powiedział do siebie głośno i włożył kasetę do odtwarzacza, a gdy dźwięki mocnej muzyki rockowej wypełniły samochód, mruknął: - Że też rząd pożalował pieniędzy na klimatyzację! - Dla ochłody wysunął rękę przez otwarte okno.

Droga do Cascades i portu lotniczego wiodła brzegiem morza wzdłuż potężnych granitowych głazów, które oderwały się od górskich zboczy. Nad rozszanymi na polankach drewnianymi domami, pomalowanymi na niebiesko, zielono i różowo, wznosiły się potężne drzewa mango, których owoce spadały z hukiem na porzewiałe dachy. Kamienne pale podtrzymujące drewniane konstrukcje porośnięte były paprociami i mchem. W cieniu domów grzebały w piasku kury i bawiły się dzieci.

Życie miasteczka koncentrowało się wokół niewielkich sklepików zawieszonych nad głębokimi betonowymi kanałami burzowymi i nad stromym brzegiem morskim. Młodsze dzieci biegały po podwórzach, a starsze stały beczynn timer pod ścianami. Bartowi, kiedy przybył na Seszele, droga ta wydawała się bardzo malownicza, ale szybko zaczęło go irytować, że ciągle musi omijać jakieś przeszkody i wystawać w długim szeregu aut na wąskich uliczkach.

Teraz utknął za ciężarówką wyładowującą pod jednym ze sklepów pomarańczowe i zielone paki słodkich napojów. Z przeciwka płynął nie kończący się strumień samochodów, jadących z lotniska do Victorii. Ze złością ściągnął lotnicze ciemne okulary i otarł twarz rękawem koszuli. Spojrzał na zegarek. Jeśli będzie czekał, aż ten człowiek skończy wyładunek, spóźni się i nie złapie dziewczyny, która zje lunch i wróci do pracy. Podniecił się na samo wspomnienie jej głosu, kiedy błagała, by nie robił jej krzywdy. Nagle w tłoku ulicznym ukazała się szczelina. Wrzucił bieg, dodał gazu i wykrcił gwałtownie na środek jezdni. Wtedy zauważył toczącą się przed wozem czarno-żółtą piłkę futbolową i biegnącego za nią chłopca. Zareagował natychmiast z wyostrzonym przez wojnę refleksiem: skrcił kierownicę i otarł się o ciężarówkę. Rozległ się ostry zgrzyt metalu.

- Przekłęci idioci - zaklął, sprawdzając w lusterku rozmiar szkód. '

A gdy spojrział ponownie na drogę przed sobą, zamarł. Poczłł się tak, jakby wpadł w zasadzkę w rodezyjskim buszu: czas zatrzymał się w miejscu.

Zaparkowana ciężarówka zasłoniła mu jaskrawoczerwonego mini-moke'a, do którego wsiadła kobieta o pięknych, opalonych, szczupłych udach, widocznych spod krótkiej spódniczki, co zdążył zauważyć mimo paniki, jaka go ogarnęła, gdy zorientował się, że nie zdoła się zatrzymać z powodu nadmiernej szybkości.

Jednocześnie z przeciwka ukazał się miejscowy autobus, ogromny, buchający czarnym dymem. Bart musiał wybierać między zderzeniem z autobusem albo mini-moke'em.

Przez głowę przeleciała szybka jak błyskawica myśl: „Autobus albo moke. Jeśli walnę w moke'a, to przynajmniej sam się uratuję”.

162

Ujrzał przed sobą jej szeroko otwarte z przerażenia oczy i okoloną czarnymi lokami twarz. Uderzył w nią z potwornym hukiem. Naciskając gaz do dechy, skrcił w boczną uliczkę i popędził w kierunku Cascades. Choć był żołnierzem i przywykł do śmierci, nigdy przedtem nie zabił kobiety i czuł się teraz jakoś niewyraźnie.

Po pewnym czasie serce przestało bić jak młotem. Otarł dłonie o spodnie. Nie słyszał za sobą syreny policyjnej, na drodze za nim nie było nikogo. „Udało się! - walnął ręką w kierownicę, odczuwając ogromną ulgę. - Zwiąłem”.

Zwolnił, dojeżdżając do rybackiej wioski Cascades. Przed nim rozciągało się czyste, błękitne morze z wyspami archipelagu St. Anne Marie Park. Na poboczu drogi

wiejska kobieta rozkładała na szarych skałach świeżo uprane sukienki, by wyschły w promieniach palącego słońca. Z daleka przypominały kolorowe pnącza bugenwilli. . ,

Ta sielska sceneria przywróciła Bartowi spokój. Śmierć tamtej kobiety zostanie potraktowana jako jeszcze jeden wypadek drogowy. Uniknie gniewu Topa, który miał opinię człowieka bezwzględnego. Bart zdawał sobie sprawę, że zaciągając się do najemników, całkowicie oddał się we władzę tego człowieka. I nie czuł się z tym dobrze.

Nie zauważył białego samochodu, który ruszył spod posterunku policji i znalazł się tuż za nim. Za chwilę trzeba będzie skręcić na połą dróżkę wiodącą do domku widocznego stąd na zboczu góry.

- A to co? - mruknął ze złością, gdy skręciwszy ujrzał samochód stojący w poprzek drogi. - Jeszcze jakiś idiota, który nie umie prowadzić?

Zwolnił i zatrzymał się. Dopiero teraz zauważył, że drogę za nim zablokował biały samochód. Z obu aut wyskoczyli policjanci. Ubrani byli w nieskazitelnie czyste tropikalne mundury: białe koszule i granatowe spodnie. Bart, nie wierząc własnym oczom, patrzył, jak zbliżają się do niego, roztrzając do połysku wyczyszczonymi czarnymi butami liście na drodze.

„Pewnie sklepikarz zaalarmował policję w Cascades - pomyślał. - A niech to cholera!”

Słońce odbijało się w policyjnych odznakach na czapkach, ozdobionych otokami w niebiesko-białą kratkę. Otworzyli drzwiczki jego samochodu. „Zachowuj się tak, jakby nic się nie stało

powiedział sobie w duchu. - Jesteś niewinny, o niczym nie wiesz." Uśmiechnął się najmilej, jak umiał. „Wojsko cię z tego wyciągnie -uspokajał sam siebie, wysiadając z wozu. - Muszą ci pomóc. Jeśli nie dadzą rady, zajmie się tym Top, bo w przeciwnym razie nici z zamachu."

V

Zawiasy starej walizki trzeszczały i skrzypiały, wieko wybrzuszało się nad ciasno upchanymi ubraniami i zamki nie chciały się zatrzaskać. Laura i Emma, zsunąwszy się z walizki, popatrzyły na siebie.

- Trzeba będzie coś wyjąć - zdecydowała Emma. - Może przełożymy trochę rzeczy do walizki Gilesa? U niego zawsze jest luzno, gdy wybiera się na Seszele.

Emma zabrała część garderoby i wyszła z sypialni. Laurze udało się wreszcie zamknąć walizkę. Z westchnieniem ulgi założyła pasek i zaciągnęła go mocno.

- Gotowe - powiedziała na głos, odsuwając walizkę na bok. -Wujek Giles i tatuś muszą mi pomóc jutro znieść ją na dół.

Gdy usiłowała ustawić ciężką walizkę pod ścianą, zadzwonił telefon.

- Odbierz, Tanith! - zawołała z sąsiedniego pokoju Emma. -Mam zajęte ręce.

Laura podniosła słuchawkę.

- Pierre! - zawołała uradowana. - Nie spodziewałam się, że jeszcze raz zadzwonisz przed naszym wyjazdem. To ci niespodzianka.

- Lauro - powiedział cicho Pierre - czy jest Ashley? Muszę z nim porozmawiać.

- Jest na dole, w stajni. To potrwa, zanim go sprowadzę. Powiem mu, żeby do ciebie zadzwonił.

- Pośpiesz się i zawołaj go teraz.

- Pierre, nie nudź. Chcę coś powiedzieć Nicole. To bardzo ważne. - Laura przesunęła telefon po szklanym blacie stolika, żeby móc usiąść na łóżku przed długą pogawędką z Nicole, jej nową mamą. - Muszę jej opowiedzieć o pantofelkach, które kupiliśmy do

154

sukni ślubnej. - Paplała wesoło, kręcąc w palcach kosmyk włosów i nie zwracając uwagi na ciszę w słuchawce telefonu. - Pierre, strój jest przepiękny, Nicole będzie w nim wyglądać prześlicznie. Sam zobaczysz.

Wtedy usłyszała dziwny, zduszony jęk.

- Pierre, co się stało?

- Nicole... - wykrztusił. - Poproś Ashleya.

- Dlaczego? Co ona takiego zrobiła? Słuchaj, Pierre - Laura straciła cierpliwość - natychmiast daj mi Nicole, a ja obiecuję, że potem pobiegnę po tatusia.

- Nie mogę - szepnął. - Nicole nie ma tutaj. Miała wypadek. Jakiś facet wpadł na nią samochodem i uciekł. - Urwał. - Nicole nie żyje. Zginęła w wypadku.

Laura poczuła się tak, jakby dostała obuchem między oczy. Zakreśliło się jej w głowie. Nagle ujrzała hydroplan uwięziony w czarnej głębi morza. Virginia i Nicole stały się jedną osobą.

- Nie! - krzyknęła oszalała z rozpacz. Nie mogła pogodzić się z tą drugą śmiercią, stracić po raz drugi matki. - Nie! Nie! Nie!

Walnęła telefonem o stolik, a każde uderzenie było protestem przeciwko śmierci Nicole. Szklany blat stolika roztrzaskał się całkowicie, tak jak po słowach Pierre'a rozpadł się na kawałki jej cały świat.

Emma i Giles wpadli do pokoju.

- Lauro! - zawołał Giles.

- Tanith! - krzyknęła Emma. - Przestań! Przestań! - Giles objął Laurę i chociaż przeraźliwie krzyczała i szarpała się, oderwał ją od telefonu.

Emma podniosła słuchawkę, deptając po rozsypanym na dywanie szkłe. Zbladła, wysłuchawszy Pierre'a, ale jednocześnie błysk radości pojawił się w jej oczach.

Udając współczucie, powiedziała:

- Pierre, to straszne! Bartholomew Faulconer! Jego ojciec jest chirurgiem, uratował Ashleya, gdy został strącony podczas wojny. Aż trudno uwierzyć, że ma takiego syna.

Giles obejmował mocno histerycznie wrzeszczącą Laurę.

Emma odłożyła słuchawkę i podeszła do Gilesa, żeby mu pomóc. „Czas uleczy twój ból, Tanith - pomyślała. - Tak będzie lepiej dla ciebie. Teraz masz już wolną drogę do rozwoju duchowego. Wreszcie będę mogła wprowadzić cię do kultu Wicca”.

- Zadzwoń po lekarza - powiedział do niej Giles, odsuwając twarz od Laury, żeby nie uderzyła go głową. - A potem sprowadź Ashleya. - Musiał to mówić bardzo głośno, by przekrzyczeć wycie Laury.

Emma pobiegła spełnić jego polecenie. Chociaż rozpacz Laury raniła jej serce jak pchnięcie nożem, dusza jej śpiewała z radości. Teraz przyszłość Laury zależała od niej.

VI

Szara walizka, pokryta warstwą kurzu, stała nadal pod ścianą w pokoju Laury, pozostawiona tak celowo, żeby Laura mogła ją widzieć. Istniała pewna nadzieja, że wywoła to w niej chęć powrotu do normalnego życia. Ale Laura nie chciała wracać. Dla niej życie już się skończyło. Być może na Szeszelach Pierre zdołałby rozbudzić w niej na nowo zainteresowanie ludźmi i światem, ale telefon od miesiący milczał, a ona snuła się po domu jak cień, odpowiadając jedynie monosylabami, gdy się do niej zwracano.

- Depresja - stwierdził lekarz domowy. - Zdarza się dość często po takim szoku. Ale to minie. Młodych łatwo zranić, ale ich rany szybko się goją, nie pozostawiając najmniejszych śladów.

Jednakże rany Laury nie goiły się. Straciła zainteresowanie nie tylko dla otoczenia, ale i dla samej siebie. Emma kąpała ją i ubierała, myła i czesała jej włosy, obcinała paznokcie, pilnowała pory posiłków i zmuszała do jedzenia. Gdy znajdowała Laurę siedzącą w ciemnych kątach, zabierała ją na długie spacer. Laura była posłuszna, ale apatyczna.

- Nie okazuje żadnego wzruszenia, żadnych emocji - szeptała Emma do Gilesa i Ashleya.

Ashley, ukrywając własny ból i wstrząs, jakiego doznał na wiadomość, że to syn doktora Faulconera zabił Nicole, poświęcił się bez reszty Laurze. Całe godziny spędzał przy niej, opowiadając o jej dzieciństwie, o Virginii, Pierze i Nicole.

Niczym jednak nie mógł jej zainteresować ani wzruszyć. W końcu lekarz oznajmił:

- Trzeba zawieźć Laurę do szpitala St. Francis. Zajmą się nią tam specjaliści.

156

- Czy to nie jest szpital dla umysłowo chorych? - zapytał Ashley.

- Mieści się we wspaniałym starym budynku w stylu włoskim. Był to u nas pierwszy tego rodzaju zakład - unikając odpowiedzi wprost, wyjaśnił lekarz.

- Doktorze - Giles chrząknął ostrzegawczo, widząc pobladałą twarz Ashleya.

-Moja córka nie zwariowała- ostrym tonem zareagował A. stilycy.

- Oczywiście, że nie - powiedział uspokajająco lekarz, widząc, jaki popełnił błąd. - Laura tylko popadła w głęboką depresję. Jest jeszcze bardzo młoda, wrażliwa i nie może zaakceptować tej podwójnej straty. Trzeba jej pomóc, a sami tego nie

potrafimy uczynić. Szpital St. Francis prowadzony jest przez doskonałych, troskliwych lekarzy, którzy wyciągną Laurę ze stanu, w jakim znajduje się obecnie. Wiem, że kocha ją pan bardzo i chciałby, żeby znowu była zdrowa i szczęśliwa. Ashley skinął głową.

- To jedyny sposób. Proszę mi wierzyć, że jest to konieczne. Laura musi się znaleźć w tym szpitalu.

Emma podeszła do Ashleya i nachyliwszy się do jego ucha, szepnęła: . ,

- Takie stany depresyjne zdarzały się już w rodzime Killickow. Przypomnij sobie najstarszą ich córkę, która umarła, gdy Virginia była jeszcze mała. Może jest to u nich dziedziczne? Nie możesz Laury tak zostawić.

Ashley patrzył zaskoczony na Emmę, która jednak nie poddawała się:

- Ashleju, musimy zrobić wszystko, co jest możliwe, dla ratowania jej zdrowia. Pozwól lekarzom zająć się nią.

Ashley milczał.

- Zrób to ze względu na Nicole i Virginie, które tak kochała - odezwał się Giles.

Ashley patrzył bez słowa i tylko drgający nerw na policzku zdradzał jego zdenerwowanie.

- Nicole zrobiłaby wszystko, by pomóc Laurze. Nie pozwoliłaby jej żyć w taki sposób.

Ashley poddał się. Stracił już dwie ukochane kobiety. Nie może dopuścić, by jego córka pograżyła się w mrocznym świecie rozpaczy.

- Zajmijcie się tym - powiedział i wyszedł z pokoju.

Tego samego wieczora obok szarej, zakurzonej walizki stała mała niebieska torba. Ashley siedział na łóżku i przyglądał się śpiącej córce przepełniony miłością do niej, trawiony cichym smutkiem.

Blady świt zapowiadał kolejny chłodny wiosenny dzień. Ashley, który przesiedział całą długą noc w fotelu, rozprostował ramiona i pomasaował zeszywniałe mięśnie na karku.

Miał za sobą długą, męczącą noc. To czuwanie skończy się dla niego dopiero wtedy, kiedy Laura znowu będzie biegać i śmiać się na półkolistej plaży w Beau Vallon, baraszkować w turkusowych falach oceanu - smukła i zwinna jak latająca ryba. Laura otworzyła oczy, które przez chwilę patrzyły przytomnie i beztrosko, ale natychmiast znów skryły się za mgłą.

- Dzień dobry, kwiatuszku - powitał ją Ashley wesoło, pochylając się nad nią. - Chciałbym z tobą porozmawiać, zanim wejdzie tu Emma.

Laura kiwnęła głową, odrzucając z twarzy kosmyk włosów.

- Zabieram cię do Haywards Heath. W tamtejszym szpitalu są lekarze, którzy ci pomogą. Zrób to dla mnie, kochanie: pobędziesz tam jakiś czas, porozmawiasz z lekarzami i będziesz brać leki, które ci przepiszą. Zgadzasz się?

- Jeśli ty tego chcesz, tatusiu - odpowiedziała obojętnie. Ashley westchnął, ujął w ręce głowę córki i spojrzał w jej oczy pozbawione wyrazu.

- Tylko ty mi zostałeś, kwiatuszku. Uśmiechnij się do mnie. Na dźwięk otwieranych drzwi wyprostował się i odwrócił, by przywitać się z Emmą.

- Wyjeżdżamy zaraz po śniadaniu - powiedział. - Nic więcej nie mogę zrobić. - Przygarbiony, wyszedł ciężkim krokiem, zamykając za sobą drzwi.

Laura nerwowo szarpnęła palcami pasmo włosów, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się, gdy patrzyła w ślad za wychodzącym ojcem.

Ashley jechał wolno, ale samochód nieubłaganie pokonywał kolejne kilometry.

Czekał wciąż na cud. Modlił się o to, by Laura

158

nagle roześmiała się głośno. Pragnął znaleźć jakieś usprawiedliwienie, by nie zostawiać jej w szpitalu St. Francis.

- Będę cię odwiedzał codziennie - przyrzekł. - Spędzisz tam zaledwie kilka tygodni.

- Pogłaskał jej włosy. - Szybko przeleci ten czas.

Laura tylko kiwnęła głową. Nie usiłowała nawet poprawie potarganych włosów. Nie widzącymi oczyma patrzyła na mijane farmy.

- Pierre bardzo tęskni za tobą. Jest ogromnie samotny w La Retraite.

Ashley przyglądał się badawczo Laurze, czekając na jakąś reakcję. Zwróciła ku niemu twarz, po raz pierwszy, odkąd opuścili Lyewood, ale nic nie powiedziała.

- A ja chciałbym, żebyś razem ze mną nurkowała. Jest tam tyle wraków, których jeszcze nie przeszukaliśmy.

Odkąd skończyła szesnaście lat, wielokrotnie prosiła go o pozwolenie na nurkowanie i badanie zatopionych wraków, ale on zawsze odpowiadał, że to zajęcie zbyt niebezpieczne i jest jeszcze za młoda. Teraz jednak i ta pokusa nie zrobiła na mej żadnego

- Już niedługo, kwiatuszku - szepnął. - Już niedługo wrócimy

Skupił uwagę na prowadzeniu samochodu. Zwolnił przed skrzyżowaniem do Horsted Keynes, podświadomie oczekując, że zaraz pojawi się na drodze paw pyszniący się wspaniałym ogonem.

- Pierre mówi, że będzie wprowadzona jednopartyjność - odezwał się z nadzieją, że ją tym zainteresuje. - Chce, żebyś chodziła z nim na zebrania. Ma całą masę nowych haseł, jak na przykład.

Wolność, równość i braterstwo".

Laura, z rękami leżącymi bezwładnie na kolanach, patrzyła przed siebie bez słowa.

- Nie zachwyca mnie specjalnie perspektywa państwa jednopartyjnego - mówił dalej cichym głosem. - Każdy rząd potrzebuje silnej opozycji dla utrzymania równowagi. Zerknął na córkę, ale i ten temat wcale jej nie poruszył. A przecież zaledwie kilka miesięcy temu ciągle dyskutowali ze sobą na temat nowego rządu. Przestał mówić, ponieważ zbliżali się już do Haywards Heath i zwiększył się ruch na drodze.

- No, jesteśmy na miejscu - odetchnął głośno, skręcając w Colwell Road. - Myślałem, że nigdy nie uda mi się znaleźć tego miejsca.

Zatrzymał samochód przed głównym wejściem do szpitala, zaskoczony ogromem tego gmachu i wiktoriańską pompatycznością.

- Wygląda, jakby zbudowano go z czerwonych i żółtych landrynek - zażartował, obejmując Laurę.

Spojrzała obojętnie na budynek poprzecinany poziomymi pasami z czerwonej cegły i zatrzymała wzrok na kaplicy św. Franciszka, wzniesionej na wzgórzu, wśród zielonych krzewów i kwiatów.

- Nie tak okazała jak nasz kościół św. Małgorzaty - powiedział Ashley. - Jeśli chcesz, przyjadę w niedzielę i pójdziemy na mszę.

Skinęła głową na znak zgody i znowu skierowała obojętny wzrok na główny budynek.

Z okna białej furgonetki, która ruszyła z parkingu przed wejściem, wychylił się ich lekarz domowy i ręką dał znak Ashleyowi, by jechał za nim. Zatrzymali się przed nowoczesnym, przeszklonym budynkiem, obłożonym niebieskimi płytkami. Lekarz podszedł do ich auta i nie zwracając uwagi na bladłość Laury i zdenerwowanie Ashleya, powiedział jowialnym, sztucznie wesołym głosem:

- Jesteśmy na miejscu, panno Lauro. Wsiadamy. - Wziął ją za rękę i rzekł do Ashleya: - Dzień dobry panu.. Proszę wziąć bagaż Laury i pójdziemy do jej pokoju. Laura wchodziła po schodach powłócząc nogami. Na widok typowego szpitalnego holu z wyfroterowaną posadzką Ashley poczuł lęk.

- Dzień dobry panu, dzień dobry pani, dzień dobry, panie doktorze - usłyszał energiczny głos.

- Dzień dobry - odpowiedział lekarz na powitanie pielęgniarki.

- Chodźmy na oddział - pielęgniarka dotknęła ramienia Laury. - Pan też może z nami pójść - zaproponowała Ashleyowi. - Zabierze pan biżuterię i pieniądze pacjentki.

Nasz lekarz przeprowadzi rutynowe badanie panny Challoner, a jutro lub pojutrze zrobimy jej prześwietlenie klatki piersiowej. - Uśmiechnęła się uspokajająco. -

Podam panu później numer telefonu oddziału i godziny wizyt w szpitalu.

- Załatwiłem panu spotkanie z tutejszym specjalistą, doktorem Redversem - szeptem poinformował Ashleya ich lekarz domowy,

160

gdy szli po schodach. - Jest młody i może wygląda niepoważnie, ale zna się bardzo dobrze na tym, co robi. Pójdziemy do jego gabinetu, jak tylko zaczną badanie Laury. To dobrze, że pielęgniarka chce najpierw przedstawić Laurę innym pacjentkom.

Ashley rozejrzał się po korytarzu i na widok długiego szcregu pozamykanych drzwi szybko opuścił wzrok. Nie chciał oglądać twarzy o rozbieganych oczach i trzęsących się rąk tutejszych pacjentów, z którymi jego córka miała przebywać czas jakiś.

- To ten pokój - oznajmiła wesoło pielęgniarka. - Proszę postawić torbę na łóżku. Do pokoju zajrzała kobieta w średnim wieku.

- Dzień dobry pani - powiedziała do pielęgniarki. - Właśnie wzięłam sobie książkę.

- Będzie pani czytać? Wspaniale.

- Czy to nowa? - zapytała pacjentka.

- Tak, będzie na pani oddziale.

- Bardzo się cieszę, że przybył wreszcie ktoś młody. Rozrusza nas - powiedziała kobieta i szurając nogami poszła dalej korytarzem.

Pielęgniarka wyjaśniła zdziwionemu Ashleyowi:

- Niektórzy nasi pacjenci są bardzo mili. Jestem pewna, że panna Challoner znajdzie tu przyjaciół i będzie się dobrze czuła z nami. .

Laura ułatwiła Ashleyowi pożegnanie, obojętnie całując go w policzek. Ashley z ulgą, ale i z pewnym poczuciem winy, wyszedł z pokoju. Był przygotowany na łzy i błagania.

- Zupełnie inaczej tu wygląda, niż się spodziewałem. Jest taić, jak w każdym innym szpitalu - powiedział do lekarza w drodze do samochodu. . ,

- A czego się pan spodziewał? Żelaznych krat w oknach? Było tak jakieś dwadzieścia lat temu, ale po wynalezieniu nowych leków w latach pięćdziesiątych szpitale dla psychicznie chorych zmieniły się nie są już zamknięte, silnie strzeżone oddziały. Bardziej przypominają ośrodki zdrowia. Próbowałem to panu wyjaśnić jeszcze w Lyewood. Choroby umysłowe są teraz traktowane jak wszelkie inne schorzenia. Są uleczalne. - Ashley słuchał w meczeniu. - Doktor Redvers ma teraz konsultacje w starym budynku i tam się teraz udamy. Proszę jechać za mną.

Postawili samochody na parkingu i weszli do ogromnego gmachu.

- Jesteśmy umówieni z doktorem Redversem - powiedział lekarz w recepcji.

Siedząca tam kobieta odpowiedziała:

- Zadzwoń na górę. Zaraz przyjdzie po panów sekretarka doktora.

- Dbają tu o porządek i bezpieczeństwo - powiedział do Ash-leya lekarz. - Każde pomieszczenie zamykają na klucz. - Na pytające spojrzenie Ashleya odpowiedział szybko: - Mógłby tam wejść któryś z pacjentów i narobić niezłego bałaganu. - No, nie jest już tak źle jak dawniej. Wtedy natychmiast zwalniano pracownika, który zgubił klucz lub położył go na niewłaściwym miejscu. Dobrze by było, gdyby znalazł pan czas na odwiedzenie tutejszego muzeum. Pacjenci tego szpitala to ludzie o zachwianej równowadze psychicznej, ale nie idioci. - Zdjął okulary w grubej szylkretowej oprawie i starannie je wytarł. - Jeden z nich ukradł kiedyś łyżkę, jakimś cudem zdobył odcisk klucza na oddział i z trzonka łyżki zrobił doskonały duplikat. Ashley spojrział przez otwarte drzwi na lśniąca wieżę kaplicy.

- Ładnie tu. Aż trudno uwierzyć, że w tych budynkach tak dręczono ludzi.

- Łatwo dziś krytykować i potępiać personel szpitala z dawnych lat. Trzeba jednak pamiętać, że nie dysponowano wówczas tak wspaniałymi lekami. Wierzano, że poprzez zadawanie silnego bólu da się wywołać wstrząs psychiczny u chorego, usuwający jego dolegliwości. Nawet dziś, mimo wszystkich naukowych odkryć i badań, nie rozumiemy do końca istoty chorób umysłowych.

Lekarz zabawiał Ashleya rozmową, żeby nie myślał o czekającym go spotkaniu z konsultantem.

Przestał mówić, słysząc stukot obcasów nadchodzącej sekretarki. Zaprowadziła ich do gabinetu lekarza.

Doktor Redvers był zaskakująco młody. Wydał się Ashleyowi niewiele starszy od Pierre'a. Miał wąskie, przygarbione ramiona, ale witając się z Ashleym mocno uścisnął mu rękę.

- Witam, proszę usiąść. Pozwoliłem sobie zamówić dla panów herbatę.

162

- Z przyjemnością się napiję - odrzekł Ashley, siadając na jednym z czterech brązowych krzeseł ustawionych wokół kwadratowego stołu.

- Pański lekarz opowiedział mi historię Laury - zaczął doktor Redvers, siadając naprzeciw Ashleya i zapalając fajkę. - Chciałbym ją jednak usłyszeć z pańskich ust.

- Oczywiście, ale... - zawahał się Ashley.

- Proszę zacząć od okresu przed śmiercią matki Laury - zaproponował Redvers.

Mocny zapach dymu z fajki wpływał na Ashleya kojąco, chociaż sam nie uznawał palenia. Doktor słuchał go w milczeniu, bacznie przyglądając mu się przez okulary w złotej oprawce.

- I to już cała historia - zakończył Ashley. - Moja córka popadła w głęboką depresję. Boję się, że ją też utraciłem. Mam wrażenie, że z każdym dniem oddala się ode mnie

coraz bardziej i choćbym biegł, to i tak jej nie dogonię. - Przymknął oczy i potarł czoło.

„Widzę, że los mocno cię doświadczył” - pomyślał Redvers, wytrząsając do popielniczki popiół z fajki, a głośno powiedział:

- Najpierw trzeba przebadać Laurę i postawić diagnozę. A gdy będziemy mieli komplet badań, zaczniemy od leków antydepresyjnych.

- Co to za leki? - zapytał Ashley.

- Rodzaj narkotyków. - Widząc, że Ashley poruszył się niespokojnie na krześle, dodał: - Niech pan nie zważa na to, co wypisują gazety na temat narkotyków. Gdyby nie odkrycie niezwykłych właściwości chlorpromazinu, stosowalibyśmy nadal wy-
ciągi z ziół i proste środki chemiczne, takie jak arszenik, cyjanek, datura i kamfora. Trudno je nazwać bezpiecznymi lekami.

- A czy w ogóle są bezpieczne narkotyki? Uboczne skutki działania leków sprawdza się na zwierzętach. Jak sprawdza się działanie narkotyków stosowanych przy chorobach umysłowych? Czy szczury chorują na schizofrenię? Czy u kotów występują stany maniakalne? - Ashley przerwał na chwilę, gdy weszła sekretarka z herbatą. - Proszę mi wybaczyć ten podniesiony ton, ale Laura to moje jedyne dziecko...

- Rozumiem pana. Uboczne efekty leków i narkotyków można stwierdzić dopiero po wielu latach ich stosowania i po długo

trwałych badaniach klinicznych. Chodzi więc o racjonalne stosowanie tych środków. Leki psychotropowe dają naszym pacjentom szansę na wyleczenie i powrót do życia. Jaka jest alternatywa? Albo pozostawimy Laurę w obecnym stanie, co może się skończyć jej samobójstwem, albo pozwoli nam pan spróbować terapii farmakologicznej.

Ashley pomyślał o pokoju szpitalnym i o siedzącej w nim zgarbionej, obojętnej na wszystko Laurze.

- Proszę próbować - zgodził się bardzo przygnębiony.

- Trudno jest ocenić stopień depresji chorego - powiedział Redvers - ale najprawdopodobniej mamy Laurze antydepresyjny lek o nazwie amitriptylina. Jeśli nie będzie reakcji, spróbujemy dać nomifensinę.

Ashley słuchał tych nazw leków z dreszczem niepokoju.

- Każda z kuracji potrwa trzy do czterech tygodni. Przez cały czas będziemy bardzo uważnie obserwować Laurę. Pielęgniarki i terapeuci poświęcą jej wiele czasu. Jej przypadek będzie omawiany przy każdym cotygodniowym obchodzie na oddziale. Dzięki temu będę mógł określić skuteczność leków.

- Jest młoda i silna - wtrącił Ashley. - Powinno się udać.

- Miejmy nadzieję, że można będzie wypisać ją ze szpitala za jakieś dwa tygodnie - dodał Redvers pocieszająco. - Przez kilka tygodni Laura będzie w dalszym ciągu zażywać leki antydepresyjne, które odstawimy całkowicie po jakichś trzech miesiącach.

Ashley poczuł nagle sympatię do tego lekarza, który uśmiechał się tak jak Pierre.

- Wkrótce Laura wróci do pana i zapomnicie o tym koszmarze.

- Panie doktorze, był pan ze mną bardzo szczery, co ogromnie cenię. Mam jednak jeszcze jedno pytanie: co będzie, jeśli te leki w ogóle nie podziałają? Nasz lekarz wspomniał o kuracji szokowej.

- Niechętnie o tym wspominamy - powiedział Redvers i spo-chmurniał. - Jest to temat, którym prasa i niektóre sekty religijne bulwersują opinię publiczną. Terapia elektrowstrząsowa jest stosowana już od pięćdziesięciu lat. I właśnie z powodu sprzeciwu publicznego w pewnym momencie trzeba było z mej prawie zrezygnować. Ale zapewniam pana, że jest to bardzo skuteczna forma leczenia. - Redvers zerknął na zegarek. - W wypadku Laury zastosujemy elektrowstrząsy tylko wówczas, gdy całkowicie zawiedzie kuracja farmakologiczna.

164

- A czy nie spowoduje to jakichś uszkodzeń mózgu? Słyszałem, że impuls elektryczny przechodząc przez mózg zmienia jego chemiczną strukturę i może spowodować utratę pamięci lub inne nieodwracalne zmiany.

Zadzwoił telefon. Redvers podniósł słuchawkę.

- Tak. Rozmawiam z jej ojcem... Nie, trochę się spóźnię. Dobrze. Dziękuję. -

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Ashleya: -Czekają na mnie, żeby rozpocząć

badanie Laury. Chciałbym jednak uspokoić pana co do elektrowstrząsów: stosujemy teraz inny ich rodzaj, a pacjentowi podaje się przedtem tlen. - Wziął z biurka notes i wsunął pióro do kieszeni koszuli.

Ashley wstał. , .

- Dziękuję za wszelkie informacje i za to, że poświęcił mi pan tyle czasu. ,

Redvers wziął z biurka puszkę z tytoniem i, obracając ją w palcach, powiedział: .

- Proszę pana, rzadko stosujemy elektrowstrząsy w takim stanie reaktywnej depresji jak u Laury. Proszę się nie martwić.

Wyszli razem z pokoju i Redvers zamknął drzwi na klucz.

- O ile dobrze zrozumiałem, mieszka pan na Sesselach.

- Tak. Chciałbym tam zabrać Laurę, jak tylko... - przerwał, bojąc się dokończyć.

- wydobrzeje - powiedział za niego Redvers. - Na pewno będzie zdrowa. -

Wyciągnął rękę do Ashleya. - Przez najbliższe tygodnie będziemy się często widywać, a potem być może odwiedzę państwa na Sesselach.

- Wybiera się pan na urlop?

- Och, nie! - zaśmiał się Redvers. - Kilku nas ma pojechać na wyspy z cyklem wykładów. Tamten rejon był nieco pod tym względem zaniedbany. Wasi lekarze rzadko uczestniczą w międzynarodowych sympozjach. Zaproszono mnie na kilka miesięcy na Mahe. Będę pracował w szpitalu i prowadził wykłady. Uważam, że może to być bardzo interesujące.

- Chyba tak - przytaknął bez przekonania Ashley. - Ale proszę być przygotowanym na...

- Na szok? - zaśmiał się lekarz.

- No cóż, jest tam zupełnie inaczej. - Ashley pomyślał o małym ośrodku dla psychicznie chorych, położonym wysoko na wzgórzu, gdzie kiedyś była plantacja cynamonu.

175

- Tak, rozumiem. - Redvers zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu fajki. - Dobrze pan zrobił, przywożąc tutaj Laure -zawołał przez ramię, zbiegając ze schodów. - Proszę jechać do domu i odpocząć. Zajmiemy się nią. Damy sobie z tym radę.

Ashley, patrząc za odchodzącym lekarzem, po raz pierwszy nabral jakiejś nadziei.

VII

Bartholomew Faulconer siedział przygnębiony na ławce pod ścianą we wspianym, utrzymanym w stylu kolonialnym budynku miejscowego sądu.

Ludzie czekający na wezwanie na salę sądową unikali jego wzroku. Gdy tu przybył, wszyscy odsunęli się od niego jak najdalej.

Plotki rozchodzą się na wyspach z szybkością pożaru. Dzięki poczcie pantoflowej ludzie dowiedzieli się wszystkiego o tym blondynie z zaciętą twarzą, który zabił Nicole Daumier, i przekonani byli o jego winie. Mówiono nawet, że rodzina Nicole zasięgała rady czarownika. Na drzwiach zabójcy namalowano magiczny znak gris-gris i za każdym razem, gdy przez nie przechodził, był bliżej śmierci.

Kilka starych kobiet spoglądało na niego wrogo spod rond kapeluszy. Dziś wieczorem będą bez przerwy opowiadać o tym człowieku z żółtymi oczami.

Bart, skrzyżowawszy ręce na piersi, patrzył ze złością na opalonych turystów. Nie wzbudzały nawet jego zainteresowania młode, ponętne dziewczyny, paplające bez troski o niczym.

Odsunawszy mankiet, spojrział na swój zegarek, a potem na zegar na wieży, który nie wydzwaniał godzin, uszkodzony przez dokerów podczas wyładunku.

Bart skrzyżował nogi, czując, jak od potu wilgotnieją mu spodnie. Rozluźnił węzeł krawata.

- Pan Bartholomew Faulconer! Bart wstał.

Przez tłum przeszedł szmer, niczym szum fali pluskającej o plażę. Ludzie aż wychylili się z ławek, by popatrzeć, jak ubrany w płócienną marynarkę w beżowe i białe paski Bartholomew

176

wchodzi do sali sądowej, skąd, zanim woźny zdążył zamknąć drzwi, dobiegł gwar głosów, natychmiast uciszony przez surowego sędziego.

W sali sądowej klimatyzacja nastawiona była na maksimum. W tylnych rzędach tłoczyli się wyspiarze, niektórzy szukając tu tylko ochłody - było to świetne miejsce na odpoczynek przed zakupami.

Bart usiadł spokojnie na ławie oskarżonych, rozglądając się po sali. „Zawsze najpierw trzeba zorientować się w sytuacji. Nie rób nic, zanim nie poznasz dobrze terenu” - przypomniał sobie słowa dowódcy, próbując wyczuć atmosferę. Był zaskoczony tłokiem panującym na sali. Jego adwokat zapewniał, że trzeciego dnia rozprawy będzie tu już prawie pusto. Ludzie siedzieli ciasno ramię przy ramieniu, wyprostowani i poważni jak na sumie.

Bart, rozejrzawszy się po ludziach, zauważył szczupłego młodego mężczyznę, siedzącego w pobliżu. Jego oczy przeszywały Barta na wylot. Miał egzotyczną urodę człowieka Wschodu, co podkreślały wystające kości policzkowe i krótko ostrzyżone czarne włosy. Bart poczuł, że cierpnie mu skóra. Z brązowych oczu wycierała nie skrywana nienawiść. „Pewnie ktoś z rodziny - pomyślał. - Gdyby ta głupia baba nie stanęła w tamtym miejscu, nie znalazłbym się w takich tarapatach”. Pierre przyglądał się Bartowi z narastającym wstrętem. Siedział już trzeci dzień w sądzie i wraz z innymi przysłuchiwał się, jak Bart Faulconer kłamie bezczelnie. Pewnie już zdołał przekonać wszystkich, że śmierć Nicole to zwykły tragiczny wypadek.

Dziś, w ostatnim dniu rozprawy, sala zatłoczona była do granic możliwości. Pierre od dawna czekał na moment, w którym zabójca zblednie i pochyli głowę w rozpacz po usłyszeniu wyroku skazującego go na dożywotnie więzienie. Potrzebne to było Pierre'owi, żeby mógł dalej żyć ze swym bólem. W głębi duszy obawiał się jednak, że sprawy potoczyć się mogą zupełnie inaczej i Faulconer będzie sądzony tylko za to, że nie zatrzymał się, nie udzielił pomocy i nie zawiadomił o wypadku. Zostanie uznany winnym spowodowania śmierci nie wskutek niebezpiecznie szybkiej jazdy, ale z powodu zwykłej nieuwagi, co, oczywiście, jest znacznie mniejszym przewinieniem. Bartholomew Faulconer nie zgnije w więzieniu, natomiast krewni Nicole będą chcieli, być może, aby jej śmierć

została pomszczona. Starsi członkowie rodziny ciągle jeszcze wierzą w moc czarownika z lasu.

Bart był już znudzony. Cała procedura trwała zbyt długo. Słuchał czas jakiś, ale oskarżyciel z urzędu przytaczał wciąż te same fakty i stawiał śmieszne pytania. Ten odziany w perukę urzędnik budził w nim wręcz obrzydzenie. Swoim gadaniem chciał u wyspiarzy wywołać chęć zemsty i traktował go tak bezlitośnie tylko dlatego, że Bart był tu obcym. „Chętnie skręciłbym ci kark” -pomyślał. Gdy wyobraził sobie trzask łamanych kręgow, uśmiechnął się z satysfakcją.

Adwokat rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Nie był wcale zachwycony, że ma takiego klienta. Chociaż wypadł doskonale w ogniu krzyżowych pytań, nie okazywał skruchy, zachowywał się tak, jakby wierzył, że jest ponad prawem.

Bart zignorował jego ostrzeżenie. Czuł się całkowicie pewien siebie.

„To tak jak w szkole dla debilów - dowcipkował, relacjonując kumplom w koszarach przebieg procesu. - Stary czarny kruk mówi kilka słów i czeka, żeby sędzia to zapisał. Każde idiotyczne słowo jest zapisywane, i to ręcznie. W tym sądzie nie weszli jeszcze w dwudziesty wiek”.

Po dwóch dniach denerwującego milczenia dowiedział się od swoich tajnych łączników na wyspie, że nie będzie odsiadywał kary więzienia. '

„Ale Top jest wściekły, że naraziłeś na ryzyko cały plan przewrotu. Miałeś rozkaz nie wychylać się, unikać kłopotów, a ty stajesz się głównym bohaterem jakiegoś procesu. Top ostrzega, że jeśli przed zamachem skrzywdzisz choćby karalucha, to możesz od razu pożegnać się z życiem. A wiedz, że on nie żartuje”.

Bart, chociaż gotował się ze złości, bo przecież nie chciał tego wypadku w Mahe, udawał wówczas, że czuje skruchę i wdzięczność.

Zaczął znowu słuchać, co mówi oskarżyciel.

- Nie chcąc ryzykować własnego życia w zderzeniu z nadjeżdżającym autobusem, oskarżony wybrał śmierć niewinnej kobiety.

Słowa te niemile dotknęły Barta. Miał ochotę uciszyć tego obrzydliwca.

- Jest to równoznaczne z morderstwem. Ten człowiek świadomie zabił Nicole Daumier.

178

Zniecierpliwiony Bart poruszył się na drewnianym, twardym stołku. Wściekał się na myśl, że oskarżyciel w ostatnim momencie przekona sędziego o jego winie. Mówiąc podniesionym głosem, prokurator zakończył swoje ostatnie przemówienie jeszcze ostrzejszymi oskarżeniami pod adresem Barta. Bart chwycił się kurczowo stołka. Serce waliło mu jak młotem. Przecież to był wypadek! Jak ten urzędnik śmie twierdzić coś innego?

Prokurator, wracając na swoje miejsce, spojrział na Barta z drwiącym, wyzywającym uśmiechem.

- Ty draniu! - wrzasnął Bart i chwyciwszy swój taboret, rzuca nim w oskarżyciela, z precyzją i szybkością godną zawodnika serwującego przy grze w krykieta. Prokurator, z ogromną **saą** uderzony taboret w ramię, upadł na podłogę. W sali zakotłowało się. Sędzia walił w pulpit młotkiem, ale nikt go nie słuchał. Bart opanował się tak szybko, jak uspokaja się wrząca woda po podniesieniu pokrywki i nie protestował, gdy służba porządkowa wiązała mu ręce. Patrzył z triumfem, jak pomagano prokuratorowi wstać i wyprowadzano go z sali, by udzielić pomocy lekarskiej. Tłum oczekujący za drzwiami domagał się informacji, co dodatkowo zakłóciło spokój. Dwaj mężczyźni siedzący w głębi sali milczeli wstrząśnięci. Job pokręcił głową i ukrył twarz w dłoniach. Wreszcie jakoś przywrócono porządek. Kiedy adwokat prosił o wyrozumiałość dla oskarżonego, Bart nagle uświadomił sobie, że uczynił rzecz fatalną. Popatrzył na dwóch agentów, ale oni siedzieli z przymkniętymi oczami, słuchając mowy obrońcy.

- Wysoki Sądzie, chociaż czyn mojego klienta zasługuje na potępienie, usilnie proszę o wyrozumiałość - gorąco apelował adwokat. - Ten człowiek jest niewinny, pełen skruchy, uczciwy. Zrobił to, nie mogąc znieść napięcia, w jakim żyje od trzech dni. Zrozpaczony jest śmiercią panny Daumier.

Bart obserwował sędziego, ale nie mógł nic wyczytać z jego nieruchomej twarzy. Niepokój Barta stopniowo przeradzał się w strach. Ostrzegano go, że Top nie zna litości. Za chwilę szaleństwa może teraz zapłacić głową.

Sędzia spojrzął na Barta spod bujnej siwej peruki. Poprawiwszy szarą szarfę, którą przewiązany był w pasie, i biały żabot pod szyją, powiedział głośno:

- Sąd nakazuje, by Bartholomew Faulconer został przekazany do zakładu w Les Cannelles na dziesięć dni obserwacji.

Pierre, widząc zdenerwowanie Barta, uśmiechnął się z zadowoleniem. Nareszcie coś wstrząsnęło tym aroganckim, pewnym siebie typem.

„Ależ to szpital dla umysłowo chorych - omal nie krzykną) Bart. - Nie jestem wariatem". Bart, jak każdy człowiek, bał się chorób psychicznych. Był w stanie znieść ból fizyczny i ograniczenie wolności, ale choroby psychiczne przerażały go. Silne uderzenie młotką zakończyło rozprawę. Wszyscy wstali, gdy odziany w purpurową togę sędzia opuszczał salę.

Obrońca podszedł do Barta, powiewając połami czarnej togi jak wdowa w żałobie.

- Odprowadzę pana do Les Cannelles - powiedział krótko. Bart, z rękoma związanymi do tyłu przez sądową służbę porządkową, poczuł się jak w kaftanie bezpieczeństwa.

- Ale ja nie chcę...

- Nie mogę zagwarantować panu uwolnienia, jeśli nie będzie się pan dobrze zachowywał podczas tych dziesięciu dni obserwacji.

- Ale to zakład dla umysłowo chorych - zaprotestował Bart.

- Ma pan rację. Tam właśnie odstawia się ludzi, którzy zachowują się irracjonalnie - przytakną) zjadliwie adwokat. - Niech się pan tam zawsze trzy razy zastanowi, zanim coś pan powie.

Skinął na strażników, by wyprowadzili Barta, który w pierwszym odruchu chciał stawiać opór.

- Proszę pamiętać, że pana wolność zależy od pańskiego zachowania - ostrzegł go adwokat.

Bart kiwnął głową i posłusznie wyszedł na oślepiające słońce.

VIII

Pokój zabiegowy był mały, ale jasny. Doktor Redvers wyglądał przez szerokie okno, ssąc w zamyśleniu pustą fajkę. Stał zwrócony plecami do dwóch studentów-starzystów.

Pielęgniarka oddziałowa wtoczyła fotel na kółkach, ustawiła go we właściwym miejscu i unieruchomiła.

- Pacjentka gotowa - oznajmiła i cofnęła się.

170

Studenci podeszli do fotela pacjentki.

- Cieszę się, panowie, że zainteresowaliście się tym przypadkiem - powiedział Redvers, zbliżając się do nich.

Młoda dziewczyna spoglądała spokojnie na pochylonych nad nią ludzi. Zwieszający się po obu stronach fotela fioł-koworóżowy szlafroczek przypominał zwiedłe płatki

irysa. Dostała leki uspokajające i uśmiechała się teraz nieśmiało do Redversa, gdy ujął jej dłoń. Podeszła pielęgniarka, by zmierzyć jej ciśnienie krwi.

- Dzień dobry, Lauro - powiedział doktor, muskając delikatnie jej palce. - To będzie już ostatni zabieg.

Mówił do Laury przez cały czas, przygotowując ją do elektro-kardiogramu. Z zadowoleniem przyjrzał się taśmie rejestrującej rytm jej serca, a następnie ujął elektrody elektroencefalografu.

- Po tym zabiegu pojedziesz na kilka tygodni do Lyewood -powiedział.

Siostra zabiegowa przetarła czoło Laury spirytusem i schowała wymykające się spod opaski kosmyki jej włosów.

- Seszele - szepnęła Laura, oblizując suche wargi. Redvers nachylił się, chcąc usłyszeć, co mówi.

- W porządku, a więc tam się spotkamy - odpowiedział, wsuwając pod opaskę na czole Laury elektrody rejestrujące fale aktywności elektrycznej mózgu.

Pielęgniarka skróciła Laurze włosy nad uchem, posmarowała to miejsce żelem i podała Redversowi końcówki aparatu E.E.G.

Sprawdzając grubość warstwy żelu na srebrzystych elektrodach, wyjaśniał studentom, że robi ten zabieg tylko z jednej strony, by zmniejszyć ryzyko ewentualnych powikłań i utraty pamięci. Studenci uważnie przyglądali się, jak umieścił pierwszą elektrodę między okiem a uchem. Drugą natomiast przyłożył nad uchem, w miejscu gdzie pielęgniarka odgarnęła włosy Laury. Obie elektrody umieścił po jednej stronie głowy, aby nie uszkodzić ośrodka mowy, znajdującego się w lewej półkuli mózgu.

Studenci ze zrozumieniem kiwali głowami, zerkając równocześnie na twarz Laury.

- Panowie - przywołał ich do porządku Redvers - jesteście tu po to, by poznać technikę terapii elektrowstrząsowej.

Speszni, jakby przyłapał ich na podglądaniu, spojrzeli ponownie na Redversa. Przyciskając mocno elektrodę do czaszki Laury, Redvers dał znak anestezjologowi. Anestezjolog powiedział uspokajająco do Laury:

- To tylko niewielkie ukłucie - obmył ramię Laury i wbił igłę, dając jej dożylną narkozę.

Jeden ze studentów pochylił się, by odczytać nazwisko pacjentki na strzykawce pentothalu, leżącej na tacce.

- Wszystko idzie doskonale, kochanie - zwrócił się Redvers do Laury. - Zaczynij teraz liczyć do stu.

Laura zaczęła liczyć, ale z każdą chwilą trudniej było jej poruszać ustami i wreszcie umilkła.

- Nie przerywaj, Lauro! - zawołał Redvers. - Lauro, odpowiedz mi.

- Zasnęła - uznał anestezjolog. - Teraz jeszcze skopolamina. - Napełnił strzykawkę środkiem rozluźniającym mięśnie i wbił igłę do żyły.

Następnie Laurze założono do tchawicy plastikową rurkę, którą podłączono do butli z tlenem. Między zęby włożono jej gumowy ochraniacz, podobny do tych, jakie używają bokserzy w czasie walki.

Redvers objaśnił teraz studentom, jak ważne jest, by pacjent dostał odpowiednią porcję tlenu przed zabiegiem, w czasie zabiegu i po jego zakończeniu. Ma to minimalizować wszelkie ewentualne zaburzenia. Obserwował, jak na ramionach i szyi Laury drgają mięśnie, co świadczyło o tym, że działa środek rozluźniający.

Czekając, aż przestaną drgać stopy Laury, opowiadał studentom o eksperymentach Bowliga na szczurach. Bowlig zastosował zmodyfikowaną terapię elektrowstrząsową z zastosowaniem środków rozluźniających i tlenu i nie stwierdził żadnych zmian neuropatologicznych. Redvers przyznał, że istnieje jednak obawa, że elektrowstrząsy mogą spowodować nieodwracalne uszkodzenia mózgu.

- Wierzmy jednak, że każde takie uszkodzenie da się wyleczyć- powiedział, stukając w kolano Laury i patrząc, jak podskakuje jej noga. Wreszcie dał znak anestezjologowi, by zamknął dopływ tlenu.

- Jest gotowa - powiedział.

172

Sprawdził jeszcze raz, czy aparatura E.E.G jest właściwie podłączona i czy zarejestruje aktywność mózgu Laury po naciśnięciu przycisku.

Anestezjolog pomógł pielęgniarce wyprostować szyję Laury i przytrzymać zaciśnięte szczęki. Redvers jeszcze raz skontrolował przyrządy i nacisnął przycisk. Strumień prądu przepłynął przez mózg Laury. Nastąpił nagły skurcz nerwów, a następnie rozluźnienie, po ustaniu dwusekundowego impulsu elektrycznego. Ręce i nogi Laury zeszytniały.

Studenci obserwowali w napięciu drgania drobniotkich mięśni wokół oczu i skurcze obu kciuków i obu grubych palców u stóp. Opóźnione drgania świadczyły o

skuteczności zabiegu. Laura, nie panując nad swoimi odruchami, podskoczyła pod wpływem wstrząsu i drżała, nie mogąc opanować szczykania zębów.

- Jak długo to ma trwać? - dopytywali się studenci. Redvers uśmiechnął się.

- Zastosowaliśmy prąd pulsujący. Stwierdziliśmy, że pełne drgania można uzyskać przy trzydziestu dżulach. Żeby zabieg był skuteczny, powinien trwać przynajmniej dwadzieścia pięć sekund.

Redvers obserwował Laurę tak długo, aż ustały jej spazmatyczne drgawki. Potem skierował wzrok na monitor, na którym wciąż były widoczne fale aktywności elektrycznej mózgu. Minęło jeszcze kilka sekund oczekiwania w ciszy i cały proces się zakończył.

Anestezjolog usunął rurkę intubacyjną i wsłuchiwał się w oddech Laury. Redvers pomógł pielęgniarce zdjąć opaskę z jej głowy i usunąć elektrody. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że Laura oddycha rytmicznie, anestezjolog dał znak pielęgniarce, żeby odwiozła pacjentkę do jej pokoju.

- Wkrótce poprosi o herbatę i śniadanie - powiedziała pielęgniarka, odblokowując koła fotela. - Poprzednim razem bardzo szybko doszła do siebie po zabiegu. Nie miała żadnych nudności ani wymiotów.

Redvers uśmiechnął się do pielęgniarki i nachyliwszy się nad fotelem pogłaskał delikatnie Laurę po głowie. Wtedy ledwie dostrzegalnie drgnęły jej powieki.

- Wspaniale reaguje - powiedział do studentów. - Chciałbym, żeby ze wszystkimi pacjentami tak się nam udawało.

Kiedy studenci pobiegli otworzyć pielęgniarce drzwi, Redvers podszedł do siostry zabiegowej, która szykowała kolejną porcję strzykawek, opatrzonych nazwiskiem następnego pacjenta.

- Może zechcieliby panowie poobserwować dalsze reakcje naszej pacjentki w jej pokoju? - zapytał studentów.

- Bardzo chętnie. Dziękujemy - odpowiedzieli zgodnym chórem i zniknęli, głośno trzaskając drzwiami. Redvers i siostra spojrzeli po sobie rozbawieni.

- Aż trudno uwierzyć, że będą z nich kiedyś poważni, stateczni lekarze - zaśmiał się Redvers.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Seszele - 1978 r.

I

Srebrnoszary boeing przeleciał nad pokrytymi lasem wzgórzami Mahe. W dole widać teraz było wyspy rezerwatu St. Anne Marine, lśniące szmaragdową zielenią na tle szafirowoturkusowej wody. Laura siedziała z nosem przyciśniętym do okna, jakby po raz pierwszy podziwiała piękno tych wysp.

- Aż dziw pomyśleć, tatusiu, że nie ma na świecie innych granitowych wysp prócz naszych.

- No i nasze są najpiękniejsze - odpowiedział, spoglądając ponad jej ramieniem.

- Patrz, tam jest St. Anne, Round i Cerf! - zawołała, pokazując widoczne w dole wyspy.

Samolot, lecąc nad samym morzem, zaczął podchodzić do lądowania. Wydawało się, że koła muskają wodę, gdy prześlizgiwał się nad białymi grzywami fal. Nagle pod kołami ukazała się brunatna ziemia i Laura, odwróciwszy się od okna, chwyciła Ashleya za rękę.

- Na początku, kiedy tylko zbudowano lotnisko, bałam się, że samolot wpadnie do morza. Zamykałam oczy, gdy zbliżaliśmy się do ziemi, i zaczynałam się modlić.

Otwierałam oczy dopiero wówczas, gdy trzeba było wysiadać.

- To świetnie, że pozbyłaś się już swoich lęków.

- Jeszcze nie całkiem - przyznała się, rozluźniając palce na ręce Ashleya i znowu przylepiając nos do okna.

Niewysokie budynki, stojące niegdyś samotnie nad morzem, teraz sąsiadowały z terenem lotniska. Laura przyglądała się im z wielkim ożywieniem.

- Jak dobrze być znowu w domu - powiedziała, gdy czekali na inspektora sanitarnego, który miał sprawdzić, czy samolot został spryskany środkiem przeciwko moskitom. - Szczęśliwa jestem, że zgodziłeś się, żebym spędziła z tobą tutaj te sześć miesięcy - powiedziała, kładąc książkę koło swego bagażu. - Niezbyt podobała mi się perspektywa zaczynania studiów w środku roku. Zdaję sobie sprawę, że pozostając ze mną tak długo w Sussex, zaniedbałeś swoją pracę. Pomogę ci w Aldabrze, będę twoją sekretarką. -Przerwała, posmutniawszy nieco. - Ale nie piszę na maszynie tak dobrze jak Nicole.

- Obojgu będzie nam jej brakować, kwiatuszk, ale na zawsze pozostanie z nami jej miłość i jej śmiech. - Uścisną rękę córki. -No i mamy jeszcze Pierre'a.

Laura odgarnęła włosy na plecy.

- Chciałabym już z nim porozmawiać. Zdaje się, że wyznaje teraz dość dziwne poglądy polityczne. - Chwyciła płócienną torbę bagażową i przewiesiła przez ramię skórzaną torebkę. - Musi przedstawić dobre argumenty, aby mnie przekonać do jednopartyjnego systemu, bo inaczej nie dostanie zegarka do nurkowania, który kupiliśmy dla niego.

- Lauro - zganił ją Ashley, gdy schodzili *po* trapie - nie możesz zatrzymywać prezentu przeznaczonego dla kogoś tylko dlatego, że nie zgadzasz się z jego poglądami politycznymi.

- Czyżby? - Laura zmrużyła oczy od blasku słońca. - Chodźmy, tatusiu - pociągnęła go niecierpliwie za rękę. - Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę Pierre'a, La Retraite i naszą kucharkę Cook.

Szli przez halę lotniska, gdy zauważyli Pierre'a. Laura, wymijając wózki bagażowe, spotniałych turystów i oczekujące na przybyszów rodziny, z okrzykiem radości rzuciła się Pierre'owi na szyję.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Jak się cieszę, że znów cię widzę. Mamy dla ciebie wspaniały prezent, sama wybierałam. Na pewno ci się spodoba.

- I mnie ciebie brakowało - przyznał, obejmując ją mocno. -Tak pusto było bez was w La Retraite.

186

Po raz pierwszy od miesięcy poczuł, że nie jest już sam, że znowu ma rodzinę. Patrząc w jasne, pogodne oczy Laury, doszedł do wniosku, że choroba zmieniła tę długonogą dziewczynkę w dojrzałą, piękną kobietę. Uświadomiwszy sobie, jak mocno ją przytulił, rozluźnił uścisk i pocałował ją lekko w policzek. Zeszczuplała na twarzy, a jej włosy sięgały teraz pasa.

Laura trzymała się kurczowo jego ramienia, gdy szedł przywitać się z Ashleyem, a potem ruszył na poszukiwanie wózka bagażowego.

- Ktoś czeka na ciebie w moke'u. Mamy teraz różowy wóz.
 - A co się stało z czerwonym? - zapytała i nagle przypominając sobie wszystko, umilkła.
 - To nowy samochód - wyjaśnił szybko Pierre. - Jeśli będziesz grzeczna, pozwolę ci zdawać na nim egzamin na prawo jazdy. Oczywiście, jeśli jeszcze pamiętasz, jak się prowadzi samochód.
 - Prawo jazdy? Oczywiście, że mogę je zrobić. Dziękuję ci, Pierre - powiedziała pogodnie.
- Spojrzała w tę stronę, gdzie pokazał Pierre, i rzuciła się biegiem przed siebie. W cukierkoworóżowym moke'u, skulona w niewygodnej pozycji, siedziała ich kochana, poczciwa Cook.
- Cook! Cook, to ty?! - zawołała Laura, podbiegając do niej. Pierre odwrócił się do Ashleya.
 - Jak ona się czuje? Wygląda na całkowicie zdrową.
 - Redvers i cały personel w szpitalu St. Francis byli wspaniali - odpowiedział Ashley, pchając wózek bagażowy zygzakiem przez tłum. - Kiedy nie pomogło leczenie farmakologiczne, myślałem, że już straciliśmy Laurę. Pierre, nie poznałbyś jej wtedy. No i zdecydowaliśmy się na elektrowstrząsy.
- Ashley nachmurzył się, przypominając sobie, jak zażarcie musiał przekonywać Emmę, która była przekonana, że takie leczenie doprowadzi Laurę do choroby umysłowej.
- Dopiero wtedy nastąpiła poprawa i zaczęto ją stopniowo odzwyczajając od leków antydepresyjnych. Redvers jest teraz w Les Cannelles. zaproponował, żeby Laura przychodziła do szpitala trzy razy w tygodniu i pracowała z tutejszymi pacjentami.
 - A ona chce tego?
 - Polubiła bardzo pielęgniarki i lekarzy w szpitalu St. Francis. - Ashley zwolnił kroku, bo zbliżali się już do mini-moke'a. - Uwielbia doktora Redversa i jest zachwycona perspektywą poma

gania mu. Jest młody, ma trzydzieści parę lat i chyba dzięki temu budzi w mej większe zaufanie.

Pierre poczuł nagłą, irracjonalną niechęć do tego lekarza.

- Początkowo nie byłem zadowolony, że Laura ma pracować w Les Cannelles. Mają tu całkiem inne warunki niż... - Ashley zawahał się, nie chcąc zbytnio krytykować miejscowego szpitala -nie stosują tak nowoczesnych metod jak w szpitalu St. Francis. Ale Laura uparła się, a zdaniem Redversa jest to także jeden ze sposobów kuracji. Będzie mógł przy sposobności kontrolować postępy w dochodzeniu do zdrowia i zmniejszyć jej zależność od niego.

- Zależność? - zaniepokoił się Pierre.

- Laura zaakceptowała go jako zastępczą matkę. Pacjenci często tak reagują. Psychiatra zmuszony jest wtedy stopniowo, bardzo ostrożnie usuwać tę zależność, żeby pacjent nie wpadł ponownie w stan depresji.

Pierre pochylił się, przenosząc wózek przez krawężnik.

- A więc Laura może znowu popaść w depresję? Ashley przytaknął głową.

- Redvers uważa, że półroczny pobyt na wyspach powinien wystarczyć, by Laura całkowicie wróciła do równowagi. Na początku przyszłego roku będzie mogła podjąć studia. - Ashley zniżył głos. - Daję głowę, że dzięki naszej miłości i magicznemu urokowi tej wyspy uporamy się z problemem w ciągu trzech miesięcy.

- Jak długo doktor Redvers pozostanie w Les Cannelles? -siląc się na obojętny ton, zapytał Pierre.

- Kilka miesięcy. Chyba powinniśmy go zabrać kiedyś na ryby i nurkowanie. Polubisz go. Jest nawet trochę do ciebie podobny, szczególnie gdy masz taką fryzurę.

Pierre z uśmiechem przeciągnął ręką po gęstych, krótko przystrzyżonych włosach.

- W biurze powiedziano mi, że wyglądają jak szczotka klozetowa.

Ashley wybuchnął śmiechem i nie mógł się opanować, kiedy witał się z Cook.

Powrót do La Retraite okazał się łatwiejszy, niż Ashley myślał. Obawiał się reakcji Laury na widok pustego pokoju Nicole, ale

177

przeprowadził się już tam Pierre i w pokoju pełno było sprzętu do łowienia ryb i nurkowania, a na ścianach wisiały zdjęcia wysp z turystycznych folderów. W otwartym oknie kołysała się klatka z dwiema papugami o długich ogonach. Z adaptera ustawionego na starym dębowym biurku rozlegała się głośna, afrykańska muzyka z wysp. Po Nicole nie pozostał tu żaden ślad. Pierre sięgnął pod łóżko, by dać Laurze kawałek koralu do jej zbiorów.

Ashley, stojąc w drzwiach, zaciskał zęby. Wydawało mu się, że czuje jeszcze zapach perfum Nicole i widzi na tle okna jej szczupłe, piękne ciało. Mocno zacisnął powieki. Zmuszając się do uśmiechu, odwrócił się do Laury, gotów ją pocieszać, ale ona przebiegła przez pokój do klatki, mówiąc coś po kreolsku do papug.

Ashley podziękował w duchu doktorowi Redversowi. Jego terapia odniosła skutek. Laura mogła zacząć normalne życie, godząc się z utratą dwóch matek.

- To musi potrwać jakiś czas - uprzedzał Ashleya Redvers. - Ona obwinia siebie za ich śmierć. Nie ma w tym, oczywiście, żadnego uzasadnienia, ale często tak się zdarza. A moim zadaniem jest zmienić to nastawienie Laury.

Ashley patrzył, jak Laura karmi papugi pestkami słonecznika.

- Za dziesięć minut zejdziesz na dół, kwiatuszku - polecił jej wzruszony. - Cook nigdy ci nie wybaczy, jeśli spóźnicie się na świąteczny obiad.

- Zaraz tam będziemy - zapewniła go Laura. - Już czuję zapach zupy *tec-tec*.

Pierre wylazł wreszcie spod łóżka, trzymając deklinatną, wach-larzową gałązkę koralowca.

- Jaki piękny! - zachwyciła się Laura. - Kiedy będę mogła popływać z tobą i ponurkować? Obiecaliście mi to z tatusiem.

Ashley i Pierre wymienili uradowane spojrzenia ponad jej głową. Marchewka, którą tak długo bezskutecznie przed nią machano, wreszcie podziałała. Laura zaczynała żyć.

- Może w następnym tygodniu - zaproponował Pierre, a i Ashley nie miał nic przeciwko temu.

- Cudownie! - zawołała Laura.

Nie spodziewała się tak szybkiej zgody. Patrzyła na Pierre'a błyszczącymi z radości oczyma.

Nawet nie zauważyli tego, że Ashley wyszedł z pokoju. Schodząc na dół, słyszał ich szczęśliwy śmiech. Ku swemu zdumieniu, sam również czuł się szczęśliwy. Miał znowu córkę, a może i syna.

Było już po obiedzie; Laura pochwaliła przygotowaną przez Cook zupę *tec-tec* i obdarzyła ją uroczym uśmiechem. Stary dom trzeszczał i skrzypiał, szykując się do snu. Laura, siedząc przy toalecie, tak długo szczotkowała włosy, aż zaczęły się elektryzować. Wreszcie odłożyła szczotkę i rozejrzała się. Na szklanym blacie toaletki nie było teraz żadnego zdjęcia. Rzuciła okiem na stolik nocny. Również stamtąd zniknęły wszystkie fotografie i stała tam jedynie doniczka z jasnozielonym drzewkiem orchidei.

„To pewnie Cook je zabrała” - pomyślała Laura i otworzywszy szafkę toaletki zaczęła w niej grzebać. Nie znalazła srebrnych ramek. Zamyśliła się. Nagle zerwała się na równe nogi i podniosła wieko taboretu. Wreszcie je znalazła! Ramki ze zdjęciami leżały w taborecie, starannie owinięte bibułą. Laura wyjęła je czym prędzej i ustawiła pieczołowicie na szklanym blacie. Wybrała dwie fotografie i podeszła z nimi do łóżka.

Na jednym zdjęciu jedenastoletnia dziewczynka obejmowała za szyję matkę. Laura przyjrzała się Virginii i pocałowała ją. Ból już zniknął, mogła patrzeć na matkę spokojnie.. Ustawiła zdjęcie na stoliku nocnym. Teraz spojrzała na drugą fotografię. Śmiała się z niej Nicole: siedziała na kamiennych schodach La Retraite, oparta plecami o Ashleya. Przytrzymała szarpaną przez wiatr kwiecistą spódniczkę, a włosy powiewały jej wokół twarzy. Laura wstrzymała oddech. Serce jej przeszył ostry ból. Przyciskając fotografię do piersi, pobiegła na dół, do sypialni Nicole. Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. Nicole już tam nie było. Otworzyła gwałtownie drzwi.

- Pierre, Pierre - szepnęła z rozpaczą w głosie. - Popatrz na to zdjęcie Nicole. Pierre zapalił lampkę nocną i zdreptał na widok Laury, kurczowo ściskającej ramkę ze zdjęciem. Bez słowa wyciągnął ręce, a Laura rzuciła się na łóżko, ukrywając twarz na jego ramieniu. Przykrywszy ją prześcieradłem, tulił do siebie i kołysał uspokajająco. Po jakimś czasie przestała drzeć i leżała cicho, z suchymi oczami.

179

- Obojgu nam ogromnie brak Nicole - szepną jej do ucha. - Teraz jednak powinniśmy pamiętać o Ashleyu. - Usłyszał przyśpieszony oddech Laury. - Planował przyszłość z Nicole, a dziś ma już tylko nas. Nie będzie szczęśliwy, jeśli zobaczy nasz smutek. - Poglaskał czule Laurę po policzku. - Musimy być silni ze względu na niego. Czy dasz sobie z tym radę, Lauro?
- Tak, tak, tatuś tyle dla mnie zrobił - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Możesz mu się teraz odwdziżyć. Uśmiechaj się, bądź wesoła, zrób to dla niego i dla Nicole. - Laura drgnęła z lekka, ale Pierre mówił dalej: - Nicole chciałaby, żebyśmy uczynili Ashleya szczęśliwym. Bardzo go kochała.

- Czy mogę do ciebie przychodzić, kiedy będzie mi bardzo smutno? - zapytała głosem drżącym i nieśmiałym jak małe dziecko.

- Te drzwi będą zawsze otwarte dla ciebie, Lauro, tak jak za czasów Nicole. Zawsze mnie tu znajdziesz.

Westchnęła, jeszcze mocniej przytulając się do niego. Pierre poprawił poduszkę pod głową Laury i zgarnął włosy z jej twarzy. Słuchał, jak równo oddycha. Po paru godzinach, gdy zdrewniały mu już ręce, zrozumiał, że ma teraz inny już do niej stosunek. Kochał ją i pragnął, tak jak pragnie się kobiety. Ta myśl przeraziła go.

II

Granatowoczarne chmury deszczowe podobne do wielkich, rozdętych ryb zasnuły niebo. Lekki południowo-zachodni wiaterek, wpadający przez otwarte okna, trochę łagodził upał w małym pokoiku biurowym o białych ścianach.

Czuć było intensywny, słodkawy zapach dymu z fajki, który przez uchylone drzwi przedostawał się również na korytarz. Redvers siedział przy drewnianym, pokrytym fornirem biurku. Z leżącego przed nim stosu teczek z opisem chorób pacjentów wziął tę z samej góry. Widniało na niej nazwisko: Bartholomew Harden Faulconer. Gdy ją przeglądał, rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał.

- Dobry wieczór - w drzwiach stał Bart Faulconer. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale zanoszę się na deszcz. Chciałbym

przenieść pacjentów w drugi kąt tarasu i opuścić żaluzje. - Ponieważ Redvers zmarszczył brwi, niezadowolony, że zwraca mu głowę takimi głupstwami, szybko wyjaśnił: - Przepraszam raz jeszcze, ale pielęgniarki są zajęte w pralni, a reszta zajmuje się nowym pacjentem, który podpalił materac. - Odwrócił się i zrobił krok w stronę wyjścia. - Przepraszam, poczekam, aż któraś z pielęgniarek będzie wolna. - Ależ nie - odpowiedział Redvers, przyglądając się Bartowi -niech pan robi swoje. Zaoszczędzi pan pracy pielęgniarkom.

- Stół też przeniosę - odrzekł Bart z rozjaśnioną twarzą. Redvers zrobił zdziwioną minę.

- Henn wylegiwał się na nim cały ranek. Zdenerwuje się i napędzi strachu innym chorym, jeśli go tam zostawię.

Redvers przytaknął i zanotował, że trzeba sprawdzić, jakie lekarstwa są podawane tamtemu choremu.

- Jak długo jest pan tutaj?

- Przesłano mnie do zakładu na dziesięć dni - odpowiedział uprzejmie Bart. - A teraz mam tu przez pół roku przychodzić w soboty i niedziele w ramach pracy społecznej.

- Widzę, że był pan na obserwacji psychiatrycznej - zauważył Redvers, zaglądając do teczki Barta.

Bart przysunął się do biurka, mając nadzieję, że uda mu się coś przeczytać, ale doktor tak trzymał papiery, że całkowicie mu to uniemożliwił.

- Tak, proszę pana. Zachowałem się bardzo głupio i nie mam nic na usprawiedliwienie - powiedział Bart pokornie. - Rzuciłem taboret w prokuratora. Stałem przed sądem oskarżony o spowodowanie wypadku drogowego. Ale uznano, że jestem niewinny -dodał szybko, widząc, że Redvers czyta opis jego sprawy.

- Z akt wynika, że nie było wystarczających dowodów, iż zrobił pan to z rozmysłem, co uniemożliwiło skazanie pana za zabójstwo. A więc jest niezupełnie tak, jak pan mówi - rzekł Redvers, wkładając fajkę do ust i splatając ręce z tyłu głowy.

- Tak, oczywiście, ale przysięgam, że jestem niewinny.

- Rozumiem.

- Jestem tu przez tego prokuratora. - Ponieważ doktor milczał, Bart brnął dalej. - Chciał koniecznie przekonać sąd, że celowo spowodowałem wypadek.

192

Bart szukał jakiejś reakcji na twarzy Redversa, ale nic nie mógł wyczytać z zagadkowego spojrzenia jego ciemnych oczu.

- Dostałem nauczkę, proszę pana - przyznał Bart, chcąc jak najdalej uciec od badawczego wzroku doktora. - Przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

Wycofał się czym prędzej z pokoju. „Nauczka, żeby nigdy nie dać się złapać” - pomyślał, przechodząc obok zakratowanych pokoi dla furiatów. Przez otwarte drzwi jednej z tych cel dochodził silny swąd mokrego popiołu. Na ułamek sekundy Bart

poczuł się jak na patrolu w Rodezji. Ten zapach zapowiadał coś podniecającego: dopiero co zalane wodą ognisko świadczyło, że gdzieś w pobliżu są partyzanci.

„Idiota ze mnie, że stamtąd wyjechałem” - pomyślał, zaglądając do celi.

Pielęgniarki polewały pokój wodą z węża, a strzępki spalonego materaca przyklejały się do ściany. Ogień okopcił ścianę, tworząc fantazyjne wzory, słabo widoczne w szkarłatnej poświacie nadciągającej burzy. Bart słyszał, jak nieszczęśni, udręczeni, zamknięci w celach ludzie chodzą z kąta w kąt mamrocząc coś i wykrzykując plugawe słowa. Miał tego dość. Musiał wyjść na świeże powietrze. Odetchnął z ulgą na dziedzińcu. Pierwsze wielkie krople deszczu zabębniły na blaszanym dachu.

Po wyjściu Barta, Redvers siedział przez chwilę, ssąc fajkę. Potem wrócił do akt. - Zobaczmy, co myśli tutejszy lekarz o Faulconerze - mruknął, szukając odpowiedniej kartki.

Trzydzieści cztery lata. Na służbie w armii Seszeli. Pochodzi z bardzo dobrej rodziny z Sussex. Matka - inwalidka, ojciec - znany chirurg. Atmosfera w domu nie najlepsza. Jako młody chłopak buntował się przeciwko presji rodziców. Chwalono go tylko za osiągnięcia. Prawdopodobnie skłonności psychopatyczne. Wyraźny narcyzm. Bardzo słabe poczucie odpowiedzialności moralnej. Znajduje przyjemność w brutalności wojny. Zdolny do popełnienia czynów gwałtownych. Pogardliwie traktuje słowa krytyki pod swoim adresem. Przekonywający, czarujący, atrakcyjny dla kobiet, potrafi manipulować ludźmi, ma skłonności do picia. Zdra

182 - Głosy na wietrze

193

dza niewielkie wyrzuty sumienia z powodu śmierci tej kobiety. Czuje się niewinny. Redvers podniósł wzrok, a potem przeczytał ostateczny wniosek:

„Proponuję próbny okres pracy społecznej na rzecz miasta”.

Redvers przewertował akta i znalazł streszczenie opisu procesu sądowego.

Przeczytał je powoli i uważnie, zatrzymując się nad niektórymi szczegółami.

„A więc sędzia przyjął tę propozycję - pomyślał Redvers. -Faulconer przez rok będzie tu spędzał wszystkie weekendy. Umie zaprezentować się od najlepszej strony: jest taki szczerzy, sympatyczny. Zgadzam się z opinią tutejszego lekarza, że Faulconer manipuluje ludźmi. Udało mu się przekonać adwokata i sędziego, że zabił tę kobietę wskutek nieszczęśliwego wypadku i uciekł ogarnięty paniką.” - Wysypał zawartość popielniczki do wiklinowego kosza i położył fajkę na szklanym blacie. - „Ciekawe, co on robi w tutejszej armii? Można przypuszczać, że dla ludzi pokroju Faulconera życie na wyspach jest raczej nudne.

Redvers spojrział przez okno na pacjenta z trudem powłóczącego nogami. Jego czarna jak heban skóra błyszczała od potu, gładko wygolona czaszka i ogromne, niemal białe, wytrzeszczone oczy. Z tyłu szli Faulconer i drobniutka pielęgniarka, sięgająca mu zaledwie do ramienia. Redvers pokręcił głową: „„Skąd te dziewczyny z wysp mają tyle sił dla pacjentów”? W ciągu krótkiego pobytu w Les Cannelles nieraz już widział, jak radziły sobie z pacjentami dwukrotnie większymi od siebie. Pielęgniarka poprawiła spódniczkę, odrzuciła do tyłu włosy i uśmiechnęła się do Barta.

Redvers westchnął. A w każdym społeczeństwie pełno jest psychopatów w rodzaju Faulconera i nie można zamknąć ich do więzienia za to, co robią. Położył teczkę Barta na sam wierzch sterty. Wsadziwszy fajkę do kieszeni koszuli, poszedł poszukać przełożonej pielęgniarek. Mieli razem pojechać do Victorii na spotkanie z przedstawicielami rządu, aby uzyskać od nich obietnicę pomocy finansowej na modernizację Les Cannelles.

Głośny dzwonek do zamkniętej bramy Les Cannelles zwrócił uwagę Barta.

Klepnąwszy pielęgniarkę po pośladkach, skierował się do bramy w wysokim murze.

- Jakiś głupek dobija się do bramy - powiedział. - Wpuszczę go. - Pielęgniarka otworzyła usta, żeby zaprotestować. - Idź

194

ponaglił ją Bart. - Może uda ci się doprowadzić do tego, żeby twój podopieczny zrosił ogródek warzywny, zamiast ściany ubikacji.

Chory z tępym uśmiechem zwrócił do Barta okrągłą jak kula głowę.

- Tak, o tobie mówię. Rzygać mi się chce, gdy muszę sprzątać twoje siuśki.

- Bart - upomniała go dziewczyna - przecież to nie jego wina. Nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Musimy mu pomagać.

„Tak, z pewnością - zgodził się w duchu Bart. - Najlepiej by mu pomogła dobra dawka pentothalu”.

- Staram się - zaśmiał się. - Staram się, jak mogę.

Patrzył za nią, jak kręcąc pupą szła do ogrodu. Postanowił zająć się nią później.

Poszedł do bramy, gdyż dzwonek znowu zabrzączał.

Stała pod kamiennym portykiem. Po raz drugi szarpnęła sznurek dzwonka.

- Jeśli nikt się nie pojawi, zrezygnuję - postanowiła.

Prawie pół godziny szukała Les Cannelles. Ponieważ dopiero co zrobiła prawo jazdy, jechała bardzo wolno. Za każdym razem, gdy zatrzymywała moke'a, by zapytać o drogę, ludzie patrzyli na nią podejrzliwie i udawali, że nie rozumieją, o co jej chodzi.

W ciągu lat przybywało domów na stromym wzgórzu i teraz wiele z nich stało tuż obok szpitala. Ich mieszkańcy czuli się nieco zażenowani tym sąsiedztwem.

Laura cofnęła się od bramy i spojrzała na kamienne mury. Nad wejściem wyryta była nazwa „Les Cannelles”. Białe litery pokryła już pleśń, a liczne szczeliny w murze zielone były od mchu. Wspięła się na palce, ale dostrzegła tylko szary, blaszany dach.

- Wygodniej będzie wejść przez furtkę - usłyszała za sobą męski głos. - Stąd niewiele da się zobaczyć.

Laura odwróciła się szybko.

Bart zaskoczył ją, podchodząc cichym, kocim krokiem. Stał z rękami na biodrach i śmiał się z jej zmieszania. Speszyla się, że przyłapano ją na podglądaniu.

Zapominając o grzeczności, powiedziała:

- Gdyby otworzono mi po pierwszym dzwonku, nie musiałabym...

Gdy odwróciła się do niego, jaskrawy promień słońca oświetlił jej twarz i włosy. Bartowi zaparło dech. Ta dziewczyna była piękna.

- Przepraszam - powiedział, chcąc zrobić na niej dobre wrażenie. - Powinienem był szybciej podejść.

Zdjęła okulary słoneczne i obracała je w palcach.

Po tych słowach przeprosin płomień gniewu zniknął z jej jasnych, błękitnych oczu. Uśmiechnęła się do niego.

Bart błyskawicznie otaksował ją wzrokiem. Szczupła, ale zaokrąglona tam, gdzie trzeba. Pełne, zmysłowe usta i piękna skóra, na której słońce składało pocałunki. Bawełniana sukienka podkreślała jej zgrabną figurę i Barta aż zaświerbiły ręce, żeby rozwiązać kokardy na jej ramionach i rozebrać ją *d<f>* naga. „Opanuj się, Faulconer - ostrzegł sam siebie. - To dziewczyna z klasą. Czystej angielskiej krwi, najprawdopodobniej jeszcze nie tknięta”. Serce zabiło mu mocniej, ale odezwał się spokojnym głosem:

- Byliśmy zajęci jednym z pacjentów. Przepraszam, że musiała pani czekać.

- To ja przepraszam - odrzekła Laura, czując się winną. - Zdenerwowałam się trochę. Długo szukałam tego miejsca, a potem wydawało mi się, że nikogo tu nie ma.

Spojrzała uważniej na Barta i dopiero teraz zauważyła, jak dobrze był zbudowany, jakie ładne miał usta i kręcone blond włosy. Był przystojnym mężczyzną. Z tego, jak mówił, widać było, że chodził do dobrej szkoły i odebrał dobre wychowanie.

- Czy jest pan lekarzem? - zapytała, nie mogąc zdecydować się, czy jego oczy są żółte czy bladocytrynowe.

- Nie - odpowiedział Bart. - Pracuję tu społecznie. Przeważnie w weekendy.

Staną) w cieniu muru. Przez jakiś czas nikt go nie będzie szukał. Redvers i siostra przełożona, którą w myślach nazywał „dragonem w spódnicy”, wyjechali, a inni sądzą, że jest w dalszym ciągu w ogrodzie z pielęgniarką i pacjentem.

- Godna podziwu bezinteresowność - powiedziała w nagłym odruchu sympatii do mego. - Przebywanie z umysłowo chorymi nie jest ani łatwe, ani przyjemne.

- Trzeba jednak to robić - odpowiedział, dając znak ręką, żeby również przeszła w cień. „Chętnie skreśliłbym im te parszywe

185

karki” - pomyślał, a głośno powiedział - jesteście im to winni. Silniejsi powinni pomagać słabszym.

Laura podeszła do niego i stanęła pod murem.

- Przyszłam zobaczyć się z doktorem Redversem.

„Mam pieskie szczęście - pomyślał Bart - kiedy spotykam tu w końcu odpowiednią dziewczynę, okazuje się, że jest pomyłona”.

- Zaproponował mi, żebym pomagała tu przy chorych. Bardzo potrzebują ochotników - wyjaśniła.

Bart zareagował natychmiast uwodzicielskim uśmiechem.

- To cudownie. Będziemy pracowali razem. Pani obecność doda uroku temu miejscu i umili moje weekendy. - Spojrzał na zegarek i pomyślał, że Redvers wróci najwcześniej za dwie godziny. - Doktor Redvers wyjechał załatwić pewne sprawy, ale z przyjemnością oprowadzę panią po Les Cannelles. - Wyczuwając jej wahanie, dodał: - Nie jestem tak wykształcony jak doktor, ale na pewno zwiedzanie zakładu w moim towarzystwie będzie ciekawsze niż czekanie w jego gabinecie.

Z nieśmiałym uśmiechem oczekiwał jej odpowiedzi. Laura przypomniała sobie minę Pierre'a, gdy pokazywał jej znaleziony rzadki okaz muszli lub koralu.

- Dziękuję, z przyjemnością - powiedziała, przyjmując jego propozycję.

Wzjął ją pod rękę, ostrożnie, żeby nie spłoszyć.

- Nazywam się Bart, Bart Harden.

Kiedy przywieziono go do Les Cannelles, poprosił lekarza, który się nim zajmował, by zamiast nazwiska Faulconer wolno mu było używać drugiego imienia - Harden. Tłumaczył to tym, że chciałby zacząć wszystko od nowa, a obawia się, że nazwisko Faulconer z góry nastawiłoby ludzi nieprzychylnie. Lekarz wyraził zgodę, a i Redvers nie miał nic przeciwko temu. Patrząc na tę dziewczynę, Bart pogratulował sobie przezorności. Wyspa była mała i mogła coś słyszeć o jego procesie.

- Mam na imię Laura - przedstawiła się. - Laura Challoner. Wydało mu się, że już gdzieś słyszał to nazwisko.

- Śliczne imię. Pasuje do pani.

Laura stanęła w pąsach i schyliła się, by strzepnąć jakiś niewidoczny pyłek z sandałka.

Gdy wchodzili do Les Cannelles, była zadowolona, że nie ma doktora Redversa. Przynajmniej mogła spędzić trochę czasu z tym mężczyzną. Bart bardzo się różnił od chłopców z wyspy. Poczuli się przy nim naprawdę dorośli, co sprawiło jej przyjemność. Zatrzymała się na chwilę przed wejściem, przyglądając się rozrzuconym chaotycznie budynkom, ustawionym jak domki z klocków na piaszczystym wzgórzu, z łuszczącymi się, wyblakłymi dachami.

- Żałośnie to wygląda - powiedziała, wskazując na brudne, jakby opryskane błotem gliniane ściany.

- Na wyspach brakuje pieniędzy - odpowiedział Bart. - Ale pacjenci nie zauważają tego, nie przejmują się widokiem tego miejsca. Tak to już jest. - Rozłożył ręce, napinając w szwach turkusową koszulę.

- Ale personelowi nie jest wszystko jedno - powiedziała Laura. - Miejsce pracy powinno mieć przyjemny wygląd. Takie otoczenie działa stresująco.

- Taki jest los zakładów dla psychicznie chorych.

Bart poprowadził ją tam, gdzie znajdowały się biura, pokazał mały pokój zabiegowy i świetlicę dla personelu. Potem dał jej możliwość zerknięcia do kuchni w piwnicy. Na piecu, w olbrzymim kotle, bulgotał gulasz rybny z ryżem. Buchająca z niego para osiadała na zasłoniętych oknach. Dwóch pacjentów czyściło drugi stalowy kocioł, tak wielki, że sami mogliby się w nim bez trudu zmieścić. Kucharka podniosła głowę znad parujących garnków tylko po to, żeby obetrzeć twarz wilgotnym fartuchem.

Kiedy Bart wyprowadził Laurę na dziedziniec, od spalonej słońcem ziemi buchnął żar.

- Strasznie tu sucho - zauważyła Laura.

- Mamy bardzo mało wody - wyjaśnił. - Tylko tępy urzędnik mógł wpadnąć na pomysł, żeby zbudować taki zakład na szczycie pozbawionego wody wzgórza, pośrodku starej, opuszczonej plantacji cynamonu.

Laura nałożyła z powrotem okulary słoneczne. Bart miał wielką ochotę przywrzeć ustami do białej, zazwyczaj osłoniętej włosami skóry na jej karku.

- Gdzie są pokoje chorych? - zapytała.

198

- Tam jest oddział męski - wskazał ręką na grupę budynków, tworzących prostokąt. Laura skierowała się do ciemnobrązowych drzwi. - Po sprzątaniu pokoje są zamykane na dzień - objaśnił Bart - Dzięki temu pacjenci nie robią tam bałaganu i cały czas są na świeżym powietrzu. Mogą też - przymrużył oko - rozkładać maty pod drzewem i zawierać bliższe znajomości z kobietami. „Niektórzy z nich zachowują się przy tym gorzej od królików” -dokończył w duchu.

Laura przytaknęła głową nie domyślając się aluzji.

- A oto idzie jeden z nich - ostrzegł ją.

Odwróciwszy się, zobaczyła tęgiego wyspiarza, zmierzającego w podskokach w ich kierunku poprzez żółkły, krótko strzyżony trawnik. Machał rękoma jak wiatrak i śpiewał ciekawym, załamującym się głosem.

- To maniak. Pewnie znów ma napad eufom. Szkoda, że go pani nie widziała wczoraj. Wlazł na drzewo mangowe i śpiewał na nim. ,, ..

Gdy zbliżył się do nich i można już było rozróżnić słowa piosenki, Laura zerknęła na Barta. Z westchnieniem ulgi stwierdziła że nie rozumie on sprośnego tekstu w języku kreolskim.

- Chodźmy stąd - przynaglił ją Bart. - Uciekajmy, bo zagada nas na śmierć. Ten człowiek uważa, że odkrył sekret wiecznego dźwięku. ,, ..

Gdy skierowali się już w stronę głównego budynku, Bart zawołał do chorego na manię prześladowczą pacjenta:

- Pielęgniarka chce z tobą pomówić. Jest w ogrodzie. - A gdy chory zawrócił, roześmiał się: - Dał się nabrać.

„Będzie miała zajęcie - ucieszył się w duchu Bart. - Nie chcę, żeby mi rozkazywała, szczególnie przy Laurze”.

Chwył ją za rękę i oboje, śmiejąc się jak dzieci na wagarach, pobiegli do głównego budynku. Przeszli przez wspólną salę, otwartą na dwie strony, z długim stołem jadalnym. Laura zaśmiewała się, gdy Bart opisywał różne błazeństwa pacjentów.

„Wystarczy kobietę rozbawić i już prawie ją masz” - pomyślał, odpowiednio ubarwiając następną historyjkę.

Bart szybko przeprowadził Laurę przez następne, wylane cementem podwórze.

Minęli zakratowane pokoje furiatów. Nie chciał, żeby oglądała świeżo przybitego pacjenta. Demonstrował

zakład od możliwie najatrakcyjniejszej strony. Pragnął, by a blondynka przyjeżdżała do Les Cannelles w każdy weekend.

Byli już przy ostatnim pokoju, gdy Bart usłyszał charakterystyczny odgłos starego mikrobusu jadącego główną aleją. „Cholera! Redvers wrócił - zaklął w duchu. - Nie może zobaczyć mnie z Laurą. Ostrzeże ją przede mną”.

Drzwi do celi o poczerniałych od ognia ścianach wciąż jeszcze były otwarte.

Wepchnął tam Laurę i przymknął drzwi nogą.

- Omal nie minęliśmy tego pokoju - zaśmiał się.

- Pusty i raczej obrzydliwy. - Zaintrygowana Laura rozejrzała się.

- Trzyma się tutaj furiatów dotąd, aż zaczną działać tabletki uspokajające - wyjaśnił.

- Ostatni pacjent podpalił swoje posłanie. Niewiele brakowało, a sam by się upiekł.

Laura zbladła i odwróciła się do drzwi.

- Kiedy przyjdzie pani do pracy, proszę omijać te pokoje.

- W St. Francis nie ma takich pomieszczeń - szepnęła. - Tam zawsze towarzyszy ktoś pacjentowi, a pokoje są ładniejsze.

- W St. Francis? Czy to nie zakład dla wariatów w Sussex?

- Tak, to szpital dla psychicznie chorych - poprawiła go Laura.

- Czy pani tam pracowała?

Laura nie odpowiedziała od razu. Nie chciała, żeby Bart dowiedział się o jej chorobie.

- Och, przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był o to pytać.

- Nie szkodzi - odpowiedziała szybko, zbierając myśli. - Właśnie tam poznałam doktora Redversa. To niedaleko od miejscowości, gdzie mieszkamy.

Bart roześmiał się i skorzystał z okazji, by położyć rękę na jej ramieniu.

- Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że mogła pani tam przebywać z tymi wszystkimi pomyłkami.

Laura oddychała z trudem. „Przecież on nie uważa umysłowo chorych za wariatów. Inaczej nie poświęcałby im tyle czasu”-pocieszała się w duchu.

- Żartowałem tylko - powiedział Bart, widząc jej zmieszanie. Spojrzał na zegarek.

„Za pół godziny kończy się mój dyżur. Muszę trzymać się z dala od Redversa”. -

Panno Challoner...

200

- Proszę mówić mi po imieniu.

- Dziękuję... Lauro. Muszę już iść, ale z niecierpliwością będę czekał na jutrzejsze spotkanie z tobą.

- Na jutrzejsze spotkanie?

- Tak. W niedzielę nie przychodzi tu doktor Redvers i mamy więcej swobody.

Wybierała się jutro ponurkować z Pierre'em i Ashleyem. Uznali, że może już spróbować swych sił przy Shark Bank, skałach podwodnych na trasie do wyspy Silhouette. Od tygodnia szykowała się, że wreszcie zobaczy wielkiego nakrapianego rekina i ogromne szare trygony.

- Kończę pracę o czwartej. Pojechalibyśmy do Anse Royale. W pobliżu He Souris są wspaniałe miejsca do pływania i nurkowania w masce. - Bart zauważył jej wahanie.

- W drodze powrotnej do Victorii zatrzymalibyśmy się w którejś z restauracji przy plaży i zamówilibyśmy zółwia z curry w kokosie.

- Nie nabierzesz mnie - zaśmiała się Laura. - Restauracje nie mają prawa robić potraw z zółwi.

- No to ośmiornicę z curry - zdecydował Bart. - A potem...

- *Ladob* - przerwała mu Laura. - Jest to ciasto z owocami, dżemem i słodkimi kartoflami w mleczku kokosowym z cukrem.

- Widzę, że znasz się na tym - przyznał Bart, zerkając przez drzwi i zastanawiając się, czy zdąży wyskoczyć do ogrodu, zanim nadejdzie tu Redvers z przełożoną pielęgniarek. - Przyjdiesz?-zapytał z nadzieją w głosie. - Będzie bardzo wesoło.

Obraz Shark Beach, gdzie Pierre zbierał białe gałązki koralowca, zbladł nieco.

Przecież może poprosić Ashleya, by wziął ją na nurkowanie w następnym tygodniu, i przekonać Pierre'a, by urwał się z pracy.

- Zgoda. Przyjdę jutro.

- Cudownie. Będę na ciebie czekał.

Gdy objął ją, prowadząc do drzwi, Laura poczuła takie podniecenie jak wówczas, gdy na przyjęciu urodzinowym, jeszcze w czasach szkolnych, całowała się po raz pierwszy.

Bart zatrzymał się we drzwiach.

- Nie mów doktorowi Redversowi, że mnie tu spotkałaś.

- Dlaczego?

190

- Jestem pewien, że będzie chciał ci pokazać szpital i sam wszystko opowiedzieć. - Pochylił się i zniżył głos: - Mówią o nim, że jest bardzo pedantyczny i nie lubi, jak jego pracownicy kręcą się bez potrzeby.

- Nic podobnego, jest bardzo wyrozumiały - zaprotestowała Laura.

- Oczywiście, ale jest to miejsce, w którym rodzą się wszelkie plotki. Jak to oni nazywają? Radio kokosowe czy coś w tym rodzaju?

- Nie radio kokosowe, lecz radio banmbo - zachichotała, wychodząc na dziedziniec. Chcąc jak najszybciej opuścić Les Cannelles, zanim Redvers zacznie przedstawiać Laurę personelowi, Bart poprosił:

- Słuchaj, Lauro. Jestem raczej skryty. Nie chciałbym, żeby wszyscy wiedzieli, że uważam cię za bardzo atrakcyjną kobietę.

Laura opuściła wzrok i skinęła głową na znak zgody. „Brawo, Faulconer!

Doskonale! Znowu ci się udało!” - pogratulował sobie w duchu Bart.

- Rozumiem - odrzekła Laura z promiennym uśmiechem. Jakież to podniecające być nazwaną „kobietą”. Pierre traktował ją wciąż jak dziecko. - Nikomu nie powiem, że się znamy.

Bart, uściskawszy lekko jej palce, powiedział:

- Te niebieskie drzwi to gabinet Redversa. Do jutra.

Laura spojrzała we wskazanym kierunku, a kiedy się odwróciła, Barta już nie było. W celi o okopconych ścianach rozległ się jakiś dziwny, skrzek-liwy chichot. Nie mogąc oprzeć się ciekawości, Laura zajrzała tam. Na pordzewiałych kratkach siedział mały zielony gekon. Spod opuszczonych powiek patrzyły na Laurę oczy jak paciorki. Obserwował jej dłoń wolno przesuwającą się po ścianie, a kiedy prawie mogła go już dotknąć, wysunął błyskawicznie języczek, przejechał nim po powiekach i zniknął w ciemnym kącie.

„Zniknąłeś tak szybko jak Bart” - pomyślała odchodząc.

Jeszcze raz rzuciła okiem na zakratowane cele i nie wydały jej się już takie brzydkie i przytłaczające. Wręcz przeciwnie, to skupisko starych budynków miało teraz swój urok. Mając przed oczyma obraz tego mężczyzny o blond włosach, szła na spotkanie z doktorem Redversem.

202

III

Morze skrzyło się, jak usiane drobnymi brylantami. Dwie łodzie kołysały się na falach rozbijających się o skały Shark Bank.

Laura, przechylona przez burzę łodzi, zanurzyła maskę i przyglądała się, jak słona woda obmywa szkło.

Pierre i Ashley skończyli sprawdzanie butli z powietrzem.

- Lauro, czy jesteś gotowa? - zapytał Pierre. Laura wylała wodę z maski i założyła ją na czoło.

- A teraz kontrola sprzętu - powiedział Ashley, podając jej

ekwipunek.

- Widziałam, że już oczyściłeś wentyle dyszy i sprawdziłeś zapas powietrza - powiedziała Laura.

Pierre uśmiechnął się porozumiewawczo do Ashleya.

- Zawsze sprawdzaj sama swój ekwipunek - upomniał ją Ashley. - Pamiętaj, że...

- Dobry nurek, to żywy nurek - wyrecytowali razem Laura i Pierre.

Ashley zaśmiał się.

- Zabierajmy się więc do nurkowania.

- Przez miesiąc nie można jej było oderwać od Les Cannelles - zauważył z udanym oburzeniem Pierre - a teraz traci czas na dyskusje.

- Co tam jest takiego atrakcyjnego w tym zakładzie? Pacjenci czy doktor? - zażartował Ashley.

Laura, czując, że robi się czerwona jak burak, schyliła się po pas z ciężarkami.

Pierre, zauważywszy jej zmieszanie, nachmurzył się.

- To pewnie Redvers - powiedział, siląc się na żartobliwy ton. - Nigdy nie ma cię z nami w niedziele. Wyjeżdżasz o świcie i wracasz nie wcześniej niż o zmroku. -

Odwrócił się do Ashleya. - Chyba powinieneś skontrolować, co robi twoja córka.

- Doktor Redvers nie... - zaczęła oburzona Laura i nagle zamilkła.

Nie chciała, by Ashley dowiedział się, że Redversa ma w niedziele w Les Cannelles. Przeraziła ją myśl, że ojciec nie puściłby jej tam więcej i nie mogłaby się widywać z Bartem.

Ashley spojrzał na zarumienioną twarz córki i zrobiło mu się jej żal.

- Żartujemy tylko, kwiatuszku - upokoił ją, przymocowując do nogi nóż i sprawdzając, czy łatwo po niego sięgnąć. - Jestem zachwycony, że lubisz pracę w klinice. Widziałem się z Redversem w zeszłym tygodniu w Victorii. Powiedział, że twoja pomoc przy leczeniu chorób zawodowych jest nieoceniona.

- Ale czy koniecznie musisz tam jeździć trzy razy w tygodniu i jeszcze w niedziele?

- zapytał Pierre. Brakowało mu bardzo Laury w czasie weekendów. Samotne żeglowanie i łowienie ryb jakoś przestało go bawić.

- W soboty jestem w domu - odpowiedziała. - Gdybyś rzadziej chodził na nudne zebrania, moglibyśmy częściej robić takie wyprawy.

Pierre tylko uśmiechnął się w odpowiedzi: za nic w świecie nie chciał zepsuć dzisiejszego dnia. Po nurkowaniu miał zamiar zabrać Laurę na Silhouette. Jeszcze nigdy nie widziała prawdziwej *moutii*. Robotnicy z plantacji orzechów kokosowych kontynuowali tradycje tego tańca na odległej plaży w okolicy Anse Lascars. Zaprosił ich na tę imprezę administrator, stary przyjaciel rodziny. Pierre zdobył również zaproszenie dla Gilesa i Emmy, którzy od kilku dni przebywali na Silhouette z wizytą u zielarza.

- No dobrze, teraz ty - Pierre zwrócił się do Laury.

Przysłuchali się uważnie, jak otwiera i zamyka zawory, przedmuchując dyszę. Zręcznie i szybko ustawiła regulator butli, sprawdzając, czy jest całkowicie szczelna.

- Doskonale - pochwalił ją Ashley, gdy zakończyła już wszystkie te czynności.

- Będzie z niej jeszcze prawdziwy nurek - zażartował Pierre. Laura parę razy odetchnęła przez ustnik, sprawdziła przycisk, a potem pokazała Pierre'owi język.

- Kwiatuszku! - Ashley udał oburzenie. - Czy nie jesteś na to za stara?

Laura zaśmiała się.

- Zasługuje na to, tatusiu - odpowiedziała. - Wciąż traktuje mnie jak smarkatą. -

Zamknęła rezerwę tienu. - A przecież już nie jestem dzieckiem.

- Rzeczywiście - próbował bronić się Pierre - z całą pewnością nie wyglądasz na dziecko, ale...

- Dajcie spokój - przerwał im Ashley. - Chodźmy. Potem będziecie się sprzeczać.

193

Laura uśmiechnęła się do Pierre'a. Otworzyła zawór butli, którą Pierre umocował jej paskami na plecach.

- Jak mogłabym sobie poradzić bez takiego kochanego brata? Schylił się i z torby na sprzęt wyciągnął pas z ciężarkami. Nie chciał już być kochany jak brat. Może wykorzystać okazję na *moutii* i powiedzieć jej o swych uczuciach?

Ashley usiadł na burcie łodzi, mrużąc oczy od jaskrawego światła. Było mu gorąco i niewygodnie w czarnym kostiumie nurka. Miał ochotę przynaglić Laurę, ale nagle

uchwycił wyraz oczu Pierre'a. Pierre zakochał się w jego córce! Pragnął Laury! Serce zabUo mocniej Ashleyowi. Stracił dwie ukochane kobiety i nie był jeszcze gotów do utraty trzeciej. Przecież Laura jest jeszcze dzieckiem, trzeba ją chronić przed mężczyznami.

- Uważaj! - wyrwał go z zamyślenia okrzyk Pierre'a. - Za dużo napuściłeś dwutlenku węgla. I to przed samym nurkowaniem?

- Tatusiu! - Laura spojrzała na niego zaskoczona. Ojciec wielokrotnie ostrzegał ją przed dwutlenkiem węgla, który mógł spowodować utratę przytomności.

Ashley patrzył na Laurę, która stała na rozstawionych nogach, kołysząc się w rytmie fal. Szczelnie przylegający do ciała niebiesko-czarny kostium uwypuklał jej kształty. Wokół włosów zaczesanych do tyłu Widniał pasek nie opalanej skóry. Czekając na odpowiedź Ashleya, skręcała w palcach koniec grubego warkocza przerzuconego przez ramię. Nagle zrozumiał, że ma przed sobą kobietę - Laura już nie jest jego małą dziewczynką.

Pierre stał u jej boku niczym narzeczony. Jedną ręką przytrzymał ją za łokieć, na wypadek, gdyby straciła równowagę pod ciężarem butli.

- Ashleyu - odezwał się Pierre, zaniepokojony jego nieprzytomnym wzrokiem i milczeniem. - Czy nic ci się nie stało?

- Przepraszam - odpowiedział z trudem Ashley - zamyśliłem się. - Uśmiechnął się do Laury.

Pierre przygryzł wargę - coś było nie w porządku. Tak jak przeczuwał zawczasu nadejście burzy, tak teraz poczuł, że Ashley czymś się nagle zmartwa.

- W porządku - powiedział Ashley, wyprostowując się. -Wszystko sprawdzone? Pierre skinął głową.

- Dobrze. Lauro, po raz pierwszy będziesz nurkować przy Shark Bank i w związku z tym musisz wiedzieć o kilku rzeczach.

Laura usiadła obok ojca, kołysząc się na burcie łodzi. Pierre stanął zwrócony do nich twarzą.

- Nigdy jeszcze tak głęboko nie nurkowałeś. Są tam ogromne granitowe skały, sięgające w głąb do czterdziestu pięciu metrów. - Na widok szeroko otwartych oczu Laury, dodał szybko: - Oczywiście, nie zanurkujemy aż tak głęboko. - Spojrzał na Pierre'a. - Będziemy cały czas obok ciebie. Musimy cię mieć na odległość wyciągniętej ręki. Nie popłyn za morskim okoniem, jak zrobiłaś to ostatnio. - Popatrzył na nią z powagą. - Za każdym razem widywaliśmy tam rekiny. Przypominają z wyglądu szare rafy podwodne, ale wszystko budzi ich zainteresowanie.

- Będę się trzymać ciebie, tatusiu.

- Trafiają się tam także płaszczki trygony - dorzucił Pierre. - Ogromne okazy. - Podchodził do Laury powoli z rozłożonymi rękami. - Złapią cię falującymi jak szal płetwami i uderzą ogonem, wbijając kolec w twoje ciało. - Rzucił się na nią i objął w pasie. - Trzeba będzie pożyczycić nóż od Ashleya, żeby odciąć kolec i skrócić twoje męki.

- Przestań! - krzyknęła Laura, odpychając go i omal nie tracąc przy tym równowagi.

- Chciałeś mnie przestraszyć, prawda?

- No i udało mu się - zaśmiał się Ashley, otwierając butelkę wody mineralnej Val Riche. - Masz, kwiatuszku. Napij się solidnie i daj Pierre'owi.

Patrzył bez słowa, jak oboje nawadniają się, a potem sam się napił z drugiej butelki.

- Przy Shark Bank są silne zawirowania wody. Najpierw popłyniemy pod prąd, żeby łatwiej było wracać.

Laura przytaknęła głową.

- Jeśli z jakiegoś powodu zechcesz wypłynąć na powierzchnię, zanim dam sygnał, że kończymy nurkowanie, upewnij się, że wiemy o tym i płyniemy za tobą.

- Och, tatusiu, nigdy nie wypływam szybciej niż moje bąbelki. To pierwsza rzecz, jakiej mnie nauczyłeś.

- Ale dziś chcę, żebyś była szczególnie uważna. Połknijmy tabletki Spencera i nawet twoje bąbelki będą za szybkie. Zrozumiałaś?

195

- Tak, tatusiu.

- Płyniesz za mną. Pierre na końcu - powiedział Ashley, spoglądając poprzez szkło maski na wodoszczelny zegarek do nurkowania. - Pamiętaj, nie ma mowy o wyścigach na dole.

Laura ponownie skinęła głową.

„On się starzeje - pomyślał Pierre, dopasowując maskę. - Dawniej baraszkowaliśmy w wodzie i chwytailiśmy kotwicę. A teraz? Aspiryzna i woda mineralna przed nurkowaniem”.

Zmartwił się. Jako mały chłopiec uwielbiał Ashleya, a jako dorosły mężczyzna podziwiał go i kochał. Chciałby, żeby jego idol pozostał zawsze młody. Patrzył, jak woda zabulgotała i uspokoiła się, gdy Ashley zniknął pod powierzchnią.

- Przytrzymaj maskę - przypomniał Laurze.

Laura, siedząc na burcie, spojrzała na niego i przytrzymując mocno maskę opadła na plecy do wody.

Znalazła się w niebieskawym, cichym świetle. Miała poczucie nieważkości, była tak zwinna i szybka, jak miriady ryb przemykających w rozproszonym, białym świetle słonecznym. W podwodnym świetle nie ma ani granic, ani horyzontu. W turkusowej, bezkresnej głębi ogarniało ją podniecające uczucie wolności, jakiego nigdy nie doświadcza się na lądzie. Ciepła, jedwabista woda otulała ją jak owodniowe płyny otulają płód w łonie matki.

Pierre dał jej znak. Podpłynęła do niego i szeroko otwartymi z zachwytu oczyma wpatrywała się w podmorski ogród gałązek ośmioramiennego koralowca. Skrzyły się i opalizowały perłowym blaskiem. Odpoczywające wśród nich tropikalne ryby wyglądały jak drogocenne kamienie: rubiny, szmaragdy, topazy. Laura opłynęła powoli koralowiec, usiłując zachować na zawsze w pamięci jego niezwykle piękno. Drgnęła, gdy Pierre szarpnął ją za rękę. Spojrzawszy tam, gdzie pokazał ręką, wstrzymała oddech. Nagle przesłoniły jej widok pionowe czarne i jasnożółte smugi. Wpadła w ławicę małych rybek wirujących wokół jej głowy.

Gdy popłynęły dalej w poszukiwaniu ciekawszego obiektu, zobaczyła, czemu przygląda się Pierre, i złapała go za rękę. Woda zrobiła się prawie czarna, gdy przepływał nad nimi leniwie ogromny jak statek potwór.

Pierre i Ashley, wymieniwszy między sobą spojrzenia, dali znak Laurze, żeby płynęła za nimi do góry. Gdy znaleźli się pod czarnym

cielskiem, Laura pomyślała, że przypomina ono skałę, która oderwała się od dna. Ashley uchwycił się ogromnej płetwy grzbietowej, zachęcając ręką Laurę i Pierre'a, żeby zrobili to samo. Kiedy Laura podpłynęła bliżej, złapał ją za rękę i pomógł wspiąć się na grzbiet tego dziwnego stworzenia. Pierre zaczepił się palcami za wielki pysk i zawisł u warg rekina wielorybiego, który w dalszym ciągu płynął powoli, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi.

Serce Laury waliło jak młotem. Każdy nurek marzy, by popływać na największej znanej człowiekowi rybie. Ta miała co najmniej piętnaście metrów długości. Laura przyjrzała się jej dobrze. Ciemnozielony grzbiet rekina wielorybiego pokryty był jasnymi plamami i pręgami, zostawionymi jakby dla kamuflażu przez słońce, gdy wygrzewał się na powierzchni oceanu. W tej olbrzymiej masie zaskakiwały maleńkie, wąskie szparki oczu. Patrząc na rozwarte otwory skrzelowe, Laura zadrżała: z łatwością mogłyby wchłonąć całego nurka. Wyobraziwszy sobie, jak pęd wody wpycha ją w czarne wnętrze tej ryby, uchwyciła się jeszcze mocniej płetwy. Nagle, całkiem niespodzianie, jakby mając dość pasażerów na gapę, gigantyczny rekin zanurkował. Pod naporem cielska o wadze prawie dwudziestu ton woda zakotłowała się i zawirowała. Laura wpadła w panikę. Zsunęła się z jego grzbietu i popłynęła na oślep, zapominając o Pierre i Ashleyu, pragnąc znaleźć się stąd jak najdalej. .

Ciężar butli i opór stawiany przez wodę spowodowały, że szybko się zmęczyła. Musiała zwolnić. Stopniowo wracał jej normalny oddech. Uświadomiła sobie, że jest sama. Przedzierała się przez morskie wiry, rozglądając się rozpaczliwie i próbując dojrzeć coś w intensywnie niebieskiej wodzie, która zewsząd ją otaczała. Piekły ją oczy, gdy wyteżała je, by nie przegapić bąbelków, sygnalizujących bliskość Pierre'a i Ashleya. Czują, że od naporu wody zaczyna się dusić, i słyszała głośnie pulsowanie krwi w uszach. Powstrzymując łzy, przypomniała sobie słowa Ashleya: „Trzymaj się nas na odległość ręki. Nie wypływaj na powierzchnię nie zawiadamiając nas o tym. Zanurkujesz samotnie, umrzesz samotnie”.

Z trudem zapanowała nad sobą, walcząc z narastającym strachem i paniką, które jak wiedziała, mogły doprowadzić do kata-

208

strofy. „Ryba pojawiła się od strony Shark Bank - pomyślała. Jeśli popłynę w tamtym kierunku, powinnam znaleźć nasze łodzie. Tatus i Pierre wrócą tam i znajdą mnie”.

Przestała się już zachwycać kolorytem świata podwodnego. Musi odnaleźć Shark Bank. Ale ciągle płynęła samotnie poprzez ciemnoniebieską pustkę. Zaczęła szybciej poruszać płetwami. Sprawdziła wskaźnik ciśnienia i przeraziła się. Miała powietrza zaledwie na piętnaście minut.

„Jeśli wpadniesz w panikę i będziesz szybciej płynąć, zużycie powietrza skoczy z dwudziestu pięciu do sześćdziesięciu litrów na minutę - ostrzegł Ashley. -

Powietrze to najcenniejsza rzecz dla nurka. Nie dopuść nigdy, by ciśnienie w zbiorniku zbliżyło się do ciśnienia atmosferycznego. Kończ wówczas nurkowanie i wypływaj na powierzchnię".

Laura płynęła dalej. Wskutek strachu traciła zdolność rozsądnego rozumowania, a oczyma wyobraźni widziała już atakujące ją żarłoczne rekiny.

„Jeśli stracisz mnie z oczu, nie pływaj w kółko. Nie trać głowy. Wypłyn na powierzchnię, a ja cię tam znajdę". Zapomniała o jednej z pierwszych zasad, której ją nauczono. Ashley i Pierre będą na nią czekać na powierzchni. Nie popłyną z powrotem do Shark Bank. Gdyby jednak teraz wypłynęła, nie odnaleźliby jej.

Byłaby dla nich nie bardziej widoczna niż ogon rybitwy w bezmiarze oceanu.

Świadomość, że mogłaby umrzeć, przeraziła Laurę. Do tej pory żyła w przeświadczeniu, że młodość jest nieśmiertelna. Zaczęła mocniej pracować nogami i po paru minutach poczuła, że płynie z prądem. „Chyba jestem blisko Shark Bank - pomyślała. - Trafiłam na prąd".

Z powodu obniżonego ciśnienia czuła mdłości, oddychała z trudem, a w ustach miała okropny niesmak. Poruszała energicznie nogami, nie mogąc doczekać się, kiedy ujrzy rafy. Prąd zrobił się jeszcze silniejszy. Od wysiłku bolały ją uda.

Razem z prądem szybko i cicho płynęły szare rekiny. Dokładnie zlokalizowały już pływaczkę. Były to drapieżniki o doskonale rozwiniętych organach słuchu.

Pięć szarych rekinów wyczuło i zobaczyło Laurę znacznie wcześniej, niż ona to sobie uświadomiła. Przestała na chwilę poruszać nogami i odpoczywała bez ruchu w wodzie. Odwróciła się, szukając

raf. Wtedy dostrzegła jakieś cienie. Początkowo sądziła, że to skały Shark Bank. Ale te cienie poruszały się i stawały się coraz większe. Pomyślała, że maści jej się w oczach ze zmęczenia. Przecież skały nie mogą się ruszać.

Skoczyła do góry, jakby ugryziona przez węża morskiego o żółtym podbrzuszu. Mózg natychmiast zareagował na to, w co oczy nie chciały uwierzyć. Te szare, drapieżne rekiny były już tak blisko, że mogła dostrzec szerokie czarne pasy na płetwach ogonowych i brzuchy w kolorze śmietany. „Zachowuj się spokojnie - ostrzegła ją rozsądek. - Nie zawsze są groźne, ale mogą też być bardzo agresywne”. Laura wielokrotnie spotykała rekiny, ale wtedy byli z nią zawsze Pierre i Ashley, którzy pilnowali ją od tyłu. Rozejrzała się szybko dokoła. Nie było skał, o które mogłaby się oprzeć plecami. Zawsze któryś z rekinów znajdzie się za nią. Nagle poczuła się tak, jakby była obserwatorem, a nie uczestnikiem tych wydarzeń. Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Wszystko odbywało się jak w zwolnionym tempie.

Gdy rekiny zbliżały się prując fale, zobaczyła lejkowate nozdrza nad ich paszczami. Wiedziała, że woda, wdzierając się przez otwarte nakrywki nozdrzy, przekazuje zapachy do odpowiednich komórek mózgu.

Laura usiłowała nie patrzeć w nieruchome soczewki ich zimnych, bezlitosnych oczu. Miały doskonały wzrok i widziały już ją wówczas, gdy ona bezskutecznie usiłowała coś dostrzec za niebieską kurtyną wody.

Starła się zachowywać jak najspokojniej, żeby nie rozdrażnić rekinów. Nie chciała, by wzięły ją za bezradną, przerażoną rybę. Pierwszy rekin dopływał już do niej. Miał lekko otwartą paszczę, jakby bolały go zatoki. Błyszczały śnieżnobiałe spiczaste zęby, ostre jak piła. Nie brakowało ani jednego. Tym drapieżnikom na miejsce każdego zużytego zęba natychmiast odrastają nowe. Próbowwała nie myśleć o oderwanych rękach i nogach, o krwawych szczątkach.

Przewodnik stada podpłynął do niej na odległość jednego metra i nagle bezszelestnie zniknął. Laura próbowała go odnaleźć kątem oka. Była zbyt przerażona, by uciekać od pozostałych. Patrzyła, jak z wolna otwierają i zamykają paszcze, po nabraniu wody w skrzela. Osaczyły ją jak bezgłośnie ujadające psy gończe.

210

Jęknęła cicho i gwałtownie zaczęła pracować nogami, gdy zaatakował ją przewodnik. A kiedy twarde, ostre łuski jego grzbietu obtarły jej skórę na dłoni, instynktownie skrzyżowała ręce na piersi. „Najpierw skosztują, jak smakujesz - żartował Ashley. - Ostrymi jak piła zębami zadrasną twoją skórę, by przekonać się, czy warto cię pożreć”.

Jej paniczne ruchy nóg zaniepokoiły rekiny. Machnęły potężnymi ogonami i zawirowały wokół niej niczym szare morskie wodorosty. Zamknęła oczy w oczekiwaniu na palący ból, gdy ich zęby przebiją jej kostium do nurkowania. Z

trudem łapała oddech. W ostatnich sekundach życia pomyślała z rozpaczą o mężczyźnie z żółtymi oczami. Nie zauważyła, że rekiny, posłuszne jakiemuś tajemnemu sygnałowi, odpłynęły w niebieską głębinę. Nie dostrzegła też, że przewodnik zawrócił i spoglądał teraz na nią, wyginając grzbiet w łuk jak rozzłoszczony kot.

Ashley i Pierre płynęli razem, rozglądając się na wszystkie strony w ciemnościach, badając każdy ciemny kształt. Szukali szczupłej dziewczyny w niebiesko-czarnym kostiumie nurkowym.

Dotarli do Shark Bank. Ashley błagał Boga, żeby tu była, żeby nic się jej nie stało. Pierre trącił Ashleya w nogę, by zwrócić jego uwagę. Ashley zawahał się, widząc, że Pierre zawraca ostro i schodzi głębiej, ale popłynął za nim. Natychmiast dostrzegł jasne włosy Laury, lśniące na zielono w załamującym się w wodzie świetle. Dzięki pasiastemu kostiumowi była tak dobrze widoczna jak papuzia ryba. Odetchnął z ulgą.

I wtedy rozpoznał dziwny kształt tuż koło niej. Serce ścisnęło mu przerażenie; na chwilę przestał oddychać.

- Uciekaj, Lauro! - krzyknął bezgłośnie. - Zejdź mu z drogi. Zaraz cię zaatakuje. Szary rekin kręcił się zygzakiem koło niej, rzucając głową na boki. Przypominał szykującą się do skoku lwicę. W uniesionym do góry pysku widoczne były dwa rzędy zębów, z których każdy bez trudu mógł oskalpować główkę niemowlęcia. Widok Pierre'a, opływającego rekina i usiłującego dotrzeć do Laury, pobudził Ashleya do działania. Kiedy się poruszył, rekin wygiął grzbiet jeszcze bardziej i zaczął niespokojnie się kręcić.

„Dlaczego ona nie ucieka? - zastanawiał się Pierre. - Przecież wie, że to szaleństwo tkwić tak bez ruchu". Gdy podpłyną bliżej Laury, stało się dla niego jasne, dlaczego tak się zachowywała: miała zamknięte oczy. Zerknął na rekina i przyciągnął Laurę do siebie.

Laura zeszywniała, czując mocny uścisk na ramieniu.

„Niech to się odbędzie jak najszybciej" - pomyślała. I wtedy uświadomiła sobie, że ktoś ją holuje i że to nie boli. Z pewnym wahaniem otworzyła oczy. „Pierre! - uradowała się w duchu. - To Pierre"!

Chciała zatrzymać się i porozmawiać z nim na migi, ale on trzymał jej rękę w twardym uścisku, zmuszając, by płynęła szybko. Odwróciła głowę, szukając wzrokiem Ashleya, i wtedy zobaczyła rekina. Był całkiem blisko, w tej samej groźnej pozycji. Strach dodał jej sił i Pierre nie musiał już jej ciągnąć.

Gdy popłynęli w górę, szary rekin przybrał normalną pozycję, zadowolony ze swego zwycięstwa. Ashley pozostał jeszcze przez chwilę w pobliżu drapieznika, gotów stoczyć z nim walkę, gdyby trzeba było bronić Laury. Widząc, że rekin uspokoił się, popłynął w ślad za Pierre'em i Laurą, co chwila oglądając się za siebie w obawie przed niespodziewanym atakiem. Ale szary rekin zniknął.

Ashley sprawdził ciśnienie w butli. Zbliżało się do poziomu ciśnienia atmosferycznego. Spojrzał do góry - Pierre'a i Laury nie było już widać. „Cholera - zaklął. - Dlaczego Pierre tak się śpieszy? Przecież wie, że Laura ma więcej powietrza w swojej butli".

Otworzył zawór rezerwy i popłynął za nimi.

Pierre obserwował Laurę uważnie, gdy płynęli ku powierzchni. Wyglądało na to, że oddycha normalnie. Pokazał palcem na jej butlę i ustnik, ale ona zrobiła ręką kółko nad głową, dając mu do zrozumienia, że czuje się dobrze.

Nagle wystrzeliła do góry jak korek z butelki i zniknęła mu z oczu. „Gdzie jesteś? - przemawiał do niej w duchu. - Twoja butla jest już prawie pusta. Nie możesz sama płynąć". Machając mocno czarnymi płetwami, pruł wodę jak rekin. „Gdzie jesteś, Lauro? Nie dasz sobie rady beze mnie".

Jakby w odpowiedzi na jego nieme wołanie tuż nad nim ukazała się Laura.

Przewróciwszy się na plecy, popłynął jeszcze szybciej. Odetchnął z ulgą. Mimo spotkania z rekinami jakoś sobie jeszcze radziła.

201

Podpłynął do niej i chwycił ją za ramię. Odwróciwszy się do niego, przeciągnęła ręką po szyi. Potrzebowała powietrza. Pierre skinął głową na znak, że rozumie. Nabrał do płuc jak najwięcej powietrza i podał Laurze swój ustnik. Odetchnęła chciwie.

Pierre trzymał ją teraz za rękę, żeby mu znowu nie zniknęła. Dzielili się ustnikiem, jak dzieci dzielą się lodami, aż wreszcie, uszczęśliwieni, dopłynęli do miejsca rozświetlonego skrzącymi się w wodzie promieniami słońca.

Dwie łodzie, prażące się w tropikalnym słońcu, wyglądały jak okruszyny chleba na błękitnym obrusie oceanu. Ashley i Pierre w milczeniu ustawili baldachim na większej łodzi i w jego cieniu położyli butle z powietrzem. Laura otwierała paczki z jedzeniem, przygotowane przez Cook. Od czasu do czasu zerkała na nieruchomą twarz Ashleya. Wiedziała, że bardzo go rozgniewała. Powstrzymując łzy, czekała na wymówki, które powinny były nastąpić.

Nagle łódź zachybotła się. Ashley, który zamierzał właśnie usiąść w cieniu pod baldachimem, upadł na jedną z butli. Na jego nodze ukazała się czerwona rysa, z której popłynęła krew. Laura chciała mu pomóc, ale odtrącił jej rękę. Wyjął z pojemnika papierową serwetkę i zrobił z niej opaskę na nodze.

- Najwyraźniej się pomyliłem, pozwalając ci nurkować - odezwał się, przytrzymując papierową opaskę nasiąkniętą krwią. - Złamałaś wszelkie zasady bezpieczeństwa. Również nas naraziłaś na niebezpieczeństwo swoim nieodpowiedzialnym, wariackim zachowaniem.

Laura zwiesiła głowę, owijając wokół palca koniec warkocza. Nie była w stanie spojrzeć ojcu w oczy.

- Widzialność była tylko na dwadzieścia pięć metrów. Zaufaliśmy ci, że będziesz się nas trzymać.

Laura utkwiała oczy w krzepnącej rdzawej krwi na nodze Ashleya.

- Szukanie w oceanie nurka, który wpadł w panikę, to jak szukanie igły w stogu siana.

Pierre, zajęty porządkowaniem sprzętu, domyślał się, jak czuje się teraz Laura, i miał wielką ochotę jakoś ją pocieszyć.

- Ja...

213

- Tylko nie mów, że ci przykro - nie dopuścił jej do głosu Ashley. -Nurkowie, którym przykro, to najczęściej martwi nurkowie.

Dwie łzy jak groch potoczyły się po policzkach Laury. Otarła je końcem warkocza.

- Tam na dole jest niebezpiecznie - mówił dalej Ashley, nie wzruszając się jej łzami.

- Pięknie, aż zatyka dech, ekscytująco, ale bardzo niebezpiecznie dla tych istot, które nie oddychają skrzelami.

Ashley, patrząc na swą śliczną córkę, miał wielką ochotę wziąć ją w ramiona, ukołysać i osuszyć jej łzy, jak to robił, kiedy była małą dziewczynką. Ale szukając Laury w ciemnych głębiach oceanu zdenerwował się bardzo i nawet teraz, kiedy już ją odnaleźli, był na nią zły.

Z przerażeniem myślał, że mógłby już jej nigdy więcej nie zobaczyć. Drętwiał ze zgrozy, wyobrażając sobie jej śmierć wskutek braku powietrza, martwe ciało rozszarpane przez rekiny. Dlatego był teraz tak bezlitosny dla dziecka, które kochał.

- Nie mam innego wyjścia, Lauro, jak tylko... Przeczuwając, że Ashley ma zamiar zabronić Laurze nurkowania, Pierre przerwał mu:

- Ona już nigdy tak się nie zachowa, Ashleyu. Całe szczęście, że udało jej się przeżyć to straszne doświadczenie. Teraz będzie już mądrym i bardzo ostrożnym nurkiem. Jestem tego pewien.

- Proszę cię - odezwała się po raz pierwszy Laura. - Proszę cię, tatusiu.

Zapadła długa cisza. Pierre wstrzymał oddech, a Laura w milczeniu wyłamywała palce.

- A więc nurkujemy tu jutro - powiedział w końcu Ashley. -Będę cię bardzo uważnie obserwował.

Wiedział, jak się dziś przeraziła. Następne nurkowanie pokaże, czy ma wystarczająco dużo odwagi, by zostać dobrym nurkiem.

- Dziękuję - szepnęła.

Ashley popatrzył na nieszczęśliwą minę córki i przestał się na nią gniewać. Wyjął z paczki kanapkę z bekonem i jajkiem i podał ją Laurze. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, uznając to za znak końca nieporozumień między nimi.

Kiedy zajadali kanapki, Ashley opowiadał im o rekinach. Laura zdziwiła się bardzo, że niektóre gatunki współczesnych rekinów żyły już sto trzydzieści milionów lat temu, w epoce jurajskiej.

203

Trudno prześledzić ich historię i rzadko znajduje się skamienieliny rekinów, ponieważ ich szkielety zbudowane są z chrząstek, a jedynymi twardymi częściami są zęby i łuski.

- Ciocia Emma ma dwa skamieniałe zęby w swoim sekretnym... - Laura zająknęła się - w swoim gabinecie. Mówi, że używane były jako czarodziejski środek przeciw truciźnie.

- Twoja ciotka uważa, że każdy przedmiot w przyrodzie ma właściwości magiczne - odpowiedział Ashley.

- Tak, ale tamte zęby są ogromne.

- Bo takie były wymarłe rekiny. Miały prawdopodobnie około dwunastu metrów długości. Szkliwo na ich zębach było dwa razy grubsze od tego, które mają dzisiaj białe drapieżne rekiny.

Laura, oparta o konsolę łodzi, siedząc ze skrzyżowanymi nogami słuchała opowieści Ashleya, za którymi zawsze przepadała. Przymknąwszy oczy, porządkowała w myśli nowo zasłyszane informacje.

„Rekiny nie są bezrozumnymi, prehistorycznymi maszynami do jedzenia. Uczą się tak szybko jak białe myszki, potrafią odbierać sygnały i słuchać rozkazów. Są wyjątkowo uczulone na pole elektryczne wytwarzane przez wszystkie stworzenia. Z całą pewnością można o nich powiedzieć, że są najbardziej rozwiniętymi przedstawicielami fauny morskiej”.

- I dlatego nurkowie rzadko bywają atakowani przez rekiny -zakończył Ashley.

- One przypominają psy gończe, tatusiu, albo śliniące się wilki z tymi otwierającymi się i zamykającymi paszczami... - Laura urwała nagle na wspomnienie niedawnych przeżyć.

Ashley wziął ją za rękę.

- Przypomnij sobie ten obrazek, jeśli kiedykolwiek zechce ci się zrobić coś głupiego pod wodą. Pamiętaj o polujących rekinach. Zawsze odnoś się do nich z wielką ostrożnością.

Laura skinęła głową i pogłaskała go po ramieniu.

Nagły podmuch wiatru porwał plastik, w który zapakowane były kanapki. Pierre i Laura rzucili się, by go schwytać, zanim wpadnie do wody.

Ashley zaśmiał się i mówił dalej.

- Jeszcze jedna dziwna cecha rekinów. Mogą zatonać jak papier. Nie mają pęcherzy do utrzymywania się na powierzchni wody.

- Mają płaskie pletwy piersiowe - pochwaliła się Laura swoją wiedzą.
 - I pletwę ogonową, której wierzchni płatek jest większy od spodniego - dodał Pierre.
 - I co jeszcze? - zaśmiał się Ashley.
- Pierre i Laura popatrzyli na niego wyczekująco.
- I pełną oleju wątrobę, która w pewnym sensie zastępuje im pęcherz z powietrzem - powiedział Ashley, zrzucając z kolan okruchy chleba. - No, posprzątajmy tutaj, a potem drugą łódką popłyniecie na Silhouette.
- Podał Pierre'owi koszyk upleciony z liści palmowych.
- To od Cook dla administratora wyspy i jego żony za to, że będą musieli was znosić dziś wieczór.
 - Dzięki - zaśmiał się Pierre.
 - Przekażcie pozdrowienia Gilesowi i Emmie. Ostrzeżcie też Gilesa, by uważał z piciem na *moutii*. Podają tam bardzo mocny trunek.
 - Za pierwszym razem, kiedy wypił *calou*, chorował przez dwa dni - przypomniał im Pierre.
 - Każdy by po tym chorował - próbowała go bronić Laura.
 - Emmie nic się nie stało - zażartował Pierre.
 - Pewnie uodporniła się dzięki wywarom ze swoich ziół - powiedział Ashley. - Dobrze, płyncie już i bawcie się dobrze.
 - Szkoda, że nie chcesz wybrać się z nami, tatusiu. Czy naprawdę musisz spędzić cały wieczór z tym nudziarzem z Londynu?
 - Tak się składa, że ten „nudziarz” jest wybitnym profesorem, kwiatuszku, i najprawdopodobniej pójdę z nim na kolację.
- Zanim Laura przeszła do łodzi Pierre'a, zarzuciła ręce na szyję Ashleya i potarła policzkiem o jego policzek.
- Nie wrócimy późno, tatusiu. Obiecałam, że będę w Les Cannelles o dziesiątej rano. Pierre zachmurzył się. Miał nadzieję, że Laura odwoła tę wizytę. „Nieważne - pomyślał, odcumowując łódź. - Jak dowie się o uczuciach, które do niej żywię, zapomni o Les Cannelles”.
 - Jutro nurkujemy - przypomniał jej Ashley.
- Laura spoważniała, ale chwilę potem odpowiedziała z uśmiechem:
- Oczywiście, tatusiu. Przepraszam cię.

216

Będzie musiała jakoś zawiadomić o tym Barta. Aż serce zabiło ją na myśl, że go jutro nie zobaczy. Jednakże Ashley był surowym ojcem i nie tolerował nieposłuszeństwa.

Zadowolony Pierre mruczał coś pod nosem, przygotowując łódź, by razem z Laurą popłynąć na Silhouette.

Oboje siedzieli w milczeniu, gdy łódź pruća dziobem małe falki. Laura włożyła rękę do wody i obserwowała przepływające między palcami srebrne krople. Gorączkowo szukała w myślach przekonującej wymówki, by poprosić Pierre'a o zawrócenie na Mahe. Musi porozmawiać z Bartem, usłyszeć jego uspokajające zapewnienie, że spotkają się w następną niedzielę. Gdy jednak spojrzała na Pierre'a, a on odpowiedział jej uśmiechem, zrozumiała, że powinna pójść z nim na *moutię*. Uratował ją przed rekinem, od pewnej śmierci. Nie może mu teraz sprawić przykrości.

Uśmiechnąwszy się do niego, zwróciła wzrok na ocean. Był tak pusty jak weekend bez Barta.

Pierre zakręcił kołem sterowym, omijając z bardzo bliska kołyszący się na falach orzech kokosowy. Uszczęśliwiony ciepłym uśmiechem Laury, nucił pod nosem starą wyspiarską melodię.

Gdy zbliżyli się do wyspy, Pierre popatrzył na Mount Dauban, którego granitowy sześciusetmetrowy szczyt otoczony był teraz girlandą chmur, zabarwionych przez zachodzące słońce na brzosk-winiowo i fiołkoloróżowo. „Z pewnością jest to jedna z najpiękniejszych wysp na archipelagu - pomyślał, zmniejszając szybkość. - Kto wie, może moi korsarscy przodkowie zakopali tu skarb, ukrywając go przed flotą brytyjską? To najlepsze miejsce, żeby powiedzieć Laurze, że ją kocham". Radośnie podniecony, zarzucił kotwicę i czekał na przybycie administratora, który miał ich przewieźć płaskodenną łódką lawirując między mieliznami.

Na brzegu, pod rozłożystymi drzewami tekowymi i chlebowymi panowała cisza jak w kościele. Przez gęstą zasłonę liści nie mogły przedostać się promienie słoneczne. Laura szła powoli za Pierre'em. Przystanąła na moment, żeby przyjrzeć się staremu domowi, jakie budowano niegdyś na plantacjach.

- No, chodź, co się tak wleciesz?! - zawołał Pierre, zmierzając szybkim krokiem w stronę wytwórni kopry, gdzie leżały porozkładane połówki orzechów kokosowych. - Poskarżą się Cook na nasze złe maniery, jeśli spóźnimy się na kolację. - Trącił nogą

kurczaka dziobiącego w ziemi, który nie zamierzał zejść mu z drogi. - A jeszcze musimy wziąć prysznic i przebrać się przed pójściem na plażę na *moutię*.

- Szkoda, że filary w La Re traite nie są zrobione z drzewa kapucynowego - powiedziała. - Jest takie piękne.

- I tak masz szczęście, że mieszkasz w pięknym starym domu. Niewiele ich pozostało na wyspach. No, chodźmy.

W gorącym powietrzu unosił się intensywny zapach suszącej się kopry. Laura wpadła do suszarni w drewnianym baraku krytym blachą falistą, zanim Pierre zdążył ją powstrzymać.

- Laura! - zawołał i pobiegł za nią.

Słyszając jego kroki, Laura odwróciła się od drewnianych tac i szybko wepchnęła mu w usta kawałek ciepłego orzecha kokosowego.

- Przepadam za tym - powiedziała, chowając do kieszeni ciepłe kawałki kopry.

Pierre, mając pełne usta, nie mógł nic odpowiedzieć. Gdy wchodzili po schodach do domu jego przyjaciół, Laura nagle się zatrzymała.

- Znak nowych czasów - wymamrotała, jedząc orzecha. Pierre spojrzał na ustawione wzdłuż schodów stare dzbanki

i puszki. W wyszczerbionych, pordzewiałych emaliowanych garnkach rosły różnokolorowe kwiaty i paprocie.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- To - trąciwszy go łokciem, wskazała 'na skrzynkę pełną jasnożółtych kwiatów portulaki.

- Rzeczywiście, nie jest to zwykła skrzynka na kwiaty - zauważył Pierre, spoglądając na pudło po amunicji do pistoletów maszynowych AK.

- Rosyjska broń i amunicja na wyspach! To wstyd! Przedtem wyspy nigdy nie potrzebowały wojska, a teraz...

- Wiesz, jakie mamy motto w naszym herbie? *Finis coronat opus*.

- Koniec wieńczy dzieło - przetłumaczyła. - Ale zależy, o jaki koniec chodzi!

- Czasami dla dobra narodu należy sięgnąć po środki z pozoru niezbyt miłe.

- Tak jak narzucenie rządu nie wybranego w wyniku powszechnego głosowania? Naród nie miał żadnej możliwości wypowiedzenia się, czy chce zmian.

207

- Lauro - westchnął Pierre, żalując, że w ogóle zaczęli o tym mówić. - Te nowe prawa zostały ustanowione dla dobra narodu. Nastąpi dalsza poprawa. Robotnicy pracujący przy produkcji kopry i rybacy będą zatrudniani na uczciwych zasadach.

- Słyszałam to setki razy na twoich zebraniach. Wyjaśnij mi, skąd na to wziąć pieniądze. Turystyka rozwija się słabo, a biznesmeni opuszczają wyspy. Przyjaciele tatusia...

W drzwiach wejściowych uniosła się niebieska kwiecista zasłona i ukazał się gospodarz domu. Kiedy Pierre przedstawił mu Laurę, zostali poczęstowani

mleczkiem kokosowym. Laura uśmiechała się do Pierre'a sponad skorupy orzecha. Odpowiedział uśmiechem, ale nie rozchmurzył się do końca. Przykro mu było z powodu Laury. Nie rozumiejąc, że działania rządu mają na celu dobro narodu, uparcie stawiali ten system na równi z jednopartyjnymi rządami w samej Afryce, gdzie korupcja i nieudolność polityków w zawrotnym tempie prowadziły do katastrofy.

Laura próbowała protestować, gdy administrator oddał jej do dyspozycji swoją sypialnię. Wpadła jak burza do pokoju Pierre'a:

- Pierre, nie mogę zająć ich sypialni. Będą musieli spać na werandzie. To nie wypada.

- Lauro, Lauro - uspokajał ją Pierre, rozpinając suwak torby - zrobisz im przykrość, odmawiając. To dla nich zaszczyt, że mogą cię gościć w swoim domu.

- No dobrze - skapitulowała. - Ale po powrocie na Mahe musimy przesłać im jakiś prezent.

- Oczywiście, masz rację - zgodził się Pierre. - A teraz szybko się przebierz.

Laura wróciła do sypialni i z zainteresowaniem zaczęła oglądać wiszący nad łóżkiem krzyż, obrazy przedstawiające Maryję Dziewicę i fotografie rodzinne, ustawione na politurowanej toalecie. - Lauro - zawołał Pierre - szykujesz się?

Odstawiwszy plastikowe ramki, wyciągnęła z torby spódniczkę w kratę i czerwoną bluzeczkę bez ramiączek, a potem pobiegła do łazienki.

- No nareszcie - skwitował żartobliwie Pierre, gdy Laura pojawiła się na werandzie. Szeroka, suto marszczona spódnica podkreś

łała szczupłość jej talii, a czerwona, bawełniana bluzeczka, przylegająca ściśle do kształtnych, wysokich piersi, odsłaniała nagie, opalone na brąz ramiona. Umyte włosy opadały złotą kaskadą loków na plecy.

- Prześlicznie wyglądasz - powiedział cicho.

- I ty też - uśmiechnęła się figlarnie. - Dziewczyny z wyspy oszaleją, kiedy zobaczą cię w białych spodniach i niebieskiej, pasiastej koszuli. Muszę dziś na ciebie uważać, mój dorosły bracie. Podobno dziwne rzeczy zdarzają się podczas *moutii*.

- Daj spokój, nie opowiadaj głupstw. To ja będę musiał szukać cię po krzakach - zażartował Pierre. - Wszyscy tracą przez ciebie głowy.

Laura roześmiała się zadowolona.

- Zjedzmy coś i chodźmy tańczyć *moutię*. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę wujka Gilesa, próbującego stepować. On nie potrafi tańczyć nawet *segi*.

- Ale Emma potrafi. Robi to tak dobrze jak miejscowi.

- Lepiej - poprawiła go Laura.

Na wspomnienie Emmy, która prowokująco kołysała biodrami, próbując skomplikowanego kroku *segi*, Pierre musiał przyznać rację Laurze. Zaśmiała się, obróciła w kółko i krokiem *segi* przeszła do jadalni. Obserwując jej prowokujące ruchy, Pierre nachmurzył się i zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, zabierając Laurę na *moutię*. Kościół od lat próbował położyć kreś temu zmysłowemu tańcowi, z oburzeniem nazywając to zbiorowymi orgiami. „Już za późno - powiedział sobie. - Ale będę jej pilnował”.

Przyjaciół Pierre'a już odpłynął, zabierając muzykantów oraz Gilesa i Emmę.

Laura chciała się przespacerować, poszli więc z Pierre'em do Anse Lascars ścieżką wzdłuż urwistego brzegu. Odwróciła się, by popatrzeć na La Passe. Woda zatoki w jasnym świetle księżycy lśniła jak krople rtęci.

- Jak tu pięknie, Pierre. Mamy szczęście, że mieszkamy tutaj. Pierre wziął ją za rękę.

- To ty jesteś piękna, Lauro - powiedział z czułością. - A ja mam szczęście, że mieszkam z tobą.

Laura otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Pierre zmagił się z pragnieniem, by porwać ją w ramiona i pocałować. Gdy spojrzał

209

w jej jasne, niebieskie oczy, nie wytrzymał i dotknął warg Laury, jakby musnął je lekki morski wiatr. Laura odsunęła się.

- Och, Pierre, głuptasie! Co robisz? Na jakim filmie to widziałeś? - zaśmiała się pewna, że Pierre znowu z niej żartuje.

Pierre, westchnąwszy ciężko, odpowiedział drżącym głosem:

- Chyba na „Casablance”, a może na „Przeminęło z wiatrem”?

- Jesteś fajny. Lubię być z tobą! - zawołała i pobiegła przed nim, ale po chwili zatrzymała się. - Chodź szybko. Chyba słyszę już bębny. Spóźnimy się.

- Na *moutię* nie można się spóźnić. Trwa do świtu - odpowiedział Pierre, doganiając ją.

Emma, siedząc oparta o nogi Gilesa, popijała w zadumie wódkę z soku palmowego.

- Smakuje jak słabe piwo imbirowe z dodatkiem soku cytrynowego - powiedziała.

Giles ukradkiem wylał na piasek swoją palmową wódkę i wyciągnął z kieszeni flaszkę whisky.

- To świństwo ma osiemdziesiąt procent alkoholu. Jest jak dynamit - stwierdził.

Emma zwróciła ku Gilesowi twarz, na którą opadały kręcone kosmyki włosów.

Zdmuchnęła je lekko, by nie łaskotały w usta.

- A mnie bardzo smakuje. Szkoda, że nie możemy mieć wódki palmowej na naszych sabatach. Na pewno wszystkim by odpowiadała.

- Byłby to najweselszy sabat czarownic w Sussex - zaśmiał się Giles. - Wszystkie gazety pisałyby o tym i zainteresowałyby się nami miejscowa policja.

- Ale pomyśl, jak byśmy się kochali. Podobałoby się to naszej wielkiej matce, Dianie. - Spojrzała na księżyc z oddaniem i miłością.

Giles, położywszy rękę na jej pełnej piersi, pochylił się i całując ją w szyję, szepnął do ucha:

- Moja cudowna czarownico!

- Ciociu Emmo!

Odsunęli się od siebie gwałtownie, słysząc głos Laury. Pojawiła się w świetle ogniska, zmierzając w ich stronę. W tym momencie

zawołał ją Pierre, który rozmawiał z muzykantami, i Laura odwróciła się do niego.

- Jaka podobna do Virginii... - rzekł Giles.

- Ale jeszcze piękniejsza - dodała Emma.

Pierre wziął Laurę za rękę i poprowadził w stronę muzykanta, który walił w bębenek. Rybi pęcherz, naciągnięty na okrągłą ramę z hibiskusa, nagrzewał się i muzykant sprawdzał jego brzmienie.

- To wspaniały chłopak - orzekł Giles obserwując, jak Pierre z wielkim wyczuciem rytmu próbuje grać na bębnie.

- Ale nie dla Laury — skwitowała krótko Emma.

- Emmo, nie myśl, że Laura zostanie na zawsze dziewicą i że nikt jej nie tknie.

Któregoś dnia zakocha się i...

- Jest zbyt młoda na to - zaprotestowała Emma. - Ludzie spod jej znaku zakochują się w sposób irracjonalny. Ona popełni straszny błąd.

- Miałaś osiemnaście, no, prawie dziewiętnaście lat, kiedy się poznaliśmy.

Pamiętasz?

- Tak, ale...

- Niema żadnego „ale”. Laura jest młoda i piękna. Prędzej czy później ktoś się nią zainteresuje. Musisz być na to przygotowana. Ona już nie jest dzieckiem.

- Tak, ale nie będzie to Pierre - powiedziała z przekonaniem Emma, gdy Laura i Pierre odeszli od muzykanta. - To będzie blondyn. Wiem, że będzie bezpieczna, póki nie pozna mężczyzny o żółtych, kocich oczach.

Laura i Pierre usiedli na piasku obok nich.

- Ojej, ale chce mi się pić po tym spacerze. Mogę się napić z twojej szklanki, ciociu Emmo? - i zanim Emma zdążyła zaprotestować, Laura wypila jednym haustem pół szklanki.

Gdy się zakrztusiła, Pierre, uderzając ją w plecy, powiedział:

- Głuptasie, wódkę palmową trzeba pić powoli.

- Nie wiedziałam, że to wódka - odrzekła Laura, ocierając oczy.

- Napij się soku cytrynowego - poradził Giles. - Przynieśliśmy dwie butelki.

Laura z wdzięcznością napiła się soku i zaczęła się przyglądać przygotowaniom do *moutii*.

- Właściwie nic się nie dzieje - powiedziała zawiedziona. -Wszyscy siedzą i gadają.
211

- I popijają - wtrącił Giles.

- Ten starzec śpiewa tu już chyba od wieków - Emma wskazała palcem chudego starego człowieka opartego o palmę i grającego na tradycyjnym instrumencie, zrobionym z kalabasy i zwanym *zez*.

- Dobry jest w tym - powiedział Pierre widząc, jak starzec podnosi instrument do ust i szarpie struny na wygiętym kawałku drewna, do którego przymocowana była

kalabasa. Siedzący w pobliżu wyspiarze zaczęli kołysać się do rytmu i ze śmiechem poklepywać się po plecach.

- O czym on śpiewa? - zapytała Emma.

- Nie pytaj - uśmiechnął się Pierre. - To wyjątkowo sprośna piosenka o żonie jego sąsiada.

- Szkoda, że nie znam języka kreolskiego.

- Mają go zrobić głównym językiem wysp, obok francuskiego i angielskiego - powiedziała Laura, patrząc na Pierre'a. - W ten sposób z całą pewnością nie nauczą się mówić dobrze ani po francusku, ani po angielsku i nie będą mogli podróżować, ani podejmować pracy tam, gdzie nie jest znany ich język.

- Absolutnie nie masz racji - odparował Pierre. - Kreolski jest językiem miejscowej ludności i musi być za taki uznany.

- Ale dlaczego nie można nadać jednakowego statusu tym trzem językom?

- Język *krio* jest częścią ich kultury, podobnie jak *moutia* - wtrącił się Giles. - Jeśli zaczniecie tu polityczne spory, wyrzucą nas i nigdy już nie zaproszą.

- Masz rację, wujku Gilesie. Przepraszam, ja...

- Zaczyna się - przerwał im Pierre.

Dwóch tubylców, ubranych w luźne koszule i szorty, podeszło do ogniska.

Popatrzyli na siebie, a potem jeden z nich klasnął w ręce i wydał przeciągły krzyk.

Muzykanci ożywili się i zestroili bębny, uderzając w nie z jeszcze większą siłą.

Jeden z tubylców monotonnym głosem zaczął recytować słowa pieśni, a jego partner powtarzał je śpiewając.

- Zwróćcie uwagę, że wszyscy inni przyjmują to całkiem obojętnie - szepnął Giles.

Ledwie to powiedział, mężczyźni siedzący w kole podchwycili refren. Dźwięk bębnów stawał się coraz głośniejszy. Śpiew również przybierał na sile, a szuranie nóg zmieniało się w posuwisty taniec.

Laura przysłuchiwała się uważnie śpiewowi, ale afrykańskie, oryginalne słowa były dla niej niezrozumiałe.

- Czy rozumiesz, co śpiewają? - zapytała Emma, podając szklanę, by ponownie napełniono ją wódką palmową.

Laura potrząsnęła głową:

- Pieśni te przywieźli z Afryki pierwsi niewolnicy - wyjaśniła. - Są to pieśni plemienne z domieszką słów arabskich z Madagaskaru i z nielicznymi słowami francuskimi.

- Czy w tamtych czasach też urządzali *moutiel*

- Tak. Robotnicy z plantacji po całym dniu pracy wymykali się chyłkiem w jakieś ukryte miejsce i tam śpiewali pieśni swoich rodzinnych krajów. Pewnie dlatego są takie smutne.

- No i sprośne. Układali pieśni o swoich pracodawcach oraz o innych ludziach, których nie darzyli raczej sympatią - dodał Pierre. - I teraz improwizują podczas tańca, układając bardzo zabawne piosenki.

Nagle dwaj śpiewacy zmienili melodię i zaczęli śpiewać pieśń, która zabrzmiała jak błagalna prośba. Wyciągając ramiona, podeszli do siedzących kobiet.

- Co oni teraz robią? - szepnęła Emma.

- Ci mężczyźni, kawalerowie, zachęcają kobiety, by się do nich przyłączyły - wyjaśnił Pierre.

- Bez większego sukcesu - mruknął Giles.

Do dwóch śpiewaków, kołyszących się rytmicznie przed wybranymi kobietami, podeszli inni. Kobiety początkowo ignorowały mężczyzn, ale potem, ociągając się, zaczęły wstawać z piasku

I posuwistym krokiem dołączały do nich. W migotliwym świetle ogniska ich twarze wydawały się całkiem bez wyrazu.

Na niski, basowy śpiew mężczyzn odpowiedziały teraz wysokie głosy kobiet tańczących wraz z nimi w kole. Wykonując zmysłowe i prowokacyjne ruchy, zdawały się nie zauważać partnerów. Chociaż ich ciała nie stykały się ze sobą i rzadko zwracali się do siebie twarzami, ten powolny taniec pełen był seksu.

Emma odstawiła szklanę na piasek i wychyliła się, żeby lepiej widzieć. Różowym, ostrym koniuszkiem języka oblizywała wargi, a w jej oczach odbijały się płomyki ognia.

- Płomienie i wino, muzyka i taniec - szepnęła. - Tak cieszą się z życia ludzie zespoleni z naturą. Pokochaliby też boginię Wicca.

224

Na tej oddalonej plaży na Seszelach poczuła się nagle tak jak na tajemnej polanie w lasach Weald. Mieszkańcy wysp stali się jej kapłanami.

- Chodź - szepnęła, biorąc Gilesa za rękę.

- Emmo -zaprotestował. -Ogniska i tańce w tropikach są dla... Wbiła długie paznokcie w jego dłoń. Łyknąwszy whisky, podążył za nią w krąg światła ogniska.
- Ciocia Emma wygląda tak, jakby miała szesnaście lat -powiedziała Laura, odwracając się do Pierre'a.

Łagodne, przyćmione światło zamazywało szczegóły twarzy Emmy i zabarwiało na połyskliwy blond jej siwe włosy. Za przykładem kobiet z wysp podciągnęła spódniczkę powyżej kolan, odsłaniając nogi szczupłe i zwinne jak u młodej dziewczyny.

- I tak się porusza - odpowiedział Pierre, widząc, jak Emma tańcząc prawie ociera się o Gilesa.

- Ciągle jej nie lubisz, prawda?

- Nie ufam jej, Lauro. - Przypomniał sobie błysk nienawiści w oczach Emmy, gdy Nicole nie chciała nakłaniać Ashleya, aby wysłał Laurę do Anglii. - Mówiłaś, że jest dobrą czarownicą, ale ja wyczuwam w niej złowrogą siłę. Obawiam się, że podczas twoich studiów w Anglii będzie próbowała kierować tobą, wciągać cię w swoje praktyki czarodziejskie.

- Och, Pierre - zaoponowała Laura z głową opartą na jego ramieniu. - Emma wcale nie jest taka.

- Zauważyłem, jak patrzy na ciebie. Jej spojrzenie jest zaborcze i pełne zazdrości.

- Mówisz tak dlatego, bo za dużo wypiełeś. Chodźmy tańczyć. Od wódki cioci Emmy chce mi się spać, a szkoda byłoby stracić ten wieczór.

- Dobra. Wstajemy - powiedział Pierre. - Idziemy poskakać.

Emma tańczyła odwrócona plecami do Gilesa. Głośne, niesamowite dźwięki bębnów wprawiały jej ciało w drżenie. Odrzuciwszy głowę do tyłu, utkwiała szeroko otwarte oczy w bladym księżycu. Poprzez ten taniec oddawała cześć Dianie, swej ukochanej bogini.

Giles pochylił się nad Emmą i wyszeptał jej imię. Spojrzała na niego i pogłaskała go po wilgotnej brodzie. W otwartym dekolcie jej bluzki, przylepiającej się do ciała, widoczna była gładka, lśniąca skóra.

214 - Głosy na wietrze

225

- Musimy uczcić Wielką Matkę - szepnęła. Giles uśmiechnął się do swojej czarownicy.

- Nie ma tu odpowiednich ciernistych krzaków, ale jestem pewien, że nasza bogini światła zgodzi się i na drzewa palmowe.

Emma uścisnęła jego rękę i rozejrzała się za Pierre'em i Laurą. Pierre tańczył odwrócony plecami do Laury i Emma nie widziała wyrazu uwielbienia na jego twarzy.

- Wracamy do wioski! - zawołała. - Zobaczymy się jutro przed waszym wyjazdem.

- Już jest prawie jutro! - odkrzyknęła Laura. - Popłyniemy łodzią. Pierre mówi, że muzykanci będą tu aż do świtu. Wtedy i my wrócimy. Do widzenia.

Gdy znaleźli się poza światłem ogniska, Emma zagłębiła się w gąszcz palm kokosowych. Ciemności pulsowały od uderzeń w bębny i zawodzących pieśni. Drżącymi rękoma ściągnęła z siebie spódnicę i bluzkę i rozłożyła je na opadłych z drzew liściach palmowych. Dotknęła palcami swych spoconych piersi i spojrzała na Gilesa.

Porwał ją do góry i ułożył na podściółce z liści. Usłyszała szmer uciekających w popłochu nocnych stworzeń, gdy zaszeleściły liście pod jej ciężarem.

Powiodła dłońmi po plecach Gilesa i wymacując wgłębienie pomiędzy pośladkami, rozkoszowała się wilgotną gładkością jego skóry. Gdy Giles położył się na niej, polizła jego słońce, małe sutki. Smak potu i ledwie słyszalny odgłos ocierających się o siebie ciał, zbliżających się i odsuwających, tak ją podniecił, że zaczęła krzyczeć, prężąc się z rozkoszy. Utkwiła w Gilesie pałający wzrok, a potem zacisnęła mocno powieki i z radością poddała się bólowi.

Nie zwracała uwagi na kraby, rozpierzchające się w panice wśród kruchych liści, ani na szmer rozdrażnionych mrówek, którym rozgnietli mrowisko. Widziała i czuła tylko Gilesa - jego ciało napierające na nią całym swym ciężarem. Trzymała go mocno w objęciach, z trudem łapiąc oddech. Wreszcie, gdy nad oceanem zaróżowił się brzask słońca, zwolniła uścisk.

- Pierre - odezwała się Laura, patrząc, jak Emma i Giles zniknęli w ciemnościach nocy - jeśli popłyniemy z powrotem ło

226

dzią, czy będziemy mogli po drodze obejrzeć żółwice składające jaja?

- Optymistka z ciebie - odpowiedział. - Usiądźmy na chwilę. Umieram z pragnienia.

- Popłyniemy tam? - nalegała Laura, gdy usiedli na piasku i przyglądali się tubylcom, niezmordowanie tańczącym na wysrebrzonej księżycem plaży. Nagły błysk światła, jak flesz aparatu fotograficznego, padł na twarz Laury, ukazując podkrążone ze zmęczenia oczy.

- Masz za sobą długi, ciężki dzień - powiedział łagodnie. - Jutro też mamy nurkować, myślę więc, że powinniśmy wrócić prosto do domu i trochę się przespać.

- Proszę cię, Pierre. Tak bardzo chciałabym choć raz zobaczyć żółwicę składającą jaja.

- Według Ashleya, najwyżej dziesięć samic ma teraz gniazda na naszych granitowych wyspach. To nie Aldabra, gdzie jest tysiąc gniazd. Niewielka jest szansa, żeby na nie trafić.

Laura zwiesiła głowę ze smutną miną.

- No, dobrze - ustąpił Pierre - ale musimy wyruszyć już teraz. Jeśli jest tam jakaś żółwica, pojawi się w porze odpływu.

Laura zerwała się na równe nogi, otrzepując piasek ze spódnicy.

- Dziękuję ci, Pierre - powiedziała i uściskała go z całej siły. Objął ją ramieniem w pasie i poszli razem przez plażę, a potem, brodząc w ciepłej wodzie, dotarli do motorówki.

Od atramentowej powierzchni wody odcinał się wyraźnie dziób łodzi, zostawiającej za sobą fosforyzującą białą pianę. Laura, zwrócona twarzą do wiatru, rozkoszowała się jego chłodnym powiewem, gdy łódź mknęła lekko jak piórko.

Pierre zapalił latarkę, by móc omijać rafy podwodne i sterczące z wody pojedyncze skały. Laura wypatrywała pasemek piasku, bielejących wśród drzew palmowych.

Piekły ją oczy, gdy wyteżala je badając, czy nie poruszy się któraś ze skał i nie okaże się, że są to żółwie.

Nagle Pierre zmniejszył szybkość. Przeszła na dziób, potykając się o bańkę z benzyną. Pierre wyłączył silnik i dał jej znak, żeby się nie odzywała.

Laura wychyliła się z łodzi, z bijącym sercem wypatrując żółwi. Modliła się o promień światła, ale niebo uparcie pozostawało ciemne.

Wiedziała, że gdyby oświetlić brzeg latarką, czujne żółwice natychmiast schroniłyby się na powrót w morzu.

Laura zagryzała z niecierpliwości wargi, gdy Pierre skierował łódź w stronę lądu. Stalowe dno zazgrzytało na piasku, ale Pierre najwyraźniej wcale się tym nie przejął. Podał jej rękę i usiedli na pogrążonym w ciemnościach brzegu.

- Jest na drugim końcu plaży - szepnął Pierre. - Tutaj jej nie przeszkadzamy. Damy jej pół godziny, a potem podkradniemy się cicho do gniazda.

Uszczęśliwiona Laura objęła kolana, przygotowując się do czekania. Siedzieli obok krzaka *broccoli* i w wilgotnym powietrzu unosił się ciężki zapach jego kwiecica.

Laura urwała kiść kwiatów i zatknęła sobie za dekolt bluzki.

- Spójrz, gdzie przewędrował Krzyż Południa - szepnęła, nachylając się do Pierre'a.

- Kiedy przyszedliśmy na *moutie*, był nad wierzchołkami palm.

- On nigdzie się nie przesunął - poprawił ją Pierre. - To Ziemia się kręci i widzimy teraz Krzyż pod innym kątem.

- Dlaczego zawsze musisz być taki dokładny? - zażartowała Laura.

- Chyba przekazali mi to w genach moi przodkowie. Pływali po oceanach, a gwiazdy wskazywały im drogę - odpowiedział. - Spróbuj odnaleźć swój gwiazdozbiór Ryb. Pamiętaj, że są między Wielorybem a Pegazem. '

- Tatusi mówi, że mój znak zodiaku nie ma jasnych gwiazd, które rzucałyby się w oczy - powiedziała z żalem Laura, oparłszy głowę na ramieniu Pierre'a i spoglądając w niebo.

Czas minął im szybko na studiowaniu czarnego jak laka nieba usianego gwiazdami.

- Chodźmy - powiedział w końcu Pierre, rozcierając ramię, które zdrętwiało mu od ciężaru głowy Laury.

Szli w milczeniu po ciepłym, miękkim piasku. Nasłuchiwali, czy nie zaczyna się już odpływ. Wszędzie jednak panowała cisza, przesiąknięta różnorodnymi zapachami plaży.

W świetle błyskawicy odległej burzy dostrzegli prowadzące od wody głębokie ślady, jakby przejechał tędy samochód. Pierre zastygł bez ruchu i szepnął:

- To ona.

228

Laura kiwnęła głową. Wstrzymując oddech, poczołgali się ostrożnie wzdłuż ścieżki żółwicy.

- Mam nadzieję, że te wyładowania elektryczne jeszcze się powtórzą. Bez błyskawic nic nie zobaczymy.

Strumień mokrego piasku uderzył Laurę w twarz. Zatrzymała się zaskoczona, ocierając oczy, a potem uniosła głowę. Zielona żółwica leżała w dole, który wykopała energicznymi ruchami mocnych przednich łap. Laura, zobaczywszy jej kratkowany jak szachownica pancerz, czym prędzej ułożyła się tak, by uniknąć prysznic z piasku.

Żółwica przerwała na chwilę swoją ciężką pracę i stała teraz, kołysząc się z boku na bok. Laura obserwowała ją w napięciu, gotowa w każdej chwili jeszcze bardziej przylgnąć do ziemi, żeby nie zostać zauważoną. Żółwica wysunęła cętkowaną, tylną łapę i jednym zwinnym ruchem wygarnęła piasek z kopanego przez siebie dołu. Powtarzała tę czynność wielokrotnie. W miarę upływu czasu jej ruchy stawały się coraz wolniejsze. Najwyraźniej traciła siły. Chrząkała i robiła coraz dłuższe przerwy w pracy. W końcu przestała kopać i z głośnym westchnieniem złożyła głowę na mokrym piasku. Oddychała ciężko, aż piasek tryskał spod jej nosa.

- Pierre, jak ona się zmęczyła! - szepnęła Laura drżącym ze wzruszenia głosem. Pierre potakująco kiwnął głową.

- Tak, wiele sił ją kosztowało, żeby dotrzeć tu, zrobić taki wał z piasku i wykopać głęboką jamę na setki jaj. To tak jak rodzenie dzieci. Teraz tylko śmierć mogłaby przerwać ten akt prokreacji.

- Śmierć - powtórzyła wzburzona Laura. - Kiedyś polowano na nie właśnie w takim momencie.

- Tak, były łatwym łupem - stwierdził Pierre. - Jedno szybkie uderzenie w kark i stawały się bezbronne.

- Spójrz - szepnęła Laura gorączkowo, wskazując na żółwicę, która wykonywała konwulsyjne ruchy tylną częścią ciała. - Zaraz zaczniesz składać jaja.

Żółwica składała białe i pomarańczowe jaja bezpośrednio do jamy. Jej narządy rodne otwierały się i zwężały. Dwa jajka, białe i błyszczące jak piłeczki pingpongowe, potoczyły się na mokry piasek. Kapnął na nie srebrzysty śluz. Laura milczała, tylko jej oczy, szeroko otwarte i błyszczące od poświaty księżycowej, zdradzały podniecenie.

Pierre wyczuł, że coś się za nimi poruszyło. Drapieżny krab posuwał się po piasku z wyraźnym zamiarem porwania jajek, nie obawiając się niczego ze strony bezsilnej, zajętej łęgiem żółwicy.

Pierre wychylił się i złapał ostrożnie kraba, unikając przezornie kontaktu z jego mocnymi przednimi szczypcami. Krab był tak wielki, że nie mieścił mu się w dłoni.

- Obrzydlistwo - skrzywiła się Laura. - Przypomina świeży strup.

- Rzeczywiście, ma smugi jak od zaschniętej krwi - powiedział Pierre, rozbawiony takim określeniem skorupiaka.

- Przynajmniej dzisiaj nie uda mu się zjeść świeżych żółwich jaj - wzdrygnęła się Laura, obserwując, jak krab zmyka z podkurczonym grubym ogonem.

Laura i Pierre znów przykucnęli nad jamą, gdzie męczyła się żółwica. Po każdym skurczu i rozkurczu, gdy wypadało kilka jaj, wzdychała ciężko i kładła głowę na piasku.

W końcu, wyczerpana i pusta, padła obok jamy, jakby uwiązana do tego miejsca tortur. Uniosła jedną łapę, ale natychmiast ją opuściła, niezdolna poruszyć piasku.

Po jakimś czasie z ogromnym wysiłkiem podniosła wysoko głowę i zaczęła gwałtownie pracować tylnymi łapami, niczym szuflami zasypując i uklepując wilgotny piasek na świeżo złożonych jajach, by uchronić je w ten sposób przed rabusiami.

Gdy na niebie ukazała się błyskawica, zamarła w bezruchu z głową wciąż uniesioną do góry.

- To był piękny widok, ale ona jest taka zmęczona i smutna - wyszeptała Laura, mając wielką ochotę otrzeć z piasku zapłakane, zamglone jak od katarakty oczy żółwicy.

- Ależ nie, ona jest szczęśliwa - odrzekł Pierre. - Spełniła swój obowiązek. Z tych jaj wylęgną się małe...

- I zostaną pożarte przez kraby i ptaki, gdy będą usiłowały dostać się do morza - dokończyła Laura.

- Przyroda nie dla wszystkich jest łaskawa, takie są jej prawa. Mocniejsze i szybsze dotrą do wody i przeżyją. Wyrosną z nich zdrowe, silne żółwie.

Laura przykucnęła, spoglądając na zmęczoną żółwicę, która okrężnymi ruchami łap zasypywała jamę, gdzie ukryła swoje przyszłe potomstwo.

219

Pierre ukląkł przy Laurze i oparł podbródek na jej ramieniu.

- Dziękuję ci, Pierre - szepnęła. - Nigdy nie zapomnę tego wieczora. To było niezwykle przeżycie.

- Lauro - powiedział ochryplym głosem, ulegając tłumionym od dawna uczuciom. Położył dłonie na jej ustach i wyczuwając, że chciała o coś zapytać, położył się na wznak na piasku i delikatnie przyciągnął ją do siebie.

Laura miała za sobą dzień pełen wrażeń i emocji: po strachu, jaki przeżyła przy Shark Bank, odzyskała równowagę, kiedy poddała się hipnozie tańca i napiła wódki palmowej, a zaraz potem była świadkiem składania jajek, odczuwając szacunek dla żółwicy i lękając się o jej potomstwo. Poddała się pocałunkom Pierre'a z niewinnością dziecka, tulącego się w ramionach matki. Gdy jego pocałunki stały się gwałtowniejsze, przycisnęła mocno do siebie jego głowę. Poczowała szum krwi w uszach, gdy powoli wodził ręką po jej ciele. Ogarnięta pożądaniem, wyobraziła sobie, że to Bart trzyma ją w swych ramionach. Słyszała jego niski głos szepczący jej do ucha i czuła nawet zapach jego wody po goleniu.

„Kocha mnie” - pomyślał uszczęśliwiony Pierre, czując, jak Laura napiera na niego mocno swym ciałem i podaje usta do pocałunku. „Jest moja” - śpiewało jego serce. Zsunął czerwoną bawełnianą bluzeczkę i wziął w rękę jej pełną, nagą pierś, którą pieścił i chłodził lekki wiaterek.

- Lauro, moja Lauro, jesteś taka piękna.

Głos Pierre'a gwałtownie przywołał Laurę do rzeczywistości. Odsunęła się od niego jak oparzona. „To Pierre! To nie Bart! Co ja robię”? Usiadła roztrzęsiona, naciągając bluzkę na nagie piersi.

- Co się stało? - zapytał Pierre, ciężko oddychając. - Lauro, ja cię kocham.

Laura zeszywniała. Chciała usłyszeć te słowa, ale nie od Pierre^ . Pierre był jej przyjacielem, jej starszym bratem.

- Nie, Pierre, nie...

Pierre, jak ogłuszony, wpatrywał się w nią bez słowa. Czyżby kochała kogoś innego? Nikt z tych, kogo znał, nie nadawał się na konkurenta do jej ręki. Doktor... to pewnie ten doktor z Les Cannelles. Musi znaleźć kogoś, kto pracuje w tym szpitalu. Ludzie lubią plotkować. Dowie się, czy Redvers kręci się koło Laury. Ogromnym wysiłkiem woli udało mu się zachować spokój. Przeko

nywał siebie, że Laura nie mogłaby się zakochać w Redversie. Jest dla niej za stary.

- Wybacz mi, Lauro - powiedział. - Ale nic nie poradzę na to, że cię kocham.

- Och, Pierre - zarzuciła mu ręce na szyję. - Ty jesteś moim bratem, moim przyjacielem. I nie chcę, żeby coś się zmieniło. -Rozpłakała się, zwilżając łzami jego koszulę, świadoma swoich skomplikowanych uczuć.

- Nic się nie zmieni. Zawsze będę twoim przyjacielem, Lauro. -Pogłaskał ją czule po plecach. Przyrzekam.

Laura, chlapiąc, odgarnęła włosy za uszy. Siedzieli przez chwilę wspierci ramionami, nic nie mówiąc.

- Lauro - szepnął Pierre - czy jest ktoś inny? - Odpowiedział mu tylko plusk fal i szelest piasku w gnieździe żółwicy. - Proszę cię, muszę wiedzieć. Powiedz mi jak przyjacielowi.

Laura pochyliła głowę. Kiedy Pierre ujrzał, jak bierze do ust kosmyk włosów i zaczyna go ssać, wiedział już, że zaraz skłamię.

- Nie. Nie ma nikogo.

Z przyklejoną do ciała mokrą koszulą, osowiałym, ponurym wzrokiem patrzył na żółwicę, która wygramoliła się z gniazda i skierowała się w stronę morza.

Wkrótce otoczona zostanie przez samce, czekające swojej kolejki, żeby ją zapłodnić. I wtedy znowu podejmie samotną wędrówkę na jakąś ukrytą w ciemnościach plażę i zakopie w ciepłym piachu swój biały skarb.

- Odeszła - powiedziała Laura.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Seszele, Boże Narodzenie

1978

I

W kieliszkach z brandy odbijały się migotliwe płomyki światła. Miejscowy kucharz, stąpając bosymi stopami po skrzypiącym, gorącym piasku, podszedł szybko do szerokiego stolika stojącego w cieniu w pobliżu baru. Przywitano go radośnie pijacłrimi okrzykami i zepchnięto na bok puste butelki po piwie, które kucharz zebrał do podwiniętego do góry fartucha, niecierpliwie oczekując pochwały zrobionego przez siebie puddingu.

- Wyśmienity, cholernie wyśmienity - zabełkotał Bart i wsadził palce w parujący pudding.

Kucharz pobladł. Rozłożył sztucce, ustawił talerze i wrócił do kuchni.

- Tradycyjny angielski pudding na wyspie, która nie wiadomo, gdzie się znajduje - dokończył Bart.

- Wiadomo całkiem dobrze: półtora tysiąca kilometrów od Indu lub od Afryki - poprawił go jeden z jego przyjaciół, oficer, zębami zdejmując kapsel z butelki z piwem.

- No, właśnie - czknął Bart, wsadzając do ust kawałek gorącego, owocowego puddingu. - Boże Narodzenie na przeklętym równiku. Stan wilgotności - 100%, a temperatura prawdopodobnie około 50°C.

- 6° 11' szerokości geograficznej południowej - powiedział oficer, pijąc piwo z przechyloną do tyłu głową.

- A kogo to obchodzi, do cholery? U nas w domu pada teraz śnieg. - Bart wydłubał następny kawałek puddingu i wsadził do ust

222

potężnie zbudowanego mężczyzny, rozwalonego na krześle obok niego. - Tam jest prawdziwe Boże Narodzenie. Boże Narodzenie w Anglii. Ogień na kominku.

Wieńce z ostrokrzewu. Jemiola. Pieczony indyk.

Tamten potrząsnął głową, przełykając pudding. Po jego owłosionej piersi posypały się okruchy, zatrzymując się na wąskim, czerwonym pasku bawełnianych kąpielówek.

- To dlaczego nie jesteś w domu? Dlaczego jesteś z nami tutaj? - Usiłował dojrzeć wyraz twarzy Barta, strząsając z kolan okruchy.

- Spotkał dziewczynę, która go nie chce - zarechotał starszy oficer, siedzący naprzeciw Barta. - Zżera go żądza, więc nie może wyjechać. - Jego brzuch podrygiwał, gdy śmiał się z własnego dowcipu.

- Zechce mnie na pewno. Jeszcze takiej nie spotkałem, która by się oparła temu mojemu... - powiedział Bart z wymownym gestem.

Miejscowa dziewczyna, siedząca na kolanach oficera z ogromnym brzuchem, powiodła wzrokiem za ręką Barta.

- Wiecie, co mam na myśli. Zawsze im dogadza - zaśmiał się ochryple.

Oficer przestał się śmiać i przycisnął wilgotne usta do warg dziewczyny, dając w ten sposób do zrozumienia, że ona jest jego własnością.

- Ciotka i wuj mojej dziewczyny przyjechali tutaj z Sussex -mówił dalej Bart, wydłubując niedbale rodzynki z puddingu. Nachmurzył się, gdy przypomniał sobie, jak Laura pospiesznie wyjaśniała mu przez telefon, że wyjeżdżają z Gilesem i Emmą na dwa-trzy tygodnie, by zwiedzić inne wyspy.

- O co właściwie chodzi? Czy nie jesteś wystarczająco dobry, żeby spędzić z jej rodziną Boże Narodzenie? - szyderczym tonem zapytał oficer w czerwonych kąpielówkach.

- Czy ta twoja pusta, barania głowa niczego nie może zrozumieć? - Bart usiłował usiąść prosto. - Nigdy nie spotykaj się z rodziną dziewczyny, zanim jej nie weźmiesz. Wtedy już nie mogą cię powstrzymać!

Kleпали się z uciechy po brzuchach i udach.

- Jeszcze piwa! - zawołał brzuchaty oficer, kiwając paluchem na barmana. Wstał, zrzucając dziewczynę z kolan. - Chodźcie,

234

przygotowałem coś dla was na górze. - Wzięli butelki z piwem i potoczyli się za nim. - Ty zaczekaj tutaj na mnie - rzucił dziewczynie przez ramię.

- *Cochon* - syknęła dziewczyna, patrząc za nimi, jak ciężko wspinają się piaszczystą ścieżką do wypiarzkiego domku na szczycie wzgórza.

- Dlaczego się z nim zadajesz? - zapytał barman, sprzątając ze stołu butelki, niedopałki papierosów i brudne talerze.

- A dlaczego tamci wszyscy siedzą tu z nimi i się śmieją? - odparowała, wskazując na stoły, przy których siedziało wielu wypiarzy. - Bo to wojskowi - szepnęła.

Barman odpędził ścierką parę pasiastych gołębi, które skubały okruchy świątecznego puddingu. Ustawił na tacy czyste talerze.

- Chodź - powiedział do dziewczyny. - Napijesz się piwa przy barze.

Jaskrawe, tropikalne słońce przedzierało się przez zaciągnięte zasłony, rozjaśniając kolory na ekranie. Taśma filmowa była stara, gruboziarnista, ścieżka dźwiękowa mocno starta, ale mężczyźni, rozwaleni na siedzeniach, wpatrywali się z napięciem w ekran.

Dopingowali okrzykami gwiazdę porno, kołyszącą w górę i w dół białymi pośladkami. Ochrypli, gdy przygnieciona ciężarem partnera jęczała:

- Już! Już!

- Jeszcze raz - zażądali, gdy film się skończył. - Oglądamy jeszcze raz.

Gruby oficer wstał ciężko i przewinał taśmę. Wziął ze stołu butelkę brandy i łyknął z niej solidnie. Kaszląc i czkając podał ją Bartowi, który również się napił i przekazał butelkę dalej.

- Za dwa tygodnie mam dwa dni wolnego - powiedział Bart.

Na ekranie znowu wiły się wokół siebie dwa ciała. Bart przyglądał się obojętnie tym wygibasom. Wolałby w tym sam uczestniczyć, a nie tylko patrzeć.

- Moglibyśmy tu jeszcze kiedyś przyjść - powiedział oficer, me odrywając oczu od ekranu. - Dom stoi na uboczu. Sprowadzimy sobie dziewczyny.

Spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

- Niezły byłby weekend - mruknął jego przyjaciel, poprawiając czerwone kąpielówki.

- Ale nie w tym tygodniu - powiedział Bart. - Mam już pewne plany. Możemy jednak, choćby jutro, zorganizować ćwiczenia na Praslin.

- No to załatwione - zgodził się ten w kąpielówkach.

- Nie ma mowy! - zaproponował gruby oficer, najtrzeźwiejszy z nich wszystkich. - Zapomnieliście? W drugim tygodniu stycznia wszyscy mamy być na Mahe.

- Dlaczego? - zapytał Bart. - Czy szykuje się jakieś przyjęcie? Nie dostałem zaproszenia. - Z drwiącą miną rozejrzał się dokoła.

Tamci popatrzyli po sobie. Bart myśliwskim instynktem wyczuł w powietrzu jakieś napięcie. Otrząsnął się z pijackiego odrętwienia.

- W porządku, chłopcy, widzę, że nie chcecie, bym wziął udział w tym przyjęciu. - Z krzywym uśmiechem podniósł do góry butelkę brandy. - A myślałem, że jesteśmy jak bracia, jak towarzysze broni. - Upuścił butelkę na podłogę i rozwalił się na krzesło, zasłaniając ręką oczy.

Śmiejąc się w duchu, obserwował ukradkiem ich twarze. „Mam ich!” - triumfował. Teraz musi się dobrze zastanowić i uporządkować myśli. Czuł, że następne kilka minut będzie dla niego bardzo ważne.

- Bracie... - wysapał oficer. - Siadaj i słuchaj.

- Jeśli powtórzysz komukolwiek to, co usłyszysz w tym pokoju, zdechniesz - wybełkotał jego przyjaciel. - Jeden z nas odnajdzie cię i zabije, wszystko jedno, gdzie będziesz.

Bart poczuł gęsią skórę na karku. Ci faceci mieli dobrą pozycję w armii. Ufał im, ale oni zakosztowali władzy, a to silny afrodyzjak.

Kiedy odsłonili mu swoje plany obalenia rządu i wprowadzenia junty wojskowej, początkowe podniecenie Barta przeszło we wściekłość. Jeśli nic im nie przeszkodzi, narażą na fiasko jego plany. Przewrót wojskowy mógłby się nie udać. Zbladł na myśl o wynikających z tego konsekwencjach.

Wyszukano by odpowiednio przeszkolonych ludzi. Wzmocniono by środki bezpieczeństwa. Sprowadzono by nowe oddziały wojska z samej Afryki. Mieszkańcy wysp staliby się bardzo czujni i podejrzliwi. Żaden ruch nie uszedłby ich uwagi.

236

Top zmuszony byłby odłożyć planowany zamach stanu na całe miesiące. On sam zostałby przygwożdżony na wyspach na następny rok. Oszałałby tu z bezczynności. Marzył o powrocie do Rodezji.

„Wojna się skończy, zanim tam wrócę, jeśli ci idioci zrealizują swój plan - pomyślał.

- Niech to cholera! Czekają na mnie w Afryce. Biała młodzież emigruje masowo. Potrzebują więcej czarnych żołnierzy i ludzi takich jak ja, którzy nimi pokierują”.

- Moi przyjaciele, jesteście odważni i czuję się dumny z tego, że jestem waszym bratem - powiedział Bart, gdy najstarszy oficer wyjaśnił mu ich plany. - Jestem żołnierzem i wasz sekret umrze wraz ze mną.

Łzy ukazały się w oczach jego przyjaciela, gdy podniósł swoje piwo i zrobił ruch, jakby salutował Bartowi.

- Nic nie słyszałem. Nic nie wiem. Wyjadę na Praslin. - Bart uśmiechnął się nieszczercze i wziął butelkę z piwem. - A beze mnie gwardia prezydencka oczywiście zrobi sobie urlop. Piję za wasz pewny sukces.

Rozmawiali z ożywieniem i klepali się po plecach, a Bart odchylił do tyłu głowę.

Trzymał oburącz butelkę, ale nic z niej nie ubywało; nikt jednak tego nie zauważył.

- Jeszcze jedna butelka - wymamrotał starszy oficer, podciągając spodnie na brzuchu. - I sprowadźcie dziewczynę - powiedział, szukając brandy w szafce. - Jest młoda i chętna. Daję ją wam, moi bracia. - Nastawił ponownie projektor. - Za dużo wypilem, by się z nią zabawiać. Może później. - Zadowolony, rozsiadłszy się wygodnie, wpatrywał się w dyszące sylwetki na ekranie.

Do zadymionego pokoju weszła dziewczyna, osłaniając swoje bikini kolorowym *pareo*. Usiłowała udawać beztroską, ale wargi jej zadrżały, gdy zobaczyła, co ci mężczyźni oglądają.

- Chodź tu - powiedział do niej starszy oficer. Dziewczyna podeszła z ociąganiem. - Ściągnij to.

A gdy owineła się jeszcze mocniej swym *pareo*, sięgnął ręką do jej piersi i jednym szarpnięciem rozdarł materiał. Staniczek opadł na podłogę, a dziewczyna próbowała osłonić się ramionami.

- Nie! - ryknął. - Pokaż się moim przyjaciołom. Niech zobaczą, co im daję.

Ryczeli z zachwytem, gdy wykręcał do tyłu jej szczupłe ramiona.

- No, który pierwszy?

Odpowiedział mu jeden wielki wrzask kompanów, którzy zerwali się na nogi.
- Kamraci! - zawołał Bart. - W armii liczy się starszeństwo. - Skrzywił się w lubieżnym uśmiechu. - Mam specjalną pozycję, a więc ja będę pierwszy. - Nie zwracając uwagi na ich okrzyki oburzenia i gwizdy, przyciągnął dziewczynę do siebie i złapał ją za piersi. - Nie martwcie się, przyjaciele, dla was też coś zostanie -dokończył.

Odsunął zasłonę przy wejściu do sypialni i potknął się na progu, wlokąc dziewczynę za sobą. Wzdrygnęła się, gdy zdzierał z niej rozdartą *pareo*.

- No, chodź do mnie - rozkazał ochryple.

Wziął ją na ręce i poniósł do okna. Drapała go po plecach, opierając się z całych sił.
- Przestań! - warknął. - Co wolisz? Spokojne popołudnie ze mną czy wszystkich tych facetów po kolei?

Przestała się wrywać i spojrzała w jego żółte, zimne jak lód oczy.

- Idź do łodzi. Przyjdę do ciebie za kilka minut. - A gdy szykowała się do wyjścia przez okno, złapał ją za rękę i ostrzegł: -Tylko nie próbuj być za sprytna. Czekaj na mnie.

Dziewczyna skinęła głową, rozcierając bolącą rękę.

Bart odczekał kilka minut, a potem wytoczył się z sypialni.

- Za dobra dla was, Anglicy - zadrwił jeden z kumpli. - Nasze dziewczyny z wysp uważają, że ciupciacie jak wróbelki.

Oficerowie ryknęli śmiechem. Poprawiając kapielówki, wstał przyjaciel Barta.

- Teraz moja kolej i nie wrócę tak szybko - oznajmił chełpliwie. Bart pchnął go z powrotem na krzesło.

- Zmiana planu - zaśmiał się. - Ta *chilli* za bardzo was rozpałiła. Zabieram dziewczynę ze sobą. - Gdy podnieśli wrzask, złożył ręce jak do błogosławieństwa, czekając, aż się uspokoją. - Za dziesięć minut będzie tu jej przyjaciółka. Ona wam wygodzi. Wypełnicie stąd na czworakach, wierzcie mi.

Ułagodzeni tą obietnicą, przestali wrzeszczeć i tylko pomrukiwali z cicha.

227

- Nigdy nie ufaj Anglikowi - warknął pod nosem jego przyjaciel. - Przez siedemdziesiąt lat rządów na wyspach niczego dla nas nie zrobili.

Bart nie dał się sprowokować tym szyderstwem. Wiedział, że większość wyspiarzy czuje się związana bardziej z Francją niż z Anglią.

- Perfidny Albion - zaśmiał się drwiąco, ruszając do drzwi. -Ja też jestem perfidny i perfidnie postąpiłem. - Zatrzymał się przy drzwiach, wyprostował energicznie i zasalutował: - Żołnierze, żegnam was!

Chwiejąc się mocno na nogach wstali i zasalutowali Bartowi na pożegnanie.

- Bracia, przyjmijcie moje wyrazy szacunku - powiedział Bart i wyszedł.

Na zewnątrz uderzył w niego podmuch gorącego jak z pieca hutniczego powietrza, od którego aż się zachwiał. Ponieważ zostawił okulary słoneczne, od jaskrawego blasku jego blade oczy zaczęły łzawić.

- Sprowadź inną dziewczynę dla nich - szepnął barmanowi. -I pośpiesz się.

Wziął z lady kilka papierowych serwetek i ocierał nimi twarz idąc przez plażę.

Barman obserwował go w milczeniu z przymrużonymi oczyma. Wiedział, że ten Anglik ma jakieś tajemne zadanie. Krążyło wiele plotek na ten temat, ale sprawa nie była jasna. Wyspiarze nauczyli się nie wtrącać w sprawy wojska. Wiedzieli, że Anglik jest blisko prezydenta, i nie zadawali pytań.

Doszedłszy do brzegu, Bart ciężko oparł się o łódź i pijackim ruchem objął dziewczynę. „Wściekną się - pomyślał, oglądając się na zatłoczone stoliki. - Pijany żołnierz ciągnie dziewczynę na siestę." - Uwiesił się na dziewczynie, gdy szli do jego samochodu, wyczuwał jej strach, mocując się z kluczykami.

Rozmyślnie brał zakręty z szaloną szybkością, jadąc drogą prowadzącą w górę do plantacji herbaty, w okrytym mgłą lesie. Samochód jechał zygzakiem, omal nie wpadając w głębokie rowy przeciwdeszczowe, ciągnące się po obu stronach drogi. Przerażona dziewczyna uchwyciła się kurczowo klamki u drzwi. Bart wjechał na parking naprzeciw herbaciarni przy plantacji i przyciągnął dziewczynę do siebie.

- No, moja ślicznotko - wycedził - teraz się wspaniale zabawimy. - Wpił się w jej usta i sięgnął ręką pod *pareo*.

Zdawał sobie sprawę, że szykowałą się, by otworzyć drzwiczki i uciec.

Nagle oderwał się od niej i opadł na kierownicę.

- Jestem pijany - wymamrotał. - Za dużo wypilem. Odwiozę cię do domu.

Nim zdążył przekręcić kluczyk, złapała go za rękę i poprosiła:

- Nie trzeba. Mam tu przyjaciół. Oni odwiozą mnie do domu. Bart potrząsnął głową:

- Nie ma mowy. Muszę odwieźć dziewczynę mojego przyjaciela. Nie mogę mu zrobić takiego świństwa.

- Proszę - błagała dziewczyna. - Nie powiem mu o tym. Zostaw mnie tutaj, proszę. Bart patrzył na nią zamglonym wzrokiem. W końcu ustąpił. Przebiegła szybko przez drogę. W herbaciarni, czując się już bezpieczna, patrzyła, jak beżowe auto pędzi w dół, do Victorii.

Bart odczekał, aż herbaciarnia znikła mu z pola widzenia, poprawił się na fotelu i poprowadził wóz prawidłową stroną drogi. Spojrzał na zegarek, zmniejszył szybkość i skoncentrował się na krętej drodze. Nie zwracał w ogóle uwagi ani na ciągnące się wysoko w górze lasy, ani na płynącą w dole wzdłuż granitowych skał wodę.

- Muszę być w Jacht Klubie przed piątą - mruknął do siebie. - Dali mi tylko dziesięć minut na skontaktowanie się telefoniczne. - Zaklął, wykręcając, by ominąć czerwony mini-moke pełen turystów.

- Przekleci wyspiarze, jadą szesnaście kilometrów na godzinę. Myślą, że wszyscy są na wakacjach, tak jak oni.

Potrząsnął pięścią, przejeżdżając obok mini-moke'a. Turyści odpowiedzieli na jego zły humor machaniem rąk i przenikliwym gwizdem. Była z nimi jakaś miejscowa dziewczyna. Smukłe nogi trzymała na stopniu samochodu, a jej długie czarne włosy powiewały na wietrze jak apaszka pirata.

Bart czuł ogarniającą go wściekłość. Przez czerwonego moke'a i piękną dziewczynę spędził już wiele godzin w Les Cannelles.

Przejechał szybko spokojnymi ulicami Victorii i zatrzymał się przed siatką ogradzającą Jacht Klub. Gdy wysiadał z samochodu,
240

trącił głową gałąź bugenwilli, ciężką od wiotkich białych kwiatów. Odsuwając ją z irytacją aż podskoczył, gdy długi cień wbił mu się w dłoń. Ssał rękę, szedł między białymi krzesłami i stołami zapełniającymi werandę. Wyciągnął z kieszeni kilka rupii, wrzucił je do automatu telefonicznego i czekał na sygnał.

- Słucham.

- Mamy piękną pogodę dziś w Jacht Klubie - powiedział Bart, kładąc nacisk na ostatnie dwa słowa. - Sądzę, że będzie tak aż do szóstej po południu.

- Na pewno.

Bart odwiesił słuchawkę i usiadł na kamiennej balustradzie biegnącej wokół werandy. Oparłszy głowę o słupek, przymknął oczy. Wiejący od morza wiatr był ciepły, ale chłodził rozgrzane ciało Barta pod rozpiętą koszulą. Jego dwaj łącznicy będą w Jacht Klubie przed szóstą. Musi się dobrze zastanowić, co im powie. Otworzył oczy usłyszawszy skrzyp drewnianej barierki przy wejściu na molo. Grupa żeglarzy członków klubu z torbami przewieszonymi przez ramię, śmiejąc się i żartując szła do bosmana portu. Najmłodsza dziewczyna, opalona na brąz jak lupina orzecha kokosowego, pochyliła się, by przeciągnąć łódkę zakotwiczoną przy molo. Wytarte, postrzępione džinsowe szorty napięły się na pulchnych pośladkach, których uderzająca biel odcinała się wyraźnie na tle ciemnej opalenizny. A gdy się wyprostowała, ciągnąc cumę i odrzucając pasmo blond włosów z twarzy, nagle przypomniała Bartowi Laurę.

Ze zdziwieniem stwierdził, że minione dwa weekendy były jakieś puste i smutne. Obserwował, jak dziewczyna wchodziła z przyjaciółmi do łódki. Laura nieustannie była obecna w jego myślach i to go denerwowało. Nie umiał obejść się bez kobiet, ale nigdy nie przywiązywał do nich znaczenia. A ona stała się kimś ważnym dla niego. „To klasyczny przypadek, gdy się pragnie czegoś, czego mieć nie można” - pocieszał sam siebie, znowu przymknawszy oczy. „Weź ją na Praslin, na weekend, załatw sprawę od ręki i przestaniez się tym dręczyć” - rozmyślał w duchu.

- Chodź, dołącz do nas - ochryple pijackie głosy wyrwały Barta z zamyślenia. Na werandę wtargnęli, śpiewając głośno, dwaj osobnicy w zielono-pomarańczowych szortach i czarnych baseballowych czapczkach. Bart uśmiechnął się w duchu. Jego dwaj,

230 - Głosy na wietrze

241

zawsze trzeźwi, towarzysze z polowań, Job i King, byli zmienieni nie do poznania. Wymachując butelkami, potykając się o krzesła i stoliki, wpadając jeden na drugiego zmierzali w jego kierunku.

Ludzie zajęci klarowaniem łodzi przystosowanej do zawodów rybackich, stojącej na pochylni, roześmiali się na ich widok. Ci dwaj pijacy najwyraźniej naprzykrzali się żołnierzowi o jasnych blond włosach. Odpędzał się od nich, ale ignorowali całkowicie jego protesty.

- Może przynajmniej przestanie uganiać się za dziewczynami - powiedział jeden z żeglarzy, tracąc zainteresowanie dla tej sceny.

- Jesteś pijany - syknął do Barta Job z szerokim uśmiechem. Pokręcili nosami, czując intensywny zapach brandy.

- Skądże! - zaprzeczył Bart.

- Wychodzimy. Zadzwoń, jak będziesz trzeźwy.

- Jestem wystarczająco trzeźwy i lepiej wysłuchajcie tego, co mam wam do zakomunikowania. Jeśli nie skontaktujecie się dziś z Topem, to przed Nowym Rokiem staniecie w kolejce dla bezrobotnych w Londynie.

- Mów - wycedził King, patrząc podejrzliwie na zaczerwienione oczy Barta.

Dwaj pijacy nie przestawali podśpiewywać i poklepywać się wzajemnie, ale ich twarze zbladły, gdy wysłuchali Barta.

- Trzeba uprzedzić nowy rząd.

- Nie - szybko powiedział Bart. Job najeżył się.

- Nie do ciebie należy decyzja...

- Słuchajcie, słuchajcie dobrze, wy urzędasy - powiedział Bart, nie spuszczać z niego wzroku. - Nie możecie opowiedzieć o tym rządowi. Gdy się dowiedzą, staną się nerwowi. Będą szukać szpiega pod każdym łóżkiem. Niepotrzebny nam zdenerwowany rząd, gdy Top będzie dokonywać zamachu stanu. Nie, nie należy im tego mówić. - Udawał, że odtrąca ofiarowywane mu piwo. - Pozwólcie mi porozmawiać z moimi przyjaciółmi z armii. Ufają mi. Mogę im powiedzieć, że jest gdzieś przeciek i do rządu dotarły pogłoski o przewrocie wojskowym.

Bart spojrział na ich nieruchome twarze i westchnął. „Dlaczego cywile są tak bardzo niepodobni do żołnierzy”? -pomyślał.

242

- Oficerowie uwierzą w tę historię. Wyspy żyją plotkami. Kiedy na Mahe odzywa się gołębica, na innych wyspach są już przekonani, że miał miejsce zamach. Jego rozmówcy uśmiechnęli się krzywo i Bart nie zaryzykował już kolejnego dowcipu.

- Jeśli namówiłbym oficerów do przełożenia zamachu wojskowego na pół roku, to nie będziemy musieli zmieniać naszych planów. - Obserwował uważnie miny rozmawiających między sobą Joba i Kinga, w nadziei, że uzyska ich zgodę.

- Nie wyobrażaj sobie, że Top na to pójdzie. Za dużo odpowiedzialności jak na takiego faceta - Job wskazał głową na Barta.

- Masz rację, tak można mu ufać, jak alkoholikowi w sklepie z wódką.

Bart wściekał się wewnątrz, ale czekał w milczeniu, aż skończą dyskusję.

Przyjdzie czas, gdy będą gorzko żałować, że w ogóle kiedyś spotkali Barta

Faulconera, ale teraz to on ich potrzebował. Muszą przekonać Topa, że on ma rację.

Chciałby jak najszybciej opuścić wyspy i włączyć się na powrót do właściwej wojny.

W końcu, zabierając się do odejścia, polecili mu, by wytrzeźwiał i skontaktował się z nimi o dziesiątej rano następnego dnia.

Bart pobladł i roztrzęsiony patrzył za nimi, jak szli zwirowanym podjazdem do samochodu.

Jak ptaki szukające legowiska na noc, w zatoce nagle pojawili się tłumnie żeglarze i rozległ się cichy warkot motorów łodzi cumujących przy nabrzeżu.

Bart wstał. Nie był w najlepszym nastroju.

II

Postrzępione liście palm latanii przypominały powiewające na wietrze zszarzałe chorągwie. Na posepnym niebie nad Praslin gromadziły się gęste, groźne chmury.

Gdy Laura znalazła się w zaciszu dziewiczej Vallee de Mai, otworzyła aparat fotograficzny. Założyła nowy film i sprawdziła, czy perforacja trafia na ząbki.

Zamknęła aparat i ustawiła licznik. Spojrzała na niebo, oceniając światło, i przestawiła automatyczną regulację na ręczną.

Podenerwowana wyszła z cienia i zwróciła wzrok na porośnięte gęstym lasem zbocze, gdzie oczyszczono kawałek terenu na parking. Na czerwonym żwirowanym placu stały tylko dwa samochody: podniszczone, niebieskie auto, które pożyczyła od przyjaciół, i dżip, który przywiózł przewodniczkę i trzy włoskie turystki do tej doliny nazywanej „katedrą” wysp.

- Mam nadzieję, że Bart przyleciał wczoraj z Mahe - szepnęła do siebie, mocując się niecierpliwie z paskiem aparatu.

Idąc w kierunku doliny patrzyła z niepokojem na szare, brudne chmury wiszące ponad morzem. Wiedziała, że gdy zetkną się z falami, nie zobaczy już żadnego ptaka w locie.

Od obserwacji pustej drogi i parkingu oderwał ją jaskrawy, cytrynowozielony błysk. Zdjęła pokrywę obiektywu i podkrađła się do gekona, żyjącej na Praslin jaszczurki, który przylgnał do pnia młodej nadmorskiej palmy kokosowej. Zanim ustawiła aparat, by uchwycić jego wytrzeszczone oczka, spłoszony gekon skrył się między brązowymi kwiatami palmy.

- Mam cię - ucieszyła się Laura, gdy jaszczurka wychyliła się, spoglądając na nią ciekawie. Jej zielony grzbiet przyprószone był złotawym pyłkiem, a ogonem opierała się o małe kwiaty.

Laura szybko nastawiła migawkę i przesłonę, ale w obiektywie tylko mignęło coś szarego i gekon zniknął z pola widzenia. Obniżyła obiektyw i zobaczyła indyjskiego tropikalnego szpaka, pikującego na dół i porywającego jasnozielony ogon zgubiony przez jaszczurkę.

- Uciekaj! - krzyknęła Laura i podniesionym z ziemi kijem usiłowała odpędzić ptaka. - Nie strasz gekonów.

- A ja sądziłem, że to jest rezerwat przyrody i że wszystkie stworzenia są tu pod ochroną - usłyszała niski głos za sobą.

Zaskoczona odwróciła się i wpadła w objęcia Barta. Pocałował lekko jej pełne wargi, a potem odsunął się od niej i aż gwizdnął z podziwu. Laura spłonęła rumieńcem i zmieszana pochyliła głowę, niezdolna do ukrycia swych uczuć.

Bart zdążył już zapomnieć, jaka była ona piękna. Stała przed nim opalona na złoty brąz, z popielatoblond warkoczem odrzuconym na plecy, w szortach w biało-niebieskie pasy, odsłaniających jej długie i smukłe nogi jak u tancerki.

- Nie słyszałam twojego samochodu - powiedziała Laura, by ukryć zażenowanie.

244

- Bo nie przyjechałem swoim wozem - zaśmiał się Bart. - Przyjaciel podrzucił mnie i wysadził pod swoim domem, skąd przyszedłem pieszo.

- A jak zamierzasz... - zaczęła zdziwiona Laura.

- Wrócić do domu? Miałem nadzieję, że pewna młoda dama zlituje się nade mną i podwiezie mnie.

- Oczywiście, z przyjemnością - uśmiechnęła się Laura.

Bart pogratulował sobie w duchu. Udało się: punkt pierwszy planu został zrealizowany. Potem pójdzie z nim do domu. Patrząc, jak szarpana wiatrem cienka bluzka przyklejała się do jej ciała, obiecywał sobie, że spędzą tam cały weekend.

- Kupiłam bilety - przypomniała Laura, uświadamiając sobie nagle, że on ją taksuje wzrokiem. - Chodźmy.

Poprowadziła go do Vallee de Mai.

- Nie najlepsza dziś pogoda na pierwszą wizytę w tej dolinie - powiedziała szybko. - Wieje silny wiatr. Zazwyczaj jest tu bardzo zacisznie. Jak byłam małą dziewczynką, to myślałam, że odpoczywa tu i śpi cały świat.

Bart kiwnął głową. Laura, chcąc go zainteresować, paplała dalej:

- Moja ciocia Emma mówi, że cała ziemia tak wyglądała miliony lat temu. - A gdy Bart wzruszył ramionami, dodała w jej obronie: - Może ma rację. Tutejsze granitowe skały liczą sobie ponad sześćset milionów lat. Emma uważa, że tu właśnie narodzili się Pan i Diana, bogini księżyca.

- Czy ona należy do tych zwariowanych ludzi, którzy wierzą w gwiazdy? - zapytał, usiłując nie myśleć o zbliżającym się weekendzie i skoncentrować się na tym, co mówi Laura.

- Ach, nie - zaśmiała się Laura. - Ona... ona interesuje się folklorem i czymś w tym rodzaju - dokończyła niezbyt zręcznie.

- Aha.

- Twierdzi, że jeśli stanie się w całkowitej ciszy na samym środku doliny, to wtedy można odczuć moc bogów.

- A ty czujesz to?

- Nie, ale wydaje mi się, że panuje tu tak uroczysty nastrój jak w kościele... ogromnym, cichym kościele.

Bart spojrział do góry na wierzchołki drzew. Ich splątane konary i listowie tworzyły gęsty baldachim, przepuszczający zaledwie nikłe promyki światła.

- Cicho tu - powtórzył za nią.

Gałęzie nadmorskich palm kokosowych, poruszane przez wiatr wiejący w dolinie, wydawały taki dźwięk jak talerze perkusji, a suche liście, pod którymi mogło znaleźć schronienie z tuzin osób, postukiwały głośno, uderzając o siebie, jak rozluźnione drewniane żaluzje.

- Efekty dźwiękowe jak z filmu science fiction - powiedział Bart.

- Na ogół jest tu cicho. Moja mama mówiła, że w tej dolinie można usłyszeć śmiertelną ciszę - widząc zdziwioną minę Barta, Laura dodała: - Mama kochała Vallee de Mai. Ta dolina i Aldabra to jej ulubione miejsca na wyspach. Czasami taki tutaj upał, że można się udusić. Człowiek łaknie świeżego powietrza.

- Znam to uczucie.

W czasie ich spaceru przez dolinę wiał lekki wiatr, dzięki czemu panował tu przyjemny chłód.

Bart pozwolił Laurze opisywać mu miejscowe drzewa i palmy. Ekologia nie interesowała go za bardzo, ale z przyjemnością słuchał jej głosu. Cieszył się z góry na myśl, jak będą smakować jej usta.

- Czarna papuga! - zawołała podekscytowana. - Widzisz ją, Bart? Muszę zrobić jej zdjęcie. Bardzo rzadko udaje się ją zobaczyć.

Bart popatrzył w górę i zauważył jakiś ruch na niewysokim, uginającym się od jagód drzewie.

- Tam, patrz - szepnął.

Szczęk migawki rozległ się w tym momencie, gdy papuga,

o brązowo-szarym upierzeniu bez połysku skrzecząc odleciała w głąb lasu.

- Cudowna - mówiąc to, podniecona i zachwycona Laura objęła Barta za szyję. -

Dziękuję ci. Nigdy jeszcze nie udało mi się sfotografować tej papugi - Podeszła do drewnianej ławki i usiadła. - To potrwa chwilę. Tylko wyjmę film z aparatu.

Gdy Bart usiadł koło niej i zdjął mokasyny, by pogrzebać gołymi stopami w piasku, ukazała się zasapana przewodniczka, a za nią weszły pod górę zmęczone turystki.

Jedna z nich usiadła na pieńku i objęła głowę rękami.

- Pewnie oglądała pani w świetle księżyca nadmorskie palmy kokosowe! - zawołała do niej przewodniczka. Turystka była blada

I miała niepewną minę. - Jeśli zachoruje pani w dolinie, to znaczy,

246

że jest pani przeklęta. Zobaczyła pani to, co jest zakazane: żeńskie i męskie osobniki tych drzew.

Turystka ze słabym uśmiechem dołączyła do grupy.

- Nie, to z powodu tej wilgoci.

Przewodniczka oparła się o granitową balustradę i wzięła do ręki leżący na kamieniu orzech nadmorskiej palmy kokosowej.

- Teraz usłyszymy wykład o zakochanym orzechu - zażartował Bart.

- Gordon z Chartumu uważał, że jest to zakazany owoc, a ta dolina to biblijny Rajski Ogród, Eden - powiedziała Laura.

- Trochę za twarde na zęby Ewy - zażartował Bart, kładąc się na ławce. - Jego łupina ma około centymetra grubości.

Laura zachichotała:

- Według Gordona był to owoc pożądania, ponieważ zewnętrznym kształtem przypomina serce, a od wewnątrz podobny jest do brzucha i ud kobiety.

„I do innych nader ciekawych części ciała” - pomyślał Bart. Wielkie orzechy kokosowe z kobiecymi zaokrągleniami, pokryte twardymi włoskami, były obiektem wielu wulgarnych dowcipów i anegdot w kasynie oficerskim.

Na wietrze wyraźnie było słychać słowa przewodniczki. Bart oparł rękę na ramieniu Laury i bawił się leniwie loczkami na jej szyi. Laura siedziała bez ruchu w obawie, by nie zaprzestał tych pieszczot. Słuchali sugestywnej opowieści przewodniczki o orzechu kokosowym nadmorskiej palmy. Turystki kiwały mądrze głowami, gdy powiedziała im, że to drzewo ma najdłuższe na świecie liście i największe nasiona. Uśmiechały się i tręcały łokciami, gdy zwróciła im uwagę na to, iż ten orzech nie tylko przypomina narządy rodne kobiety, ale że również, zanim dojrzeje jego jądro, pojawia się na nim bardzo smaczna biała galaretka. Jeśli jednak zerwany orzech poleży kilka dni, galaretka robi się gorzka i wygląda oraz pachnie jak męskie nasienie.

- Nie wiedziałem o tym - odezwał się Bart. - To znaczy, że poczciwy Pasza Gordon miał rację. W tej dolinie mógł być Eden.

Turystki aż krzyknęły ze zdziwienia, gdy usłyszały, że jądro orzecha kokosowego nadaje się do jedzenia dopiero w dziewiątym miesiącu.

- Potem robi się bardzo twarde i wydobywa się z niego nasienie- Przewodniczka postukała palcem w szczelinę pokrytego twardym włosiem orzecha.

- Och - zachichotała jedna z kobiet - pipcia. Przewodniczka przytaknęła głową.

- Kiedy zaś te włoski wyrosną na długość około dwóch i pół centymetra, wygląda to zupełnie jak męski siusiak, a dwie połówki orzecha przypominają jądra.

Laura, zaczerwieniona po uszy, podniosła się gwałtownie.

- Poleniuchowaliśmy trochę. Zejdźmy teraz do strumienia -powiedziała. - Podobno rosną tam największe drzewa.

- Poszukajmy ich - zgodził się Bart.

- Macie dziś szczęście! - zawołała do nich przewodniczka, gdy przechodzili obok. - Dolina jest cała dla was. Nikogo więcej nie widziałyśmy.

- Jak Adam i Ewa - powiedziała młoda Włoszka.

Bart mrugnął do nich, idąc za Laurą, a one klaskały w ręce i pogwizdywały, aż dwie blond głowy zniknęły im z oczu.

- Weseli ludzie z tych Włochów - stwierdził Bart. - Umieją naprawdę cieszyć się życiem.

- Lubię ich najbardziej ze wszystkich turystów - powiedziała Laura, z ulgą przyjmując zmianę tematu. - Zawsze się śmieją i śpiewają.

Bart miał dobry głos i zaśpiewał kilka znanych piosenek włoskich, gdy schodzili na dno doliny krętą ścieżką. Laura podchwytywała refreny i tak, ramię przy ramieniu, dotarli do strumienia obmywającego korzenie drzew.

Laura zrzuciła sandałki i zanurzyła stopy w wodzie. Patrzyła, jak Bart, niczym pies myśliwski tropiący zwierzynę, czegoś szuka w gęstym podszyciu leśnym. Nagle zniknął jej z oczu. Usiadła i spokojnie przyglądała się słodkowodnym krabom pływającym w płytkim strumieniu.

- Lauro - odbił się echem od wody głos Barta, którego nadal nie było widać. - Chodź, zobacz, co znalazłem.

Wsunęła stopy w sandałki i zaczęła przedzierać się przez gęste listowie.

- Tutaj! - zawołał.

Zatrzymała się. Choć głos dochodził z bliska, w dalszym ciągu nie widziała Barta.

248

- Gdzie?

Bart pojawił się wśród płataniny gigantycznych liści nadmorskiej palmy kokosowej, które, sięgając aż do ziemi, szeleściły jak taftowa spódnica sukni balowej. Wydawał się znacznie niższy przy tych ogromnych beżowo-żółtych liściach.

Laura uważnie torowała sobie drogę między nimi.

- Mam takie wrażenie, jakbyśmy byli na jachcie, na wzburzonym morzu - powiedziała, patrząc do góry na palmy dochodzące do osiemnastu metrów wysokości. Wierzchołki żeńskich drzew, uginające się od orzechów, które mogły w sumie ważyć nawet dwieście kilogramów, kołysały się na wietrze jak niezgrabne

ciężarne kobiety. Ostro zakończone liście, uderzając o siebie, wydawały ostry, urywany dźwięk, przypominający wystrzały karabinowe, a orzechy spadały z tęnym łoskotem kul armatnich.

Laurze, spoglądającej na ten ruchliwy baldachim, zdało się, że ziemia się pod nią kołysze. Podeszła bliżej do Barta, a gdy odsłonił liście, wśliznęła się przez nie do środka. Zasłona z liści bezszelestnie zamknęła się za nią. Białe światło przedzierało się pomiędzy gałęziami zwieszającymi się z grubego pnia, odbijało w świeżo opadłych zielonych liściach, pokrywających wysuszoną ściółkę. Ukryci byli w ten sposób jakby w namiocie z liści, w samym sercu tajemniczej doliny.

Laura wstrzymała oddech, modląc się w duchu, by Bart nie usłyszał, jak wali jej serce. Gdy brał ją w ramiona, zażenowana czuła, jak jest niezdarna i niezgrabna. Pewna była, że kiedy on zorientuje się, jak bardzo brak jej doświadczenia, straci całkiem dla niej zainteresowanie. Zaciśnęła mocno powieki, gdy wodził językiem po jej wargach, czuła, że braknie jej tchu w jego mocnym uścisku.

- Pocałuj mnie - zamruczał.

Nie wypuszczając Laury z objęć, Bart zachwiał się nieco, zaczepiwszy nogą o suche liście; ściągnął koszulę i rzucił ją na ziemię.

- Usiądźmy - powiedział - zanim upadnę jak te orzechy. Pociągnął ją łagodnie na dół i posadził na rozłożonej koszuli.

Klęknął przy niej, ale widząc jej zalęknione spojrzenie i drżące usta, odsunął się nieco i powiedział: - Jesteś śliczna, Lauro.

Uśmiechnęła się, zagryzając przy tym wargi. „Przestań - zgańła siebie w duchu. - Pomyśli, że zachowujesz się jak dziecko”.

- Jesteś najśliczniejsza ze wszystkich kobiet. - Dotknął palcami jej warg, przesunął nimi po szyi i zatrzymał na jej piersiach. Laura wzdrygnęła się, a on uśmiechnął się, wyczuwając jej drżenie. - Masz takie pełne wargi jak u namiętnej kobiety.

Laura podniosła wzrok na Barta. Jego starannie przystrzyżona broda łaskotała ją w podbródek, a w jasnobursztynowych oczach ujrzała miłość i czułość. Była tym wstrząśnięta. On jest cudownym mężczyzną, a ona ma szczęście, że zwrócił na nią uwagę.

Bart powiódł wzrokiem w dół po guziczkach jej bluzki i suwaku szortów.

Nachylając się do niej, delikatnie dłonią pocierał jej sutki. Zesztywniała, gdy gwałtownie zaczął ją całować. Czowała, jak twardnieją jej sutki pod cienką bluzką. Z trudem łapała oddech. Pod mocno zaciśniętymi powiekami wirowały szare kręgi, a w głowie jej się kręciło. Ogarnęło ją przerażenie. Powinna go odepchnąć.

Zrozumie wtedy, że ona nie przywykła do takich pocałunków.

Gdy dotknął ustami jej szyi, zaczerpnęła z ulgą powietrza do płuc. Wiedziała, że powinna odsunąć jego dłoń z piersi. Ale gdy gorącymi ustami wodził po jej twarzy, nie była w stanie mu się oprzeć. Ciało sprzeciwiało się rozumowi.

Od pierwszego spotkania w Les Cannelles Bart pociągał ją nieodparcie. Uległa jego urokowi wbrew wszelkim nakazom ostrożności i zdrowemu rozsądkowi. Była bezwolna i Bart mógł robić z nią, co chciał.

Przywarła do niego z całej siły, a wiatr, przedostający się przez szpary w zasłonie z liści, pieścił jej nagie ciało.

Dziewiczy las podniecił Barta. Jego zmysły dostrajały się do sił natury. Trzask suchych liści przyspieszył pulsowanie krwi w jego żyłach.

Gdy poczuła ciężar Barta na sobie, zabrakło jej tchu. Szczękając zębami, wbiła wzrok w ząbkowane liście nad sobą. Przypuszczała, że powinna coś zrobić lub powiedzieć. Na filmach kobiety zawsze wiedziały, kiedy ciężko oddychać, kiedy wbić się paznokciami w plecy mężczyzny.

- Kocham cię, Barcie Harden - szepnęła, oddając mu swą niewinność.

250

- I ja cię kocham - odpowiedział Bart machinalnie. Wcześniej poznał zasady gry i znał je bardzo dobrze. „Miłość” - to sześćo-literowe słowo uspokajało wszystkie kobiece wyrzuty sumienia. Używał go więc bez skrępów.

Uśmiechnięta Laura mocniej objęła go za szyję. Wszystko dobrze się układa. Bart ją kocha. Teraz namówi go, by przyjechał do La Retraite i poznał Ashleya i Pierre'a. Była pewna, że Pierre polubi Barta. Zapomni o tym niemądrym epizodzie na Silhouette, znowu będzie jej bratem i przyjacielem. Wierzyła, że jej rodzina przyjmie dobrze Barta, że pokochają go tak jak ona. Teraz powinna go zapytać o jego rodzinę. Nigdy dotąd nie rozmawiali o swoich rodzinach ani w ogóle o swoim

życiu. Bart powtarzał ciągle, że czas, który razem spędzają, jest zbyt cenny, by mówić o innych ludziach. Ale teraz się kochają i wszystko się zmieni.

Bart nagle krzyknął, zadrżał i opadł ciężko z głową na jej ramieniu. Laura była zaskoczona: to już po wszystkim, już stała się kobietą. Ogarnęła ją czułość dla niego. Należał teraz do niej. Byli jednością. Bart wysunął głowę spod jej ręki.

„Dlaczego kobiety nie potrafią się odprężyć? Wszystkie są takie same. Kochaj się z nimi, a one potraktują cię jak ulubionego kociaka. Będą cię głaskać albo głupio gadać”.

Sięgnął ręką do pełnych piersi Laury i obejmując ją mocno, ułożył się tak, iż znalazła się na nim. Laura poczuła się w tej pozycji naga i bezbronna. Gdy próbowała się ruszyć, przytrzymał ją jeszcze mocniej i pieszczotą rąk rozbudził w niej ponownie pożądanie.

Mijały godziny. Niebo pociemniało. Laura leniwie podniosła rękę. Z trudem odczytała godzinę na zegarku i przeraziła się:

- Jak późno! Muszę wracać na kolację. Bart pocałował delikatnie jej ucho.

- Zjedz kolację ze mną. Spędźmy razem cały weekend. Mój dom stoi na uboczu.

Nikt nas nie zobaczy.

Laura zawahała się. Ashley był na Aldabrze. Nie mógł się z nią skontaktować. Giles i Emma są na Silhouette. Emma odnalazła czarownika z lasu i pod pretekstem, że chce u niego zasięgnąć rady, zbierała informacje o czarach i właściwościach miejscowych ziół. Wrócą do La Retraite dopiero w poniedziałek wieczorem. Tylko Pierre był w domu i mógł zadzwonić do jej przyjaciół na Praslin. Zazwyczaj sprawdzał, czy wszystko jest u niej w porządku. Potem

przypomniała sobie, że Pierre bardzo się denerwował z powodu pogłosek, iż najdalej za osiem tygodni będzie ogłoszony jednopartyjny system. Pewnie jest zbyt zajęty, żeby do niej dzwonić.

- Proszę - nalegał Bart całując ją w szyję - zostań ze mną. Kocham cię.

Laura skinęła głową. Pierre na pewno będzie na zebraniu na Mahe. Nawet o niej nie pomyśli.

- Muszę przeprosić moich przyjaciół i zabrać od nich rzeczy.

- Nie potrzebujesz niczego - powiedział Bart. - Jesteś moim orzechem kokosowym. -

Przesunął ręką po jej ciele. - Jesteś zbyt piękna, by się czymś okrywać.

Laura była szczęśliwa, że w mroku nie zauważył, jak się rumieni.

Palcami pieścił jej piersi.

- To twój słodki kokosowy tyłeczek, a to prześliczne uda. - Wsunął rękę między jej nogi. - A tu jest magiczny schowek kokosa. - W miarę jak przesunął rękę, widział, że oczy Laury zachodzą mgłą, a usta się rozchylają. „To będzie niezły weekend - triumfował w duchu. - Nic już prawie nie zostało z dziewicy. Dziewczyna szybko się uczy”.

Choć łodyżki liści palmowych boleśnie uwierały Laurę w plecy, leżała bez ruchu z głową wspartą na ramieniu Barta. Chciała zapamiętać ten wieczór na całe życie.

Żałowała, że nie może przechować ich miłości w bursztynie, tak by na zawsze pozostała czymś drogocennym i niezniszczalnym. Niezbyt uważnie słuchała tego, co mówił do niej Bart.

- Będę miał więcej wolnych weekendów. Moi przyjaciele z wojska są tak mi wdzięczni za ostrzeżenie o pewnych niedociągnięciach w ich planach, że spełnią każdą moją prośbę. - Bart, rozkoszując się podziwem Laury, chętnie się, by wyrzucić na niej jeszcze większe wrażenie.

- Ale dlaczego nie ostrzegłeś rządu i pozwoliłeś, by ukarano oficerów? - zapytała Laura.

Bart zamilkł na moment. Musi być ostrożny.

- Bo to naprawdę dobrzy ludzie. Moi towarzysze broni. Gotowi umrzeć za mnie.

Na wzmiankę o wojnie i śmierci Laura przytuliła się mocniej do niego.

252

- Jestem im winien lojalność. Ktoś im źle doradził. Niektórzy uważają, że państwo jednopartyjne oznacza komunizm.

- Ja również nie chcę rządów dyktatorskich - powiedziała Laura, zadowolona z tych wyjaśnień. - Napawają mnie lękiem. Rząd powinien być wybierany co cztery lata.

W ten sposób jego członkowie będą odpowiedzialni przed narodem.

- Masz rację - odrzekł Bart zachwycony, że przyjęła z taką łatwością jego wyjaśnienia. - To był ciężki okres dla mnie.

- I z pewnością niebezpieczny - rzekła Laura. - To wspaniale, że udało ci się zapobiec przewrotowi i uratować twoich przyjaciół.

Bart promieniał, polechtany w swej próżności.

- Kwestia szybkiej orientacji i opanowania. Podobnie było z tym wypadkiem, kiedy usiłowano zrobić mnie w morderstwo.

- Co takiego?! - zawołała Laura zaskoczona i wzburzona.

- Głupcy - stwierdził chępliwie Bart. - Pokazałem im w sądzie, jacy z nich idioci. - Przesunął lekko ręką po brzuchu Laury, ale ona strąciła ją i poprosiła:

- Opowiedz mi o tym.

- Ta głupia kobieta z wyspy zaparkowała swego czerwonego moke'a na środku ulicy, a potem wsiadła do niego, nie sprawdzając, czy nie nadjeżdża jakiś inny samochód.

Laura zamarła.

- Musiałem ominąć ciężarówkę dostawczą i omal nie wpadłem na autobus. - Zaśmiał się. - Gdybym nie był tak dobrym kierowcą, to byłoby już po mnie.

Bart oczekiwał jakiejś reakcji Laury na wzmiankę, że mógł zostać zabity, ale ona milczała.

- Umknąłem przed autobusem, ale dla tej kobiety był to pechowy dzień.

„Nie! - krzyknęła bezgłośnie Laura. - To chodzi o inny wypadek. To nie mógł być człowiek, którego kocham. To nie Bart”!

- Ten kretyn w sądzie próbował udowodnić, że to była moja wina, ale żaden wieśniak z wyspy nie złapie Bartholomew Faul-conera - tokował.

- Faulconera?

Bart zagryzł język, przeklinając się w duchu za brak ostrożności. - Tak się właśnie nazywam - wyjaśnił szybko. - Ale w wojsku jako nazwiska używam drugiego imienia: Harden. Mój ojciec ma

przestarzałe poglądy i nie życzy sobie, by nasze nazwisko miało coś wspólnego z brudną wojną.

Jego słowa smagneły ją jak gałęzie drzew rosnących nad nimi. Dźwięczały w jej mózgu jak tępy łoskot orzechów spadających na ziemię. Laurze wydawało się, że runął na nią cały świat. Zimny pot wystąpił na jej czoło i poczuła mdłości. Czowała się jak zbrukana. Zgarnęła swoje ubranie i sięgnęła po sandały.

- Lauro! - zawołał zaniepokojony Bart. Wstając z ziemi, zwróciła się twarzą do niego.

Ściągnęła brwi, czarne jak skrzydła anioła zemsty. Jej oczy były zimne i pełne zgrozy. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo.

Bart chwycił jej nogę, chcąc ją przytrzymać i uspokoić. Ale ona wstrząsnęła się cała od jego dotyku i kopnęła na ślepo, z całą siłą furii trafiając go między nogi. Bart z jękiem zgiał się we dwoje.

Laura szukała po omacku przejścia w twardej zasłonie z suchych liści. Nie mając siły odsunąć na bok szerokich, sześciometrowych liści, przeczołgała się pod nimi. Gdy wciągała na siebie bluzkę i szorty, potknęła się o kamień i opadła na kolana. Odnalazłszy ścieżkę, zaszlochała z ulgą. Zorientowała się, że trzyma coś jeszcze pod pachą. Były to spodnie Barta, które odrzuciła daleko od siebie. Jak oszalała wycierała ręce o szorty, chcąc usunąć z nich wszelkie ślady kontaktu z Bartem. Biegła w górę wąską ścieżką, potykając się o kamienie. Zrozpaczona, przejęta odrazą do samej siebie, niewiele widziała w mroku. Nie zauważyła czarnych papug przeskakujących z gałęzi na gałąź drzewa *bilimbi* i dziobiących owoce podobne z kształtu do ogórków. Myślała tylko o tym, by odnaleźć samochód i uciec z Vallee de Mai.

- Cholerna neurotyczka! - zaklął Bart pod nosem prostując się i rozglądając się za spodniami. - Uciec w ten sposób, ponieważ wspomniałem o nieistotnym wypadku! - Wściekły, zawiesił na szyi aparat fotograficzny Laury, włożył na siebie jaskrawą koszulę i szorty.

Wkrótce, przeszukując suchą ściółkę, zauważył coś bielejącego w ciemnościach. Były to jego spodnie. Przewiesił je przez ramię i krzywiąc się z bólu pobiegł, żeby złapać Laurę i uspokoić ją.

243

- A może ona знаła tę kobietę? - mruczał do siebie. - Mogła to być jej przyjaciółka. Na pewno nie nazywała się Challoner. - Wysilał pamięć, by przypomnieć sobie nazwisko Nicole. - No tak, Daumier. Nawet nie angielskie nazwisko. Co ona mogła mieć wspólnego z rodziną Challonerów?

Nasłuchiwał w napięciu, czy nie usłyszy odgłosu kroków, wypatrywał w ciemnościach szczupłej postaci w szortach w biało-niebieskie pasy.

Miał zasadę nie wypytywania kochanek o ich rodziny; dzięki temu związek taki był całkowicie bezosobowy i łatwo dawał się zerwać. Teraz jednak żałował, że nie wie czegoś więcej o rodzinie Laury.

- Idiota - wymyślał sobie - zmarnowałeś weekend.

Kiedy jednak usiłował zlekceważyć cały ten incydent, jakiś wewnętrzny głos, którego od dawna nie słyszał, mówił mu, że stracił coś wyjątkowego. Nigdy nie zapomni poszarzałej twarzy Laury.

Biegł ciężko dysząc, ale Laury nigdzie nie było. Zaklął, gdy zawadził nogą o drzewo latanii i poczuł, jak kolce porastające jej pień wbijają mu się w skórę wywołując ból tak ostry jak ukłucie żądła jadowitych mrówek. Pochylił się, by rozetrzeć kostkę u nogi, i w tym momencie usłyszał warkot silnika i zgrzyt biegów. Zrozumiał, że już nie zdąży jej zatrzymać. Ostatnie sto metrów dzielące go od parkingu przebiegł sprintem i dotarł na miejsce wówczas, kiedy czerwone tylne światła zniknęły za zakrętem. Wiatr przyniósł ostry swąd spalonej gumy. Bart wzruszył ramionami i nałożył spodnie.

- Głupia dziewczyna - skwitował, ruszając w drogę pieszo.

Laura zaparkowała pod potężnym drzewem mango, rosnącym przed frontem domu jej przyjaciół. Wiatr zrobił się silniejszy i dojrzałe owoce spadając bębniły głucho o dach samochodu.

Laura siedziała oparta o kierownicę. Zdradziła pamięć swojej *belle-mere*. Pokochała człowieka, który zabił Nicole. Łzy nie są w stanie zmyć tej winy; z suchymi oczami rozpamiętywała straszną śmierć Nicole i szok, którego doznała po słowach Barta.

Wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w dom, przed którym stała. Bała się choćby na chwilę zamknąć oczy. Wiedziała, że ujrzy wtedy Nicole.

A Ashley! Na wspomnienie o ojcu aż się zachłysnęła. Kurczowo trzymała się kierownicy, dopóki nie poczuła bólu w palcach. Zawiodła jego zaufanie. Pierre! Nie zdoła już nigdy spojrzeć w twarz Pierre'owi. Okłamała go i odrzuciła jego miłość.

Wysiadła z samochodu i obeszła dom dokoła. Wśliznęła się przez tylne wejście i weszła do łazienki. Zamknęła zrobione z listewek drzwi. Ponieważ nie było żadnej zasuwki, zaciągnęła zasłonę na drzwiach. Patrzyła przez chwilę na czerwone i żółte stokrotki tworzące deseń na bawełnianej niebieskiej tkaninie, a potem podeszła do umywalki.

W poplamionym lustrze zobaczyła odbicie jakby obcej twarzy. Odwróciła się i zatrzymała wzrok na pokrytym plastikiem stoliku obok umywalki. Odsunęła na bok ciemnozielony aparat ze spiralą przeciwko moskitom. Potrząsnęła pudełkiem zapalek i odłożyła je z powrotem. Poszperała w kubku ze szczoteczkami do zębów i przejrzała słoiczki z kremami.

Nie znajdując tego, czego szukała, coraz bardziej nerwowo, z hałasem i w pośpiechu, przestawiała słoiczki i buteleczki.

Odsunęła zasłonę prysznica i weszła do wpuszczonego w podłogę basenu. Obok kawałka mydła leżała maszynka do golenia. Otworzyła pudełko, w zdenerwowaniu łamiąc plastikową pokryw-kę, i wydobyła żyłkę. Wbiła ją głęboko w mydło i wytarła starannie rogiem ręcznika. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że ostrze nie ma najmniejszej skazy, usiadła na podłodze z nogami w baseniku pod prysznicem.

Zacisnęła rękę w pięść i na przegubie ukazały się wyraźne niebieskie żyłki.

Laura dokładnie przyjrzała się delikatnej skórze, która była znacznie jaśniejsza od wierzchu dłoni. Nacisnęła żyłę biegnącą od kciuka do łokcia i pociągnęła lekko wzdłuż niej ostrzem żyłki. Z cichym westchnieniem przecięła gwałtownie żyłę w samym przegubie. Poczowała piekący ból, jakby dotknięto ją gorącym węglem.

Zagryzła wargi, by nie krzyknąć. Oparła głowę o ścianę i zafascynowana obserwowała tworzącą dziwny deseń strużkę krwi na jej ręce. Były tam i wesołe mewy śmigające nad rekinami... i kraby pozbawione nóg, zamienione w tłuste żółwie. Na ręce zalanej krwią widziała przeróżne szkarłatne figury.

256

- Lauro! - zawołała przyjaciółka, wchodząc do gościnnego pokoju i podzwaniając trzymanymi w ręce kluczykami od samochodu. - Gdzie jesteś? Zostawiłaś kluczyki w samochodzie.

Otworzyła drzwi do łazienki.

- Jestem zajęta - odpowiedziała Laura.

- No wiesz! Nie było cię cały dzień, a potem wracasz, nawet się nie pokazując. Tak się nie traktuje przyjaciółki. Gdzie... - Przeżrana wpatrywała się w Laurę. - O

Boże! - krzyknęła.

Laura usłyszała, że wybiegła z łazienki wołając swoją matkę. Nachyliła się, by podnieść żyletkę z podłogi, ale uwalana krwią wysliznęła się jej z rąk.

Nagle uniosły ją silne ramiona i położyły na łóżku. Wyczerpana Laura leżała z głową na poduszce z zamkniętymi oczami.

Nie chciała umierać, ale nie wiedziała, jak zdoła żyć ze swoją hańbą.

- Nacięcie nie jest zbyt głębokie. Zrobimy opatrunek - powiedział jakiś męski głos. - Nic jej nie będzie.

Laura westchnęła i pierwsze łzy wypłynęły spod jej przymkniętych powiek.

III

Drewniany dom trzeszczał i jęczał szarpany silnym, porywistym wiatrem. Przez oczka cienkiej gazowej moskitiery wdzierały się do wnętrza sypialni gwałtowne podmuchy wichury, przynosząc aż do łóżka ostry zapach rozgrzanej spirali przeciwko moskitom.

Giles pociągnął nosem. Odrzucił cienkie prześcieradło, wychylił się z łóżka i spojrzał na jarzący się czubek zielonej spirali.

- Po co to dzisiaj? - mruknął. - Moskity nie latają przy takim wietrze. - Był niewyspany i poirytowany. - Emma niepotrzebnie się upiera, by podgrzewać co noc to śmierdzące kółko. Tym bardziej że tutejsze Moskity nie roznoszą malarii.

Spojrzał na żonę, która właśnie zmieniła pozycję i odwróciła się do niego plecami.

Wstał i na palcach poszedł do nocnego stolika, zastygając przy każdym skrzypnięciu podłogi. Ostrożnie ustawił wentylator frontem do spirali i, wstrzymując oddech, włączył go.

17-Głosy na wietrze

257

Emma mruknęła coś przez sen i wtuliła głębiej twarz w poduszkę, ale się nie obudziła. Bardzo nie lubiła zimnego powiewu w czasie snu; uważała, że od tego można się przeziębnić i dostać artretyzmu.

Giles, czując się jak winowajca, po cichu wrócił do łóżka i podłożył ręce pod głowę. Wentylator odwiewał od nich przykry zapach. Może teraz uda mu się zasnąć.

Zamknął oczy i zobaczył Lyewood. Ujrzał siebie idącego przez pola i liczącego bydło. Już czas wracać do domu. Wyspiarski tryb życia wciąga i może wejść w nałóg. Nie ma co czekać na Laurę. Pewno przyjedzie dopiero na początku semestru w college'u. Zadowolony z podjętej decyzji, postanowił rano powiedzieć o tym Emmie.

Emma jęknęła i przewróciła się na plecy, uderzając go przy tym mocno ręką w szyję, aż na moment stracił oddech.

- Jakies złe sny, moja mała czarownico - powiedział, kładąc dłoń delikatnie na jej brzuchu.

- Nie! Nie! - krzyknęła ostrym głosem Emma, bijąc go z całej siły.

Giles usiadł, usiłując przytrzymać jej ręce.

- Emmo, uspokój się! Obudzisz wszystkich.

- Nie! Zostaw ją! - krzyczała, próbując wyswobodzić się z jego uścisku.

- Emmo, obudź się! To tylko zły sen. - Giles potrząsnął nią mocno i Emma otworzyła oczy. Przestała krzyczeć, ale drżała na całym ciele.

- Już za późno, Gilesie. Za późno. To moja wina. Myślałam tylko o swoich przyjemnościach.

- Cicho, cicho - Giles uspokajał Emmę, zgarniając z jej twarzy niesforne kosmyki włosów. - Już dobrze, już wszystko w porządku.

- Nie! Nie jest dobrze - załkała. - Nie zająrzałam do szklanej kuli. Nie obroniłam Laury.

- Naszej ślicznej małej czarowniczki nic nie zagraża. Widziałaś ją przecież dwa dni temu. Nigdy nie wyglądała na tak szczęśliwą.

- Szczęśliwą! - zaszlochała Emma. - Oczywiście, że była szczęśliwa. Była zakochana, a ja tego nie zauważyłam. Teraz jest za późno. Widziałam go, blondyna z kocimi oczyma. Laura oddała mu się. Rozpoznałam jej szorty w biało-niebieskie pasy, leżące na liściach palmowych.

258

Giles mocniej objął Emmę.

- Ten szum, och, ten szum! - Emma potrząsnęła głową, jakby nie chciała słyszeć szelestu liści palmowych. - Krew, wszędzie na ziemi była krew.

Giles zaniepokoił się nie na żarty. Emma skręcała się jak w konwulsjach. Nachylił się nad nią, by usłyszeć, co bełkoce.

- Hekate, potrzebuję twojej czarnej magii, Hekate...

Giles odepchnął gwałtownie Emmę, która patrzyła na niego zamglonymi, czarnymi z przerażenia oczyma.

- Jesteś kapłanką - syknął - jesteś czcicielką Wicca, pradawnej, prawdziwej religii. Nie ma w niej miejsca na czarną magię.

Zamajaczyła przed nią jego męska, uczciwa twarz, jak u proroka ze Starego Testamentu.

- Ci, którzy uprawiają czarną magię, padają ofiarą sił ciemności. Umierają. - Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie. - Powiedz mi, Emmo, powiedz prawdę! Czy kiedykolwiek wzywałaś czarne moce? Czy wzywałaś na pomoc sługi Hekate?

Wargi jej drżały, a oczy napełniły się łzami.

- Przyznaj się.

- Nie, Gilesie - skłamała Emma. - Jestem wierna naszej religii. Giles trzymał ją jeszcze długą chwilę, a potem opuścił ręce. Emma rozcierała bolące ramię.

- Nie wiem, co mówiłam, Gilesie. Chodzi o Laurę. Kocham ją tak bardzo i czuję, że coś jej zagraża.

Emma zastanawiała się, jak rozwiązać jego wątpliwości. Była pewna, że wykluczyłby ją ze zgromadzenia i być może nawet rozwiódłby się z nią, gdyby odkrył jej tajemnicę. Giles był szczerze oddany kultowi Wicca i traktował swoje wcielenie jako wielkiego boga Pana bardzo poważnie. Oczekiwał od niej doskonałości, gdyż miała być ziemską przedstawicielką bogini Diany.

Emma cierpiała katusze. Uwielbiała swoją boginię księżyca. Gdy wypowiadała tekst przysięgi i świętowała z całym zgromadzeniem, czuła się czysta i potężna. Znała tajemnicę i całe piękno Pradawnej Religii. Ale zakosztowała również zakazanego narkotyku władzy. Poznała potęgę czarnej magi. Uwierzyła, że jest wystarczająco silna, by zapanować nad czarnymi mocami.

- Gilesie - szepnęła - kocham cię.

Te słowa usunęły wszelkie wątpliwości Gilesa.

- Moja mała czarownico - powiedział, układając się na łóżku i biorąc ją pod siebie. - Jutro zobaczymy Laurę w La Retraite. Jeśli coś się stało, Pierre na pewno by do nas zadzwonił - dodał, by ją uspokoić.

Emma zeszywniała.

- Albo Cook - rzekł Giles, przypomniał sobie, że Emma w dalszym ciągu czuje niechęć do Pierre'a. - Denerwowałaś się już wtedy, kiedy Laura kupiła te szorty w biało-niebieskie pasy. To cię jakoś podświadomie niepokoiło i dlatego miałaś ten straszny sen. Pozwól mi usunąć te wszystkie demony.

Emma oddała mu się, ale wiedziała, że te demony są realne. Laurze przytrafiło się coś złego.

IV

Cook stała na szczycie granitowych stopni z rękami opartymi na biodrach. Różowy szlafroczek z trudem dopinał się na jej brzuchu, plastikowe lokówki dyndały się, gdy kiwając głową zawołała po kreolsku do Pierre'a:

- Gdzie byłeś? Dlaczego nie powiedziałeś mi, dokąd się wybierasz?

- Cook - Pierre, który wysiadał właśnie z moke'a, usiłował załagodzić gniew kucharki - jestem już dorosły. Nie musisz na mnie czekać. - Wbiegł szybko po schodach. - Martw się o Laurę, nie o mnie.

- O Laurę! - w głosie Cook słychać było ogromne zdenerwowanie. - Gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowała? Dzwoniłam wszędzie. Nie znalazłam cię na żadnym z tych głupich zebrań. Ty...

- Co z Laurą? - Pierre szarpnął Cook za ramię, by przerwać potok jej słów. - Co jej się stało?

- Próbowала się zabić.

Pierre poczuł ostre ukłucie w sercu. Wpatrywał się tępo w Cook, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co usłyszał.

- Przecięła sobie żyły.

- Niemożliwe! Zawiozłem ją na Praslin. Nigdy nie widziałem jej tak szczęśliwej.

- Kiedy stąd wyjeżdżała, wyglądała jak panna młoda w dniu ślubu - potwierdziła Cook. - Ale gdyby przyjaciółka Laury nie znalazła jej w kabinie z prysznicem, to mielibyśmy teraz pogrzeb.

249

- Muszę jechać do niej - powiedział Pierre, odsuwając na bok Cook, ale ona cofnęła się i zatarasowała przejście.

- *Ecoute* - powiedziała, podnosząc rękę. - Posłuchaj, jaki jest wiatr. W taką noc małe łodzie nie powinny wypływać na pełne morze.

- Cook, mogę być na Praslin za dwie godziny. Laura mnie potrzebuje.

- Laura zasnęła. Dali jej środki nasenne. Nic nie możesz zrobić.

- Powiniennem być tam z nią. Nie rozumiesz? - Pierre usiłował odepchnąć Cook od drzwi, ale nie ustępowała.

- Nie ma benzyny, a stacje są zamknięte.
- Zbiorniki są pełne. Napełniłem je wczoraj.
- To było wczoraj - rzekła Cook. - Dziś są puste.
- Och, Cook - głos Pierre'a załamał się. - Coś ty zrobiła? Ja muszę do niej popłynąć.
- W taką właśnie noc utonęli twoi rodzice płynąc łodzią, między Praslin a Mahe.
Zapomniałeś o tym, Pierre? - mówiła już łagodniejszym tonem. - Będziesz z Laurą.
Zamówiłam dla ciebie miejsce w rannym samolocie. - Przyglądała się bacznie
twarzy Pierre'a, ledwo widocznej w półmroku. - Biedny chłopcze - rzekła i
przytuliła go do siebie. - Kochasz ją.
Stał oparty głową o jej ramię.
- Laura nie jest dla ciebie, Pierre - powiedziała łagodnie. -Któregoś dnia poślubi
jakiegoś bogatego Anglika. Emma mówi, że ferma w Lyewood będzie w przyszłości
należać do Laury, która stanie się bardzo bogatą kobietą. - Pierre zeszywniał i
wysunął się z objęć Cook. - Nie marz o gwiazdce z nieba, Pierre, bo zwariujesz i
będziesz jak pies wyjący do księżyca. Powinieneś związać się z jakąś tutejszą
dziewczyną.
- Nie mogę, Cook. Nie mogę.
Cook głaskała go po ramieniu, jak głaszczkę się wystraszone zwierzątko.
- Chodźmy do kuchni. Gorąca kawa dobrze ci zrobi.
- A Ashley? - zapytał Pierre, wchodząc do domu.
- Jest na jachcie, w pobliżu Aldabry. Chłopcy z radiostacji przyrzekli nadać rano
wiadomość. Ashley powinien się dowiedzieć jutro przed wieczorem. - I nie czekając
na następne pytanie Pierre^, dodała: - Wiedzą tylko tyle, że Laura miała wypadek.
Powiedzą mu, że to nic poważnego i że czuje się dobrze.

- W porządku - odezwał się Pierre. - Będzie tu za jakieś dziesięć dni. Miejmy nadzieję, że przez ten czas wszystko wróci do normy. - Skrzywił się, gdyż kawa parzyła mu usta. - Aldabra to przeklęta wyspa dla tej rodziny.
- A Emma uważa, że błogosławiona. Mówi, że dzięki wypadkowi lotniczemu i Virginia, i cała rodzina uniknęły udręki długotrwałego oczekiwania na śmierć. Emma twierdzi też, że Ashley znalazł tu zajęcie i nie załamał się po śmierci Nicole. Pierre wsypał więcej cukru do kawy.
- Dlaczego? - szepnął patrząc, jak ziarenka cukru rozpuszczają się na łyżeczce. - Dlaczego Laura to zrobiła?
- Zrobiła pewnie coś, z czym potem nie mogła sobie poradzić - powiedziała Cook, składając ręce na brzuchu. - Naszej dziecinie zdarzyło się coś strasznego.
- Laura jest wprawdzie bardzo młoda, ale rozsądna, Cook. Nigdy nie zrobiłaby niczego tak złego, co doprowadziłoby ją do samobójstwa.
- A jednak tak się stało. Pewnie nie zdawała sobie na początku sprawy, a potem już było za późno.

Pierre w zamyśleniu mieszał kawę.

- Laura zawsze jest otwarta i szczerą.

- Miłość wszystkich zmienia.

Pierre upuścił łyżeczkę i gorąca kawa prysnęła mu na rękę.

- Za tym stoi mężczyzna, wiem to - stwierdziła stanowczo Cook i wzięła ze stołu kawałek kokosowego ciasta.

Pierre nie zaprzeczał. Cook była w tych sprawach ekspertem. Świecie wierzyła w słuszność zasady *vivre en ménage*. Sama miała troje dzieci i każde z innym ojcem *en passant* - mimochodem. Na wyspach małżeństwo nie było uważane za konieczne następstwo związku między kobietą a mężczyzną. Pierre uznał, że te przypadkowe romanse dawały jej i innym kobietom seszelskim umiejętność wnikliwej obserwacji psychologicznej.

„Mężczyzna”! - Pierre aż wzdrygnął się na samą myśl o tym. Przecież znał dobrze Laurę i kochał ją. Nie ma mowy o żadnym innym mężczyźnie.

Mijały godziny, a Pierre ciągle odrzucał możliwość, że Laura miała kochanka.

Razem z Cook szukali wyjaśnienia samobójczej próby Laury.

251

Księżyc zanurzył się już w morzu, kiedy Pierre zasnął wreszcie z głową na stole.

Cook odsunęła kubek z kawą i usiadła z tyłu na krześle. We śnie Pierre przypominał małego chłopca, który przybył z Nicole do La Retraite. Cook ciężko westchnęła.

Pierre i Laura stanowiliby wspaniałą parę. Od czasów dzieciństwa nie rozstawali się i teraz byli sobie bardzo bliscy.

Zaczęła zdejmować lokówki z głowy, krzywiąc się, gdy pasemka włosów zaczepiały się o plastikowe zębki.

- Jutro wyślę wiadomość - powiedziała do siebie półgłosem. - Jeśli jest w życiu Laury jakiś mężczyzna, to ktoś musi to wiedzieć. Muszą znać jego nazwisko. - Szarpnęła gwałtownie lokówkę, jak gdyby wyładowując złość na jakimś mężczyźnie, który, była o tym przekonana, skrzywdził Laureę.

Pierre poruszył się niespokojnie, gdy Cook wstała i podniosła żaluzje. Świtało. Na jaskrawożółtym niebie wyraźnie rysował się czarny garb Silhouette.

Wetknęła do kontaktu wtyczkę czajnika i wrzuciła na patelnię cztery plastry bekonu. Zanurzyła dwie kromki chleba w talerzu z rozbitymi jajkami, podeszła do Pierre'a i łagodnie nim potrząsnęła.

- Zaraz będzie śniadanie. Przygotowałam ci prawdziwe angielskie danie. Zdążysz jeszcze wziąć prysznic.

Pierre obudził się i natychmiast przypomniał sobie o tym, co stało się w nocy. Czuł się fatalnie. Wyprostował się, masując zeszywniały kark.

- Cook, dziękuję ci, ale nie będę jadł - powiedział wstając.

- No dobra, *allez*, jedź już, jedź - zamachała drewnianą chochlą. - Jedź i przywieź Laure! - zawołała Cook i z ponurą miną zawiązała wokół bioder fartuch, odwracając się do kuchenki.

Pierre wzruszył ramionami. Cook była jak zwykle w złym humorze.

V

Pierre czekał na wózek bagażowy, toczący się po płycie lotniska. Tragarze, spoglądając niespokojnie w niebo czarne od kłębiących się chmur, pchali szybko wózki, rozpryskując wodę w kałużach po

poprzednim deszczu. Kiedy docierali już do poczekalni, pierwsze ciepłe krople spadły na torby i walizki.

Pierre przepuścił pasażerów oczekujących na swoje bagaże z Praslin i, schwyciwszy różową torbę Laury, przewiesił ją przez ramię. Przepchnął się wśród turystów, którzy tłoczyli się w wąskim przejściu, i zrzucił torbę u stóp Laury.

Laura, oparta o poręcz tarasu, patrzyła na skaliste wzgórza dominujące nad lotniskiem. Rękę z bandażem na przegubie trzymała z tyłu.

- Poczekaj tutaj. Sprowadzę moke'a - powiedział Pierre.

Laura skinęła głową i popatrzyła za nim, jak biegł na parking. Liście strzelistych drzew akacjowych dawały niewielką osłonę od deszczu, kiedy mocował się, odsłaniając płócienne boki samochodu. Mokre spodnie oblepiły mu nogi, a w butach chlupotała woda.

Podjechał do Laury uśmiechnięty, choć w głębi duszy bardzo się o nią martwił.

Kiedy zabierał ją z Praslin i dziękował przyjaciółom za opiekę nad nią, przygaszona i milcząca stała z opuszczoną głową, jak zbity pies, unikając jego wzroku.

W czasie lotu na Mahe siedziała wtulona w fotel, z oczyma zasłoniętymi słonecznymi okularami, cały czas kręcąc koniec warkocza. A kiedy Pierre położył rękę na jej dłoni, chcąc, by przerwała tę bezmyślną skubaninę, podskoczyła, jakby ją uderzył pięścią.

Jakiś młody turysta podbiegł i pomógł Laurze wsiąść do wozu. Przytrzymał ociekający wodą brezentowo-plastikowy bok i podał torbę z jej bagażem. Pierre, zażenowany, podziękował tak wylewnie, że chłopak ze zdziwioną miną cofnął się na taras poza zasięg deszczu.

Podczas gdy moke wdrapywał się z mozołem pod górę drogą do Le Niol, Pierre, jak gdyby nigdy nic, relacjonował przebieg zebrania, na którym był ostatnio.

Opowiadał, jak były podzielone zdania na temat jednopartyjnego systemu państwowego. Jednocześnie, by wzbudzić jej zainteresowanie, wspominał, że sam już nie jest tak zagorzałym zwolennikiem jednej partii skupiającej w swoim ręku całą władzę. Ale Laura nawet się do niego nie odwróciła, wyglądając przez zalane deszczem plastikowe okienko.

Pierre spojrzął do góry na różowo-turkusowy dom plantatorski, jakby strzegący pierwszego ostrego zakrętu na drodze do Le Niol. Gdy obejrzał się do tyłu, zza zakrętu wyjechała pędem ciężarówka,

264

przechylając się pod ciężarem cegieł. Pierre gwałtownie skręcił w lewo i Laura, schwyciwszy się bocznej podpórki, uderzyła głową w kablak.

- Nic ci się nie stało?! - krzyknął Pierre, kręcąc kierownicą, by utrzymać moke'a na drodze i nie wpaść do głębokiego rowu.

Laura potrząsnęła głową, rozcierając bolące czoło.

- Lauro, do licha - krzyknął, nie panując nad sobą - odpowiedz mi! Nie jesteś przecież niemową.

Laura ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona zadrżały od tłumionego płaczu.

- Wybacz mi! - zawołał Pierre. Dotknął jej ramienia i zaraz opuścił rękę. - Nie powinienem krzyczeć na ciebie. - Rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby skrócić z drogi, ale w tej okolicy niewiele było możliwości zaparkowania.

Zmniejszył szybkość. Chciał porozmawiać z Laurą, przeprosić ją. Na rozdrożu znajdował się posterunek policji w Beau Vallon, skręcił więc na prawo i pojechał w dół w kierunku morza. Stał pod ociekającym wodą ich ulubionym drzewem tekowym i wyłączył silnik.

Dwie łódki nurków kołysały się zakotwiczone w pobliżu brzegu. Sporo ludzi pływało w morzu, rozkoszując się kąpielą w strugach ciepłego deszczu, ale długi pas piasku aż do Whale Rock był pusty.

- Chodź - powiedział Pierre, wysiadając z samochodu. - Pospacerujemy. - Laura potrząsnęła głową. - Lauro, masz do wyboru: albo pójdziesz sama, albo cię poniosę.

- Nie mogę - odrzekła słabym głosem. - Czy nie widzisz, że nie mogę?

Pierre zdjął jej z oczu okulary słoneczne. Laura spojrzała na niego i szybko opuściła wzrok. Pierre poczuł się bezradny. Z jej oczu wycierał bezdenny smutek.

- Lauro - szepnął. - Porozmawiaj ze mną.

Palcami bezwiednie uderzała w zabandażowany przegub.

- Lauro - ponowił próbę. - Nigdy nie mogłabyś zrobić nic tak złego, żebym przestał cię kochać.

Laura zamarła bez ruchu.

Pierre nie znał się na psychologii, ale Nicole mówiła mu, że łatwiej poradzić sobie w trudnej sytuacji, gdy się o tym z kimś porozmawia. Jako dziecko z natury był małomówny i niezbyt

pewny siebie, jak wszyscy urodzeni pod znakiem Raka. Pod wpływem Nicole pozbył się ponurego usposobienia i zaczął rozmawiać z ludźmi. Teraz usiłował zrobić to samo z dziewczyną, którą kochał.

- Zaufaj mi. Jestem twoim przyjacielem. Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził. - W jego głosie słychać było ogromną czułość. - Opowiedz mi, co się stało. Czy poznałaś kogoś?

Laura drżała, wbijając wzrok w swoje palce. Nerwowo szarpała końce bandaża.

- Zaufałaś komuś, a on cię zranił?

Bladość twarzy Laury starczyła za odpowiedź. „Cook miała rację” - pomyślał Pierre. Zapłonął gniewem, z trudem panując nad sobą.

- Kochałaś go?

Laura przytaknęła, ale za chwilę potrząsnęła przecząco głową, aż warkocz smagnał ją po twarzy.

- Nie. Już go nie kocham.

„Kto to mógł być?” - dręczył się tym pytaniem. Rozważał w pamięci nazwiska znajomych i wszystkie odrzucał. „To musi być ktoś, kogo nie widzimy zbyt często” - doszedł do wniosku. Jeszcze raz przebiegł w myśli listę znajomych i zatrzymał się przy nazwisku Redversa. Redvers... Nie cierpiał go. Wykorzystał swój zawód i zdobył najpierw zaufanie Laury, a potem jej miłość.

Pierre ciężko dyszał, ale milczał, bojąc się zdenerwować Laurę.

- Jestem podła - powiedziała cicho, wycierając nos wierzchem dłoni. - Tatuś znienawidzi mnie.

- Ależ nie, Lauro, nie masz racji. Nikt nie będzie cię nienawidził.

- Widzisz, Pierre, widzisz - mówiła niewyraźnie - ty nic nie rozumiesz.

Słyszając bezmiar cierpienia w jej głosie, Pierre nie wytrzymał, objął ją, by pocieszyć.

- Nie! - krzyknęła, odpychając go z całej siły. - Nie rób tego! - Zaczęła uderzać go piąstkami.

- Lauro! - zawołał, przerażony jej reakcją. - Zakochać się w kimś nie jest podłą rzeczą i ty nie jesteś podła.

Laura, podtrzymując zabandażowaną rękę, kołysała się w tył i w przód z wyrazem niewymownej męki na twarzy.

266

- Musisz mi powiedzieć, co się stało! Chcę ci pomóc.

- Nie możesz mi pomóc! - krzyknęła. - Tu chodzi o Nicole! Nicole! Nicole!

Pierre patrzył na nią osłupiały. W jej głowie znowu coś się gwałtownie przestawilo. Wróciła myślami do śmierci Nicole. Może nie powinien był jej o nic pytać? Do kogo ma się zwrócić o pomoc?

Doktor Redvers wyleczył ją po śmierci Nicole, ale to on teraz był powodem nawrotu choroby.

„Emma - pomyślał. - Ona pomoże. Laura ją kocha i jej ufa. Wracają niedługo z Silhouette." Włączył silnik i wyjechał ponownie na drogę.

- Lauro - powiedział łagodnie, kiedy już opuścili Beau Vallon - pamiętaj, że wszyscy cię kochamy i zawsze będziemy z tobą.

Milczała nieruchoma, choć pocieszał ją i uspokajał, nie będąc pewny, czy w ogóle go słyszy i rozumie, co do niej mówi.

VI

Emma, Giles i Pierre odpoczywali w wiklinowych leżakach na werandzie w La Retraite. Tropikalna burza już się skończyła i cały ogród lśnił w słońcu, osuszającym wszystkie ślady po deszczu. Giles odgarnął z czoła siwe włosy i odezwał się:

- Jeśli nie skorzystamy z pomocy Redversa, to Laura będzie musiała wrócić do St. Francis.

- Co masz na myśli mówiąc Jeśli"? - wybuchnął Pierre. - To właśnie on spowodował nawrót choroby.

- Tak, wiem, wiem - odrzekł Giles - ale w dalszym ciągu nie bardzo mogę w to uwierzyć. Zrobił na mnie wrażenie absolutnie prawego człowieka.

- To nie on - powiedziała Emma. - Jestem pewna.

- Więc kto? - zapytał Pierre, z trudem ukrywając swój sceptycyzm.

Giles rzucił Emmie ostrzegawcze spojrzenie. Nie chciał, by Pierre dowiedział się, iż Emma zna się na czarach i patrzy w szklaną kulę.

Emma podniosła rękę:

- Nie wiem, jak się nazywa, ale go znam.

Pierre prychnął pogardliwie i Emma zaczerwieniła się. Giles już chciał interweniować, ale zrezygnował. Lubił Pierre'a i zdawał sobie sprawę z tego, jak chłopak cierpi.

Zaalarmował ich cichy warkot motoru.

- Czyżby Ashley? - Emma usiadła na leżaku.

- Nie, on nie może wrócić wcześniej niż pojutrze - powiedział Pierre wstając i wychylając się przez poręcz werandy. - Dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć, kiedy Ashley jest na Aldabrze? - Odwrócił się szybko do Gilesa i Emmy. - To on - syknął.

- Dzień dobry! - zawołał Redvers wbiegając lekko po stopniach. - Mam szczęście. Cała rodzina jest w domu!

- Oprócz Ashleya - wyjaśniła Emma.

Redvers dojrzał ich ponure twarze dopiero wówczas, gdy wszedł na werandę.

- Przyszedłem nie w porę? - zapytał z uśmiechem.

- Można to i tak określić - odpowiedział Pierre, zaciskając pięści.

- Pierre! - przywołał go do porządku Giles.

- Proszę usiąść, panie doktorze - zaprosiła go Emma. Doktor zapadł się w głębokim trzcinowym fotelu, wyciągnął

swoją fajkę i pudełko z tytoniem. Pierre obserwował uważnie Redversa, podczas gdy Emma i Giles opowiadali mu o samobójczej próbie Laury. Zaczął tracić pewność widząc, jak Redvers ubija tytoń w fajce i ssie ją głośno, by się zapaliła. Nie zauważył w nim żadnych oznak poczucia winy. Jak zawsze był energiczny i rzeczowy.

Redvers wypytał szczegółowo Gilesa i Emmę, a potem zwrócił się do Pierre'a:

- Pierre, zawiozłeś Laurę na Praslin. Chciałbym wiedzieć dokładnie, co mówiła i co robiła, kiedy ją znowu zobaczyłeś: jej gesty, wyraz twarzy, wszystko jest ważne.

Pierre zignorował jego pytanie i pochylony nad barierką werandy patrzył na morze. Redvers ssał fajkę w zamyśleniu i czekał, nie przerywając ciszy.

- Pierre - odezwała się Emma. - Pomyśl o Laurze. Ona potrzebuje naszej pomocy. Milczenie niczego...

- A gdzie pan był? - Pierre odwrócił się nagle do Redversa. - Gdzie pan spędził weekend?

257

Redvers zapalił zapałkę i trzymał ją nad otworem fajki, głośno pykając. Zgasił zapałkę i wrzucił ją do stojącej na stole popielniczki z muszli.

Zdenerwowany Giles chciał przerwać tę napiętą atmosferę, ale bał się wtrącać.

- Byłem zaproszony na Bird Island - odpowiedział w końcu Redvers - i tam

spędziłem bardzo miły weekend. - Wyciągnął nogi przed siebie. - Jest tam

wyjątkowo spokojnie o tej porze roku. - Powiedziawszy to, odwrócił się z powrotem do Gilesa.

Pierre i Giles wymienili spojrzenia.

- Przepraszam pana - rzekł Pierre, odsuwając krzesło i siadając naprzeciw doktora. - Zachowałem się niezbyt grzecznie.

Redvers skinął głową i czekał, co Pierre odpowie na jego poprzednie pytanie.

- To wszystko - zakończył swoją relację Pierre. - Wydaje mi się, iż ona uważa, że dopuściła się zdrady. Ale... - zawahał się. - Nie rozumiem, dlaczego z takim wzburzeniem wspomniała imię Nicole.

Redvers postukał fajką o brzeg muszli, wysypując tytoń do jej perłowego wnętrza.

Włożywszy pustą już fajkę w usta wstał, kierując się do drzwi, i powiedział:

- Chciałbym teraz zobaczyć Laureę. Emma szybko podniosła się z leżaka.

- Zaprowadzę pana.

Trzasnęły drzwi i na werandę wkroczyła Cook.

- Czy doktor zostanie na lunchu? - zapytała. Giles i Emma skinęli potakująco głowami.

- Przygotuj dla niego nakrycie - zwrócił się do niej Pierre w języku kreolskim. - Czy Laura z nim rozmawia?

- Powinna, bo inaczej on ją zabierze do szpitala w Anglii. W tym domu jest za cicho, kiedy jesteśmy tylko ty i ja. - Otworzyła szeroko drzwi i dalej mówiła do Pierre'a: - Doktor lubi kreolską kuchnię. Zrobię do ryby sos chilli.

- Nie teraz, Cook - rzekł Redvers, ukazując się w otwartych drzwiach... - Ale jeśli coś zostanie, chętnie zjem wieczorem. Wrócę po pracy, żeby zobaczyć Laureę.

269

Cook skinęła głową i weszła do domu. Zaraz się jednak zatrzymała i przytknęła ucho do zamkniętych drzwi.

- Czy Laura coś panu powiedziała? - zapytał Pierre. - Czy dowiedział się pan, co się stało?

Redvers wziął ze stołu pudełko z tytoniem i schował je do kieszeni koszuli.

Emma przeklinała w duchu powściągliwość tego lekarza. „Proszę, powiedz nam coś” - błagała go w myślach.

Redvers spojrział na trzy zaniepokojone twarze.

- Nie - odpowiedział, jakby zgadując myśli Emmy. - Ale wygląda na to, że Laura ma poczucie winy wobec rodziny, którą jakoby zdradziła. - Będąc już na schodach, dodał: - Przyniosę leki z Les Cannelles. Do zobaczenia wieczorem.

- Doktorze - Emma pobiegła za nim i chwyciła go za ramię. - Czy jest tak źle jak poprzednim razem?

Giles i Pierre podeszli również, czekając na jego odpowiedź, a za drzwiami Cook wstrzymała oddech.

- Jest za wcześnie, żeby powiedzieć coś konkretnego. Mam jednak nadzieję, że uda nam się ją uspokoić i że dzięki naszej pomocy dojdzie do siebie po tych przejściach, bez konieczności hospitalizacji.

Emma ścisnęła jego rękę.

- Dziękuję panu - powiedziała - bardzo dziękuję.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, co się dokładnie zdarzyło, moglibyśmy z nią porozmawiać i pomóc jej w zaakceptowaniu faktów - powiedział Redvers, schodząc powoli schodami. - Bądźcie przy niej cały czas. Nie zostawiajcie jej samej - ostrzegł.

- Nie zostawimy - odpowiedzieli chórem.

- Zawsze będzie przy niej jedno z nas - przyrzekła Emma. Cook opuściła swoje stanowisko pod drzwiami, gdy usłyszała odjeżdżający samochód. Doktor Redvers zajmie się Laurą, a ona zrobi dla niego najlepszy na wyspie sos chilli.

Wzrok jej padł na czerwony telefon stojący w kuchni.

„Odezwij się. *Sonnez* - prosiła w duchu. - Zadzwoń i podaj nazwisko człowieka, który jest temu winny. Doktor potrzebuje pomocy radia banmbo”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Seszele i Sussex -1979

I

Rosnące wzdłuż alei drzewa sandragonowe pięły się wysoko w górę ku czystemu tropikalnemu niebu. Ich pomarszczone pnie wrastały głęboko w ziemię, a wystające korzenie wiły się na piaszczystej ścieżce. Koronkowy parasol z liści dawał cień grupie mężczyzn, zasłuchanych w pobrzękiwanie dużych, srebrzystych *boules*.

Bart podszedł bezszelestnie i mężczyźni pochłonięci obserwowaniem położenia kul nie zauważyli jego obecności. „Są dobrzy -pomyślał, patrząc na dwóch agentów zarzucających oszukiwanie w grze jego przyjaciołom z wojska.

W ciągu tych kilku tygodni, kiedy powiadomił ich o zamiarach miejscowych oficerów, przeniknęli do grupy rebeliantów. Zawsze gotowi byli stawiać wszystkim kolejkę czy też wynająć łódź na łowienie ryb. Brano ich za dwóch głupawych Anglików, rozglądających się za kupnem jakiejś posiadłości na wyspach. Ogólny spokój przerwany został nieparlamentarnymi okrzykami rozgorączkowanych graczy.

- Panowie! - zawołał Bart. - Co za język! Pamiętajcie, że to tylko gra.

Odwrócili się w jego stronę.

- Gra! - powiedział ze złością gruby oficer. - *Boules* to nie gra, to... to...

260

- Cały obrzęd - podpowiedział Job, wycierając zakurzoną metalową kulę o spodnie i podając ją oficerowi.

- Właśnie, obrzęd. Tradycją - powiedział tamten triumfalnie. - Francuska tradycja.

- Francuska? - zadrwił King. - Egipcjanie grali już w *boules* pięć tysięcy lat przed Chrystusem.

- *Merde!* - zaklął grubas. - Zawsze wyjeżdżasz ze swoimi historyjkami.

- To się nazywa mieć wyszałcenie - zaśmiał się King. Wszyscy wybuchnęli śmiechem i zajęli swoje pozycje.

- Chcesz zagrać, Bart? - zapytał jeden z oficerów, podnosząc dwie srebrzyste kule.

- Jeszcze nie. Popatrzę przez chwilę, jak gracie wy, eksperci - odpowiedział Bart i usiadł na wystającym korzeniu, opierając się o pień drzewa.

- Nie dałeś rady dziewczynie?! - krzyknął jeden z kumpli. - Starzejesz się.

Bart uśmiechnął się krzywo. Ostatnio żadna z miejscowych dziewcząt nie była w stanie go zadowolić; ich piękne ciała nie dawały mu przyjemności i nie wymazywały z pamięci wspomnień o Laurze. Całując je i kochając się z nimi myślał o smaku warg Laury, a w ich oczach na próżno szukał jej miłości. Zniszczyła jego nienasycony popęd seksualny.

Zostawił aparat Laury w biurze Red versa, mając nadzieję, że przyjdzie tam po niego. Ale tego dnia, gdy przyjechał do Les Cannelles, by otrzymać zwolnienie z pracy społecznej, aparat wciąż leżał na biurku. Dzwonił wielokrotnie do La Retraite, ale odkładał słuchawkę, gdyż to nie Laura odbierała telefon. Nie mógł przestać myśleć o Laurze. Tęsknił boleśnie za nią. Złościło go to i upokorzało jako dowód słabości.

- Czy któryś z was zna Challonera?! - zawołał.

- Dlaczego pytasz?

- To Brytyjczyk, którego śledzimy.

- Challonera? - zdziwił się grubas. - Ten facet przyczynił się do uratowania Aldabry. Tracisz czas na niego. - Chwycił grubymi paluchami *boule* i szybkim ruchem cisnął ją w kulę celowniczą.

- Ale warto zająć się jego córką - zaśmiał się grubiańsko inny. Bart z trudem opanował się, żeby nie rozkwasić mu nosa.

261

- Powinieneś znać tę rodzinę, Bart - mówił tamten dakj. - Ta kobieta, którą załatwiłeś, miała wyjść za mąż za Challonera. - Oficer zarżał radośnie, gdy kula głucho uderzyła w piasek i zatrzymała się tuż obok kuli celowniczej.

I wtedy, w ciągu jednej sekundy, Bart wszystko zrozumiał. Jego przygnębienie jeszcze bardziej się pogłębiło, bo zdał sobie sprawę, że Laura była dla niego stracona.

- Uf - stęknął ciężko Job, rzucając *boule* na piasek. - Mam dość. Wy, chłopaki, jesteście niezmordowani.

- Patrzcie go, jaki ważny - oburzył się grubas.
- Graj dalej! - krzyczeli pozostali. - Teraz twoja kolej. Bawełniana koszulka z namalowaną na niej nadmorską palmą kokosową opięła się ciasno na jego plecach, gdy zamachnął się do rzutu kulą. Bart, wpatrując się w palmę, miał wrażenie, że słyszy trzask ogromnych liści i szept dziewczyny: „Kocham cię”. Job trącił go łokciem.

- Nie słyszysz, co mówię?

Bart, z trudem odrywając się od tych myśli, machinalnie odpowiedział:

- Tak, słyszę.

Job zmarszczył brwi zaniepokojony. Od dwóch tygodni Bart zachowywał się całkiem inaczej niż zwykle. Job wiedział wszystko o tym aroganckim, bezdusznym zabójcy, ale ten nowy Bart był jakiś nieobecny duchem, ponury. Takie zmiany w sposobie bycia mogą okazać się niebezpieczne. Data zamachu została już jednak wyznaczona. Było za późno na wycofanie stąd Bartholomew Har-dena Faulconera.

- Dwudziestego szóstego marca Seszele oficjalnie staną się państwem jednopartyjnym. Zostanie przywrócona konstytucja z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku.

Bart, patrząc na Joba z bezmyślnym wyrazem twarzy, zapytał:

- A co nas to obchodzi?

- Dwudziesty szósty marca to nasz dzień - odpowiedział Job. Bart, nie dając tego po sobie poznać, zadrżał wewnętrznie z emocji.

- Nie rzucajcie kuli celowniczej! Stójcie tam! - wrzasnął Job do graczy.

- A łódź z uzbrojonymi ludźmi? - zapytał Bart.

- Przyplynie za dwa dni. Załoga zatruła się rybami i niemal nie pojawia się na pokładzie.

18 - Głosy na wietrze

273

- Nazwa łodzi?
- „Le Vengeur”, co znaczy „Mściciel”. Przed wejściem na pokład podasz hasło: „Dwadzieścia sześć”.
- Niezbyt oryginalne.
- Masz rację, ale łatwe do zapamiętania. - Job odwrócił się od Barta i przykładając dłoń do ust, krzyknął: - Górą Anglicy! Pokażemy tym Francuzom, jak się gra w *boules*. - Jeszcze raz odwrócił się do Barta: - Pamiętaj, trzymaj się z dala od Jacht Klubu. Nikt nie może zobaczyć cię w pobliżu „Le Vengeur”. To dla ciebie teren zakazany. - Ostro spojrzął na Barta. - Polecenie Topa.
- Nasi żołnierze... - zaczął Bart, ignorując ukrytą w słowach Joba groźbę.
- Są już tutaj od kilku tygodni. Zmieszali się z turystami. Dowództwo także już przybyło. Udują jakąś sektę religijną. - Bart uniósł ze zdziwienia brwi. - Dwudziestego czwartego marca mają spotkanie biblijne na wolnym powietrzu w Anse aux Pins. Będzie to trwało do późna w nocy, z *barbecue* na plaży i śpiewami. Żadnego alkoholu. To sekta abstynentów.
Bart potakiwał głową.
- Twój samochód zepsuje się na drodze w pobliżu Anse aux Pins. Pójdiesz do nich po pomoc, a oni zaproszą cię, byś się do nich przyłączył. Spróbuj się nie upić. Job drgnął, napotykać spojrzenie żółtych, okrutnych oczu Barta. Zaraz po zamachu trzeba będzie rozwiązać z nim umowę. Ten człowiek jest niepewny i niebezpieczny.
- Nie przewidujemy żadnych zmian w planach. Ludzie są dobrze przygotowani i będą na swoich stanowiskach o szóstej rano.
- Opanujemy wyspę około wpół do jedenastej - powiedział Bart. - Nareszcie coś się zacznie dziać w tej dziurze.
- Pamiętaj, zabijać można tylko w razie konieczności. Top planuje bezkrwawy zamach.
- „A niech go cholera” - pomyślał Bart.
- Ldzie nie lubią rządu, który doszedł do władzy, zostawiając za sobą rzekę krwi.
- Jestem żołnierzem, a nie politykiem - rzekł Bart. - Zrobię to, co będzie konieczne.
- Wchodząc do akcji pamiętaj, że potem będziesz miał do czynienia z Topem.

274

- Nie martw się - Bart wstał, otrzepując piasek ze spodni. - Dwudziestego szóstego wyspa będzie nasza - zapewnił beztrósco Joba. - A teraz pozwólcie, partacze, że wam pokażę, jak wygląda prawdziwa męska gra. Job podniósł swoją *boule* i pobiegł za Bartem. Był poważnie zaniepokojony. Bart miał odegrać w zamachu bardzo istotną rolę. Powinien wciągnąć w zasadzkę gwardię prezydencką i zadbać o bezpieczeństwo samego prezydenta.

Dołączając do graczy pomyślał, że zawsze po rozmowie z Bartem ma takie uczucie, jakby groziła im katastrofa. „Nie mogę pozwolić, żeby osobista niechęć do tego faceta przyćmiła mi zdrowy osąd sytuacji”.

- No, Bart - zawołał do niego - pokażemy im, jak Drake grał w kule.

- Drake? - zdziwił się grubas.

- Jeden z naszych wielkich żeglarzy - wyjaśnił mu Job. - Skończył grać w *boules*, a potem rozbił flotę hiszpańską.

- Dał nam cholernie dobry przykład do naśladowania - dodał Bart.

King spojrział na niego i Bart uśmiechnął się. Przykucnął i zamachnął się. Kula poleciała niezwykle wysoko i wylądowała w piasku, kilka centymetrów od kuli celowniczej. Odwrócił się do Kinga, dumny ze swego sukcesu.

- No cóż, Brytyjczycy zwyciężają.

Dwaj agenci grali w *boules* z oficerami i Bartem aż do samego zachodu słońca. Wtedy, pod pozorem, że są umówieni w sprawie oględzin jakiejś działki przy plaży, odeszli wolnym krokiem, sprzecząc się na wesoło na temat drzew sandragonowych.

- Krew smoka - mówił Job, spoglądając na wysokie drzewa. -A może odnosi się to do koloru drzewa?

- Nie. Chodzi o kolor soku, który wydziela się ze ściętego drzewa. Przypomina krew - stwierdził King.

Gdy agenci oddalili się, przyjaciel Barta powiedział:

- Miałem nadzieję, że pójda z nami na lunch.

- Powiedz raczej, że miałeś nadzieję, iż zapłacą za lunch -zadrwił Bart.

- Przydałoby się - przyznał tamten, otwierając butelkę z piwem. - Pobory w wojsku nie są rewelacyjne.

- Poprawią się - pocieszył go grubas, wyciągając rękę po butelkę. - Poczekaj tylko, aż przejmie władzę.

Bart oparł się o pień drzewa. Poczł senność od piwa i upału. Polubił tych oficerów. Takich ludzi rozumiał. Wiedzieli, co to dreszcz emocji przy polowaniu i zabijaniu. To byli jego towarzysze broni.

- A co się stanie, jeśli dojdzie do przewrotu przygotowanego przez innych? - zapytał. Natychmiast wokół zawrzało.

- Czy coś o tym wiesz? Czy coś słyszałeś? - zaczęli go wypytywać zdenerwowani.

- Tak tylko sobie pomyślałem - odrzekł Bart. - Ale jeśli jakaś grupa popierająca wielopartyjny system i sprzyjająca nam dokonałaby takiego przewrotu, to skorzystalibyśmy na tym i w oczach wyspiarzy pozostałibyśmy czyści.

- A co nas obchodzą wyspiarze! - wybuchnął grubas, wpychając pustą butelkę między wystające korzenie. - To nasza wyspa. My nią będziemy rządzić. Nie potrzebujemy pomocy z zewnątrz.

Większość oficerów przytaknęła jego słowom.

- Jestem żołnierzem - powiedział przyjaciel Barta - a nie gryziopiórkiem. Biurko mnie nudzi. To dobre dla cherlaków i słabeuszy. Nie mam nic przeciwko temu, że ktoś inny wykonuje papierkową robotę, dopóki rośnie moje konto.

- Masz rację - zgodził się z nim Bart. - To parszywa robota. Jeśli im się udaje, to i ty korzystasz, a jeśli nie, to twoja pozycja się nie zmienia i zawsze masz czyste ręce. Spojrzeli na niego pytająco.

- A co ty byś zrobił? - zapytał grubas ostrym tonem.

- Ja płynę z prądem - zaśmiał się Bart. - Jestem żołnierzem. Walczę dla tych, którzy podpisują dla mnie czeki. Ale - dodał - gdybym był Seszelczykiem, jak wy, chłopcy, siedziałbym cicho z boku, a potem przyłączyłbym się do zwycięzcy. Z pewnością nie dałbym się zabić dla rządu, który chciałem zmienić.

Grubas mruknął coś pod nosem, przerzucając ciężką kulę z ręki do ręki.

- Nie dałbym się wciągnąć w nudną pracę urzędniczą, w rządzenie krajem - mówił dalej Bart zadowolony z efektu, jaki wywołały jego słowa. - Siedzi się w biurze cały dzień i pół nocy.

276

Wiadomo, co jest grane - mrugnął do nich z lubieżnym uśmiechem. - Kiedy się jest w rządzie, nigdy się nie zadowoli wszystkich. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma pretensje. - Potrząsnął głową i pociągnął duży łyk piwa. - Nie, dziękuję. Jestem zwykłym żołnierzem i lubię takie życie.

Prawie wszyscy podzielali jego opinię.

- No, bracia - powiedział Bart wstając - zagrajmy jeszcze jedną partię. Kto przegra, stawia lunch w Jacht Klubie.

II

Trzy deski surfingowe wpłynęły na niewielką plażę przy granitowym nabrzeżu Round Island. Wiatr wciskał się pod żagle, gdy opadły na piasek, jaskrawe jak skrzydła motyli. Gęsto porośnięta lasem wyspa, znajdująca się w środku Rezerwatu St. Anne Marine, niegdyś siedziba kolonii trędowatych, teraz była popularnym miejscem spotkań w porze lunchu. Zazwyczaj na piasku leżało sporo desek surfingowych, bo młodzi chłopcy mogli tu przyplłynąć z portu jachtowego na Mahe w niecałe pół godziny.

Pierre z dwoma przyjaciółmi zapłacili rachunek za lunch w barze na górze, gdzie dawniej była cela więzienna. Zatrzymali się na chwilę przed niewielkim budynkiem o łukowym sklepieniu. Pierre popatrzył na rozłożyste gałęzie poinsecji, która straciła już swój baldachim z purpurowych kwiatów, a jej podłużne liście fruwały na wietrze.

- Miejmy nadzieję, że wiatr przybierze na sile - odezwał się, obserwując tańczące liście - bo inaczej kto wie, jak długo będziemy wracać na Mahe.

Obiecał Ashleyowi i doktorowi Redversowi, że wróci przed piątą po południu. Mieli zamiar namówić Laurę na wspólne łowienie ryb. Doktor Redvers odwiedzał ją w dalszym ciągu każdego dnia. Stosowane przez niego lekarstwa nie uleczyły Laury, ale przynajmniej zahamowały dalszą depresję.

Pierre obawiał się, że stracił tamtą Laurę, którą znał i kochał. Nie wiedział, jak ma się zachowywać wobec tej nieobecnej myślni dziewczyny. Poprzednim razem, kiedy odwiedził wyspę trędowatych, była z nim również Laura. Wplotła we włosy gałązki pur

purowych kwiatów poinsecji i podskakiwała na grubym kwiecistym dywanie pod tym ognistym drzewem, udając, że jest królową. Pierre spoglądał na przejrzystą zasłonę gałęzi i przypominał sobie, jak się śmiała i ile ciepła było w tym uśmiechu - ale dziś nie ma już kwiatów i nie ma tamtej dziewczyny.

Pierre, odwróciwszy się do przyjaciół, zawołał:

- Ten, który dopłynie ostatni, stawia piwo w Jacht Klubie. Zbiegli schodami prowadzącymi na plażę. Słaby wiatr przynosił ich śmiech do gości siedzących nad kawą w otwartym budynku z dachem pokrytym liśćmi palmowymi, który kiedyś był kaplicą.

Okружили Round Island, a potem uchwycili się mocniej bomów, szykując się do opuszczenia zacisznych wód Rezerwatu Marine i przepłynięcia przez głęboki Cerf Passage, który oddzielał zatokę przy Mahe od wysp w Rezerwacie.

Pierre wsłuchiwał się w plusk wody pod deską i wpatrywał się uważnie w turkusową głębie, przepływając nad rafami koralowymi. W przezroczystej wodzie zobaczył jaskrawe jak płomień egzotyczne ryby, które rozpierchły się na widok płynącego nad nimi drapieżnika.

Surfingowcy zostawili za sobą bezpieczną osłonę wyspy i wypłynęli na głęboką, atramentowoczną wodę. Pierre podniósł miecz i poluzował żółto-czerwony żagiel. Deska nabrała szybkości wchodząc w ślizg i Pierre minął pędem przyjaciela, który właśnie przerzucał żagiel, by nie wpaść na dryfujący pień palmy.

- Do zobaczenia w klubie! - zawołał wesoło. - Uważaj na latające ryby!

Przyjaciel w odpowiedzi podniósł kciuk. Dwa tygodnie wcześniej znalazł się w szpitalu, gdyż latająca ryba grzmotnęła go w plecy, i dlatego teraz wszyscy wystrzegali się spotkania z tymi niezwykłymi stworzeniami.

Pierre uwielbiał takie żeglowanie. Kiedy deska pruła fale, czuł pod stopami potęgę oceanu i siłę wiatru na twarzy. Stapiał się jakby z morskimi żywiołami i przez tę krótką chwilę nie myślał o Laurze.

Gdy wpływał do zatoki, zerknął na zegarek.

„Akurat dość czasu na piwo - uśmiechnął się do siebie. - No i nie ja będę płacił.”

Obejrzał się przez ramię, szukając przyjaciół. Dwa opalizujące purpurowo-zielone żagle właśnie wpływały na spokojne wody zato

278

ki. Pierre spuścił miecz, ściągnął żagiel i opłynął maleńką wyspę Houdol. Gdy znalazł się na płytkiej wodzie u wejścia do Jacht Klubu, uwagę jego przyciągnął głośny wybuch śmiechu dobiegający z tarasu.

Radość zgasła w jego oczach, które nagle zrobiły się ciemne i ponure na widok mężczyzny o mocno kręconych blond włosach. Rozpoznał też ludzi towarzyszących Bartholomew Faulconerowi. W pewnych kręgach mówiono o nich, że to zdrajcy; szeptało po kryjomu, że ściągają narkotyki z wyspy i wysyłają je do Afryki.

Pierre machinalnie zwijał żagiel. Myślał teraz tylko o Barcie. Widział Faulconera zaledwie raz od czasu rozprawy sądowej i uświadomił sobie, że jego złość i niechęć do tego człowieka wcale nie osłabły.

Wziąwszy deskę pod pachę, chwycił zwinięty żagiel i bom i pobiegł lekko w kierunku moka'a. Ułożył deskę na specjalnych podpórkach przy kabłąku bezpieczeństwa i umocował ją paskami. Jego przyjaciele już wyciągali swoje deski z wody.

- Zobaczmy się w klubie! - zawołał do nich. - Umieram z pragnienia.

- Zamawiamy piwo seybrew - odrzyknęli. - Dzisiaj stawia zwycięzca.

Pierre potrząsnął przecząco głową i założywszy ciemne okulary poszedł na taras. Jeden z oficerów popatrzył na niego przez chwilę i odwrócił się z powrotem do Barta.

- Starzejesz się, Bart - zażartował gruby oficer. - Mówią, że kucharka na „Le Vengeur” to niezła cizia.

- Brytyjka i blondynka - uzupełnił jego przyjaciel. Ruchami rąk demonstrując jej krągłe kształty, usiłował namówić Barta do wejścia na pokład jachtu.

- I pewnie jest chora - powiedział Bart. - Wszyscy zatruli się jakimś żarciem.

- To było trzy dni temu. A teraz już na pewno tęsknią do towarzystwa - powiedział grubas. - Jesteś nam coś winien, Bart. Zabraliśmy cię na francuski katamaran.

Pamiętasz żonę kapitana?

Bart ryknął śmiechem. Wypił już dość dużo, potajemnie świętując datę zamachu.

Pierre był zawiedziony. Ci faceci byli po prostu pijani i gadali głupstwa.

- Jeśli nie pójdziesz z nami i nie przekonasz Brytyjczyków, żeby nas zaprosili na pokład, to pójdziemy tam sami - zagroził oficer. - Na pewno mają dobrą trawkę.
- Coś ty! - zauważył drugi. - Jacht motorowy tych rozmiarów! Mają kokę i dużo heroiny. Na tej łodzi jest forsa. Nie tracą czasu na tanie narkotyki.
- No to idziemy - rzekł grubas, odsuwając krzesło.
- Nie, poczekajcie - wybełkotał Bart. - Napijmy się jeszcze po jednym.
- Napijemy się na „Le Vengeur” - z uporem powiedzieli oficerowie i wstali z krzesel.

Bart opróżnił szklankę i oblizał wargi. Targając krótko przystrzyżoną brodę, usiłował zebrać myśli. Alkohol zamroczył jego umysł i Bart nie mógł jakoś znaleźć wyjścia z tej sytuacji.

- Poczekajcie! - zawołał, gdy oficerowie przeskoczyli już kamienną balustradę i zamierzali iść na molo. - Dołączę do was za chwilę. - Pobiegnął do toalety. Musi wsadzić głowę pod zimną wodę, nim zadzwoni do Joba i Kinga.

Pierre, widząc, że Bart odłączył się od grupy, poszedł za nim. Bart pochylił się nad umywalką i, wstrzymując oddech, wsadził głowę pod kran z zimną wodą. Pierre miał wielką ochotę przytrzymać go w tej pozycji, żeby się utopił.

Pierre wśliznął się nie zauważony do kabiny i zamknął za sobą drzwi. Bart wyprostował się i mruzczał coś 'pod nosem. Pierre odczekał, aż ustanie dźwięk oddawanego moczu, a potem ostrożnie wyrzwał na zewnątrz. W łazience nie było już nikogo. Skierował się do wyjścia, czyniąc sobie wyrzuty za taką dziecinadę.
„Zachowuję się jak smarkacz bawiący się w podchody.”

Nagle zamarł w bezruchu. Bart stał pod ścianą, patrząc na molo, gdzie oficerowie wsiadali właśnie do jednej z łódek należących do Rezerwatu Marine. Z jego włosów ściekała woda do słuchawki telefonicznej, którą przyciskał do ucha.

Bart zachnął się, słysząc sekretarkę automatyczną Joba. „Cholera, kiedy ich potrzebuję, to właśnie wyszli z domu”.

- Jestem w Jacht Klubie z naszymi przyjaciółmi - zaczął szybko mówić w obawie, że zanim zdąży przekazać wszystko, zniecierpliwieni oficerowie wyślą kogoś po niego. - Właśnie wybierają się w odwiedziny na „Le Vengeur”. Spodziewają się tam znaleźć kokę

280

i heroinę. Przyjeżdżajcie i dołączcie do nas. Jest teraz dwadzieścia sześć minut po piątej. Dwadzieścia sześć. - Bart odwiesił pospiesznie słuchawkę.

Pierre cofnął się gwałtownie do toalety, udając, że rozpina suwak. Bart rozejrzał się po pustym korytarzu, wzruszył ramionami i wyszedł. ,

W panującej dokoła ciszy nie słyhać już było jego kroków. Pierre upychał bawełnianą koszulę w szorty. Musi się pospieszyć, jeśli chce

dołączyć do Ashleya i Redversa i razem z nimi wybrać się na ryby. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze piątej, a przecież Bart z naciskiem powtórzył, że jest dwadzieścia sześć minut po tej godzinie. _ . .

Pierre zmarszczył czoło, zagryzając wargi. Ci oficerowie i Bart szykują coś dziwnego. Być może wcale nie udają się na „Le Vengeur” ot tak, przypadkiem, żeby wyłudzić niewielką ilość narkotyków. Może zajmują się handlem narkotykami, a jacht przywiózł nową dostawę.

Pierre wyjął z portmonetki parę monet, wrzucił je do automatu telefonicznego i wykrecił numer. W czasie rozmowy zniżył głos Człowiek, do którego dzwonił, był jednym z najbliższych przyjaciół jego ojca, a teraz zajmował wysokie stanowisko w nowym rządzie. Odechce ci się śmiać, Bartholomew Faulconerze - pomyślał Pierre Idąc korytarzem na taras. - Chciałbym zobaczyć twoją minę, kiedy policja i specjalny oddział wojskowy wpadną na jacht i zrobią rewizję w poszukiwaniu narkotyków” . . .

- Hej! - zawołał do przyjaciół, którzy nieśli szklanki i butelki do stolika. - Zjedzmy coś. Jestem głodny.

- Jadłeś dopiero co lunch, a poza tym umawialiśmy się tylko na piwo.

Pierre roześmiał się:

- Nie bójcie się, to ja płacę.

- W porządku, no to zamawiajmy coś.

Pierre przytrzymał kawałek kury, który ześlizgiwał się z testowego sandwicza, i jadł zamyślony. Zatoka była spokojna i cicha. Powierzchnia wody lśniła w ostrym blasku słońca, a odbijające się w niej łodzie wyglądały jeszcze piękniej niż zwykle.

Łódka, ukradzioną przez Barta i oficerów, z Rezerwatu Marine, podpłynęła do rufy „Le Vengeur”. Jacht robił wrażenie opuszczonego.

Pierre patrzył z zainteresowaniem, jak krępy, rudowłosy mężczyzna, który pojawił się na pokładzie, nie chciał ich wpuścić na jacht. W końcu pozwolił wejść samemu Bartowi, a potem, po długich targach, zaproszono na pokład także oficerów. Bart stał przez chwilę, patrząc w kierunku Jacht Klubu. Pierre miał wrażenie, że jego zimne oczy skierowane są wprost na niego.

- Dobra - odezwał się, wycierając ręce w papierową serwetkę i zwijając ją w kulkę. - Muszę już iść. Wybieram się na ryby...

Urwał, gdyż w tym momencie dostrzegł z zadowoleniem grupę umundurowanych żołnierzy i policjantów seszelskich wchodzących na molo. Ich buty dudniły głucho na deskach. Nie zwracali uwagi na zdziwione spojrzenia i szepty członków Klubu, obok których przemaszerowali.

III

Jaskrawe słońce świeciło przez luk wprost na włosy kapitana. Usiadł na schodkach pijąc kawę i przyglądał się oficerom siedzącym przy stole razem z Bartem.

Zaniepokojony nieoczekiwaną wizytą miał nadzieję, że ten żółtowłosy łącznik wkrótce opuści jacht. Nie podobało mu się, że musi okazywać gościnność ludziom, których być może zmuszony będzie zabić.

Grubas przysunął się blisko do kucharki. Bart z aprobatą obserwował, jak bez trudu trzymała na dystans tego faceta i broniła się przed jego grubiańskimi zalotami z obojętnością i wprawą burdelmamy. Postawiła przed nimi kubki z parującą kawą i powiedziała, że jest to statek abstynencki.

- Abstynenckie statki toną - wybuchnął oficer. - Mężczyzna potrzebuje się napić. Na wszystkich statkach się pije. Wszyscy ludzie piją.

- Ale nie na tym statku, kolego, i nie moi ludzie - powiedział kapitan, wrzucając kostkę cukru do kubka.

Oficer potoczył pijanym wzrokiem i zatrzymał go na Barcie. Jeśli „Le Yengeur” nie miał alkoholu na pokładzie, to nie było tu

271

zapewne ani koki, ani heroiny. Nieznacznym ruchem głowy wskazał klapę luku, co miało znaczyć, że czas opuścić tę łajbę.

Bart całkowicie go zignorował, wpatrując się w dziewczynę. Popijał gorącą kawę ze wzrokiem utkwionym w niej ponad unoszącą się z kubka parą. Miał wielką ochotę zanurzyć ręce w blond włosy zaplecione w warkocze i zobaczyć, jak rozpuszczone okrywają jedwabistym płaszczem jej ramiona, tak jak zrobiła to Laura. Chciał, żeby to była Laura. Oczy dziewczyny, które przesłaniała mu para, wydały mu się marzycielskie jak oczy Laury. Zachłysnął się, gdyż kawa oparzyła mu wargi i język.

Dziewczyna spojrzała na niego. zaproponowała mu szklanę wody, ale jego serce usłyszało czule słowa: „Kocham cię”.

Bart otrząsnął się. Nie wolno mu kochać Laury. Miłość jest dobra dla głupców. W życiu żołnierza nie ma miejsca na miłość. Patrząc jednak na dziewczynę i przyjmując proponowaną wodę zrozumiał, że powinien znaleźć sposób na skontaktowanie się z Laurą. Mógłby się przed nią wytłumaczyć. Po raz pierwszy w życiu był gotów prosić kogoś o przebaczenie. Jeszcze się bał i buntował i nie chciał przyznać sam przed sobą, że zakochał się w Laurze, ale wiedział, że jej potrzebuje. Nagle w kajucie zrobiło się ciemno. Kapitan odwrócił się i spojrzał do góry, gdzie zaskoczony ujrzał parę czarnych, doskonale wyglansowanych butów i niebieski mundur seszelskiego policjanta, zasłaniającego całkowicie światło. Kapitan zwrócił się do Barta z chłodnym opanowaniem:

- Czy to również twoi przyjaciele? - Oddał kubek kucharce i wyszedł na pokład.

W kajucie zapadła cisza, którą przerywał szmer rozmowy prowadzonej w języku francuskim. Siedzieli w milczeniu wokół stołu, nasłuchując odgłosów z pokładu.

Bart wyteżył słuch, ale nie mógł rozróżnić słów wypowiedzianych niezbyt głośno.

„Pozbądź się ich - błagał w myśli kapitana. - Nie pozwól im zostać na łodzi”. Nad ich głowami rozległ się stukot ciężkich butów. Policzywszy je w milczeniu, zbladł.

Stanowili siłę, to nie było kilku wścibskich policjantów. Szmer głosów zmienił się we wrzawę. Usłyszał gniewny głos kapitana.

- *Il a des ennuis* - mruknął grubas do kolegów. - Nie życzę sobie kłopotów, kiedy mam wolny dzień - powiedział do Barta - Wychodźmy stąd.

Zanim jednak zdążył wstać, na schodkach ukazał się schodzący tyłem kapitan, a tuż za nim policjanci i żołnierze.

- Co się dzieje? - zapytał Bart, nie rozpoznając żadnego z tych ludzi.

- Jakiś uczciwy obywatel usłyszał, że twoi przyjaciele wybierają się na „Le Vengeur” po narkotyki. Narkotyki! - prychnął z oburzeniem kapitan. - Nigdy nie dotknąłem tego plugastwa.

Cofając się, by przepuścić do kabiny ostatniego z policjantów, trącił kubek z kawą. Czarny płyn rozlał się po blacie stołu i zaczął skapywać na niebieski dywan.

Dziewczyna zadrzała. Rozlewająca się na podłodze plama przypominała kształtem krwawiące serce.

- Nikomu nie wolno opuścić jachtu, dopóki nie skończymy rewizji - oznajmił oficer policji, kierując swoich ludzi do pozostałych kajut i kuchni. Nie zwracał uwagi na groźby i obelgi miotane pod jego adresem przez kompanów Barta.

- Przekłęta policja - mrucał grubas. - Nie potrafią być uprzejmi. A wszystko przez to, że byli szkoleni w Anglii i wrócili stamtąd z przekonaniem, że są lepsi od nas. Policjant spojrzał na niego i ustawił jednego żołnierza przy wyjściu na górę, a drugiego w drzwiach prowadzących do maszynowni.

Kapitan przyglądał się ludziom przeszukującym jacht, a gdy uchwycił spojrzenie Barta, odpowiedział na jego nieme pytanie:

- Mają jakiś papier upoważniający ich do rewizji.

Bart pobladł, choć pozornie zachował całkowity spokój. Miał nadzieję, że dokładna rewizja zostanie odłożona do następnego dnia, co pozwoliłoby im wyładować broń w nocy.

- Ci ludzie - mówił dalej kapitan, wskazując na dwóch żołnierzy pilnujących drzwi - są chyba z oddziałów specjalnych wspomagających policję w akcjach przeciwnarkotykowych.

Kiedy przysunął się bliżej do Barta, żołnierze natychmiast położyli palce na spustach karabinów. Kapitan utkwiał w Barcie ostry wzrok:

- Nici ze świętowania dwudziestego szóstego, a wszystko dlatego, że tobie i twoim przyjaciółom zachciało się przejąć inicjatywę - szepnął.

Bart nie próbował się bronić. Słuchał stukotów i hałasu, jaki robili przeszukujący dokładnie łódź policjanci.

273

Stojący na kuchence czajnik nagle zagwizdał i dziewczyna poderwała się z ławki, ale kiedy żołnierz pogroził jej karabinem, usiadła z powrotem. Bart zgrzytnął tylko zębami, ale w głowie zadźwięczał mu jakby ostry dzwonek alarmowy.

- Pozwól jej wyłączyć ten cholerny czajnik! - krzyknął grubas, wściekły, że traktują ich jak zwykłych kryminalistów. - Można od tego oszaleć.

Żołnierz ustąpił i pozwolił dziewczynie przejść do kuchenki. Kapitan, z rękoma opartymi na biodrach, pomyślał, że nie jest to zwykła rewizja, za długo trwa.

Dziewczyna wróciła i usiadła w pobliżu Barta i kapitana. Złożyła od niechcienia ręce pod stołem, ale wyciągnęła je natychmiast na ledwie dostrzegalny znak głową kapitana.

Z jednej z kabin doszły ich podniesione głosy w języku kreolskim. Przyjaciele Barta zamarli, jak gdyby ktoś przyłożył im lufy karabinów do żeber. Żołnierz pilnujący drzwi prowadzących do innych kajut podbiegł do kapitana i stanął przed nim z bronią gotową do strzału.

- A więc to tak - powiedział starszy oficer, wchodząc do kabiny. - Szmuglujecie narkotyki? - Zaśmiał się ponuro. - Wasze narkotyki to broń dla wywrotowców. - Zerwał zatłuszczony papier z karabinu AK-47 i rzucił go na stół. - Myśleliście, że jesteście tacy mądrzy, bo macie podwójne dno w kojach? - Dołożył lekki karabin maszynowy. - Zapomnieliście, że sami budujemy na wyspach łódzie. Moi ludzie znajdują się na nich. Spójrzcie na to - wskazał ręką żołnierza, który wszedł za nim do kabiny. - Wyrzutnia rakietowa RPG-7. - Taśmy i pudełka z nabojami wysliznęły się z rąk żołnierza i z łomotem gruchnęły o podłogę. - Rewolucja! Czy to przywozicie na nasze wyspy? - pytał wzburzony policjant.

Grubas zerknął na Barta, czując bulgotanie piwa w brzuchu:

- Wiedziałeś o tym - szepnął. - Wiedziałeś. - Zrozumiał, że zostali zdradzeni.

Żołnierz wyszedł i po chwili wrócił z pełnym nareczem jajowatych granatów i pudełek z zapalnikami.

- Pragniecie śmierci na naszych wyspach? - pytał dalej policjant, wpatrując się w napisy cyrylicą na drewnianych pudełkach. - I w dodatku znaleźli się zdrajcy w naszej armii, którzy mieli wam pomóc.

Bart otworzył usta, by coś powiedzieć, wyjaśnić, że jego przyjaciele są niewinni, ale policjant wyciągnął rękę, wskazując kapitana, i rozkazał:

- Brać go!

- Nie! - krzyknęła dziewczyna.

Bart zamarł. To był głos Laury, kiedy krzyząc uciekała od niego z Vallee de Mai. To były jej oczy - niebieskie, pełne łez i strachu.

- Nie! Zostawcie go! - krzyczała.

Spod stołu wyciągnęła ciężkie parabellum Heckler & Koch 9 mm i, ściskając go gorączkowo w ręce, odbezpieczyła, trzymając palec na spuście. Po kilku sekundach, które wydały się Bartowi wiecznością, żołnierz stojący przy schodach uniósł swój karabin.

- Stój! - krzyknął Bart rzucając się, by osłonić dziewczynę, wyszarpując jej z rąk pistolet. - Nie strzelaj!

Huk AK-47 zagłuszył jego słowa.

Bart zwałił się na dziewczynę, jak ogłuszony żelazną maczugą. Kula przeszła mu ramię, rozrywając żyły i arterie. Przebiła górną krawędź płuc, z których trysnęła na ubranie galaretowata maź, a następnie przeszła przez gardło dziewczyny, przerywając jej tętnicę szyjną, i utknęła w brzuchu żołnierza, który pilnował wejścia do maszynowni.

- Ty bydlaku! - wyszeptał kapitan i odepchnąwszy policjanta, wydobył zwiotczałe ciało dziewczyny spod Barta. Patrzyła na niego niewidzącymi już oczyma.

Jasnoróżowa krew z jej szyi lała się na dywan, pokrywając plamę z kawy.

Krzyk zgiętego wespół żołnierza nappełnił kabinę. Palcami umaza-nymi krwią przytrzymał zraniony brzuch.

Bart leżał na dywanie z głową we krwi dziewczyny. Czuł ostry, znany zapach: zapach wojny, zapach, który kochał.

Jego niedawni przyjaciele przyglądali się bezsilnie; dwóch uzbrojonych żołnierzy nie pozwalało im nawet ruszyć się z miejsca. Policjant ostrym tonem wydał jakąś komendę i jego ludzie pobiegli ją wykonać. Bart nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Majaczył, kiedy dwaj żołnierze nachylili się i podnieśli go. A gdy usiłował uśmiechnąć się do swoich kumpli, na jego wargach ukazały się różowe bąbelki, delikatne jak krople rosy. Grubas na widok tej różowej piany powiedział cicho, ocierając ręką oczy:

275

- *Poumon*. Dostał w płuca.

Przyjaciel Barta pokiwał głową. Słowa grubasa były jak wyrok śmierci.

Bartholomew Faulconer, jego przyjaciel i zdrajca, umrze wkrótce.

Bart przymknął oczy od rażącego jaskrawego światła, gdy żołnierze w pośpiechu nieśli go po pokładzie. Słyszał skrzekliwe piski mew, ale nie miał siły na nie spojrzeć. Od palącego powieki słońca przed oczyma wirowały mu czerwone i złote

kręgi. Spróbował podnieść rękę, by osłonić twarz, ale leżała bezwładna u jego boku, ciężka jak żelazna sztaba.

Słyszał głośnie okrzyki i nawoływania, gdy kuter uderzył o molo i wyczuwał, że ludzie są czymś podekscytowani. Zastanowił się, z czego tak się cieszą, i wtedy przypomniał sobie: przecież Top przygotowywał przewrót, widocznie się udał. Z wysiłkiem otworzył oczy. Był bohaterem. Chciał zobaczyć radość na ich twarzach. Zmarszczył się, gdy ciemnowłosy młody mężczyzna przepchnął się między ludźmi i nachylił się nad mm. Znał tę twarz.

- Pamiętaj, to za Nicole - szepnął tamten, zbliżając usta do ucha Barta. - Za Nicole Daumier.

Pierre odsunął się, gdy żołnierze, torując sobie drogę w tłumie, ponieśli Barta dalej. Nad górną wargą Pierre'a widać było ślad krwi, którą pobrudził się, dotknąwszy włosów Barta.

Jeden z żołnierzy zaklął, gdy w ramię wbił mu się kolec z długich gałęzi bungewilli.

Pierre poszedł krętą ścieżką, znaczoną krwią Barta. Patrzył, jak żołnierze układają go na tylnym siedzeniu policyjnego wozu.

Czerwono-zielone proporce w barwach Zjednoczonej Partii Ludowej Seszeli powiewały na tle lazurowego nieba. Powieki Barta opadły, a z nosa pociekła krew i zmieszała się z różową pianą na ustach. Ze zwieszoną bezwładnie na bok głową Bart spojrzał w błękit nieba. To był kolor oczu Laury. Promieniująca z nich miłość ogrzała go, dodała otuchy. Uśmiechnął się.

Żołnierz siedzący z tyłu wychylił się przez okno i powiedział:

- Umarł. Ten zdrajca jeszcze się uśmiecha.

Pierre cofnął się. Nienawidził tego człowieka, który zabił Nicole, ale nie chciał spowodować jego śmierci. Spoglądając na martwego Barta, odczuł głęboki smutek i litość dla niego.

Stał na zwirowanym dziedzińcu, patrząc za odjeżdżającym wozem policyjnym, dopóki nie zniknął mu z oczu, a potem poszedł powoli do moke'a i opuścił tereny klubu.

IV

Cook kroczyła uroczyście przez trawnik w La Retraite, niosąc przed sobą tacę z herbatą i świeżym sokiem cytrynowym. Ashley wstał, by jej pomóc, ale pomachała mu ręką, że nie trzeba. Zdmuchnęła liście i gałązki ze stołu ustawionego w cieniu starego drzewa rózanego i z łomotem postawiła na nim tacę. Trzepnęła serwetą w żółtą osę latającą nad piknikowym koszykiem.

- Uwaga, one mają ostre żądła - ostrzegł ją doktor Redvers, gdy rozdrażniona osa zabzyczała mu koło twarzy.

Ashley, słysząc nadlatującą osę, zażartował:

- Pozwól jej skosztować ciasta, Cook. Może wtedy zostawi nas w spokoju.

Cook owinęła szczelnie koszyk serwetką i odrzekła:

- Nie życzę sobie żadnych os ani much na moim jedzeniu. Ashley mrugnął do Redversa, który żartobliwie rozłożył ręce.

- A gdzie jest Pierre? - gderła Cook. - Zaraz będzie za późno na ryby i wszystko, co przygotowałam, zepsuje się.

Postawiła dzbanek z sokiem przed Laurą, która siedziała wpatrzona w morze i nie brała udziału w rozmowie.

- Wypij - powiedziała do niej Cook z rękoma wspartymi na biodrach. - To przywróci ci rumieńce na policzki. - Laura wypija posłusznie jak dziecko. - O, właśnie nadchodzi. - Cook napełniła herbatą jeszcze jedną filiżankę i postawiła ją na drugim końcu stołu dla Pierre'a.

- Przepraszam! - zawołał z daleka, przeskakując stopnie. - Zatrzymano mnie w klubie.

- Piwo czy blondynki? - zażartował Redvers, pijąc herbatę.

- Blondyn - odrzekł Pierre, odsuwając krzesło. - Mężczyzna o blond włosach. - Potrącił stół, siadając z rozmachem na krześle.

- Co takiego?! - zawołał Ashley.

Pierre wylał herbatę ze spodka na trawnik i dopiero wtedy odpowiedział:

288

- Były pewne problemy w Jacht Klubie. Policja zrobiła rewizję na jachcie „Le Vengeur”.

- Na tym nowym osiemnastometrowym jachcie, który przybył zaledwie kilka dni temu? - zdziwił się Ashley.

- Widziałem go wczoraj - wtrącił Redvers. - Ma piękną linię. Dlaczego zrobiono na nim rewizję?

- Szukali narkotyków, a znaleźli skrzynki z amunicją, karabiny i granaty.

- Skąd o tym wiesz? - pytał Ashley, podnosząc filiżankę do ust.

- Troje ludzi postrzelono na jachcie. Dowiedziałem się o tym od żołnierzy, którzy mieli zawieźć jednego z nich do szpitala.

- Czy jest ciężko ranny? - zapytał Redvers.

- Raczej był - poprawił go Pierre. - Umarł w wozie policyjnym. - Spojrzał na Laurę i Ashleya, zanim przystąpił do dalszej relacji. Nie chciał przysparzać cierpień Ashleyowi, przypominając mu o zabójcy Nicole. Od powrotu z Aldabry, dzień po próbie samobójczej Laury, Ashley prawie nie rozstawał się z córką. Robił wrażenie człowieka całkiem załamane. - To był Bartholomew Faulconer. Ashley odstawił filiżankę na spodek.

- Syn doktora Faulconera? Ten, który zabił Nicole? Redvers poprawił się w krześle i zaczął szukać swojej fajki.

Teraz dopiero stała się dla niego jasna sprawa Bartholomew Faulconera i Nicole Daumier. Gdy przeglądał papiery Barta w Les Cannelles, zauważył nazwisko „Daumier”, ale nie łączył tego z rodziną Challonerów. Nie wspomnieli oni nazwiska Nicole, przywożąc Laurę do St. Francis.

- Samo przeznaczenie karze tych, którzy uniknęli sprawiedliwości ludzkiej - powiedział sentencjonalnie Ashley i ujął rękę Laury. Odpowiedziała mu lekkim uściskiem palców. Spojrzał na nią zdziwiony. Słuchała tej rozmowy z wielkim napięciem.

- Taki też koniec spotkał Barta Hardena - rzekł Redvers, ssąc pustą fajkę. Ashley skrzywił się czując, że paznokcie Laury wbijają mu się w dłoń. Wpatrując się w Redversa, drżącymi wargami szepnęła: - Bart Harden. Czy naprawdę nie żyje?

278 - Obły na wietrze

289

Pierre przytaknął głową.

Cook, zaskoczona, obserwowała zmianę, jaka zachodziła w Laurze. Znikł gdzieś nieobecny wzrok, głos jej stał się silniejszy. Cook miała w ręku serwetę do herbaty. „To prawda - pomyślała - co ludzie mówili w Les Cannelles, to prawda, ona zakochała się w tym Barcie. Nie chciałam w to wierzyć, ale to prawda.” Zacisnęła tak mocno w ręku serwetę, jakby chciała owinać ją wokół szyi Barta.

- Harden? - nie rozumiał Ashley.

- Harden... Faulconer... to ten sam człowiek - wyjaśnił Redvers, zwracając się do Ashleya. - Sąd skazał Faulconera na pracę społeczną w szpitalu. Bart poprosił kierującego szpitalem lekarza, aby pozwolił mu używać nazwiska Harden z powodu piętna, jakie ciążyło na jego pierwszym nazwisku.

Laura nie słuchała już tych wyjaśnień. Czuła się uwolniona. Nie utraci już ani miłości, ani szacunku Ashleya. On nigdy się nie dowie, że kochała Barta Hardena. Odsunęła krzesło, ku zdziwieniu mężczyzn objęła Cook i oznajmiła:

- Już za późno na łowienie ryb, tatusiu, ale czy zgodzisz się, żebyśmy z Pierre'em wzięli łódź i trochę popływali?

Ashley skinął głową przyzwalająco, zaskoczony zmianą w zachowaniu córki.

- Obiecujemy, że zjemy wszystko, co przygotowałaś - powiedziała Laura, uwalniając zachwyconą Cook z mocnych objęć i podnosząc koszyk.

Pierre, wstając w pośpiechu, by dołączyć do Laury, uderzył się o stół w kostkę u nogi.

- Niezdara - zaśmiała się Laura. - No, idziemy.

- Nie wracajcie zbyt późno! - zawołał za nimi Ashley. - Pamiętajcie, że Emma ma dzwonić.

Laura zatrzymała się i, podając koszyk Pierre'owi, powiedziała:

- Za chwilę przyjdę do ciebie do łodzi - odwróciła się i pobiegła do domu. - Muszę już teraz porozmawiać z ciocią Emmą - zawołała, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Ashley popatrzył za Pierre'em odchodzącym w kierunku mola

i pokręcił głową:

- Niech mi pan to wyjaśni, doktorze.

279

- Teraz wszystko jest już jasne. Laura spotkała Barta w Les Cannelles. Kobiety uważały go za bardzo przystojnego i łatwo ulegały jego urokowi. Mogę zrozumieć i wyobrazić sobie, że Laura była nim zafascynowana. A gdy się w nim zakochała, знаła go tylko pod nazwiskiem Harden.

- Zakochała się! - wykrzyknął Ashley. - Zakochała! Dlaczego pan jej nie ostrzegł, że to Faulconer?

Redvers uśmiechnął się z wdzięcznością do Cook, która naląła mu herbatę do filiżanki, strzepnęła osę siedzącą na szklance soku, który piła Laura, i odeszła od

stołu. Nie musiała słuchać wyjaśnień doktora. Wiedziała, że to ten łajdak Harden wyrządził krzywdę Laurze, i szczęśliwa była, że już nie żyje.

- W czasie weekendów bywałem gdzie indziej. A oni wtedy się spotykali. Laura chciała nam pomagać właśnie w weekendy.

- Rzeczywiście tak było - potwierdził Ashley, targając włosy.

Siedzieli przez czas jakiś w milczeniu i rozmyślali nad komplikacjami wynikłymi ze związku Laury z Bartem Hardenem. Redvers postukiwał fajką o krawędź stołu.

- Teraz rozumiem - rzekł. - Ten weekend, kiedy ona była na Praslin.

Ashley czekał, co doktor powie dalej.

- W czasie tego weekendu Harden był nieobecny w Les Cannelles z powodu jakiejś choroby. Zapewne spotkali się z Laurą na Praslin. Możliwe, że umówili się wcześniej.

- Laura nigdy by nie skłamała - zaprotestował Ashley. - Spędzała ten weekend z przyjaciółką.

- Kiedy w grę wchodzi hormony, kłamstwo przychodzi młodym bardzo łatwo - odrzekł Redvers. - A silny popęd seksualny jest często mylony z miłością.

Mały ptaszek kardynał sfrunął na stół i rozglądał się za okruszynkami. Ashley zrozumiał, że jego córka jest już naprawdę kobietą.

- Tak... - mruknął Redvers. - Uwierzyła, że go kocha, a potem dowiedziała się, że nazywa się Faulconer.

- Ten szok był wystarczającym powodem, by chciała popełnić samobójstwo - powiedział Ashley.

- Może nie. - Ashley chciał już zaprotestować, ale Redvers mówił dalej: - Myślę, że był jej kochankiem. Przypuszczam, że oddała mu się całkowicie.

Ashley nie miał ochoty słuchać Redversa. Laura była jego ukochaną córeczką. Nie mogła mieć żadnego romansu, a szczególnie tak potajemnie.

- Miłość jest bardzo ważna dla Laury - kontynuował Redvers. - Ponieważ oddała się całkowicie Bartowi, nie mogła się pogodzić z tym, czego się o nim dowiedziała. I dlatego posłużyła się ostrzem żyletki.

Ashley milczał. Szanował Redversa, ale trudno mu było zaakceptować takie wyjaśnienie.

- Zawsze mi się zwierzała - odezwał się w końcu cicho, krusząc herbatnik dla kardynała.

- Jako mała dziewczynka - zgodził się Redvers. - Ale teraz jest już kobietą. Będzie miała ukryte marzenia i myśli, o których nigdy nie powie na głos.

- Czy pan sądzi, że nie opowie nawet o tym romansie? O miłości, która omal jej nie zabiła? - zapytał Ashley.

Redvers rozumiał, jak niełatwo jest ojcom pogodzić się z dojrzałością seksualną córek, odpowiedział więc ze współczuciem:

- Być może opowie o tym kiedyś, ale proszę jej nie zmuszać do wyznań.

Ashley milczał. Rozdrobił w dłoni okruchy i wyciągnął rękę do kardynała.

- Proszę spróbować zrozumieć. Laura oszukała pana nieroz-myślnie. Zachowała się jak kobieta. '

- Dziękuję panu - odrzekł z powagą Ashley. Oparł się mocno o stół i wstał. Kardynał zaćwierkał i odfrunął z trzepotem czerwonych skrzydełek. - Słońce chowa się za Silhouette. Pora na whisky.

Redvers spojrział w kierunku garbatej góry, niewyraźnej w szarym zmierzchu, i rzekł:

- Dobry pomysł.

- Napijmy się na molo. Pójdę po butelkę - rzekł Ashley i zawracając w kierunku domu, dodał: - Zobaczę, czy Laura skończyła rozmowę z Emmą. Nakłonię ją, żeby szybciej poszła do łódki. Ci młodzi będą mieli o czym ze sobą gadać przez wiele godzin.

Redvers uśmiechnął się. Rozumiał, że Ashley niecierpliwie oczekuje, kiedy Laura całkowicie powróci do niego. Musi przekonać się, że jej depresja minęła bezpowrotnie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Epilog

I

Stara pręgowana kotka przymknęła z rozkoszy oczy i wczepiła się pazurami w gruby materiał peleryny Emmy, która drapała ją za uchem, słysząc jej radosne pomrukiwania.

- Ty bezwstydnico - mówiła do niej Emma. - Widziałam, jak wymachując ogonem szwendałaś się po lesie. Czy nie rozumiesz, że jesteś już za stara i wcale nieponętna dla kocurów?

Kotka ocierała się łebkiem o ramię Emmy.

- Ty przynajmniej miałaś kociaki - Emma pogłaskała podbródek kotki, która wyciągnęła szyję i znowu rozkosznie mruczała.

- Szczęściara z ciebie. Ja mogłam się cieszyć jedynie cudzym dzieckiem. Mam tylko Laurę.

Przypomniawszy sobie o Laurze, Emma przestała pieścić kotkę i, pochyliwszy się nad stołem, wzięła w ręce kryształową kulę, z której zsunęła ciemny aksamitny pokrowiec.

Kotka wyprężyła się i musnęła wąsami filiżankę herbaty z byliny pospolitej, którą Emma podniosła do ust. Podsunęła ją bliżej do kociego pyszczka i uśmiechnęła się widząc, jak kotka cofa się przed silnym aromatem ziół.

- Ty nie potrzebujesz pomocy ziół, żeby zobaczyć duchy -powiedziała, ale kotka nie zwracała już na nią uwagi, zajęta czyszczeniem swoich wąsów.

Emma zbliżyła rękę do kryształowej kuli, nieledwie wyczuwając inne ręce, które dotykały tego zimnego szkła w poprzednich stuleciach. Pochyliła się nad kulą. We wnętrzu kuli zawirowało i pocie

mniało jak od unoszącej się nad bagnem mgły. Kotka przerwała swoją toaletę i patrzyła szeroko otwartymi cytrynowożółtymi oczyma.

W kuli zamajaczyła głowa o krótko ostrzyżonych blond włosach. Emma zamarła i wstrzymała oddech, gdy krew zmieniła kolor włosów mężczyzny z oranżu sewilskiego na ciemnoczerwony. Aż zamgliły się jej oczy, gdy wyteżyła wzrok, żeby rozpoznać twarz. „To musi być ten blondyn” - pomyślała.

Nagle spoza skrwawionych włosów dostrzegła parę ciemnobrązowych oczu, wpatrujących się w nią bezlitośnie. Znały jej tajemnicę.

- Brązowe oczy? - szepnęła do siebie. - Blondyn ma żółte oczy! - Gdy to mówiła, ujrzała uśmiechające się usta z nieco wysuniętymi zębami. - To Pierre! - syknęła.

- Pierre zabił blondyna!

Postacie zawirowały i rozpląły się jak gorący wosk. Czekwała z wstrzymywanym oddechem, pragnąc, by kula ukazała jej coś jeszcze. Teraz wypełniła ją w całości twarz Laury. Nie była to milcząca dziewczyna, którą zostawiła w La Re traite, ani śmiejąca się Laura, jaką znała przedtem. To była już kobieta, piękna i zdecydowana. Nowa Laura... obca. Uniosła twarz do pocałunku. Jej oczy były zamknięte, wargi miękkie, zmysłowe, wyczekujące na dotyk ust ukochanego.

- Nie! - zawołała Emma, gdy ujrzała usta całujące Laurę. - Nie! - krzyknęła przeraźliwie na widok Pierre'a, którego głowę Laura przyciągała do siebie.

Emma wbiła długie paznokcie w brzuch kotki, która miauknęła i wyrwała się z jej objęć, pozostawiając na ręce Emmy krwawe zadrapania od przegubu aż po łokieć. Krew kapłała na czarną pelerynę, ale wzburzona Emma w ogóle tego nie zauważyła. Ścisnęła kulę tak mocno, aż zbieleły koniuszki jej palców.

- Nie - szepnęła - tylko nie ślub. Nie dopuszczę do tego.

W kuli zawirowały kolorowe spódniczki dziewcząt tańczących *sega*. Wśród nich była również Laura w długim białym welonie. Pierre, zwrócony ku niej twarzą, podniósł rękę i wtedy Emma dojrzała na jego palcu obrączkę.

- Kłamiesz! - krzyknęła, potrząsając kulą.

Znikł obraz uroczystości weselnej i ukazały się Seszele. Wyspy rozrzucone były na turkusowej głębinie jak misternie rzeźbione brosze i wisiorki ze szmaragdów i pereł.

283

- Pobiorą się i będą mieszkać na Szeszelach. Nigdy nie uda mi się ukazać Laurze cudu Wicca. Laura nigdy się nie dowie, ile radości daje życie czarownicy kapłanki.

Emma, pochylona nad przejrzystą w tej chwili kulą, nie usłyszała, że otworzyły się drzwi do jej sekretnego pokoju. Kotka z położonymi uszami przebiegła obok Gilesa, uderzając go silnie ogonem w nogi.

- Telefon do ciebie, Emmo - powiedział Giles. - Sprzątaczką szuka cię po całym domu. Na szczęście przyszedłem po notatki potrzebne mi na wieczorne zebranie, bo inaczej Ashley zapłaciłby astronomiczny rachunek za ten telefon.

Emma szybko poprawiła włosy, zanim odwróciła się do Gilesa. Na pewno myślał, że zajęta jest swoimi zwykłymi domowymi obowiązkami. Nie lubił, gdy zaglądała do kuli i korzystała z tego sekretnego pokoju, kiedy w domu przebywały obce osoby.

- Przełączyłem rozmowę do twego gabinetu. To Laura.

- Tanith? - Emma przyglądała niesforne loki.

- Tak. Ma bardzo wesoły głos.

Gdy Emma pochyliła się przechodząc przez drzwi, Giles poklepał ją z czułością po pośladkach. Uśmiechnęła się do niego i pobiegła do telefonu. W tej obszernej pelerynie wyglądała na kruchą, małą istotę.

„Szczęściarz ze mnie, że mam taką kobietę” - pomyślał i zobaczył, jak rozjaśniła się twarz Emmy, gdy usłyszała głos Laury.

Trzeba było stoczyć prawdziwą bitwę, żeby przekonać Emmę, że ma zostawić Laurę na Seszelach, a sama wrócić do Lyewood. Uważała się teraz za matkę Laury i chciała opiekować się nią i chronić. Ashley przyrzekł dzwonić codziennie ze sprawozdaniem o stanie zdrowia Laury i dopiero wtedy Emma zgodziła się opuścić wyspy.

- Lauro, kochanie, nie tłumacz się - mówiła Emma, ściskając słuchawkę. - Oboje bardzo cię kochamy. Giles i ja zamartwialiśmy się o ciebie. I żadne z nas nie gniewało się na ciebie.

Emma przywołała ręką Gilesa, który podszedł do jej biurka. Wzięła jego rękę i pocałowała ją.

- Ona czuje się już dobrze - szepnęła podniecona i radosna. - Tanith jest zdrowa. Tamto już minęło.

- Mówiłem ci, że nasza mała czarowniczka wygrzebie się z tego - odpowiedział. Stanąwszy za nią, objął ją w pół i przytulił do siebie. Z głową opartą o jego pierś słuchała Laury.

- To wspaniała wiadomość - w głosie jej było słycać ogromną radość. - Najlepsza z możliwych. - Zakryła ręką słuchawkę i powiedziała do Gilesa: - Pod koniec miesiąca przyjedzie i zacznie studia w szkole artystycznej. - Tak, rozumiem, że Ashley może tu zostać tylko kilka tygodni. Oczywiście, że nie będziesz dla nas żadnym kłopotem. Zawsze chcieliśmy mieć córkę w naszym domu. Jestem taka szczęśliwa, Lauro.

Nagle Giles wyczuł napięcie w ciele Emmy. Wysunęła się z jego objęć.

- Syn? Jaki syn? - Emma słuchała w milczeniu. Chwyciła pióro i kreśliła nim nerwowo po bloku do notatek leżącym na biurku. Nie podnosiła wzroku znad papieru, bojąc się spojrzeć na Gilesa. - Tanith, wiesz dobrze, że twoi przyjaciele są zawsze mile widziani w Lyewood. Tak, Lauro, Ashley mówił Gilesowi, że Pierre podejmie w Londynie dwuletnie studia biznesu. Oczywiście, że może przyjeżdżać na weekendy do Lyewood, choć jestem przekonana, że będzie wolał atrakcje Londynu.

Słuchając Laury, Emma szarpała kręcone kosmyki swych siwych włosów. Giles przysunął ucho bliżej słuchawki, ale głos Laury był dość niewyraźny. Wyprostował się więc i przyglądał się Emmie z niepokojem. Było coś fałszywego w jej tonie.

- Tak, pamiętam, jak mówiłam ci, że przyjdzie dzień, w którym kogoś pokochasz, kogoś takiego jak Ashley. ,

Emma zbladła, ołówek wypadł jej z ręki.

- Pierre? - zapytała chrypliwie i odkaszlnęła. - Pierre Payet? - złapała znowu złamane pióro i dźgała nim w papier. - Tanith, jesteś jeszcze bardzo młoda i spotkasz...

Zagryzła wargi, gdy Laura jej przerwała.

- Tak, pamiętam, jak poszliśmy zbierać pierwiosnki. Tak, w dalszym ciągu wierzę, iż życzenie wypowiedziane przy pierwszym pierwiosnku spełnia się. Ale co to ma wspólnego z Pierre'em? Nie robiłyśmy tego od czasu, gdy Virginia... - Emma urwała. - Oczywiście, że zachowam to w tajemnicy. Przysięgam.

Giles, widząc wyraz twarzy Emmy, wziął słuchawkę z jej rąk:

- Czarowniczo, to ja, Giles. Emma pobiegła, żeby wypuścić kotkę, która wrzeszczy przeraźliwie. Zaraz wróci. Co ja słyszę? Przyjedziesz i zostaniesz z nami?

Giles słuchał przez moment, zatrzymując Emmę u swego boku.

296

- Wspaniałe nowiny. Jeszcze zrobię z ciebie amazonkę. A Pierre? Z niego też zrobimy jeźdźca. Całuję cię mocno, muszę już iść. Emma właśnie wraca.

Oddał jej słuchawkę z ostrzegawczym spojrzeniem. Wzruszył się rozpaczą widoczną w jej oczach, ale jego wzrok nie złagodniał.

- Twoje życzenie pierwiosnkowe to poślubić Pierre'a - głos Emmy brzmiał głucho. - Chcesz powtórzyć to życzenie przy pierwszej nocnej gwiazdzie, ponieważ na Szeszelach nie ma pierwiosnków. - Niespokojny Giles wciąż stał obok niej. Emma

starła się zapanować nad swoim głosem. - Przyjmiemy z radością każdego, kogo kochasz, Tanith. Giles i ja chcemy tylko twego szczęścia.

- A Pierre jest wspaniałym chłopcem - wtrącił Giles, nachylając się do słuchawki, a gdy Laura odpowiedziała coś radośnie, oddał znowu słuchawkę Emmie.

- Jego przodkowie to mordercy i złodzieje - syknęła, zasłaniając słuchawkę. - Nie dostanie mojej Tanith.

Giles pokiwał głową. Obsesja Emmy na punkcie Laury wzrastała z latami. Wiedział, że powinien zostać i porozmawiać z nią, przekonać, by zaakceptowała Pierre'a.

Martwiło go, że Emma zachowuje się irracjonalnie, gdy w grę wchodzi Laura. Ale był już spóźniony, a nic nie wskazywało na to, że skończą szybko tę rozmowę.

Nachylił się i ucałował jej włosy.

- Muszę już iść. Wrócę do domu późno. Nie czekaj na mnie. Emma kiwnęła głową.

Odwrócił się przy drzwiach, spojrzał na

nią raz jeszcze, a ona odpowiedziała mu smutnym, nieszczęśliwym uśmiechem.

Złożywszy usta jak do pocałunku, szepnął:

- Kocham cię, moja śliczna czarownico - i zamknął drzwi cicho za sobą.

Gdy Emma wreszcie skończyła rozmawiać z Laurą, mruknęła.

- Nie dopuszczę do tego. - Siedziała zgarbiona w krześle, jakby bolał ją brzuch. -

Jesteś już za stara - powiedziała do siebie. - Nie masz siły, żeby zmusić ciemne moce do wykonania twoich rozkazów.

Udręczona, nie mogąc podjąć decyzji, kołysała się na skrzypiącym starym, dębowym krześle.

- Boisz się, a kiedy ma się do czynienia z ciemnymi mocami, strach sprowadza śmierć.

Rozmyślania jej przerwało pochrapywanie kotki, która leżała zwinięta na parapecie okiennym. Emma patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

Wewnętrzny głos nie dawał jej spokoju. „Posłuchaj Gilesa. Laura jest już kobietą. Któregoś dnia zakocha się i wyjdzie za mąż. Nie może pozostać na zawsze dzieckiem. Pogódź się z tym”.

Emma przymknęła oczy. Zobaczyła Pierre'a pochylającego się nad Laurą i rozpinającego zamek błyskawiczny jej sukni ślubnej.

- Nigdy - powiedziała głośno - nigdy nie dostaniesz mojej Tanith.

Kiedy pobiegła do drzwi swojego gabinetu, peleryna plątała się jej koło nóg.

Rozejrzała się po korytarzu. Zamknęła ciężkie drzwi i schowała klucz do kieszeni.

„Powoli - ostrzegął ją wewnętrzny głos. - Nie wolno ci działać w pośpiechu przy wywoływaniu czarnych mocy. Powodzenie zależy od właściwego przygotowania i twojej siły. Jesteś przybita i słaba. Czarne moce natychmiast to rozpoznają”.

Oszalała z zazdrości, nie zważała jednak na nic. Wspięła się na palce i zdjęła wazon z pawimi piórami z obramowania kominka. Migotliwe, zielononiebieskie pawie oczka muskały ją po twarzy, gdy grzebała w wazonie i szukała klucza do sekretnej szuflady biurka.

Szuflada otworzyła się bez trudu i Emma wydobyła z niej włoską wersję *Grimorium verum*. Drżącymi rękoma szybko przerzucała stronicę pierwszej części księgi do zaklania diabłów i demonów.

„Utopienie - zdecydowała. - Pierre stale albo nurkuje, albo łowi ryby. Śmierć w morzu, oto czego potrzebuję”.

Wstrzymując oddech, przeglądała pobieżnie kolejne strony.

„Głasy labolas, skrzydlaty pies? Vepar, syrena, która powoduje śmierć i katastrofy na morzu? A może demon Focalor”?

Czytając dalsze strony, nachmurzyła się. - „Dziecko. Nie mam czasu, żeby sprowadzić jakieś dziecko czy jagnię.”

I wtedy usłyszała sapanie śpiącej kotki. Zielone oczy Emmy zaśniły zimnym blaskiem. Wsunęła z powrotem książkę do szuflady i podeszła do parapetu. Kotka wrzasnęła i wyprężyła się, gdy wzięła ją na ręce i bezwiednie głaskała jej uszka pokryte bliznami. Kiedy rozpoznała Emmę, odprężyła się i cicho mrucała, patrząc

z uwielbieniem na swą panią. Szorstkim językiem lizała wierzch jej dłoni, kiedy Emma niosła ją do swojego sekretnego pokoju.

Szybko minęły godziny, w czasie których Emma przygotowywała się do spotkania z demonami. Ręce jej dygotały, a całym ciałem wstrząsały drgawki jak u konającego zwierzęcia.

Do drzwi zapukała cicho sprzątaczką. Przyłożyła ucho do dziurki od klucza, ale wszędzie panowała głucha cisza. Wróciła więc do kuchni, włożyła granatowy

plaszcz i owinęła głowę szalem. Trzasnęły za nią drzwi kuchenne i nic już nie przerywało złowróżbnej ciszy późnego słonecznego popołudnia.

II

Giles zdjął w drzwiach zabłocone buty i przeszedł w skarpetkach do kuchni. W brzuchu mu burczało, gdy ręką macał po ścianie w poszukiwaniu kontaktu.

Pociągnął nosem, ale wyczuł tylko zapach pasty i mydła.

- Emmo! - zawołał. Nacisnął kontakt i żółte światło zalało kuchnię. Zbliżył się do pieca i wyciągnął podgrzewaną szufladę; była pusta, na piecu też nie znalazł żadnych garnków.

Poszedł do części mieszkalnej domu, a zimna posadzka chłodziła mu stopy.

Zatrzymał się przed drzwiami o łukowym sklepieniu, prowadzącymi do gabinetu Emmy.

- Emmo! - zawołał ponownie.

Przekręcił żelazną gałkę, ale drzwi nie otworzyły się. „Pewnie jest już w łóżku - pomyślał. - Położyła się po rozmowie z Laurą i zasnęła. Biedna Emma. Całe jej życie koncentruje się wokół Tanith”.

Sięgnął do kieszeni i wyjął pęk kluczy. Przekręca klucz w zamku i pchnął drzwi.

Dotarł po omacku do biurka Emmy i zapalił stojącą na nim lampę. Panował tu idealny porządek.

Już miał wyjść z gabinetu, gdy zauważył odstającą od fryzu nad kominkiem żołędź.

Uśmiechnął się. Pożartuje sobie z Emmy, że pewnie postarzała się, bo jest taka zapominalska. Ustawa żołędź na właściwe miejsce i przekręcił, żeby zamknąć w ten sposób sekretny

pokój. Zawahał się jednak: coś było nie w porządku. Poczuł, że skóra na nim cierpnie. Otworzył drzwi.

Zgiął się wpół i wszedł do wnętrza. Zachwiał się jak ugodzony pięścią od smrodu zakrzepłej krwi i lodowatej atmosfery śmierci. Przerażony cofnął się, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało. Wstrząsały nim dreszcze, wydawało mu się, że wokół niego unosi się coś strasznego. Chwycił się framugi sekretnych drzwi. Nie chciał wchodzić dalej do tego pokoju. I wtedy zobaczył Emmę. Wyprostował się na całą swoją wysokość i doskoczył do trójkąta narysowanego na zewnątrz magicznego kręgu.

Emma leżała na wznak z zastygłym wyrazem potwornego strachu w szeroko otwartych zielonych oczach. Giles przyklęknął i przyłożył rękę do jej szyi, ale nie wyczuł żadnego tętna. Nacisnął dłonią mocniej, rozpaczliwie pragnąc, by dała jakies znaki życia. Pochylił się nad jej twarzą w nadziei, że wyczuje na policzku ciepłe tchnienie oddechu. Czekał długie sekundy, a potem z wolna opuścił rękę.

Wziął nagie ciało Emmy w ramiona i przeniósł pod opiekę magicznego kręgu.

Ukląkł i zamknął delikatnie jej powieki. Nie mógł znieść wyrazu przerażenia w jej wzroku. Chciałby ją pocieszyć i pokochać. Przytulił siwą głowę do twarzy Emmy i załkał:

- Moja mała czarownico, coś ty zrobiła? Dokąd odeszłaś? Ucałował czule jej oczy i usta, ale wargami wyczuł tylko

lodowaty chłód skóry. Przytulił się do niej twarzą, jakby chciał ją ogrzać, a łzy kapwały mu na jej martwe ciało. Powiódł ustami po głębokich zadrapaniach na jej ramieniu i ucałował wewnątrz jej dłoni.

- Emmo, moja Emmo - szlochał głośno. - Jak mogłaś mnie opuścić?

Kołysząc żonę w ramionach, pieścił ją i mówił do niej, aż rozległo się pianie wiejskiego koguta. Potem ubrał ją i zaniósł do jej gabinetu.

- Nie udało mi się ochronić cię za życia, ale teraz ochronię cię po śmierci - szepnął, sadowiając ją w fotelu z głową opartą na pokrytym skórą blacie biurka. - Atak serca. Tak zawsze mówią lekarze, kiedy przyczyna zgonu nie jest znana.

Wrócił do sekretnego pokoju i rozłożył na podłodze pelerynę Emmy. Szybko pozbiierał wszystkie przedmioty związane z czarną magią. Podniósł zakrwawiony nóż i przeklinając diabelskie moce dołożył go również do stosu.

300

Ostrożnie wziął z ołtarza ciało starej, pręgowanej kotki. Głowa jej zwisała bezwładnie, różowy język wystawał z pyszczka, a krew wyciekła z poranionych uszu i poplamiała futerko.

- Biedna staruszko - szeptał, kładąc kotkę na pelerynie. - Emma nie chciała ci zrobić nic złego. Ona tylko... - załkał cicho. - Ona nie wiedziała, jak pomóc sobie samej.

Giles zrobił węzeł na pelerynie i wyniósł tłumok z domu. Umieścił go pod pustymi workami od nawozów w tylnej części swojego land rovera i zamknął drzwiczki samochodu.

Jego ludzie będą palić tego ranka obcięte gałęzie żywopłotów w Briar Meadow. On też będzie musiał zrobić ognisko zaraz po telefonie do lekarza. Tajemnica Emmy rozwieje się z dymem i popiołem po całej farmie. Jego ukochana czarownica będzie bezpieczna.

Wziął wiadro z wodą i trochę szmat z kuchni i udał się do sekretnego pokoju Emmy. - Wybacz jej, wielka i łaskawa Matko Diano - powiedział ledwie dosłyszalnie, rozglądając się po pokoju już czystym i ogołoconym ze wszystkiego. - I ty, Wielki Panie, bądź życzliwy dla tej, która naprawdę cię kochała - dodał, podnosząc wiadro z czerwoną wodą. - Jej szaleństwo wynikało z rozpaczki kobiety namiętnie pragnącej własnego dziecka. Powinienem był dostrzec oznaki złego i uchronić ją przed nieszczęściem.

Zamknął za sobą drzwi i wykręcił żołędź z drewnianego fryzu. Włożył go w szparę między futryną a opatrzonymi żelazną sztabą drzwiami. Zgruchotana w ten sposób żołędź uniemożliwi raz na zawsze dostanie się do sekretnego pokoju Emmy. Giles zebrał rozsypane szczątki i wrzucił je do wiadra. Patrząc, jak nikną w wodzie, przecierał zaczerwienione, zmęczone oczy.

Zachrypłym głosem zwrócił się ponownie do swoich bogów:

- Nie sądźcie, że ta kobieta, kapłanka Wicca, odwróciła się od was, żeby pertraktować z Hekate i jej sługami. O, Królowo Niebios, Królowo Piekieł, Królowo Wszystkich Czarownic! - Zamknął głęboko zapadnięte oczy, jakby broniąc się przed wizją tego, co najstraszniejsze. - Bądź litościwa dla twojej córki.

Przysiadł na poręczy fotela i dotknął włosów Emmy, które odskoczyły od jego palców jak naelektryzowane.

Podniósł słuchawkę telefonu. Jego silna ręka drżała, gdy czekał na sygnał, a po twarzy spływały łzy.

- Wybaczcie jej - wyszeptał.

III

Ashley i Redvers siedzieli w ciszy na drewnianym molo. Ashley popijał wolno whisky, delektując się jej cierpkim smakiem, a plusk drobnych fal, rozbijających się o podpory, działał na niego kojąco.

Nagle zaalarmował go słaby odgłos silnika, który ucichł, zanim zdołał go w ciemnościach zlokalizować. Spojrzał na Redversa. Doktor, z głową odrzuconą do tyłu, obserwował niebo, zafascynowany jego ogromem i majestatem. Ashley otrząsał się. Coś mu się chyba zwidziało, to nie była żadna łódź. Za wcześnie jeszcze na powrót Laury i Pierre'a.

Gdy łódź okrążyła przylądek, Laura zdała sobie sprawę, że za kilka minut dobiją do mola. Odetchnęła głęboko i odezwała się:

- Pierre, czy możemy na chwilę tu się zatrzymać?

Pierre rzucił w jej stronę szybkie spojrzenie. Wprawdzie twarz Laury była niewidoczna, ale głos jej brzmiał spokojnie i pewnie.

- Oczywiście - odpowiedział, kręcąc kołem sterowym. - Ale troszkę dalej. Tu łatwo nadziać się na skały. Musielibyśmy wtedy dotrzeć wpław do domu, a to dość daleka droga.

Wyłączył silnik i łódź wpłynęła na płytką wodę. Laura milczała, ale on czekał.

- Pierre, muszę się przed tobą wytłumaczyć, usprawiedliwić. Wstyd mi za moje zachowanie, za to, że przysporzyłam tyle zmartwień tobie i wszystkim.

- Lauro - odrzekł Pierre, wymacując ławkę obok koła sterowego. - Usiądź tu.

Laura usiadła na twardej ławce i czekała na wymówki.

- Pamiętaj, że wszyscy cię kochamy. Nikt nie jest doskonały. - Mówiąc to, odgarnął jej włosy za uszy. - Rodzina jest po to, żeby zwracać się do niej w trudnych sytuacjach, w nieszczęściu. Nie masz się z czego tłumaczyć.

Laura przytrzymała jego rękę.

- Pierre, nie rozumiesz. Zrobiłam coś strasznego.

- Byłoby straszne, gdyby ci się udało.

- Nie, nie chodzi o przecięcie żył - Laura przerwała, ale po chwili wyprostowała się, podniosła głowę.

291

Pierre rozpoznał ten jej gest z dzieciństwa. Laura chce mu coś wyznać.

- Pamiętasz noc, kiedy obserwowaliśmy żółwicę? - Laura wyczuła napięcie Pierre'a i jeszcze mocniej ścisnęła jego rękę. - Okłamałam cię wtedy, Pierre. Był ktoś inny. Bartholomew Faulconer. - Wreszcie padły te słowa jak ostrze gilotyny.

Pierre odwrócił głowę i spojrzał w ciemność.

Głos Laury załamał się. Była jednocześnie ofiarą i katem.

- Poznałam go jako Barta Hardena. Nigdy nie użył przy mnie nazwiska Faulconer. Zakochałam się w nim.

Pierre nadal odwrócony był do niej plecami. Ale ona zdecydowała się być uczciwą wobec najbliższego przyjaciela i mężczyzny, który ją kochał.

- Wiem, że mną gardzisz. Zasłużyłam na to. - Przeciągająca się cisza dławiała Laurę.

- Proszę cię, Pierre, spróbuj mi wybaczyć. Nie teraz, ale któregoś dnia, w przyszłości

- szepnęła. - Jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, był plusk fal objających się o burty łodzi. - Powiedziałeś kiedyś, że nie mogłabym zrobić nic tak złego, żebyś przestał mnie kochać. Ale ja zrobiłam to. I jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa z tego powodu.

Pierre odwrócił się do niej twarzą. Omal nie krzyknęła na widok niemego bólu w jego oczach.

- Zawsze dzieliliśmy się wszystkimi sekretami, Lauro. Dlaczego to przede mną ukryłaś?

Zawahała się, nim zdobyła się na odpowiedź. Zrozumiała nagle, że może utracić coś więcej niż własną dumę i szacunek dla siebie, może utracić Pierre'a.

- Myślałam, że gdy się dowiesz, powiesz o tym tatusiowi. Bałam się też, że on nie polubi Barta. Przede wszystkim był znacznie starszy ode mnie. Przypuszczałam, że tatuś nie pozwoli mi jeździć do szpitala. - Mówiła już ledwie słyszalnym szeptem.

-A po *moutii* nie mogłam ci powiedzieć, bo...

- Bo dowiedziałaś się, że cię kocham.

- Tak.

- I nadal cię kocham, Lauro. Miłość nie umiera po odkryciu kłamstwa, staje się tylko nieznośnie bolesna.

- Pierre, zawsze kochałam cię jak brata i przyjaciela... - powiedziała załamana Laura. - A teraz już wiem, że kocham...

303

Pierre położył palec na jej wargach.

- Nie kończ, Lauro. Nie mógłbym żyć, gdyby i to okazało się pomyłką. Nie dręcz mnie.

Laura potrząsnęła gwałtownie głową, ale Pierre nie zdejmował palca z jej ust.

- Przeżyłaś ogromny szok. Pozwól, żeby czas zaleczył blizny. Ja zawsze będę na ciebie czekał. - Opuścił rękę. - Zrozumiałaś?

- Tak - szepnęła i serce zabiło jej nadzieją. - Pierre, niech to pozostanie naszą tajemnicą, dobrze?

Pierre zawahał się.

- Myślę, że Ashley powinien o tym wiedzieć, Lauro. Niedobrze byłoby ukrywać to przed nim. Kocha cię i na pewno wszystko zrozumie.

- Proszę cię, Pierre.

- Ja nie powiem mu o tym, ale...

- Ja to zrobię - powiedziała Laura - ale jeszcze nie teraz. - Odpięła złoty łańcuszek z ciężkim amuletem w kształcie krzyża egipskiego, który miała zawieszony na szyi. - Czy zechcesz to nosić, Pierre? To amulet chroniący życie.

Pierre popatrzył na jej poważną twarz i zrozumiał, że w ten sposób łączą się ze sobą na zawsze. Wziął z jej rąk łańcuszek.

- Życie? Nasze życie? - zapytał.

- Proszę cię! - Miała oczy pełne łez, kiedy zakładała łańcuszek na jego szyję.

Pogłaskał delikatnie jej rękę i uruchomił silnik. Laura patrzyła w gwiazdy, gdy łódź płynęła szybko do La Retraite. Rozsiane były na niebie jak pierwiosnki na polach Lyewood. Z nostalgią pomyślała o swoim dziecięcym podnieceniu, gdy odnajdywała pierwsze żółte kwiatki w otoczeniu małych zielonych listków.

Powiedziała Emmie, że zamierza zrealizować swoje pierwiosnkowe życzenie.

Spojrzała na pierwszą z brzegu gwiazdę i szepnęła:

- Spraw, by Pierre znowu mi ufał. Nie pozwól mu, by przestał mnie kochać.

A kiedy odwróciła się do Pierre'a, napotkała jego pytający wzrok.

- Wypowiedziałam życzenie pierwiosnkowe - wyjaśniła. - Takie życzenia zawsze się spełniają.